

Nowa seria przygód **Nory Kelley**

PRESTON & CHILD



**OGON
SKORPIONA**

A

PRESTON & CHILD

OGON SKORPIONA

Przełożył Jan Kraśko

Tytuł oryginału: *The Scorpion's tail*

Redakcja: Hanna Trubicka

Korekta: Jacek Bławdziewicz

Projekt graficzny okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie: Shutterstock/Mazuman

Opracowanie graficzne, skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf

Redaktor prowadząca: Magdalena Kosińska



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

Copyright © 2021 by Splendide Menda, Inc. and Lincoln Child. First published by Grand Central Publishing a division of Hachette Book Group, Inc. The Grand Central Publishing name and logo is a trademark of Hachette Book Group, Inc.

Copyright © Agora SA, 2023

Copyright © for Polish translation by Jan Kraśko 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-268-4230-6



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.
- 21.
- 22.
- 23.

- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.
- 36.
- 37.
- 38.
- 39.
- 40.
- 41.
- 42.
- 43.
- 44.
- 45.
- 46.
- 47.
- 48.
- 49.
- 50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

60.

61.

62.

63.

Pamięci Williama Smithbacka, Jr.
REQUIESCAT IN PACE

1

W CIĄGU OŚMIU MIESIĘCY, które upłynęły od ukończenia akademii FBI w Quantico, agentka specjalna Corrie Swanson nauczyła się spodziewać niemal wszystkiego. Ale na pewno nie tego, że będzie doręczała sądowe nakazy rozwydrzonym nastolatkom. Dlatego jadąc przez góry wraz z resztą zespołu, odczuwała ulgę, że ten ciężki dzień prawie się skończył.

Wracali z Edgewood, z domu matki pewnego pryszczatego hakera, który otworzywszy drzwi, na ich widok zalał się łzami. Corrie początkowo mu współczuła, ale potem miała z tego powodu wyrzuty sumienia – było nie było, chłopak włamał się „dla zabawy” do tajnej sieci komputerowej laboratorium naukowego w Los Alamos. Skutek? Jego komputery, zewnętrzne dyski twarde, pendrive’y, jego PlayStation, iPhone, a nawet panel i kamery alarmu antywłamaniowego załadowano do czarnego lincolna navigatora z przyciemnianymi szybami, który jechał teraz za nimi. Prowadziła go agentka specjalna Liz Khoury, a na miejscu pasażera siedział towarzyszący jej agent Harry Martinez.

Ona siedziała obok swojego szefa, agenta nadzorującego Hale’a Morwooda, który prowadził najbardziej nieprawdopodobny samochód służbowy, jaki kiedykolwiek widziała: najnowszy model Nissana ze wszystkimi możliwymi bajerami, intensywnie czerwonego pick-upa w sportowe paski, z chińskim smokiem namalowanym na masce. Co w sumie pasowało do jego powściągliwej osobowości. Kiedy zebrała się w końcu na odwagę i spytała, dlaczego wybrał akurat ten wóz, odparł, że „podróżuje incognito”.

– No i jak? – rzucił, przybierając mentorski ton głosu. – Dość wrażeń jak na jeden dzień?

Ciężki czy nie, Corrie wiedziała, że dzień ten jest swego rodzaju nagrodą. Żeby mu zaimponować, harowała jak wół. Przesiedziała przy biurku Bóg wie ile godzin, a nawet udało jej się odegrać dość ważną rolę w ostatniej sprawie. Nie ulegało wątpliwości, że ten wyjazd jest dla szefa odpowiednikiem bojowej wyprawy w teren.

Mimo to wiedziała, że nie powinna okazywać mu wdzięczności.

– Czułam się trochę głupio. Kamizelka kuloodporna podczas tak błahej interwencji?

– Nigdy nie wiadomo. Zamiast tylko krzyżeć, jego matka mogła wyciągnąć dziewiątkę magnum.

– Co oni zrobią z tym całym sprzętem?

– Obejrzą go w laboratorium i sprawdzą dokładnie, co i jak chłopak zrobił. Potem pojedziemy go aresztować i jego życie dobiegnie końca.

Corrie przełknęła ślinę.

– Uważasz, że to za surowe?

– Szczerze mówiąc, nie tak wyobrażam sobie przestępcę.

– Ja też. To bystry chłopak. Klasa średnia, spokojny, stabilny dom, piątkowy student, obiecująca przyszłość. Ale właśnie dlatego jego sytuacja jest w gruncie rzeczy gorsza niż sytuacja gówniarza, który wychowuje się w podejrzanej dzielnicy i zaczyna sprzedawać narkotyki, bo nic innego nie umie. A ten ma osiemnaście lat, jest dorosły i włamał się do systemu komputerowego, w którym przechowuje się tajne informacje o bombach atomowych.

– Tak, całkowicie to rozumiem.

– Umiejętność współodczuwania jest cenna – dodał po chwili. – Wielu agentów szybko ją traci. Ale na drugiej szali spoczywa poczucie sprawiedliwości. Chłopak stanie przed dwunastoma zwykłymi, zdroworoządkowymi Amerykanami i będzie miał uczciwy proces. Tak to działa, to piękny system.

Corrie kiwnęła głową. Morwood pracował w FBI od dwudziestu lat, a mimo to nie był cynikiem, co nieustannie ją zadziwiało. Być może dlatego wyznaczono go na opiekuna nowych agentów, którzy musieli

zaliczyć dwuletni staż. Tak wielu innych nowicjuszy i nowicjuszek – w większości tych pierwszych – już teraz przymierało twarde, cyniczne i bezduszne maski macho.

Właśnie przejeżdżali przez Tijeras, miasto przy starej drodze 66, kiedy Morwood podkręcił głośność mruczącego w tle policyjnego radia. „Pilna interwencja, pole kempingowe Cedro Peak, padły strzały”

Corrie wróciła do rzeczywistości.

„Awantura rodzinna i strzały w przyczepie kempingowej, możliwe ofiary i sytuacja zakładnicza. Namiary: pole kempingowe Cedro Peak, Nowy Meksyk dwa pięć dwa, zjazd na Sabino Canyon...”

– A niech mnie! – Morwood pokręcił gałką nawigacji. – To dwa kroki stąd. Zdaje się, że musimy jechać. – Wziął mikrofon. – Zgłaszają się agenci specjalni Morwood, Swanson, Khoury i Martinez. Jesteśmy w Tijeras przy drodze 66 i skręcamy na trzy, trzy, siedem. Na miejscu za dziesięć minut.

Nie przerywając rozmowy z dyspozytorką i agentami w lincolnie, dodał gazu i z piskiem opon zjechał na drogę 337 prowadzącą na południe, w kierunku gór Sandia. Jednocześnie włączył syrenę i długie światła, a jadący za nimi SUV poszedł w jego ślady.

Dyspozytorka przekazała im wszystkie informacje, choć miała ich niewiele. Kilka osób zadzwoniło na 911, donosząc o incydencie w przyczepie kempingowej, o głośnej kłótni, krzykach jakiejś kobiety i wystrzałach. Ktoś słyszał też płacz małej dziewczynki. Oczywiście wszyscy natychmiast stamtąd uciekli.

– Tym razem to coś poważniejszego niż płaczliwy haker – powiedział Morwood. – Będziemy tam jako pierwsi. Sprawdź broń.

Corrie poczuła, że jej serce bije szybciej. Wyjęła glocka, wysunęła magazynek, sprawdziła, czy jest pełny, i włożyła pistolet z powrotem do kabury pod pachą. Zgodnie ze standardowymi procedurami jeden nabój tkwił już w komorze. Cieszyła się, że wciąż ma na sobie kamizelkę.

– Awantura rodzinna. – Morwood znów przybrał mentorski ton. – Jak powiedzieli ci pewnie w Quantico, to jedna z najbardziej niebezpiecznych

interwencji. Wzburzony sprawca może działać irracjonalnie, a nawet samobójczo.

– Tak.

Jechali niecałe sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, a więc nie nadzwyczajnie szybko, lecz na krętej górskiej drodze ze stromymi klifami i nielicznymi barierkami wrażenie było dość przerażające. Na każdym zakręcie opony nieśmiało protestowały donośnym piskiem.

– Jaki jest plan? – spytała Corrie. Tu nie chodziło o pryszczatego hakera. Tu chodziło o coś bardzo poważnego. Po raz pierwszy miała wziąć udział w akcji przeciwko agresywnemu, uzbrojonemu przestępcy.

– Wezwali SWAT i negocjatora z CNU. FBI postawiło na nogi grupę szybkiego reagowania. Dlatego zajmiemy pozycję defensywną. Ocenimy sytuację i spróbujemy nie dopuścić do jej zaognienia. Krótko mówiąc, będziemy go zagadywać do momentu przyjazdu profesjonalistów.

– A jeśli wzięł zakładnika?

– Wtedy nakłonimy go do mówienia. Spróbujemy go uspokoić i doprowadzić do tego, żeby go wypuścił. Im mniej będziemy robili, tym lepiej, chyba że dojdzie do jakiegoś kryzysu. Najbardziej niebezpiecznym momentem będzie ten, kiedy tam przyjedziemy i gość nas zobaczy. Dlatego musimy unikać konfrontacji, działać powoli i spokojnie, bez żadnych krzyków. Bułka z masłem. Dla ciebie to dobre ćwiczenie. Ale... – Morwood zawiesił głos. – Ale jeśli coś pójdzie nie tak... Wtedy wykonuj moje rozkazy.

– Rozumiem.

– Przypomnisz mi, jakie wyniki miałaś ostatnio na strzelnicy?

– Hm, czterdzieści dziewięć. – Corrie poczerwieniała. Czterdzieści dziewięć punktów ledwo zaliczało strzelanie, w dodatku osiągnęła ten wynik po tygodniach ćwiczeń tak intensywnych, że przez wiele dni bolała ją ręka. Strzelanie nie było po prostu jej mocną stroną.

Morwood mruknął coś pod nosem, dodał gazu i pick-up pomknął dwupasmówką wijącą się po górskim zboczu porośniętym sosnami i jałowcami. Po pięciu minutach dojechali do skrętu w drogę prowadzącą

na kemping Cedro Peak w lesie państwowym Cibola, a po pięciu kolejnych – do żwirówki. Na żwirówce zwolnili i kilka chwil później znaleźli się na polu kempingowym, w spokojnej, trawiastej kotlinie z rozstawionymi wśród sosen stołami piknikowymi, miejscami na ognisko i dużą zadaszoną wiatą turystyczną pośrodku. W oddali piętrzył się wielki masyw gór Sandia.

Na końcu zapętlonej drogi stał samotny biały ford pick-up z przyczepą. Kotlina była zupełnie wyludniona, pozostało jedynie kilka rozrzuconych namiotów.

Morwood skręcił w prawo i przez okno dał znać tym w lincolnie, żeby skręcili w lewo i spotkali się z nim na szczycie pętli.

– Głowa w dół – rzucił. – Może zacząć strzelać. Podjadę najbliżej, jak się da.

Zaparkował sześć metrów od przyczepy. Strzały nie padły. Przyczepa należała do tych z otwieraną przednią ścianą. Miała miejsca do spania po bokach i salonik na środku, a wszystko to przesłonięte było siatką na komary i białym nylonem. Siatka prześwitywała tak bardzo, że widać było stojącego w saloniku mężczyznę, który wykręcał do tyłu rękę małej dziewczynce, przytykając jej lufę pistoletu do głowy. Przerazona dziewczynka cicho szlochała.

– Cholera jasna. – Morwood skulił się za kierownicą i wyjął broń.

Mężczyzna milczał. Nie poruszał się i nie odrywał lufy od głowy dziecka.

Corrie też sięgnęła do kabury.

– Wsiądź i przywaruj za samochodem. Za blokiem silnika.

– Dobrze.

Wysiedli i przykucnęli za maską nissana. Morwood pociągnął za kabel głośnika i włączył mikrofon. Mówił głosem spokojnym i neutralnym.

– Tu agenci specjalni Hale Morwood i Corinne Swanson, FBI. Bardzo prosimy, żeby uwolnił pan tę dziewczynkę. Przyjechaliśmy porozmawiać, to wszystko. Nikomu nie stanie się krzywda.

Zapadła długa cisza. Mężczyzna był podświetlony od tyłu, więc Corrie nie widziała wyrazu jego twarzy. Widziała jednak szybko podnoszącą się i opadającą pierś, słyszała chrapliwy oddech. Zauważyła coś jeszcze: z podłogi przyczepy spływały strużki krwi na schody, a ze schodów na ziemię.

– Widzisz to? – szepnął Morwood.

– Tak. – Serce podeszło jej do gardła. Mężczyzna zdążył już kogoś zabić.

– Prosimy, żeby uwolnił pan zakładniczkę. Pozwolił jej wyjść. Kiedy pan to zrobi, możemy porozmawiać. Wysłuchamy pana i na pewno coś wymyślimy.

Mężczyzna oderwał lufę od głowy dziewczynki i wystrzelił dwa razy w ich stronę. Kule nie trafiły nawet w samochód.

Strzelają do mnie nie pierwszy raz, pomyślała Corrie. Dam radę. Poza tym on nie umie celować.

Morwood odezwał się ponownie, spokojnym, opanowanym głosem.

– Proszę, niech pan ją wypuści. Jeśli potrzebuje pan czegoś, żeby móc to zrobić, proszę tylko powiedzieć.

– Niczego od was nie potrzebuję! – krzyknął nagle mężczyzna głosem tak pełnym wściekłości i chrapliwej hysterii, że trudno go było zrozumieć. – Zabiję ją! I to, kurwa, zaraz!

Dziewczynka zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

– Zamknij mordę!

Morwood mówił dalej, wciąż spokojnie, lecz stanowczo.

– Nie zabije pan dziecka. Czy to pana córka?

– To córka tej suki i zabiję ją!

Mężczyzna podniósł pistolet i znów wystrzelił dwa razy w ich stronę, tym razem trafiając w bagażnik nissana. Potem znowu przytknął lufę do głowy dziewczynki.

– Ona umrze! Na trzy!

Cieniutki krzyk przerażonego dziecka brzmiał jak rozdzierający zgrzyt metalowego ostrza tnącego blachę.

– Nie! Wujku, proszę, nie!

– Raz!

Morwood odwrócił się do Corrie.

– Zezwalam na użycie broni – powiedział szybko, lecz spokojnie. – Spróbuję zająć go z prawej. Osłaniaj mnie. Jeśli będziesz mogła oddać czysty strzał, strzelaj, ale tylko wtedy.

– Tak jest.

– Dwa!

Glock był jak kawał ciężkiego, mokrego plastiku w jej drżącej ręce. Uspokój się, do cholery, pomyślała. Ostrożnie zerknęła ponad maską nissana i ujawszy pistolet obiema rękami, przyjęła niską pozycję strzelecką. Wystawiła się na cel, ale tamten celował jak ślepiec. On celuje jak ślepiec, powtarzała w duchu, on celuje jak ślepiec.

Starannie naprowadziła muszkę na jego głowę i delikatnie położyła palec na spuście. Napastnik zasłaniał się dziewczynką, więc strzał – choć tylko z dziesięciu metrów – był zbyt ryzykowny.

Morwood wypadł zza nissana i popędził w prawo, w stronę oddalonej o dziewięć metrów sosny. Padł na ziemię i przyjął leżącą pozycję strzelecką.

Corrie wciąż trzymała mężczyznę na muszce. Nie, za duże ryzyko, tam jest dziecko. Zerknęła w lewo i zobaczyła, że Khoury i Martinez przycupnęli za lincolnem z wycelowaną bronią w rękach. Słyszała już odległe zawodzenie syren nadjeżdżającego oddziału SWAT.

Dzięki Bogu, zaraz tu będą.

– Trzy!

Morwood wystrzelił, lecz natychmiast zrozumiała, że tylko po to, aby zdekoncentrować i choć na chwilę powstrzymać napastnika – co w pełni mu się udało, bo mężczyzna odpowiedział ogniem, oddając dwa zupełnie niecelne strzały. W tym samym momencie dziewczynka wyrwała mu się i rzuciła do drzwi, ale poślizgnęła się i upadła.

Napastnik został sam. Był teraz całkowicie odsłonięty i jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle siatki. Muszka i szczerbinka były idealnie zgrane.

Corrie pociągnęła za spust.

Glock podskoczył i zamiast w głowę, kula trafiła go w prawe ramię. Obrócony siłą uderzenia, chciał odpowiedzieć ogniem, ale znów zrobił to bez celowania. Corrie zobaczyła rozbłysk z lufy i podskakujący do góry pistolet w chwili, kiedy dziewczynka wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać się lichych drzwi przyczepy i wstać. Nie zdążyła i wywijając warkoczykami, z których wypadły spinki z księżniczką Leią, stoczyła się po schodach na ziemię.

– Ty skurwysynu! – Nie zdążywszy spokojnie pomyśleć, Corrie rzuciła się w stronę przyczepy. W tej samej chwili huknęły wystrzały Morwooda i dwojga pozostałych agentów. Kule trafiły. Ciało mężczyzny odtańczyło makabryczny taniec szmacianej lalki i przez tylną siatkę wypadło z przyczepy.

Corrie chwyciła leżącą dziewczynkę, podniosła ją i odwróciła się plecami do jej wujka. Dziewczynka się nie poruszała, była zakrwawiona. I nagle w kotlinie zaroilo się od funkcjonariuszy SWAT. W chmurze kurzu zahamowała karetka pogotowia, z której wyskoczyli sanitariusze. Corrie podbiegła do nich, a oni otoczyli ją, delikatnie wyjęli dziecko z jej ramion i położyli je na noszach.

Corrie zachwiała się i jeden z nich ją podtrzymał.

– Dobrze się pani czuje?

Poplamiona krwią, jak sparaliżowana popatrzyła na niego bez słowa.

– Jest pani ranna? – spytał głośno i wyraźnie. – Potrzebuje pani pomocy?

– Nie, to nie moja krew – odparła gniewnie, strącając jego rękę z ramienia. – Ratujcie dziecko.

U jej boku wyrósł nagle Morwood, który objął ją i przytulił.

– Zajmę się nią – rzucił do sanitariusza. – Chodź, Corrie, zaprowadzę cię do samochodu.

Spróbowała poruszyć nogami i gdyby nie on, potknęłaby się i upadła.

– Spokojnie, krok po kroku.

Kątem oka widziała uwijających się jak w ukropie ratowników. Reanimowali dziewczynkę.

Wykonując ciche polecenia Morwooda, noga za nogą dotarła do nissana i z jego pomocą wsiadła. Zdała sobie sprawę, że hiperwentyluje się i jednocześnie szlocha.

– Spokojnie, Corrie, spokojnie. Jego już nie ma. Weź głęboki oddech. O właśnie, głęboki oddech...

– Zawaliłam – wykrztusiła. – Spudłowałam. Zabił ją...

– Oddychaj. Nic nie mów, tylko głęboko oddychaj... Dobrze, o tak... Nie zrobiłaś nic złego. Wykorzystałaś okazję, pociągnęłaś za spust i trafiłaś. Nie wiadomo, w jakim stanie jest ta mała.

– Celowałam w głowę. Nie trafiłam i...

– Przestań o tym myśleć i oddychaj. Tylko oddychaj...

– On ją zastrzelił. On ją...

– Rób, co mówię. Przestań gadać i myśl tylko o oddychaniu.

Chciała go posłuchać, próbowała głęboko oddychać i nie myśleć, lecz widziała jedynie ramię odwracającego się mężczyzny, pistolet, z którego chciał do niej wymierzyć, lufę skierowaną w głowę dziewczynki, rozbłysk przedwczesnego wystrzału, jej drobne ciało u stóp schodów i zakrwawione spinki księżniczki Lei na ziemi.

2

Dwa tygodnie później

NA PRZEŁĘCZY POD OSO PEAK SZERYF HOMER WATTS przystanął, zdjął manierkę z łęku i pociągnął łyk wody. Roztaczał się przed nim spektakularny widok: porośnięte sosnami zbocza opadające w kierunku pustyni leżącej dziesiątki kilometrów dalej i setki metrów niżej. Wrzesień nadał przyjemną świeżość górskiemu powietrzu już i tak przesiąkniętemu rześkim zapachem sosnowych igieł. Był to jego pierwszy wolny dzień od dłuższego czasu, dzień naprawdę piękny, prawdziwy dar niebios.

Poklepał czule konia po szyi, powiesił manierkę, dotknął piętami jego boków i Chaco ruszył przed siebie szlakiem prowadzącym do Nick's Creek. Bambusowa wędka w aluminiowej tubie, pudełko much i nimf, kosz na ryby, nóż, kompas, lunch, piersiówka whisky, dwa stare colty dziadka, peacemakery w równie starych kaburach – Watts spakował się na cały dzień spokojnego wędkowania.

Ukołysany łagodnymi ruchami siodła, jechał leniwie przez słońce i cień, mijając po drodze kępy sosen i pola dzikich kwiatów. Na bocznej grani Oso Peak sosny ustąpiły miejsca szerokiej łące. Na jej końcu pasły się trzy mulaki, koziół i dwie łanie. Przestraszone jego widokiem natychmiast uciekły. Watts przystanął i odprowadził je wzrokiem.

Przecinając łąkę, dostrzegł obłoczek dymu, daleko po lewej stronie, na mesie rozciągającej się kilkaset metrów niżej. Znów przystanął, wyjął lornetkę i przyjrzał się uważniej. Pożar o tej porze roku podczas tak wielkiej suszy miałyby katastrofalne skutki. Ale po chwili stwierdził, że to wcale nie dym, tylko nieregularne kłęby żółtawego kurzu wznieconego czymś, co się

tam działa, w miejscu, które dobrze znał, w dawnym miasteczku górniczym zwanym Wysoką Samotnią, jednym z wielu wymarłych miasteczek rozrzuconych po całym Południowym Zachodzie.

Kłębny kurzu. Co to znaczy? Ktoś coś tam robił. A zważywszy na wielkość kłębów, nie było to raczej nic dobrego.

Potarł czoło. Gdyby skręcił w prawo, dojechałby do Nick's Creek i spędził miły dzień nad bulgoczącym strumieniem pełnym głębokich sadzawek i płycizn, w których roiło się od zabójczych pstrągów. Gdyby skręcił w lewo, szlak zaprowadziłby go do Wysokiej Samotni i czekałby go dzień pełen nerwów i kłopotów.

Cholera jasna. Delikatnie szarpnął cuglami w lewo.

Stromy szlak wił się po zboczach Gold Ridge. Teren szybko opadał i kilkadziesiąt metrów niżej sosny ustąpiły miejsca jałowcom. Za brzegiem grani, na czubku skalnego języka wyrastającego z podnóża góry, ukazało się wkrótce miasteczko, garstka budynków z suszonego na słońcu błota i słomy. Watts przystanął, znów przytknął lornetkę do oczu i stwierdził, że jest tak, jak podejrzewał: łowca skarbów. Z piwnicy jednego ze zniszczonych domów ktoś wybierał łopatą piasek. Przed domem stał pick-up.

Serce zabiło mu szybciej. Dobrze znał Wysoką Samotnię. Kiedy był dzieckiem, ojciec zabrał go tam na pierwszy w jego życiu kemping i od tego czasu dość często to miejsce odwiedzał. Odosobnione i mało znane miasteczko uniknęło przypadkowych grabieży oraz zniszczeń, które dotknęły większość porzuconych osad górniczych. Owszem, od czasu do czasu dochodziło do aktów wandalizmu – głównie za sprawą pijanych nastolatków z Socorro, którzy przyjeżdżali tu na weekend zabaw w górach – ale nigdy na dużą skalę. Wysoka Samotnia nie figurowała nawet w przewodnikach po wymarłych miasteczkach Nowego Meksyku. Po prostu za trudno było się tu dostać.

Ale jakiś sukinsyn się dostał i właśnie ją dewastował.

Watts skręcił między sosny. Nie chciał, żeby szabrownik dostrzegł go i uciekł bez kajdanek na rękach. Chociaż cały ten teren podlegał Biuru

Gospodarowania Ziemią, agencji wchodzącej w skład Departamentu Zasobów Wewnętrznych, i tym samym nie należał do jego jurysdykcji, wybrano go na szeryfa hrabstwa Socorro, dlatego miał prawo aresztować łajdaka i przekazać go tym z BGZ.

Po chwili teren się wyrównał i Watts wyjechał stępa na otwartą przestrzeń za miasteczkiem. Złodziejaszek grasował na jego drugim końcu i przesłaniały go teraz dzielące ich budynki. Watts podjechał dalej, wykorzystując je jako parawan. Między ruinami szemrał wiatr i po ziemi, jak w każdym westernie, przetaczały się kule biegaczy stepowych.

Teraz mógł się lepiej przyjrzeć pick-upowi. Był to stary ford należący do Picka Riversa.

Pick Rivers. Ot i zagadka. Rivers był kiedyś zadziornym gówniarzem, uzależnionym od speedu ćpunem, który aby zdobyć narkotyki, sprzedawał wykopane z ziemi skarby. Sęk w tym, że przed dwoma laty – po krótkim pobycie w więzieniu, który skutecznie go naprostował – zarzucił ten proceder i od tej pory nie miał żadnych zatargów z prawem.

Watts zatrzymał się za domem, zsiadł, rozwinął linkę, przywiązał konia do drewnianego słupa, poklepał go po szyi i uspokoił kilkoma czułymi słowami. Po chwili wahania zdjął z łęku pas z bronią. Wyjął rewolwery, sprawdził, czy są nabite, schował je na powrót do kabur i założył pas. Na wszelki wypadek. Rivers należał do tych, którzy otwarcie noszą broń, i lubił paradować z wielkim magnum na biodrze.

Watts wyjrzał zza rogu i przyjrzał się budynkowi, w którym Rivers kopał. Był to samodzielnie stojący dom z prawie całkowicie zapadniętym piętrem. Rivers grzebał w piwnicy i wyrzucał piach przez roztrzaskane okno. Ciężko pracował. Watts zastanawiał się, co go tak zaciekawiło.

Z ręką na uchwycie rewolweru na lewym biodrze po cichu podszedł bliżej. Rivers musiał coś znaleźć, bo nisko pochylony kopał teraz dużo ostrożniej. Po chwili uklęknął i zaczął rozgarniać ziemię rękami. Był tak tym pochłonięty, że nie zauważył zachodzącego go od tyłu szeryfa.

Watts przystanął w miejscu, z którego widział go dobrze przez wyłamane drzwi.

– Rivers! – zawołał.

Mężczyzna zamarł.

– Szeryf Watts. Podnieś wysoko ręce i wyłaż. Ale już!

Rabuś ani drgnął.

– Ogłuchłeś? Pokaż łapy.

Wciąż plecami do niego Rivers szeroko rozłożył ramiona.

– Już się robi, szeryfie.

– Dobrze. A teraz rusz tyłek i wyjdź.

– Idę. – Rivers zaczął się powoli prostować. Nagle opuścił ręce i błyskawicznie obrócił się, mierząc do niego oburącz z rewolweru.

Watts dobył broni w chwili, kiedy magnum szabrownika huknęło jak z armaty.

3

KIEDY CORRIE SWANSON WYSZŁA z toalety, dwóch młodszych agentów, którzy rozmawiali na korytarzu, trochę za szybko umilkło. Patrząc przed siebie, minęła ich bez słowa i wróciła do swojego boks w nowomeksykańskim oddziale FBI w Albuquerque przy Luecking Park Avenue 4200. Usiadła i przysunęła bliżej teczkę z aktami. Boks mieścił się w najciemniejszym kącie sali, najdalej od okna. Zgodnie z tradycją zsyłano tam wszystkich nowicjuszy, którzy awansując, przesuwali się coraz bliżej przeszklonej ściany z panoramicznym widokiem na góry. Ale Corrie cieszyła się, że nie musi patrzeć na mierzący ponad trzy tysiące trzysta metrów i oprószony już pierwszym śniegiem szczyt Sandia Crest, bo za bardzo przypominał jej o ostatniej porażce. Co za ironia: jeszcze dwa tygodnie temu widok ten kojarzył jej się z największym sukcesem, jaki dotychczas osiągnęła. A teraz zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie mogła spojrzeć na góry bez wstydu i żalu.

Po strzelaninie na polu kempingowym przeprowadzono śledztwo, co było procedurą rutynową i spodziewaną. Ale nie dostała ani nagany, ani nie wszczęto wobec niej postępowania dyscyplinarnego. Przeciwnie, pochwalono ją ustnie za to, że narażając własne życie, uratowała życie zakładniczce. Bo na szczęście – Bogu niech będą dzięki – kula tylko drasnęła dziewczynkę. Założono jej kilka szwów i już następnego dnia rano wraz z tabunem psychologów odesłano ją do dziadków. Ta przerażająca krew należała do jej martwej matki, kobiety leżącej na podłodze przyczepy.

Mimo to Corrie nie mogła sobie wybaczyć. Powinna była trafić napastnika w głowę, nawet z dziesięciu metrów. Miała go na muszce, była skupiona. Przyrządy celownicze były w porządku; sprawdziła to potem

na strzelnicy. Nie, po prostu chybiła, chybiła w krytycznym momencie. Choć nie należała do najlepszych strzelców wśród nowicjuszy, nie należała też do najgorszych: czterdzieści dziewięć punktów na sześćdziesiąt możliwych to tylko jeden punkt powyżej wymaganego minimum, ale jedna czwarta jej kolegów nie wystrzelała nawet tyłu. Tak, powinna była trafić i gdyby trafiła, dostałaby oficjalną pochwałę, stałaby się bardziej widoczna i utrwaliłaby swoją pozycję jako obiecującej agentki. A tu masz: mętna sytuacja, ukradkowe spojrzenia i czyjś cichy szept: „ładny strzał”

Zawaliła i wszyscy o tym wiedzieli. Jedna ze starszych agentek wzięła ją na stronę i powiedziała, że to nie jej wina, bo skierowano ją do akcji, w której w ogóle nie powinna brać udziału. Ale jej koledzy nowicjusze triumfowali, co przypominało jej o brutalnym powiedzeniu: „Nie wystarczy odnieść sukces; pozostali muszą przegrać”. Najgorsze jednak było to, że nie licząc rzuconej mimochodem sugestii, aby częściej trenowała na strzelnicy, Morwood okazywał jej zaskakujący brak zainteresowania. Nie nawymyślał jej, ale też nie pochwalił. Być może to tylko wyobraźnia płatała jej figle, ale miała wrażenie, że stał się wobec niej chłodny. A stertę akt kolejnej starej sprawy, którą zostawił na jej biurku, odebrała jako karę.

Od dwóch tygodni, które minęły od strzelaniny, godzinę dziennie trenowała na strzelnicy. Na ostatnim treningu wystrzelała pięćdziesiąt jeden punktów i mocno wierzyła w to, że jeśli przyłoży się jeszcze bardziej, da radę wystrzelać pięćdziesiąt dwa, a może nawet pięćdziesiąt trzy. Ale na Morwoodzie nie zrobiło to żadnego wrażenia. „Na strzelnicy każdy jest dobry – powiedział. – Prawdziwym sprawdzianem jest konfrontacja z rzeczywistością, z realnym zagrożeniem”. Poczła się tak, jakby ją spoliczkował. Mało brakowało i spytałaby go prosto z mostu, czy to aluzja do jej klęski w Cedro Park, ale przełknęła urazę i wykrztusiła tylko: „Tak jest”.

– Corrie?

Z identyfikatorem wiszącym na szyi stał teraz w drzwiach boksu. Zauważyła, że ma za długie włosy. I trochę wymuszony uśmiech na twarzy. Była pewna, że wciąż jest nią zawiedziony.

– Możesz na chwilę?

– Tak, oczywiście.

Wstała i poszli do jego małego gabinetu, z którego też roztaczał się widok na góry.

– Usiądź.

Usiadła, starając się nie patrzeć w okno.

– No i proszę. – Morwood skrzyżował ręce na biurku. – Dostaliśmy nową sprawę. Coś w sam raz dla ciebie.

– Rozumiem.

Mówił podejrzanym głosem, pełnym przesadnego entuzjazmu. Gdyby dostali dobrą sprawę, na pewno przydzieliliby ją komuś innemu. Bardziej prawdopodobne było to, że chce ją posłać na „zieloną łączkę”, co w żargonie FBI znaczyło, że zleci jej najpewniej coś mało istotnego, coś, czego nie będzie mogła schrzanić, a jeśli nawet schrzani, nikt tego nie zauważy ani nikogo to nie obejdzie.

– Szeryf hrabstwa Socorro zaskoczył wczoraj szabrownika. Szabrownik, niejaki Rivers, znalazł kości na jakimś odludziu. Ludzkie szczątki na terenie podlegającym Biuru Gospodarowania Ziemią. Doszło do wymiany strzałów i Rivers przegrał. Postrzelił szeryfa w rękę, ale szeryf roztrzaskał mu kolano. Jest teraz w szpitalu, pod dwudziestoczwierogodzinną strażą, bo oskarżono go o próbę zabójstwa stróża prawa. Miejscowi nie są tym zachwyceni i pilnują go pewnie nie tylko dla własnego bezpieczeństwa, ale i po to, żeby nie uciekł.

Corrie bez słowa kiwnęła głową.

– Na pierwszy rzut oka odkopane przez niego fragmenty ubrania pochodzą z XX wieku, ale ciało musiało leżeć w ziemi, najwyżej czterdzieści, pięćdziesiąt lat. To może być wszystko, morderstwo, samobójstwo albo wypadek. I właśnie tu przyda się twój dyplom z antropologii kryminalistycznej, zwłaszcza że ciało znaleziono na terenie federalnym. Szeryf, teraz trochę pokiereszowany, robi wrażenie porządnego człowieka... – Morwood zrobił pauzę. – Socorro to cholernie

duże hrabstwo, a on jest jedynym szeryfem, więc chętnie przyjmie naszą pomoc.

A więc nie była to zsyłka na zieloną łączkę – chodziło przecież o próbę zabójstwa funkcjonariusza organów ścigania. Mogło się jednak okazać, że sprawy w ogóle nie ma, bo znalezione kości należą do jakiegoś starego kowboja, którego w czasach J. Edgara Hoovera kopnął muł. Ale nie mogła i nie miała prawa narzekać. Wiedziała jedno: musi ukrywać wątpliwości, ciężko pracować i zawsze prezentować oblicze wesołej, czynnej i obiecującej agentki.

– Świetnie, bardzo dziękuję – powiedziała z przyklejonym do twarzy uśmiechem. – Chętnie się tym zajmę. Rzeczywiście, to coś w sam raz dla mnie. – Do Socorro miała tylko godzinę jazdy. Nigdy tam nie była, ale czuła, że jest to jedno z tych smutnych, gorących, pustynnych miasteczek, od których roiło się w tym stanie. – Mam prowadzić tę sprawę sama?

– Tak, dopóki się nie okaże, czy to w ogóle sprawa. Po pierwsze, jeszcze dziś po południu pojedziesz do szpitala i przesłuchasz Riversa. Jutro jesteś umówiona z szeryfem... – Morwood przerzucił kilka kartek. – Z szeryfem Homerem Wattsem. Zawiezie cię na miejsce znaleziska. To straszne odludzie. Nie można się tam dostać, chyba że zna się trasę.

Homer Watts. To jakiś żart?

– O której mamy się spotkać?

– O ósmej w Socorro, w jego biurze.

Co znaczy, że będę musiała wstać o szóstej, pomyślała. Nie, powiedzmy, że o wpół do szóstej.

– Dobrze. I dziękuję. Dziękuję, że dał mi pan szansę.

Morwood otaksował ją długim spojrzeniem.

– Wiem, co myślisz. Dlatego powiem ci jedno: nigdy nie wiadomo, dokąd ta czy inna sprawa cię zaprowadzi. – Odchylił się w fotelu. – Pamiętasz Franka Willsa?

– Był naszym agentem?

– Nie. Ochroniarzem hotelowym. Pewnej nocy zauważył, że w dwojgu drzwiach ktoś zakleił taśmą rygle w zamkach.

Corrie czekała, nie mając pojęcia, dokąd szef zmierza.

– Pozornie drobiazg – ciągnął Morwood. – W hotelach często tak robią, dla wygody. Ale Frank przemyślał to i postanowił zawiadomić policję, nie bojąc się, że wyśmieją go za dwa głupie zamki.

Z lekkim uśmiechem na ustach czekał na jej reakcję.

– I co się stało?

– Wybuchła afera Watergate.

4

CORRIE SZŁA SZARYM KORYTARZEM na drugim piętrze Szpitala Prezbiteriańskiego w Albuquerque. Z doświadczenia wiedziała, że szpitale to w najlepszym wypadku nieprzyjemne miejsca, a korytarz, w którym się znalazła, nie był wzorem ani przepustowości, ani wesołości. Niczym zaparkowane podwójnie samochody pod ścianami stały wózki w większości zajęte przez pacjentów w różnych stanach świadomości. Pozostawione tu i ówdzie stojaki kroplówek jeszcze bardziej utrudniały przejście. Przed stanowiskiem pielęgniarek kłębił się tłum ludzi, którzy albo rozmawiali przez telefon, albo na siebie krzyczeli. Corrie już miała spytać o drogę, kiedy zauważyła coś, czego chyba szukała: zamknięte drzwi na końcu korytarza i dwa stojące obok nich krzesła. Na jednym siedział umundurowany mężczyzna, a na podłodze obok krzesła leżała złożona gazeta i stał kubek kawy.

Corrie wygładziła ręką marynarkę i zaczęła się przedzierać przez tłum, im bliżej drzwi, tym coraz rzadszy. Gdy mężczyzna spojrzał w jej stronę, stwierdziła, że to strażnik leśny z Biura Gospodarowania Ziemią. Co miało sens: do strzelaniny doszło na terenie federalnym, więc to ci z BGZ byli odpowiedzialni za pilnowanie aresztowanego. Mieli do tego wyszkolonych ludzi, ale stosunkowo niewielu i rozrzuconych po całym kraju, dlatego obowiązek ten spadał zwykle na tych stojących na niższym szczeblu drabiny.

– Agentka specjalna Swanson, FBI. – Pokazała mu zwisający na smyczy identyfikator. – Przyszłam przesłuchać aresztowanego.

Strażnik wstał i obraźliwie długo oglądał identyfikator. W końcu kiwnął głową.

– Dużo szczęścia życzę – rzucił, podając jej podkładkę, żeby wpisała się na listę odwiedzających.

– Dlaczego? – spytała, biorąc długopis.

– Nie powiedział ani słowa, odkąd tu jest, nie licząc przekleństw, którymi obrzuca pielęgniarki, kiedy zmieniają mu opatrunek.

Strażnik zabrał podkładkę, otworzył drzwi, wpuścił ją do środka i przekręcił klucz w zamku. Corrie przystanęła tuż za progiem i rozejrzała się. Szpitalne sale nie grzeszą luksusem, ale w tej nie było zupełnie nic. Ani obrazów, ani telewizora, ani nawet szafki. Było tylko elektrycznie sterowane łóżko, a na nim – z ręką przykutą do podniesionej poręczy – leżał postrzelony szabrownik.

Corrie podeszła bliżej. Ćwiczyła przesłuchiwanie podejrzanych i widziała, jak przesłuchują ich inni, ale pierwszy raz robiła to sama.

– Pan Rivers? – zaczęła. – Pick Rivers?

Mężczyzna spojrzał na nią obojętnie. Szczupły, średniego wzrostu, dobiegał sześćdziesiątki. Choć policzki pokrywał mu kilkudniowy zarost, włosy miał krótko ostrzyżone i zadbane.

Znów wyjęła identyfikator.

– Agentka specjalna Swanson, FBI. Chciałabym zadać panu kilka pytań.

Żadnej reakcji. Rivers wciąż patrzył na nią bez najmniejszego zainteresowania czy choćby cienia emocji. Corrie odczekała chwilę, przeglądając w myśli plan przesłuchania, który sobie ułożyła.

– Oskarżono pana o próbę celowego zabójstwa funkcjonariusza organów ścigania. Zrobił pan to na naszym terenie, czym dopuścił się pan przestępstwa drugiego stopnia. Przestępstwa federalnego. Użył pan broni palnej, a konkretnie rewolweru Smith & Wesson kalibru dziewięć przecinek dwanaście setnych milimetra, co dodatkowo pana obciąża i zostanie wzięte pod uwagę w sądzie. Krótko mówiąc, grozi panu wieloletni pobyt w więzieniu. Jak pan zapewne wie, w prawie federalnym nie ma systemu warunkowego zwolnienia, dlatego odsiedzi pan cały wyrok. Przejrzałam pańską kartotekę i wiem, że spędził pan dwa miesiące

w miejscowym więzieniu. Ale w porównaniu z tym, do którego pan teraz trafi, więzienie hrabstwa to sanatorium.

Zrobiła pauzę, żeby sprawdzić, jakie wywarło to na nim wrażenie. Ale z tego, co widziała, nie wywarło żadnego. Mężczyzna obmacał tylko spojrzeniem jej ciało, to wszystko.

Podeszła bliżej, aby wiedział, że nie da się zastraszyć jego milczeniem.

– Ale może pan sobie pomóc – dodała. – Choćby odpowiadając na moje pytania. Co pan chciał tam wykopać?

Cisza.

– Działał pan sam czy z kimś?

Wciąż cisza.

– Szukał pan tam czyichś zwłok? Czy znalazł je pan przypadkowo?

Nic. Tylko milczenie.

– Przez kilka lat nie miał pan żadnych zatargów z prawem. Dlaczego akurat to odkrycie warte było próby zabójstwa szeryfa? Dlaczego było aż tak ważne?

Używając wolnej ręki, Rivers opróżnił zawartość nozdrza do kubka stojącego obok łóżka. Nie odpowiedział.

To wyzywające milczenie zaczynało być irytujące. Corrie wzięła głęboki oddech. Musiała zachować obojętną twarz.

– Ma pan ostatnią szansę, żeby sobie pomóc, tu i teraz – powiedziała głosem płaskim i spokojnym. – Ale stawiam twarde warunki: proszę odpowiedzieć na moje pytania. W przeciwnym razie przed panem ciężkie chwile.

W oczach szabrownika pojawił się w końcu cień zainteresowania. I wreszcie się odezwał, pierwszy raz.

– Twardy warunek?

Choć wypowiedział tylko dwa słowa, Corrie z trudem ukryła podekscytowanie. Dwa słowa to dwa słowa więcej, niż udało się wyciągnąć z niego innym.

– Tak – odparła.

– Mam propozycję – wychrypiał. – Może jakoś... się dogadamy.

– Bardzo mądra sugestia. – Wyjęła z torebki magnetofon cyfrowy i włączyła go, nie ukrywając, że zamierza nagrać jego zeznania. – Zna pan już swoje prawa, ale dla przypomnienia powtórzę, że wszystko, co pan powie, może zostać wykorzystane przeciwko panu.

Rivers machnął ręką, jakby opędzał się od komara.

– Wspomniałaś o twardym warunku... – powiedział pewnym, spokojnym głosem.

Corrie zerknęła w dół, aby sprawdzić, czy magnetofon pracuje.

– Tak się dziwnie składa, że ja też mam teraz twardego. Przychodzi tu mała, zgrabna suczka, a ja w łóżku, i w ogóle. Dlatego odpowiem na wszystkie pytania, ale dopiero po tym, jak mi obciągniesz.

Odebrało jej mowę. Zaczerwieniła się ze wstydu. Z trudem opanowała gniew.

– Aha – dodał Rivers z cichym, prowokacyjnym śmiechem. – I rozkuj mnie, żebym mógł przytrzymać ci głowę.

Wciąż się śmiał, gdy kilka sekund później wyszła z pokoju, gestem ręki kazała strażnikowi zamknąć drzwi i szybkim krokiem pomaszerowała korytarzem w stronę wyjścia.

5

PŁYNAĆCA SKRAJEM MIASTA RIO GRANDE, nawodnione pola, w oddali nieośnieżone szczyty gór – Socorro wcale nie wyglądało tak źle. Ale wciąż było płaską siecią krzyżujących się ze sobą ulic – w dodatku piekielnie gorących – i kiedy dojeżdżała na miejsce, pustynny wiatr przetoczył przez ulicę kilka biegaczy stepowych, co przypominało jej, gdzie trafiła. Zaparkowała przed biurem szeryfa i gdy wyjmowała torbę z bagażnika, usłyszała długi, żałosny gwizd pociągu, co tylko spotęgowało poczucie pustki i samotności. Pomyślała, że właśnie do takich miasteczek FBI zsyła agentów, którzy zawalili. I po raz setny powtórzyła sobie w duchu, że dostała w miarę obiecującą sprawę.

Natomiast biuro szeryfa mieściło się w ładnym budynku z niewypalanej cegły, który otaczał popękany asfalt parkingu łatany tyle razy, że potworzyły się na nim plackowate wzory. Choć był już koniec września, jej traperzy kleiły się do smolistej nawierzchni.

Szeryf natychmiast wyszedł jej na spotkanie i przeżyła pierwszy szok tego poranka. Spodziewała się zobaczyć żylastego, starszawego wścicza z obwisłą twarzą, tymczasem Watts, mężczyzna mniej więcej w jej wieku – dwadzieścia trzy lata – był wysoki, szczupły i przystojny jak diabli. Miał kręcone czarne włosy, gładkie czoło, brązowe oczy i uśmiech gwiazdora filmowego, a jego urodę podkreślały dwa antyczne rewolwery, które nosił na biodrach. Z zabandażowanym płatkim ucha, w fantastycznym kowbojskim kapeluszu z ozdobną taśmą z końskiego włosia sprawiał wrażenie równie zaskoczonego jej widokiem jak ona jego.

Kiedy wyszli z biura, zaproponował, żeby pojechali radiowozem. Chciał otworzyć dla niej drzwi, ale uznał chyba, że to nieodpowiedni gest,

i szybko się wycofał. Było oczywiste, że zburzyła wszystkie jego wyobrażenia na temat agentek FBI.

– Po drodze wpadniemy po Charlesa Fountaina – zapowiedział. – Jest adwokatem i dużo wie o historii tych terenów. To chodząca encyklopedia. Pomyślałem, że mógłby rzucić trochę światła na tę sprawę, odpowiedzieć na kilka pytań.

Nie spodziewała się, że będzie im towarzyszył cywil, lecz nie mogła zaprotestować.

– Dziękuję, szeryfie.

Watts kiwnął głową i odpalił silnik jeepa cherokee przemalowanego i ozdobionego dużą gwiazdą szeryfa. Zastanawiała się, czy nie przejść z nim na „ty”, lecz postanowiła tego nie robić. Lepiej było zachować oficjalny dystans.

– Słyszałem, że rozmawiała pani z Pickiem – powiedział, kiedy jechali powoli przez miasto.

– Chciał pana zabić, a pan mówi o nim po imieniu? Jestem zaskoczona.

Roześmiał się.

– Cóż, chciał, ale mu się nie udało, a ja nie chowam długo urazy. Kiepsko strzela. Po prostu miał szczęście.

– Na pewno. Szczęście, że pan go nie zabił.

– Nie. Gdybym chciał go trafić w środek masy ciała, tobym trafił.

Powiedział to zupełnie swobodnie, bez skrępowania i zarozumiałości. Zmarszczyła brwi. Czyżby znaczyło to, że zaczekał, aż Rivers wystrzeli jako pierwszy? Doszła do wniosku, że niezręcznie byłoby zapytać go o to prosto z mostu, dlatego rzuciła:

– À propos. Trudno nie zauważyć tych rewolwerów z uchwytami ozdobionymi kością słoniową.

Watts znów kiwnął głową, tym razem z odrobiną dumy.

– To colty peacemakery. Powtarzalne, z bębenkiem na pojedynczym sworzniu. Mniej więcej z 1890 roku. Należały do mojego dziadka. Nie chce powiedzieć, skąd je wziął.

– Dlaczego nosi pan dwa?

Wzruszył ramionami.

– To komplet.

– A kabury? Uchwyty rewolwerów są skierowane do przodu.

– Nie słyszała pani o dobywaniu broni „na krzyż”? Chyba nie uczą was tego w Quantico.

Nie odpowiedziała. Zamiast tych antyków bez chwili wahania wybrałaby swojego glocka, lecz nie zamierzała z nim polemizować.

– Ale wciąż zachodzę w głowę, dlaczego Rivers do mnie strzelił – dodał.

– Od paru lat był zupełnie czysty. A te zwłoki zainteresowały go do tego stopnia, że gotów był zaryzykować i postawić wszystko na jedną kartę. Ciekawe dlaczego.

Zaparkował przed skromnym, ładnie utrzymanym domem, lecz nie zdążył nawet wysiąść, gdy zza drzwi wypadł jakiś mężczyzna i Corrie przeżyła kolejną niespodziankę tego dnia. Zamiast prawnika rodem z westernu, którego spodziewała się zobaczyć – takiego z fajką z kukurydzianej kolby, w czerwonych szelkach i z wielkim brzuchem – ujrzała wysokiego, trochę korpulentnego sześćdziesięciolatka. Był w ciemnozielonej kurtce Barbour – pewnie jedynej w promieniu stu kilometrów – tak wymiętej, jakby w niej spał. Starannie ogolony, miał gęste, szpakowate, iście filmowe włosy, rozdzielone na środku przedziałkiem i z obu stron opadające niemal do ramion. W okrągłych okularach w złotej oprawce, wyblakłymi niebieskimi, inteligentnymi oczami popatrzył najpierw na Watta, potem na nią.

Watts wysiadł i uściśnął mu rękę, a ona poszła w jego ślady. Szeryf ich sobie przedstawił.

– Jest pan prawnikiem, prawda? – spytała.

– Częściowo na emeryturze – odparł Fountain cichym melodyjnym głosem. – Tak jest chyba lepiej. Dla wszystkich.

– Niech pani nie da się nabrać – powiedział szeryf. – Jest znany nie tylko w całym stanie, ale też poza. Trudno o bystrzejszy umysł prawniczy. Nie przegrał ani jednej sprawy.

Corrie nie mogła się powstrzymać.

– To prawda?

– Nie do końca. Przegrałem kilka, kiedy pracowałem w prokuraturze generalnej.

– Ale żadnej, odkąd został adwokatem – wtrącił Watts. – Ma dobry głos. Przeciwnik nigdy nie wie, kiedy oberwie.

– Powiedziałbym, że głos i aparycję – uzupełnił ze śmiechem Fountain. – Wolę to nazywać „rozbrajającym wyglądem”

– Raczej złachanym. To jego strój roboczy. – Znajome towarzystwo musiało rozluźnić szeryfa, bo tym razem bez wahania otworzył dla niej drzwi samochodu.

– Jadę z wami tylko w charakterze historyka amatora – zapowiedział Fountain, wsiadając. – Nie będę wam wchodził w drogę.

Watts włączył klimatyzację, maksymalnie ją podkręcił i ruszyli.

– Jedziemy do Wysokiej Samotni w górach Azul, wymarłego miasteczka założonego przez poszukiwaczy złota i porzuconego na początku XX wieku, kiedy wyczerpały się złoża. To jedno z najładniejszych tego typu miejsc w stanie, tyle że piekielnie trudno się tam dostać. Czeka nas dwugodzinna przejażdżka. W linii prostej to niby niedaleko, ale tamtejsze drogi są koszmarnie.

Dwie godziny? – pomyślała Corrie. Będzie miała szczęście, jeśli wróci do Albuquerque przed północą.

– Trochę muzyki? – Watts wyjął telefon i podłączył go do stereo.

– Chętnie – odparła.

– Jakieś preferencje?

– Wszystko jedno, tylko nie rap i nie chóry gregoriańskie – odpowiedział Fountain z tylnego siedzenia.

Corrie nie przypuszczała, żeby szeryf podzielał jej gust muzyczny.

– Niech pan sam wybierze.

– W każdej chwili możemy zmienić. – Watts poszperał w telefonie i z głośników popłynęło flamenco Gipsy Kings. Ona by tego nie wybrała, ale numer nie był w sumie zły i pasował do krajobrazu.

Watts jechał na południe, w kierunku wystrzępionej linii gór wyrastających z jasnobrazowej pustyni. W pewnej chwili skręcili i szybko pogubiła się w przyprawiającej o zawrót głowy płataninie kolejnych zakrętów w bite drogi, z których każda następna była bardziej zryta i zerodowana od poprzedniej. W końcu, podskakując na wybojach, zwolnili do ośmiu, dziesięciu kilometrów na godzinę, ale i tak musiała się przytrzymywać górnych uchwytów, żeby nie wyrzuciło jej z fotela. Wspinali się coraz wyżej i sosny ustąpiły wkrótce miejsca sosnom żółtym, a te z kolei świerkom i dagleziom. Na szczycie przełęczy otworzył się przed nimi przepiękny widok.

Zatrzymali się na chwilę i szeryf wskazał ręką na południe.

– Pustynia Jornada del Muerto i góry San Andreas, część Białych Piasków, poligonu wojskowego, gdzie nasi chłopcy bawią się rakietami.

– Jornada del Muerto to po angielsku „śmiertelna podróż” – przetłumaczył Fountain. – Stary hiszpański szlak wiodący z Mexico City do Santa Fe, ponad sto sześćdziesiąt kilometrów przez pustynię. Droga usiana ludzkimi kośćmi i wysadzana krzyżami.

Corrie spojrzała w tamtą stronę, na pustynię poprzecinaną czerwonymi i brązowymi prążkami.

– A dalej, za górami, są Białe Piaski – dodał Watts. – Była tam pani?

– Nie, nie zdążyłam. Przydzielono mnie do Albuquerque osiem miesięcy temu. Pan był?

– Wiele razy. Wychowałem się w Socorro, mój tata jest ranczerem. Jako dzieciak zjeździłem konno całą okolicę. Białe Piaski to jedno z najbardziej niesamowitych miejsc na Ziemi: białe jak śnieg wydmy pokrywają setki kilometrów kwadratowych.

– I pan się tu wychował?

Szeryf roześmiał się, słysząc nutę niedowierzania w jej głosie.

– Niektórym się udaje – powiedział Fountain.

Corrie się zaczerwieniła.

– Pan też stąd pochodzi?

– Z Lemitaru. Z malutkiej osady na północ od Socorro.

Nie miała pojęcia, gdzie to jest, więc tylko skinęła głową.

– Nie jest tak źle – ciągnął adwokat. – Mamy tu mnóstwo ciekawych miejsc do zwiedzania. Po prawej stronie jest góra Chimney, a tam Oso Peak, gdzie ukrywał się Czarny Jack Ketchum ze swoją bandą. W dawnych czasach terroryzował Socorro i rabował pociągi. Chcieli go powiesić, ale spartaczyli robotę i strychezek urwał mu głowę. Ketchum podobno spadł, wylądował na nogach i przez chwilę stał, zanim w końcu upadł.

– Imponujący zmysł równowagi – zauważyła Corrie.

Fountain skwitował to śmiechem.

– A na południowy wschód od nas jest rezerwat Indian Mescalero. Piękne tereny. Założono go w miejscu, gdzie osiedliły się niedobitki Apaczów Geronima. Geronimo, Cochise, Victorio... Ci wielcy wodzowie władali kiedyś tymi wszystkimi górami.

Corrie usłyszała głęboką miłość do ziemi w jego głosie i, co dziwne, poczuła ukłucie zazdrości. Ona nie kochała swojego rodzinnego miasta, Medicine Creek w Kansas, nigdy nie zamierzała tam wracać. Wolałaby już raczej iść do piekła.

Minęli przełęcz i zaczęli powoli zjeżdżać drogą wijącą się wśród płaskich skalnych występów na południowym krańcu pasma gór. Stracili na niej większość wysokości, którą przedtem zyskali, i znów wrócili na pustynię porośniętą karłowatymi sosnami i poprzecinaną żlebami i mesami. I nagle zobaczyli wymarłe miasteczko przycupnięte na niskim cyplu górującym nad rozległą równiną, osadę całkowicie odizolowaną od świata. Watts pokonał jeszcze kilka serpentyn i pięć minut później dotarli do celu wyprawy.

– Witajcie w Wysokiej Samotni – powiedział szeryf.

6

JEGO SŁOWA POWITAŁA krótka cisza.

– Nazwa pasuje jak ulał – wymamrotała Corrie. – Co za widok.

Osadę przecinała pojedyncza ulica, bita droga, wzdłuż której stały zniszczone domy z kamienia i suszonego na słońcu błota, jedne z zachowanymi dachami, inne wystawione na działanie żywiołów.

– To hotel. – Fountain wskazał piętrowy budynek z grubo ciosanego kamienia, opasany od frontu przekrzywionym drewnianym krużgankiem. – Bary, sklepy, domy górników, kościół... Na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku, gdy w kotlinie odkryto złoto, było to tętniące życiem miasteczko, początkowo dość niebezpieczne, bo w okolicy wciąż grasowali Apacze Geronima. Kiedy w końcu się poddali, złóże zaczęli eksploatować coraz liczniejsi poszukiwacze. Kopalnia jest tak naprawdę w biegnącym pod nami urwisku. Pojedynczy poziomy szyb w twardej skale. Po walkach z Apaczami Geronima zaroilo się tu od zwolnionych z wojska żołnierzy, którzy chętnie zmienili zawód. Rudę przetwarzano w kruszarce stęporowej w górach, nad strumieniem.

– Jakim cudem miasteczko zachowało się w tak dobrym stanie? – spytała Corrie. – Mogłoby służyć za plan filmowy.

– Sama pani widziała te drogi – odparł adwokat. – Poza tym domy zbudowano nie z drewna, tylko z kamienia i cegły, dlatego się nie spaliły. Jak na ironię pomogło również to, że ich mieszkańcy wyprowadzili się szybko i nagle.

Corrie zauważyła, że Watts i Fountain wymieniają spojrzenia.

– Dlaczego? – spytała.

Adwokat odchrząknął.

– Cóż, choć miasteczko jest bardzo malownicze, jego historia ma ponure zakończenie. Kiedy złożę zaczęło się wyczerpywać, właściciele kopalni postanowili jak najszybciej je wyeksploatować i przestali zwracać uwagę na zabezpieczenia. Pewnie domyśla się pani reszty: źle obudowany szyb zawalił się, grzebiąc kilkunastu górników.

– Z tego, co ludzie mówili, najprawdopodobniej żywcem – dodał szeryf. – Zginęli straszliwą, powolną śmiercią.

Fountain kiwnął głową.

– Za miasteczkiem są resztki cmentarza. W jego rogu jest kilkanaście nagrobków z tą samą datą. Oczywiście w ziemi nie ma ciał.

Dojechali do końca ulicy, do krawędzi mesy, gdzie stała grupa budynków o zniszczonych ceglanych ścianach, między którymi walały się potrzaskane drewniane krokwie. Watts zatrzymał samochód i wysiedli.

– Idąc za słupem kurzu, dotarłem do piwnicy. Tam, za tymi domami. Widzicie? To wejście.

Ruszył w tamtą stronę. Corrie i Fountain poszli za nim.

– Kiedy skułem i opatrzyłem Riversa, wczołgałem się do środka, żeby zobaczyć, co tam znalazł i dlaczego do mnie strzelał. Okazało się, że odsłonił wierzch ludzkiej czaszki i rękę. Jeszcze kwadrans i wyrwałby z ziemi całe zwłoki i uciekł.

Corrie wyjęła z torby lampę nagłówną, nitrylowe rękawiczki i maskę.

– Zajrzę tam. Sama, jeśli można.

– Proszę bardzo – odparł szeryf.

Corrie opadła na czworaki i zajrzała do piwnicy. Jej mroczne wnętrze przecinały poszarpane smugi słońca. Do połowy zasypana nawianym przez wiatr piaskiem, wciąż miała strop, choć po lewej stronie nieco zapadnięty. Było wyraźnie widać, którądy Rivers się tam dostał, bo wszędzie pozostawiał ślady stóp. Zdążył wykopać kilka dziur. W tej pod ścianą po prawej stronie, największej i najgłębszej, leżała ludzka czaszka, o której wspomniał szeryf, koścista ręka w zniszczonym rękawie koszuli i prochowiec albo ceratowy płaszcz przeciwdeszczowy.

Corrie wczołgała się głębiej, wyjęła aparat i obfotografowała całe wnętrze. Chodząc, musiała się mocno pochylać, bo piwnica była bardzo niska. Na brzegu największej dziury uklękła i znów zrobiła serię zdjęć.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła, przyglądając się dokładnie leżącym w niej ludzkim szczątkom, było to, że składają się one nie tylko z kości, ale i z przywierającego do nich zmumifikowanego ciała. Wyjęła pędzelek i zmiotła luźny piasek z czaszki i ręki pokrytej przypominającymi suszoną wołowinę powrozowatymi mięśniami, które pod każdym dotykem chrzęściły jak wiązka suchego zboża. W pewnym momencie zobaczyła nawet rzadkie włosy na przedramieniu i mimo wyszkolenia poczuła lekkie obrzydzenie. Po chwili odsłoniła dalszą część ubrania, w tym rozpadającą się kraciastą koszulę. Na małym palcu ręki błyszczał złoty sygnet. Przyjrzała się uważnie i dostrzegła wygrawerowane na nim litery „JG”. Zaskoczony przez szeryfa Rivers nie zdążył go najwyraźniej zabrać.

Rozgarnąwszy piasek wokół czaszki, odkryła kolejny fragment gnijącego płaszcza, kołnierz na szyi mężczyzny – mężczyzny, bo sądząc po ubraniu i grzywce na nagiej czaszce, nie była to kobieta.

Odłożyła pędzelek. Wydobycie zwłok z tak grubej warstwy piachu stanowiło poważne wyzwanie. Gdyby się okazało, że mężczyzna jest ofiarą morderstwa i gdyby wykopała szczątki sama, mogłaby zniszczyć dowody rzeczowe. Była antropolożką kryminalistyczną, a nie archeolożką. Umiała badać zwłoki w laboratorium, lecz nie potrafiłaby wydobyć ich fachowo z ziemi. Z drugiej strony, gdyby zadzwoniła do Albuquerque i wezwała tych z Zespołu Reagowania Dowodowego, gdyby kazała im jechać trzy godziny po tych strasznych drogach tylko po to, aby stwierdzili, że znalazła ciało ofiary jakiegoś wypadku... wyszłaby na idiotkę. Było oczywiste, że przydałby się jej archeolog, ktoś, kto potrafi wydobyć je w odpowiedni sposób.

I pomyślała o Norze Kelly.

Kelly była starszą kustoszka w Instytucie Archeologicznym w Santa Fe. Już kiedyś z nią pracowała – ich współpraca, choć zupełnie

nieoczekiwana, zaowocowała pierwszą i jedyną jak dotąd ważną sprawą, którą Corrie udało się rozwiązać.

Bo rzeczywiście rozwiązała ją wzorowo. Swoją pierwszą sprawę. I jedyną.

Zastanowiła się, patrząc na szkielet mężczyzny. Kilka miesięcy temu Nora kierowała wykopaliskami w Sierra Nevada, gdy Corrie trafiła do jej obozowiska w trakcie śledztwa w sprawie morderstwa i naruszenia grobów. Początkowo darły ze sobą koty, bo Kelly – uparta i trochę zbyt pewna siebie, lecz na pewno świetnie wyszkolona i kompetentna – potrafiła zaleźć jej za skórę. Gdyby przyjechała, byłaby dobrym świadkiem-rzeczoznawcą. Poza tym Morwood, który znał ją z jakiejś poprzedniej sprawy, na pewno udzieliłby zgody na jej zatrudnienie. Uważał, że Nora ma „szwung”.

No i była jej winna przysługę.

Zrobiła jeszcze jedną serię zdjęć, wrzuciła sygnet do torebki na dowody rzeczowe i szybko mrugając, wyszła na jaskrawe wrześnie słońce. Watts i Fountain rozmawiali przed wejściem do piwnicy.

– No i? – Szeryf zdjął kapelusz i wytarł czoło.

– Cóż, będziemy potrzebowali pomocy – odparła. – Chcę ściągnąć tu specjalistę, żeby wydobył ciało. Na wypadek, gdyby było to zabójstwo.

– Ale po co? – spytał adwokat. – Nawet jeśli to morderstwo, sprawca już dawno nie żyje.

– Możliwe, ale nie możemy zniszczyć dowodów rzeczowych, co znaczy, że musimy zatrudnić zawodowego archeologa. Im szybciej, tym lepiej. – Pokazała im sygnet. – To chyba jedyna cenna rzecz.

– Dobry plan. – Szeryf uśmiechnął się promiennie i spojrział na zegarek. – Zgłodniałem, a nie zabraliśmy lunchu. W Socorro jest miła restauracja i jeśli się pośpieszymy, zdążymy przed zamknięciem.

„Miła restauracja” – Corrie wątpiła, żeby w Socorro można było taką znaleźć, ale ona też zgłodniała. Poza tym wcale nie cieszyła jej perspektywa długiej podróży do Albuquerque, nie mówiąc już o drodze powrotnej przez góry.

Fountain popatrzył najpierw na nią, a potem na szeryfa. Było oczywiste, że zaproszenie dotyczy tylko jej.

– Mną się nie przejmujcie – rzucił lakonicznie. – I tak jestem na diecie.

– Podrzucę pana do kancelarii. – Watts wyciągnął rękę i podała mu torebkę z sygnetem. – „JG” – przeczytał, oglądając znalezisko. – Szkoda, że nie „HW”. – Oddał jej torebkę. – Idealnie by pasował.

– Popełniłbyś przestępstwo ograbienia zwłok. – Fountain wsiadł do samochodu. – Ale spokojna głowa – dodał, gdy wyruszyli w długą, wyboistą drogę powrotną do cywilizacji. – Na pewno bym cię z tego wyciągnął.

ŚCIANY MAŁEJ GROTY były pokryte zaschniętym błotem i pomalowane na czerwono, ale sześćset lat zrobiło swoje. Nora oglądała tylną w świetle lampy. Okrągły fragment ściany był ubrudzony sadzą i sprawiał wrażenie otynkowanego grubiej niż pozostałe. Im dłużej patrzyła, tym większego nabierała przekonania, że pod warstwą błota jest jakaś dziura.

Do grotty wszedł Bruce Adelsky, jej doktorant. Ukląkł i spojrzał ponad jej ramieniem.

– Dziwny tynk.

– Dziwny. – Wyciągnęła rękę i lekko stuknęła w ścianę trzonkiem łopatk. Rozległ się głuchy dźwięk.

– Cholera – powiedział Adelsky. – Tam coś jest!

– Komora grobowa, na pewno. Co znaczy, że nie wolno nam jej tknąć.

– No przestań. Naprawdę? – Bruce był wyraźnie zawiedziony. – Nawet tam nie zajrzemy?

– Nasza nowa szefowa przestrzega procedur jeszcze ściślej niż ja.

Na ustach Nory wykwitł lekki uśmiech. Po skandalu z udziałem poprzedniej dyrektorki reputacja Instytutu Archeologicznego w Santa Fe legła w gruzach. Ale instytut miał dość pieniędzy i wpływów, aby szybko się z tego wygrzebać, a tymczasem obecny szef wydziału archeologii przechodził za miesiąc na emeryturę i czekał ją pewnie awans. Stanowisko dziekana było nie do pogardzenia, bo zostałaaby szefową „stada kopaczy”, jak czule nazywano zespół archeologów terenowych, i nadzorowałaby wszystkie prowadzone przez nich wykopaliska. Czasami pozwalała sobie nawet na myśl, że pewnego dnia zostanie dyrektorką całego instytutu. O ile poprzednia ekspedycja była katastrofą, o tyle ta się udała, i to w stu procentach: bez żadnych problemów czy kontrowersji wyrabiali się przed

czasem, cieszyli się wsparciem miejscowej ludności i osiągnęli piękne rezultaty. Poza tym to nie ona odpowiadała za liczne kłopoty, które napotkali podczas wyprawy do Zaginionego Obozu Donnera – sama nie dopuściła się prawie żadnych uchybień.

– To ciekawe – zauważył Adelsky. – Grzebali zmarłych w swoich domach.

Posłała mu uśmiech. Kolejny plus: Bruce okazał się świetnym doktorantem, skrupulatnym i odpowiedzialnym, w pełni zdolnym do kierowania własnymi wykopaliskami.

– Indianie Pueblo lubili mieć przodków przy sobie – odrzekła. Po czym dodała, mówiąc bardziej do siebie niż do niego: – Tak, to ciekawe. Ale zrozumiałe.

Zerknęła na zegarek.

– Zróbmy przerwę na lunch.

Wyczołgali się z groty. Nora wstała i rozejrzała się, rozmasowując krzyż. Grota była jedną z setek grot wydrążonych w wulkanicznym tufie, częścią osiedla pradawnych Indian Pueblo, zwanego Tsankawi. Osiedle, kompleks jaskiń, schodów, szlaków i kamiennych ruin na szczycie mesy, graniczyło z pomnikiem narodowym Bandelier w Nowym Meksyku. Widok roztaczający się z mesy zapierał dech w piersiach – Indianie Pueblo się w takich lubowali – bo widać stąd było dolinę Rio Grande i oprószone świeżym śniegiem góry Sangre de Cristo, mające ponad trzydzieści kilometrów dalej. A wszystko to, pomyślała, ledwie kilkanaście kilometrów od laboratorium naukowego Los Alamos, gdzie zaprojektowano i zbudowano pierwszą bombę atomową. Starożytne ruiny zaginionego ludu i narodziny epoki nuklearnej – ten dysonans kognitywny zawsze przyprawiał ją o gęsią skórę.

Sięgając po plecak, zobaczyła, że ktoś idzie drogą w ich stronę. Był to pewnie jakiś nieustraszony turysta – niewielu ich zwiedzało ruiny Tsankawi – ale kiedy wędrowiec podszedł bliżej, zaczął wyglądać znajomo. Bardziej niż znajomo.

– Niech to szlag – wymamrotała pod nosem.

– O-o. – Adelsky też go rozpoznał. – FBI nadchodzi.

Patrząc na zbliżającą się Corrie Swanson, Nora otrzepała dzinsy z kurzu. Zastanawiała się, czego agentka znowu chce. Miała głęboką nadzieję, że Swanson nie zamierza zdeorganizować jej bieżącego wykopaliska, tak jak zdeorganizowała poprzednie. Niechętnie zeszła na dół, aby powitać ją przed rozstawionym w dolinie namiotem.

Corrie podeszła do niej z wyciągniętą ręką.

– Hej. – Uścisnęła jej dłoń. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– To zależy.

– Jeśli boisz się, że chodzi o wyprawę Donnera, to spokojnie, nic z tych rzeczy.

Czy ja wyglądam na wystraszoną? Nora natychmiast się zjeżyła, ale odpędziła to uczucie, wmawiając sobie, że jest po prostu zbyt drażliwa.

– Właśnie idziemy na lunch – powiedziała. – Chodźmy do cienia na kawę.

– Świetnie, dzięki.

Weszli do namiotu i Nora nalała Corrie kawy z dużego termosu, kubek dla niej i drugi dla siebie.

– Usiądź. Śmietanka i cukier są tam.

Corrie usiadła na krześle i rozejrzała się niepewnie. Adelsky usiadł trzy kroki dalej i udając, że pije kawę, czujnie nadstawiał uszu. Nora pomyślała z pewnym rozbawieniem, że Corrie wciąż zachowuje się jak nowicjuszka, że nadal brakuje jej pewności siebie i władczości, cech tak typowych dla większości stróżów prawa. I że wciąż tak młodo wygląda. W biurze, wśród starszych kolegów, musiało być jej ciężko. To rozumiała znakomicie.

Więc dlaczego chciała się jak najszybciej jej pozbyć?

– Jak ręka? – spytała, siląc się na uprzejmość.

– Zagoiła się, dzięki za troskę.

Siedzieli w rozkładanych płóciennych fotelach przy plastikowym stole roboczym. Chciała wyjąć kanapkę z lodówki, ale doszła do wniosku, że niegrzecznie by było jeść w obecności gościa. Adelsky nie miał takich

skrupułów: rozpakował grubą kanapkę z mortadelą i zaczął się nią bezczelnie opychać.

Wzięła głęboki oddech.

– Więc jeśli nie wyprawa Donnera, to co cię tu sprowadza?

– Nie chciałam cię zaskakiwać. Zadzwoiłabym, ale jesteś poza zasięgiem, a mnie się trochę spieszy.

Nora kiwnęła głową.

– Przejdę do rzeczy – ciągnęła Corrie. – W wymarłym miasteczku w górach Azul znaleziono ludzkie zwłoki. Szukam kogoś, kto by je fachowo wydobył z ziemi.

– Aha, „kogoś”. I pomyślałaś o mnie?

– Tak.

Nora nagle zrozumiała, dlaczego przybycie Corrie ją podenerwowało. Dlatego że podświadomie bała się takiej prośby.

– Nie macie do tego odpowiednich ludzi?

– Mamy. ZRD, Zespół Reagowania Dowodowego.

– Więc dlaczego nie zwrócisz się do nich?

– Problem w tym, że nie wiemy jeszcze, czy to zabójstwo, czy zwykły wypadek. Innymi słowy, czy jest sprawa, czy jej nie ma. To krótka robota, na parę godzin, bez żadnego zamieszania. Nie wymaga dużego zespołu kryminalistycznego.

Czyli mój czas jest mniej cenny niż ich. Nora myślała o tym przez chwilę.

– Przykro mi, ale jestem bardzo zajęta. Pozwolenie na wykopaliska kończy się 15 października, bo mniej więcej wtedy na tej wysokości spada pierwszy śnieg. Muszę się wyrobić.

– Rozumiem, ale to tylko parę godzin. Chcę po prostu mieć pewność, że wszystko będzie zrobione jak trzeba i nie dojdzie do zniszczenia dowodów rzeczowych.

– Wątpię, czy instytut mnie puści, nawet na jeden dzień.

– Puści, na pewno. Miejscowe instytucje naukowe współpracują z nami bardzo często, ze zwykłej uprzejmości.

– Ze zwykłej uprzejmości... – Nora trochę się wkurzyła, bo znaczyło to, że ewentualna odmowa zostanie potraktowana jako niegrzeczność. Nowicjuszka czy nie, agentka specjalna Swanson po raz kolejny udowodniła, że potrafi być upierdliwa.

– Poza tym – dodała – byłaby to dobra reklama dla twojego instytutu, co... chybaby się wam przydało.

A niby czyja to wina? – Nora omal tego nie powiedziała. Ta przeklęta agentka była jak pies broniący kości. Od terminowego ukończenia wykopalisk w Tsankawi bardzo dużo zależało, w tym osobiście dla niej. Głęboko odetchnęła.

– Przykro mi. Dobrze to sprzedajesz, ale mówię prawdę. Jesteśmy bardzo zajęci, gonią nas terminy i – tu skłamała – mamy opóźnienie. – Posłała jej uśmiech, długi, przyjacielski i odmowny. Może Corrie dałaby jej spokój, gdyby podzieliła się z nią kanapką?

– Byłaś kiedyś w Wysokiej Samotni?

– Gdzie? Co to takiego?

– Dawna osada górnicza, wymarłe miasteczko na szczycie mesy na pustyni Jornada del Muerto. Kiedyś wydobywano tam złoto. Budynki są wspaniale zachowane. Hotel, bar, kościół, stajnie. Do tego góry, w których grasowali Apacze Geronima. Bardzo piękne miejsce.

Nora pokręciła głową. Nie zamierzała połykać przynęty.

– Zwłoki znalazł szabrownik w piwnicy stojącego na uboczu, dość zagadkowego domu. Wygląda na to, że zmarły mężczyzna się tam ukrył albo że podrzucono tam jego ciało sześćdziesiąt-siedemdziesiąt lat temu.

– Żadnych śladów wskazujących na przestępstwo? – zapytała wbrew sobie.

– Trudno powiedzieć. Przed aresztowaniem szabrownik zdążył odsłonić tylko czaszkę i część prawej ręki. Ciało jest zmumifikowane i zasypane nawianym przez wiatr piaskiem. Nie jestem archeolożką, ale wygląda na to, że mężczyzna kuczał pod ścianą.

– Zmumifikowane? – To ją zaintrygowało, lecz tylko trochę. Corrie robiła wszystko, żeby ją namówić, tymczasem ona nie mogła nawet wziąć tego

pod uwagę. I byłoby lepiej, gdyby nie słyszała już nic więcej.

Znów pokręciła głową, tym razem zdecydowanie, a przynajmniej miała taką nadzieję.

– Umiesz namawiać, jesteś naprawdę świetna, ale wybrałaś zły moment. Stoję pod ścianą.

Corrie z lekkim wahaniem spuściła głowę i po chwili spojrzała najpierw na Adelsky'ego, a potem na nią.

– Ja też. Dlatego bardzo mi na tym zależy. Mam syf w pracy. – Znów wahanie. – Szczerze mówiąc, gorzej niż syf. Słyszałaś o tej strzelaninie na kempingu w górach Sandia?

– Tak.

– Byłam tam. I spieprzyłam robotę. Więc dowalili mi tę sprawę. Pewnie w ramach pokuty. Albo, co bardziej prawdopodobne, żebym zrobiła pierwszy krok w skomplikowanym labiryncie prowadzącym do pracy przy biurku, przy przestępstwach urzędniczych.

Nora zmarszczyła brwi.

– Spieprzyłaś robotę? Jak to? Z tego, co słyszałam, to była udana akcja. Uratowaliście... Uratowałaś małą dziewczynkę, nic jej się nie stało.

Corrie skrzywiła się i machnęła ręką, jakby chciała odpędzić bolesne wspomnienia.

– Nie mogę wchodzić w szczegóły. – Zerknęła na Adelsky'ego. – Ale mam nadzieję, że teraz już wiesz, jakie to dla mnie ważne.

Nora nie mogła nic więcej powiedzieć, więc milczała.

– Po prostu pomyślałam, że po tym, co się stało w Sierra Nevada... – Corrie urwała. – Nie chcę do tego wracać ani niczego wywlekać, ale uratowałam ci życie.

Ta bezczelna kombinacja szczerości i nietaktu na chwilę odebrała Norze mowę. Nagle całe zirytowanie zniknęło i mogła się tylko rozeźmiać.

– Jesteś niemożliwa! – Pokręciła głową. – Rany, naprawdę musisz mieć w pracy syf. Dobra. Pozwól, że jeszcze raz podziękuję ci za uratowanie mi życia. Tak przy okazji: co prawda uratowałam cię przed śmiercią z wyziębienia, ale nie musisz mi za to dziękować.

Teraz z kolei umilkła Corrie.

Nora rozłożyła ręce wnętrzem dłoni do góry. Trudno było odmówić takiej prośbie. Poza tym niewielka darmowa pomoc dla FBI mogłaby poprawić reputację instytutu i jeszcze bardziej przyspieszyć jej awans.

– Skoro tak to ujmujesz, jak mogę odprawić cię z kwitkiem? Dobra, pojedę tam. Kiedy? Gdybym ostro pokombinowała, mogłabym pewnie wcisnąć to w przyszłym tygodniu, ale...

– Chodzi o to – przerwała jej Corrie – że wieść o tej piwnicy może się rozejść i zarozi się tam od innych szabrowników. Pełno ich tutaj, chyba nie muszę ci o tym mówić.

Fakt, Nora na własne oczy widziała mnóstwo splądrowanych albo zbezczeszczonych zabytkowych miejsc.

– Chcesz powiedzieć, że trzeba to załatwić szybko? Czyli kiedy?

– Hmm, choćby jutro.

– Jutro?

Corrie się zaczerwieniła.

– Im szybciej, tym lepiej.

– Tak, ale przed chwilą wytłumaczyłam ci, że...

– Co mi z tego, że się zgodzisz, skoro zanim tam dojedziemy, szabrownicy wszystko rozgrabią? À propos. – Spojrzała na Adelsky'ego. – To są zastrzeżone informacje i ich rozpowszechnianie jest przestępstwem.

– Rozpowszechnianie czego? – Adelsky odwrócił się i zajął kanapką.

Corrie przeniosła wzrok z powrotem na Norę. I uśmiechnęła się, pierwszy raz.

– Miejmy to już za sobą. Przyjadę po ciebie... powiedzmy o wpół do ósmej rano? To kawałek drogi.

„Miejmy to już za sobą” – Nora musiała przyznać, że na tym zależało jej najbardziej.

8

PRZYJECHAŁA DO NIEJ O ŚWICIE. Typowym samochodem FBI, wielkim czarnym lincolnem navigatorem z przyciemnionymi szybami, wyładowanym plastikowymi pudełkami na dowody rzeczowe, torbami i pojemnikami. Okazało się, że „kawałek drogi” to w sumie ponad cztery godziny jazdy: dwie z Santa Fe do Socorro i – o czym Corrie wspomniała dopiero poniewczasie – kolejne dwie po górskich ścieżkach, na których można było skręcić sobie kark. Nora była trochę wkurzona za brak wcześniejszego ostrzeżenia, dopóki nie zdała sobie sprawy, ile kilometrów będzie musiała zrobić Corrie, przyjeżdżając po nią i ją odwożąc. No i czekała ją jeszcze godzinna przejażdżka z Santa Fe do Albuquerque.

Przejechały przez Socorro, skręciły na wschód i znalazły się w górach. Corrie ciągle zerknęła na ekran GPS-u albo zaglądała do pospiesznie sporządzonych notatek i tak, kołyszając się i podskakując na wybojach, sunęły po leśnych duktach, aż dotarły do rozwidlenia ścieżek.

– Cholera. Brak sygnału. – Zatrzymały się.

– Zgubiłyśmy się? – spytała coraz bardziej poirytowana Nora.

– Nie, nie! Tylko... nie jestem pewna, gdzie mam skręcić. – Corrie znów pomajstrowała przy GPS-ie. – Myślałam, że toto ma łączność z satelitą. Mapa zniknęła.

– I ma, ale jeśli komórka może stracić zasięg, mapę trzeba ściągnąć przedtem. Archeolodzy znają tę sztuczkę aż za dobrze.

– Niech to szlag – wymamrotała Corrie.

Nora otworzyła drzwi.

– Co ty robisz?

– Wysiadam, żeby poszukać drogi.

Obeszła samochód i przyjrzała się ścieżkom: jedna skręcała w prawo, druga biegła prosto. Nora odwróciła się i wsiadła.

– Skręć w prawo.

Corrie wytrzeszczyła oczy.

– Bo?

Nora nie mogła stłumić uśmiechu.

– Ślady opon. Byłaś tu parę dni temu, tak? Poszukałam najświeższych. To mało prawdopodobne, żeby ktoś jeszcze zapuszczał się na takie odludzie. Jedź dalej i przystawaj przed każdym skrzyżowaniem, a ja powiem ci, gdzie skręcić.

Corrie kiwnęła głową. Sprawiała wrażenie przygaszonej. Świadomością, że zabłądziła, czy nieoczekiwaną prostotą takiego rozwiązania, tego Nora nie wiedziała.

Pojechały dalej i przed każdym rozwidleniem Nora wysiadała, żeby znaleźć ślady opon, szukając miękkiej ziemi, gdzie najdłużej się trzymały. W końcu, około wpół do dwunastej, wyjechały z granicy i ich oczom ukazała się nagle Wysoka Samotnia.

Nora oniemiała. Widziała sporo wymarłych miasteczek, ale nigdy czegoś takiego. Zmieniła zdanie: żmudna wyprawa była tego warta. Rozejrzała się.

– Trudno uwierzyć, że to przetrwało do XXI wieku.

– Wiedziałam, że to powiesz.

Idąc główną ulicą, przystawała, żeby popatrzeć na domy i wiszące na niektórych wyblakłe, lecz całkiem dobrze zachowane szyldy. Były tam hotel (Podniebna Samotnia, Bar i Pokoje do Wynajęcia), stajnie, łaźnia, a na końcu ulicy – kościół. Jego parter zbudowano z kamienia, słomy i suszonego na słońcu błota. Choć przekrzywiona jak ta w Pizie, podniszczona drewniana wieża wciąż stała.

Miasteczko przycupnęło na szczycie płaskiej mesy górującej nad pustynią tak rozległą, jakby naprawdę nie miała końca, nad Jornada del Muerto, brutalnie surowym odludziem, aż po góry upstrzonymi jasnobrązowymi, czerwonymi, czarnymi i szarymi plamami. Ładny, rzeński

dzień, jasnoniebieskie niebo, świeże, chłodne powietrze – resztki poirytowania zniknęły i Nora nagle stwierdziła, że w sumie cieszy się, że Corrie ją namówiła.

– Niezły widok, co? – rzuciła agentka, rozglądając się i odgarniając z twarzy kosmyk brązowych włosów.

– Fakt – przyznała Nora. I po chwili dodała: – Dlatego kocham Nowy Meksyk. Pełno tu takich miejsc. Masz szczęście, że trafiłaś do Albuquerque.

– Myślisz? Moim zdaniem to zwykła dziura.

– Ale ma swój urok. Tylko musisz go znaleźć. No i popatrz na to od jaśniejszej strony: zważywszy na niebotyczny wskaźnik przestępczości, niedofinansowaną policję i niekompetentną prokuraturę okręgową, nigdy nie będziesz się tu nudziła.

– Czyżbym słyszała nutę pogardy w twoim głosie?

Nora się roześmiała.

– Nie mówię ci nic, czego wszyscy w Nowym Meksyku od dawna by nie wiedzieli.

Wsiadły do samochodu, pojechały powoli przed siebie, za kościołem skręciły w prawo i wtedy jak na komendę, głośno kracząc, z dzwonnicy wyleciało stado poirytowanych kruków. Minęły rozpadającą się szkołę porośniętą pustynnymi krzewami i otoczoną drewnianym płotem. Na końcu miasteczka stał samotnie częściowo zawalony budynek o ścianach pocętkowanych zwietrzałymi cegłami, które wyglądały jak gnijące brązowe zęby. Corrie zatrzymała samochód i wysiadły.

– Ciekawe, co ten dom tu robi – powiedziała Nora. – Tak na uboczu?

– To pewnie burdel.

– A wiesz, chyba masz rację.

Sięgnęła na tylne siedzenie i wzięła plecak z narzędziami, wodą i lunchem. Zarzuciła go na ramię i wciągnęła do płuc haust świeżego powietrza. Wysoka Samotnia. Jeśli jakieś miejsce było godne swojej nazwy, to na pewno to. Mimo pracy, która wciąż czekała ją w Tsankawi, zanosilo się na ciekawy dzień – może nawet bardzo ciekawy.

Pomyślała, że to mało prawdopodobne, żeby miały do czynienia z ofiarą zabójstwa – doszło tu raczej do jakiegoś wypadku, ktoś po prostu zabłądził i umarł z pragnienia albo upału. Przyjrzała się zniszczonemu budynkowi, zapadniętemu dachowi, walającym się popękanyim krokwiom i drzwiom do piwnicy. Były na wpół zasypane piaskiem, na którym widniały świeże ślady stóp.

– To tam, pod tylną ścianą – powiedziała Corrie. – Są częściowo odsłonięte.

– Dobra, idę.

– Mogę popatrzeć? Obiecuję, że nie będę przeszkadzała.

Nora się zawahała. Nie lubiła, kiedy ktoś dyszał jej w kark podczas pracy.

– Tam jest chyba dość ciasno...

– Zresztą jako agentka FBI i świadek w tej sprawie powinnam z tobą pójść. O ile to możliwe.

Cała Corrie. Znowu przeginała.

– Dobra. Tylko uważaj na grzechotniki.

Nora zdjęła plecak, przepchnęła go przez drzwi, oparła się na dłoniach i kolanach, wczołgała do środka i zsunęła na dół po zboczu piaskowej wydmy. W piwnicy ledwo można było się wyprostować. Tu i tam widziała małe dziury w ziemi: próbne wykopy, a raczej doły wykopane przez polującego na skarby poszukiwacza amatora. Kiedy oczy zaczęły przywykać do mroku, pod tylną ścianą dostrzegła miejsce, gdzie niemal całkowicie odgarnięto nawiany przez wiatr piasek. Podeszła bliżej i zobaczyła odsłoniętą czaszkę i rękę.

– I co myślisz? – spytała Corrie.

Nora nie odpowiedziała od razu. Ogarniał ją coraz większy niepokój.

– To mnóstwo pracy. Żeby zrobić to jak trzeba, musiałabym się dokopać aż do podłogi, usunąć cały ten piach. A sama widzisz, ile tego jest. – Zawahała się. – Nie wiem, czy dałabym radę skończyć do wieczora.

– Nie możesz po prostu tego wykopać?

Westchnęła. Ludzie nie rozumieli, na czym polegała praca archeologa. Naoglądali się za dużo filmów z Indianą Jonesem.

– Nie, my niczego nie wykopujemy, nie „po prostu”. Myślałam, że wiesz. Corrie zrobiła zakłopotaną minę.

– Zawsze kopie się w dół – ciągnęła Nora – do tak zwanego horyzontu, w tym przypadku podłogi, inaczej moglibyśmy przeoczyć leżące wokół ciała artefakty czy przedmioty. Odsłania się warstwę po warstwie, a kiedy kopie się w piasku, trzeba używać pędzelków.

– Dobrze, to ty jesteś ekspertką.

Corrie była trochę spięta i Nora zastanawiała się dlaczego. Pewnie znowu próbowała pokryć brak pewności siebie, jak to nowicjuszka.

Tego rodzaju wyjaśnienia – co robiła i po co – były głównym powodem, dla którego nie lubiła pracować w obecności ciekawskich. Ale cóż, zatrzymała to dla siebie. A teraz, kiedy oczy całkowicie oswoiły się z ciemnością, stwierdziła, że do piwnicy wpada dość światła, żeby obejść się bez lampy. Położyła plecak w bezpiecznej odległości od ciała, rozpięła go i wyjęła sprzęt: świecący sznurek, paliki, miarkę, łopatkę, pędzelki, szczoteczki, nakolanniki, maskę, siatkę na włosy i nitrylowe rękawiczki. Zawsze zabierała zapasowe i włożywszy swoje, skinęła na Corrie.

– Ty też.

– Jasne. Oczywiście.

Wprawnymi rękami szybko wymierzyła i podzieliła teren na cztery kwadraty o powierzchni metra kwadratowego każdy, powbiła paliki i połączyła je sznurkiem. Zrobiła kilka zdjęć, naszkicowała w notatniku plan piwnicy, po czym wprowadziła dane do iPada z zainstalowanym już Proficio, programem archeologicznym, z którego korzystała podczas małych wykopalisk takich jak to. Program nie tylko zapisywał trójwymiarowe obrazy wszystkich warstw znaleziska, ale i archiwizował je w szybko dostępnej bazie danych.

Wyjęła średniej wielkości pędzelek i zaczęła oczyszczać czaszkę z piasku. Potem, omijając włosy, przeszła do twarzy. Szybko stwierdziła, że zachowało się dużo wyschniętego na wiór ciała, że w gruncie rzeczy jest

to mumia zakonserwowana przez pustynne powietrze, w dodatku bardzo krucha. Drobne kawałki ciała ledwo trzymały się kości i praca przy nich wymagała najwyższej ostrożności. Powrócił niepokój. Zadanie wcale nie było takie proste. Pracowała powoli, starając się nad wszystkim panować, i od czasu do czasu robiła przerwy na zdjęcia.

W końcu, centymetr po centymetrze, odsłoniła całą twarz.

– O kurczę – szepnęła Corrie ponad jej ramieniem. – Umarł w męczarniach.

Nora też była zaskoczona. Otwarte jak do krzyku usta, wystający brązowy język, wysuszony i pokryty plamami, odsłaniające zbrązowiałe zęby wargi, też wyschnięte i ściągnięte do tyłu w grymasie bólu i przerażenia – tak, mężczyzna skonał w straszliwych męczarniach, wystarczyło spojrzeć na jego minę.

Popracowała jeszcze godzinę, a potem usiadła i spojrzała na zegarek. Prawie druga. Chociaż zadanie było ponure, stwierdziła, że zgłodniała i chce jej się pić.

– Lunch? – zaproponowała.

– Dobrze.

Wstała, czując, że trzeszczą jej kości. Wzięła plecak i wyczołgała się z piwnicy na jaskrawe słońce. Usiadła na pękniętej krokwi i wyjęła dużą kanapkę z wołowiną, którą zrobił dla niej brat Skip; mieszkali razem w Santa Fe i w zamian za to, że nie brała od niego za czynsz, przyrządził niemal wszystkie posiłki.

Wbiła w nią zęby i zerknęła na Corrie, która stała z boku, patrząc w drugą stronę.

– Nie jesz? – spytała.

– Nie, nie, jestem... Jestem na diecie.

Nora otaksowała wzrokiem jej szczupłą sylwetkę.

– Aha, czyli zapomniałaś lunchu, tak?

– Tak, ale spokojnie, nic mi nie będzie. Ostatnio jestem trochę rozkojarzona. No wiesz, praca.

Kanapka ociekała majonezem i sosem chrzanowym. Nora przełamała ją na pół.

– Masz. Nie zjem całej.

Corrie z wahaniem przyjęła poczęstunek i usiadła.

Przez chwilę jadły w milczeniu, a potem Nora powiedziała jej to, co prędzej czy później musiała powiedzieć.

– Posłuchaj, bardzo mi przykro, ale nie da się tego skończyć w jeden dzień. Wykluczone.

– Nie możesz... No wiesz, nie możesz pracować szybciej?

– Nie, nie mogę – odparła znów poirytowana Nora. – Mam to zrobić porządnie, sama chciałaś. A jak zapewne zauważyłaś, te szczątki są delikatne jak papier.

– Ale... Przecież to nie jest prehistoryczny grobowiec. Muszę tylko wiedzieć, czy to zabójstwo.

Nora przestała jeść.

– Oddaję wam przysługę, tobie i FBI. Jeśli już mam coś zrobić, zrobię to, jak trzeba, tak jak umiem. OK?

– Więc kiedy mogłabyś skończyć?

Naprawdę nie miała teraz czasu. Musiała przekazać jej to najłagodniej, jak umiała.

– Biorąc pod uwagę tempo prac na moich wykopaliskach, najwcześniej za dwa tygodnie.

– Co? Poważnie? Mój szef dostanie zawału!

– Mam gdzieś twojego szefa i jego serce. Masz większy problem.

– Jaki?

– Mnie. Gonią mnie terminy, pamiętasz? Przyjechałam tu tylko dlatego, że udało mi się przesunąć kilka mniej pilnych spraw.

– Wiem i jestem ci wdzięczna, ale... – Sfrustrowana Corrie machnęła ręką w stronę zapadniętej piwnicy. – Sama widzisz, że to ważne.

Nora westchnęła.

– Możliwe. Ale to również cztery i pół godziny jazdy z Santa Fe, dziewięć godzin tam i z powrotem. Jest już druga. Za godzinę musimy

wracać, a i tak nie będę w domu przed ósmą. Jak na trzy godziny pracy to od cholery jeżdżenia.

Zapadła cisza.

– Dlatego mam propozycję – dodała. – Mogę tu wrócić po zamknięciu wykopaliska w Tsankawi. Już prawie skończyliśmy, wystarczy uzupełnić dokumentację i zabezpieczyć teren. Powinniśmy się uwinąć w dwa, trzy tygodnie.

– Dzięki – powiedziała po chwili Corrie. – Ale wiesz tak samo jak ja, że za dwa tygodnie nie zostanie tu nic oprócz śladów po łopacie i odcisków stóp.

Nora wzięła łyk wody. Nie pomyślała o tym, ale tak, Corrie miała rację. Wieść się rozniesie albo trafi tu ktoś inny. Rozejrzała się. Wspaniale zachowane wymarłe miasteczko, cudowny widok na pustynię...

– Zgodziłaś się – nie ustępowała Corrie. – Proszę, dokończ to. Nie zostawiaj mnie na lodzie.

Nora pokręciła głową, ale agentka trafiła w dziesiątkę. Poza tym musiała przyznać, że zaintrygowało ją to zagrzebane w piasku ciało i wyraz twarzy mężczyzny. Zakłęta w duchu. Powinna była pójść za głosem instynktu i od razu odmówić.

– Jest pewna możliwość – powiedziała powoli.

Corrie znieruchomiała.

– Przyjadę tu jutro z namiotem. Dzięki temu zamiast trzech godzin mogłabym popracować dwanaście albo nawet czternaście i skończyć wszystko w dwa dni. – Nadzór nad Tsankawi mógłby przejąć Adelsky. Poradziłby sobie z udokumentowaniem prac. Zdjęcia, opis artefaktów, bazy danych – miałby dobrą praktykę.

– Z namiotem? Mój szef nigdy na to nie pójdzie.

– Ty nie musisz przyjeżdżać. Zresztą i tak byś mi nie pomogła.

– Nie możesz nocować tu sama!

– Zabiorę brata. Spodoba mu się tu. No i ma wielkiego remingtona, z którego całkiem nieźle strzela.

– A twój pies? Nie może się tu wałęsać.

– Nie mój, tylko Skipa. Mitty mieszka chwilowo u naszej ciotki, która straciła męża i potrzebuje towarzystwa. Posłuchaj: niczego nie obiecuję. Muszę wydębić pozwolenie od naszej nowej dyrektorki, ale ponieważ chodzi tylko o dwa dni, pewnie się zgodzi.

– Ale... Ale ja też muszę przyjechać. Tak pracujemy. I też muszę wydębić pozwolenie od szefa.

– To lepiej się pośpiesz, bo nic innego nie mogę zrobić. – Mówiąc to, Nora powędrowała wzrokiem w kierunku zasypanej piaskiem krypty i pogrzebanej w niej tajemnicy.

9

KIEDY NASTĘPNEGO DNIA RANO ZADZWONIŁA do dyrektorki instytutu, aby poprosić ją o dwa dni pracy dla FBI, jej sekretarka wesoło wykrzyknęła:

– Co za zbieg okoliczności! Właśnie miałam do pani dzwonić. Doktor Weingrau zaprasza do siebie dziś na dziesiątą.

Podchodząc do ręcznie rzeźbionych drzwi sekretariatu, Nora czuła się nieswojo, choć nie wiedziała dlaczego. Po tym jak zhańbiona skandalem poprzedniczka obecnej dyrektorki trafiła do więzienia, rada instytutu bardzo długo szukała jej następczyni. Marcelle Weingrau objęła stanowisko ledwie przed miesiącem i nie licząc oficjalnego spotkania powitalnego, nie przedstawiła się żadnemu pracownikowi. Nora czuła, że będzie chłodną i niedostępną szefową.

Ten oschły stosunek do podwładnych można by przypisać temu, że pochodziła z Nowej Anglii – była dziekanem i profesorem antropologii na Uniwersytecie Bostońskim – i było niewykluczone, że tu, na zachodzie kraju, trochę wyluzuje. Zanim została wybrana, po instytucie krążyło jej CV, w którym Nora przeczytała, że Weingrau zrobiła doktorat z antropologii Majów z Wyżyny Gwatemalskiej, gdzie mieszkała kilka lat, i mówi biegle po hiszpańsku oraz w języku Indian Kicze. Nora przejrzała również kilka jej publikacji i stwierdziła, że są całkiem przyzwoite, choć napisane ciężkim, przesyconym żargonem językiem. Krótko mówiąc, była jej bardzo ciekawa.

– Proszę, niech pani spocznie – powiedziała sekretarka. Drzwi do gabinetu były zamknięte, lecz dobiegały zza nich dwa głosy, dyrektorki i głęboki głos jakiegoś mężczyzny.

Nora usiadła i po chwili drzwi się otworzyły.

– Nora – powitała ją doktor Weingrau. – Bardzo się cieszę. Proszę, niech pani wejdzie.

Nora weszła do pięknego, starego gabinetu. Często w nim bywała za kadencji poprzedniej dyrektorki i był wtedy ozdobiony naczyniami starożytnych Indian Pueblo i nawajskimi tkaninami. Ale teraz ich miejsce zajmowała kolekcja dyplomów oraz fotografii przedstawiających Weingrau wśród gwatemalskich Majów, przeplatana reprodukcjami Chagalla i Miró. Choć bardzo ładne, miały się nijak do hiszpańskiego stylu kolonialnego.

Ze stojącego obok biurka fotela wstał młody mężczyzna.

– Przedstawiam pani doktora Connora Digby’ego, naszego nowego kustosa.

Mężczyzna zrobił krok w jej stronę. Miał kwadratową szczękę i w niebieskim blezerze, spodniach w kolorze khaki i rypсовym krawacie wyglądał jak typowy absolwent uniwersytetu Ivy League. Z promiennym uśmiechem wyciągnął do niej rękę na powitanie.

– Nora Kelly. Bardzo mi miło. – Powiedziała to z uśmiechem, choć nie wiedziała, że instytut wygospodarował środki finansowe na obsadzenie stanowiska kolejnego kustosa. Z drugiej strony tak, przydałoby im się więcej ludzi.

– Connor specjalizuje się w kulturze Indian Mogollon i pracował na wykopaliskach w Casas Grande w Meksyku – ciągnęła dyrektorka. – Nora jest naszą ekspertką od Indian Pueblo i ma rozległe doświadczenie w zakresie archeologii historycznej, które zdobyła w Kalifornii i Nowym Jorku. Jestem pewna, że macie wiele wspólnych zainteresowań.

– Bez wątpienia – powiedział Digby.

– Connor pracował ostatnio w Meksyku, w Narodowym Instytucie Antropologii i Historii – dodała Weingrau. – Będzie naszym starszym kustoszem.

Starszym kustoszem? Norę nagle olśniło. To ona była starszą kustoszką, tak brzmiał jej oficjalny tytuł. Gdyby ją awansowano, zwolniłby się etat, który objąłby Digby. Czy znaczyło to, że zostanie szefową wydziału

archeologii? Starła się pozbierać, zapanować nad twarzą, zachować spokój i nie wybiegać myślami naprzód.

– Usiąźmy.

Usiedli w skórzanych fotelach stojących po prawej i lewej stronie biurka.

Weingrau opowiedziała o jej pracy w instytucie, a potem, już bardziej szczegółowo, o pracy Digby'ego, o tym, czym się zajmował. Wytłumaczyła również, dlaczego jej zdaniem Digby przyda im się w tym krytycznym dla instytutu momencie.

Nora słuchała, czekając, aż dyrektorka wspomni o jej awansie, i zastanawiając się, jak pozostali kustosze przyjmą wiadomość, że ich bezpośrednim przełożonym został ktoś z zewnątrz. Ale im dłużej Weingrau mówiła, opisując jej przyszłą współpracę z Digbym, tym większych nabierała wątpliwości, czy sprawa awansu zostanie w ogóle poruszona.

Dyrektorka oznajmiła, że Digby dostanie gabinet mieszczący się obok jej gabinetu, pomieszczenie, które od jakiegoś czasu było wolne. Nora na pewno ucieszy się, że będzie mogła go oprowadzić, przedstawić innym „kopaczom” i zrobić dla niego miejsce w laboratorium.

– Będziecie ściśle ze sobą współpracowali – podsumowała. – Oczywiście nie nad tymi samymi projektami, ale jestem przekonana, że połączy was wspólna synergia.

Nora kiwała głową, z przyklejonym do twarzy uśmiechem udając, że pilnie słucha. Jednak cały czas prześladowała ją nieprzyjemna myśl. Czy znaczyło to, że zamiast następcy będzie miała teraz rywala w wyścigu o stanowisko szefa wydziału? Ale nie, to niemożliwe: nawet w obecnym klimacie politycznym awans zależał głównie od zasług i wieku kandydata. Była dużo bardziej doświadczona od Digby'ego, miała na koncie dużo więcej publikacji i była o co najmniej pięć lat od niego starsza; postanowiła zajrzeć do jego CV. Poza tym pracowała w instytucie od wielu lat. Nie, zaczynała wpadać w paranoję... co w dzisiejszych czasach niekoniecznie było wadą.

Spotkanie dobiegło wreszcie końca. Digby wstał, uściśnął jej rękę i poszedł oglądać magazyny. Kiedy Nora też wstała, chcąc wyjść, Weingrau spytała:

– W jakiej sprawie chciała się pani ze mną zobaczyć?

Chryste,omalże zapomniała.

– To nic ważnego. Byłam w tym górniczym miasteczku, o którym wczoraj wspomniałam, w piwnicy, którą chce zbadać FBI. To dość daleko, w górach Azul. Teren jest trudno dostępny i zajmie mi to jeszcze dwa dni. Czy mogłabym to dokończyć? Tsankawi zajmie się Adelsky, świetnie sobie radzi. Pojechałabym ze Skipem, jeśli go pani zwolni.

– Ależ naturalnie – odparła dyrektorka. – Weź dwa dni, a nawet więcej, jeśli będzie trzeba. Właśnie to powinniśmy robić, żeby zrehabilitować się w oczach naszej społeczności. Dzięki Bogu, że mamy teraz Connora. Będzie mógł cię zastąpić.

Kiedy Nora wychodziła z gabinetu, w jej uszach uporczywie pobrzmiwało to ostatnie zdanie.

10

CORRIE BYŁA ZASKOCZONA, że Morwood tak chętnie przystał na jej propozycję, lecz natychmiast pomyślała, że może chce się jej po prostu pozbyć na parę dni. Jeśli tak, trudno: postanowiła potraktować tę sprawę jako najważniejszą w świecie i ani przez chwilę nie zdradzać niepokoju czy frustracji. Nora dogadała się z Adelskym, swoim asystentem, i dopilnowała, żeby miał się czym zająć podczas jej nieobecności.

Przyjechali do miasteczka wieczorem przed dwoma dniami, z niezbędnym sprzętem i zapasami jedzenia. Następnego dnia Nora pracowała od świtu do zmierzchu, a o szóstej kolejnego była już na nogach. Do zachodu słońca skończyła odsłaniać ciało i podłogę, na której leżało. Teraz dochodziła dziesiąta wieczorem i siedzieli we troje wokół urokliwego ogniska, po zasłużonej kolacji ze stekami. Nora była doświadczoną biwakowniczką, a jej brat Skip przyjechał z nią, aby gotować, doglądać obozowiska i zapewniać im muzyczną rozrywkę. Wysoki, chudy i trochę niezdarny, z czupryną źle ostrzyżonych niesfornych włosów, okazał się przyzwoitym facetem i świetnym kucharzem, a płótno rozbitych przez niego namiotów było napięte jak bęben. Cały czas krzątał się wokoło, sprawdzając, czy wszystko jest jak trzeba, co Corrie bardzo się podobało. I chociaż grą na gitarze czy śpiewaniem starych kowbojskich piosenek nie zdobyłby raczej kontraktu na płytę, stwierdziła, że miło jest siedzieć pod gwiazdami i przy dogasającym ognisku słuchać nieznanych melodii brzdąkanych na rozstrojonym gibsonie. Doszła do wniosku, że jego najbardziej ujmującą cechą jest nienasycona ciekawość, bo kiedy dowiedział się o górnikach, którzy zginęli w zawalonej kopalni, nie dawał jej spokoju, dopóki nie poszedł na zniszczony cmentarz, nie obejrzał

wszystkich grobów i nie zadał jej dziesiątek pytań, na większość których nie umiała odpowiedzieć.

Ulżyło jej, że wykopki wreszcie dobiegły końca. To, że Nora pracowała tak nieznośnie powoli, doprowadzało ją do szału. Szur-szur-szur pędzelkiem, szur-szur-szur. Potem kilka dmuchnięć malutkim miechem, aby usunąć resztki piasku, i znów szur-szur-szur, całymi godzinami. Ale zdawała sobie sprawę, jak wielką przysługę archeolożka jej oddaje i ile czasu na to poświęca. Pod wieczór odstłoniła całe ciało. Wyglądało dziwnie i makabrycznie, co jeszcze bardziej pogłębiło tę tajemnicę. Bo właściwie co ten mężczyzna tu robił? Jak umarł? Następnego dnia rano, po tym jak Nora skończy wszystko opisywać i fotografować, mieli wynieść z piwnicy zwłoki oraz znalezione tam przedmioty, umieścić je w szafkach na dowody rzeczowe i wrócić do Albuquerque. W sumie cieszyła się, że kilka dni spędziła poza biurem, bo pierwszy raz od tej nieszczęsnej strzelaniny czuła się w miarę normalnie. Mimo to w głębi ducha miała nadzieję, że to nie zabójstwo, tylko jakiś wypadek, i że odprawivszy pokutę, dostanie od Morwoda coś poważniejszego.

– Dobra – rzucił Skip, siedząc na kłodzie drewna. – Jest fajrant, więc może macie ochotę na łyk sotolu? – Wyjął z plecaka butelkę i lekko nią potrząsnął.

– Przestań – odparła Nora. – Przecież wiesz, że tego nie znoszę.

– Co to jest sotol? – spytała Corrie.

Nora pokręciła głową.

– Wierz mi, lepiej weź piwo. – Otworzyła lodówkę, wyjęła dwie corony.

Ze spływającymi z oszronionej szyjki kawałeczkami lodu butelka wyglądała kusząco. Corrie zastanowiła się, czy rzeczywiście mają fajrant, i uznała, że mają.

Przyjęła poczęstunek.

– Mądry wybór – pochwaliła ją Nora. Otworzyła butelkę, pociągnęła łyk i dodała: – A ty, Skip, lepiej z tym uważaj.

– Tak, tak.

Zapatrzyli się w ogień i zapadła cisza.

– Ciekawe, czy szkielety tych górników są bezpośrednio pod nami – powiedział w końcu Skip. – Bo mniej więcej tam jest kopalnia, tak? Tylko pomyślcie: powolna śmierć z głodu i pragnienia. Albo uduszenia. W całkowitej ciemności. – Zniżył głos. – Ludzie, którzy umierają w tak straszny sposób, nie siedzą cicho. Ich dusze ogarnia... niepokój.

Nora rzuciła w niego kapslem.

– Tylko nie strasz nas tymi koszmarnymi historiami o duchach, dobra?

Corrie zmieniła temat.

– Odstłoniłaś całe zwłoki. I co o nich sądzisz?

– Cóż, nie wygląda to na morderstwo. W każdym razie nie na pierwszy rzut oka.

– A na drugi? Myślisz, że to jednak możliwe?

– Trudno powiedzieć. Embrionalna pozycja ciała jest bardzo dziwna, jakby ofiara zamarzła na śmierć albo jakby ją otruto. Mogła też mieć halucynacje. Ta ręka wygląda tak, jakby próbowała kogoś odepchnąć. Kogoś albo coś.

– I ten grymas na twarzy – dodał Skip, który kibicował im, siedząc kilka kroków dalej. – Nie wyczarowałby takiego program graficzny za milion dolarów.

– Zbadamy zwłoki w laboratorium – powiedziała Corrie. – Dokładnie. Toksykologia, patologia, zrobimy wszystko. Jeśli go otruto, na pewno to wykryjemy.

– Może umarł na zły gust? – spekulował Skip. – Widziałyście jego koszulę?

Nora puściła to mimo uszu.

– Ale tak, artefakty, które znalazłam wokół ciała, sugerują kilka możliwości, które moglibyście wykorzystać w śledztwie.

– Na przykład jakich? – zainteresowała się Corrie.

– Miał przy sobie młotek skalny i łopatę. Mógł być poszukiwaczem złota. I ciekawa jestem, co jest w jego torbie. Może jakieś dokumenty.

– W laboratorium dokładnie przejrzymy wszystko, co przy nim znalazłaś.

Nora się zawahała.

– Przyszło mi do głowy coś jeszcze. Obok ciała leżała płócienna torba, tak? Nie plecak, tylko torba. A raczej boczna sakwa na muła czy konia.

Skip cicho zagwizdał.

– Myślisz, że...

– Tak.

– Ale co: „tak”? – dopytywała Corrie.

– Sakwy są zwykle dwie. Jedną zakłada się na jeden bok muła, drugą na drugi. To znaczy, że może tu gdzieś być ta od kompletu. I szkielet zwierzęcia.

Corrie zadrżała.

– Jutro przeszukamy miasteczko.

11

WSTALI PRZED WSCHODEM SŁOŃCA, a raczej wstały, bo mimo ostrzeżeń siostry Skip przesadził z alkoholem i wciąż spał. Wyczołgawszy się ze śpiwora na chłodne powietrze, Corrie ucieszyła się, że Nora zdążyła już rozpalić ognisko i zaparzyć kawę. Gdy siedziały przy ogniu z kubkiem gorzkiego naparu w rękach, nad szczytami gór na wschodzie wzeszło słońce, zalewając miasteczko samotnym żółtym światłem. Długie cienie, ciemne okna – jak na obrazie Edwarda Hoppera, pomyślała Corrie.

– Chodźmy – powiedziała Nora, odstawiając pusty kubek. – Poszukajmy tej sakwy. I kości muła. Albo konia.

– Dobrze.

Postanowiły się rozdzielić i wzięły po jednej stronie głównej ulicy każda. Kiedy Corrie szła między ruinami, z kościelnej dzwonnicy znów wyleciało stado głośno kraczących i skrzeczących kruków. W miasteczku roiło się od starych słupów i innych rzeczy, do których można było przywiązać konia czy muła.

I nagle coś przyszło jej do głowy. Po co przywiązywać konia, skoro można puścić go wolno w zagrodzie?

Podeszła do zniszczonej stajni i tak jak przewidywała, znalazła za nią starą zagrodę. Większość słupków leżała teraz na ziemi, ale pół wieku temu spokojnie można było zostawić tu zwierzę na noc.

Weszła do środka i rozejrzała się. Zagrodę porastała wysoka trawa, a pod płotem leżał stos wędrownych chwastów. Wszędzie walały się stare śmieci, fioletowe w słońcu rozbite butelki, zwinięte kawałki drutu kolczastego, zardzewiałe sprzączki i wysuszone skórzane paski.

Corrie przystanęła. W najdalszym kącie zagrody dostrzegła coś białego. Podeszła bliżej i zobaczyła czaszkę dużego zwierzęcia na wpół zagrzebaną

w piasku i owiniętą skórzaną uździenicą. Odtrąciwszy nogą kuliste chwasty, odsłoniła kolejne kości, konia lub muła, który padł przy płocie. Kilka kroków dalej, przy resztkach bramy, znalazła kawałek zbutwiałego płótna tej samej wagi i koloru co sakwa z piwnicy. To było to, brakująca sakwa. Wysypywały się z niej gnijące ubrania.

Rozglądając się, dokonała kolejnego odkrycia: znalazła linę i druciane kółko z zardzewiałymi hakami, klinami i karabińczykami. Miała wystarczająco dużo doświadczenia, aby natychmiast rozpoznać sprzęt do wspinaczki.

Zawołała Norę. Archeolożka weszła do zagrody.

– Biedactwo – powiedziała Corrie, patrząc na rozrzucone kości. – Jaka straszna śmierć... Możemy teraz zrekonstruować wydarzenia z ostatniego dnia życia tego mężczyzny. Przeprowadził tu muła, puścił go wolno i zostawił przy bramie jedną sakwę. Drugą zaniósł do piwnicy, gdzie prawdopodobnie się schronił. I gdzie umarł w męczarniach, pozostawiając na śmierć zamknięte tu zwierzę.

Nora uklęknęła.

– Niekoniecznie. – Rozgarnęła pokrywający czaszkę piasek.

– Jak to?

Wskazała palcem i Corrie natychmiast wszystko zrozumiała. Archeolożka odsłoniła przód czaszki i widniała tam dziura po kuli, otwór wlotowy. Ale otworu wylotowego nie było.

Nora ostrożnie potrząsnęła czaszką i w środku coś zagrzechotało. Zajrzała do wnętrza i zobaczyła pocisk, spłaszczony i zniekształcony.

– Tego muła zastrzelono.

– Dlaczego miałby zastrzelić swoje własne zwierzę?

– Nie wiadomo, czy to zrobił. Nie wiemy też, dlaczego umarł w tej dziwnej pozycji, zwinięty w kłębek. Wiele rzeczy nie ma tu sensu.

Umilkły.

– A ten sprzęt do wspinaczki? – spytała Corrie.

– Pewnie szukał złota w kopalni pod nami.

Corrie kiwnęła głową.

– Zapakujmy to.

O dziesiątej wszystko oprócz ciała mężczyzny było już wyniesione, zapakowane i szczelnie zamknięte w pojemnikach na dowody rzeczowe. Skip wreszcie wstał i zrobił wielkie śniadanie, racuchy z jagodami i jajka na bekonie.

– Trudno będzie je przenieść – wymlaskał z pełnymi ustami. – Jest delikatne jak skrzydła motyla. – Wepchnął do ust kolejny pasek bekonu i zaczął głośno żuć.

– Musimy to zrobić we troje – powiedziała Nora.

Po śniadaniu wrócili do piwnicy z workiem na zwłoki i podobnym do trumny dużym pudłem. Zwinięty w kłębek mężczyzna opierał się o ścianę. Był w kraciastej koszuli i płóciennych spodniach na skórzanych szelkach, ubraniu tak wyschniętym, że zbrązowiało na brzegach i zaczynało się już rozpadać. Od szkieletu odchodziły duże płaty suchej skóry. Obok głowy leżały resztki starego kowbojskiego kapelusza. Jedną rękę przyciskał do piersi, a drugą coś od siebie odpychał.

– Dobra – rzuciła Nora. – Zrobimy tak. Rozłożymy na podłodze rozpięty worek, wsuniemy ręce pod ciało, na trzy podniesiemy je jednym płynnym ruchem i przeniesiemy na worek. Potem zapniemy go i włożymy do pudła. OK?

Corrie i Skip kiwnęli głowami.

Poprawili rękawiczki i wsunęli ręce, Nora pod ramiona, Corrie pod biodra, a Skip pod kolana.

– Raz, dwa, trzy! – Podnieśli ciało – było niezwykle lekkie – i delikatnie położyli je na worku.

Rozszedł się dziwny, nieprzyjemny zapach, podobny do zapachu bardzo starego sera. Corrie próbowała oddychać tylko ustami.

– Doskonale – pochwaliła ich Nora.

– Hej, coś mu wypadło. – Skip wskazał przedmiot leżący obok ciała. Wielkości ręki, był owinięty skórą i obwiązany na środku rzemieniem.

Corrie się pochyliła. Pod popękaną skórą coś błyszczało.

– Rozwińmy to – zaproponowała. – Zgadzasz się, Noro?

– Czemu nie?

Corrie zrobiła kilka zdjęć, a potem Nora podniosła zawiniątko.

– O rany. – Zważyła je w rękę. – Ciężkie. – Ostrożnie podważyła palcami węzeł, rozwiązała go i rozwinęła sztywną skórę.

W mroku piwnicy zajaśniał słabym blaskiem wysadzany drogimi kamieniami wspaniały złoty krzyż.

– Ja pierdolę! – wykrzyknął Skip.

– Jest... piękny – wymruczała Corrie.

Trzymając krzyż jedną ręką, Nora wyjęła z kieszeni lupę, przytknęła ją do oka i uważnie go obejrzała.

– To prawdziwe złoto? – nie wytrzymał Skip.

– Jest ciężki – odparła po chwili archeolożka. – Bez śladu śniedzi. Tak, na sto procent, to szczerze złoto. Jest wspaniale wykonany. Granulacja i zdobienia są tak filigranowe, że niemal mikroskopijne. I jestem pewna, że to prawdziwe kamienie, rubiny, szafiry, szmaragdy, turkusy i lazuryty.

– Jest bardzo stary? – zapytała Corrie.

Nora się zawahała.

– Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że pochodzi z okresu hiszpańskiego imperium kolonialnego, najprawdopodobniej z XVII-XVIII wieku. To jeden z najpiękniejszych złotych artefaktów, jakie kiedykolwiek widziałam.

Zapadła cisza.

– Ile jest wart? – spytał po chwili Skip.

Nora głośno prychnęła.

– Ty i te twoje pytania. Z archeologicznego punktu widzenia jest bezcenny.

– Ale gdybyś chciała go opchnąć, ile byś dostała?

– Naprawdę nie wiem. Sto tysięcy? Pół miliona? Nigdy nie widziałam takiego w muzeum.

Skip cicho zagwizdał.

– I ten facet taszczył coś takiego przez to pustkowie? Po jakiego grzyba?

Dobre pytanie, pomyślała Corrie.

– Hej, może ma przy sobie inne skarby? – powiedział Skip z nagłym ożywieniem. – Obszukajmy go! – Wyciągnął ręce.

– Hola, hola! – powstrzymała go ostro Nora. – Nie będzie żadnego szukania.

– Zbadamy szczątki w laboratorium i jeśli ma przy sobie coś jeszcze, na pewno to znajdziemy – powiedziała Corrie. – A teraz włóżmy krzyż do pudła razem z ciałem i jak najszybciej wracajmy do Albuquerque. My, złoto i zupełne odludzie. Jestem bardzo, ale to bardzo zdenerwowana.

12

WITAM W MOIM LABORATORIUM – powiedział Nigel Lathrop ze snobistycznym brytyjskim akcentem, przytrzymując otwarte drzwi.

„W moim laboratorium” – Corrie nie bardzo się to podobało, ale weszła do środka z przyklejonym do twarzy przyjaznym uśmiechem. Morwood przekazał jej kilka zawołanych ostrzeżeń à propos współpracy z Lathropem. Patolog pracował tu najwyraźniej od zawsze i cieszył się reputacją niegroźnego ekscentryka, ponoć powszechnie lubianego. Tymczasem szef dał jej do zrozumienia, że Lathrop bywa strasznie upierdliwy i jej zadaniem jest go sobie zjednać.

– To prawdziwa złota rączka – mówił – specjalista od wszystkiego. Zaczynał w czasach, kiedy kryminalistyka i medycyna sądowa nie były jeszcze tak wyspecjalizowane. Badał włókna i włosy, odciski palców, analizował rozbryzgi krwi, zajmował się oznaczaniem jej grup, robił to, co miało być zrobione szybko i bez wysyłania do laboratorium stanowego.

Dodał, że Lathrop może nie być zachwycony jej rozległą wiedzą z antropologii kryminalistycznej. A jeśli kogoś nie lubił, mógł z łatwością wszystko spowolnić albo – co gorsza – udać, że nie może się połapać w czymś oczywistym dla innych.

Corrie obiecała Morwoodowi, że zrobi wszystko, żeby się z nim dogadać. Dlatego ściskając mu rękę, zimną i suchą jak żelazna poręcz, była zarówno zaintrygowana, jak i pełna obaw. Drobnym i szczupłym patologicznemu miał spiczastą siwą brodę i cienkie usta. Chodził sprężystym krokiem i sprawiał wrażenie serdecznego, choć nie miał zbyt przyjaznej twarzy.

Byli w ponurych podziemiach biura, pełnych starzejącego się i przestarzałego już sprzętu. Długo szli, mijając po drodze sterty tekturowych pudeł, dostarczonych, lecz wciąż nieotwartych przesyłek

pocztowych, aż znaleźli się w ciasnej, jaskrawo oświetlonej sali operacyjnej. Dominowały w niej trzy stoły sekcyjne, na których leżały znaleziska z Wysokiej Samotni: zmumifikowane zwłoki mężczyzny we wciąż zapiętym białym worku, plastikowe pojemniki z kośćmi muła oraz przegniłe artefakty i ubranie.

Lathrop zmienił tweedową marynarkę na biały fartuch laboratoryjny, który zdjął z haczyka w półce. Potem z pojemnika na ścianie wyjął nitrylowe rękawiczki. Włożył je i zawiązał maskę oraz osłonę na włosy. Corrie poszła w jego ślady.

– Dobrze, i co my tu mamy? – rzucił, podchodząc do stołu. Pochylił się, szybko rozpiął worek i z zaciśniętymi ustami spojrzał na jego zawartość.

– Proszę pomóc mi to przenieść.

Pomogła mu z workiem. Zmumifikowane ciało wciąż spoczywało w pozycji embrionalnej, z jedną ręką w górze i drugą ukrytą za plecami, pod płaszczem. Kiedy je położyli, z pęknięć i szczelin w wysuszonych na wiór tkankach i z przegniłego ubrania wysypał się piasek, który utworzył małe kopczyki na blacie.

Lathrop obszedł stół ze splecionymi na plecach rękami, mrucząc głośno, ni to zadziwiony, ni to zamyślony.

Podszedł do drugiego stołu, zerknął na kości muła i zbutwiałe sakwy i przystanął, patrząc na zawinięty w skórę krzyż. Ujął go ostrożnie, obrócił i podniósł do światła.

– Niesamowite! – Położył krzyż na stole i spojrzał na Corrie. – Widzę, że czeka mnie sporo pracy. Na kiedy chciałaby pani mieć raport?

Corrie odchrząknęła.

– Miałam nadzieję, że będziemy pracować razem.

Patolog gwałtownie uniósł brwi.

– Ach tak?

Corrie stłumiła irytację.

– Ukończyłam antropologię kryminalistyczną, dlatego przydzielono mi tę sprawę. Agent specjalny Morwood o tym nie wspomniał?

– A tak, rzeczywiście! Bardzo przepraszam. Naturalnie, że wspomniał. Pracuję sam i już do tego przywykłem, ale przyda mi się każda pomoc. Będzie mi bardzo, bardzo miło.

Jego mina mówiła, że raczej nie będzie.

Corrie powtarzała sobie, że chociaż jako agentka specjalna przewyższa go rangą, to Lathrop jest miejscowym weteranem, a ona nowicjuską, w dodatku z niedawną wtopą na koncie. Nie warto było się z nim szarpać i licytować na uprawnienia, zwłaszcza po ostrzeżeniach Morwooda.

– Mamy tu zatem smakowity problem, prawda? – Patolog zatarł ręce i zacmokał, jakby mieli zaraz zjeść coś pysznego. Autentycznie zafascynowany, nie był wypalonym zawodowo specjalistą, który coś markuje.

– A więc do roboty. Ja wezmę ciało, a pani zbada artefakty.

– Specjalizowałam się w biologii antropologicznej – powiedziała, starając się nadać głosowi trochę władczości i tłumiąc zjadliwość. – Może stosowniej by było, gdybym popracowała również nad zwłokami?

Lathrop zmarszczył brwi.

– Chyba tak.

– Ale najpierw – dodała – powinniśmy spojrzeć na zdjęcia rentgenowskie. Nie uważa pan?

– Naturalnie.

Patolog włączył płaski monitor i zaklikał na klawiaturze komputera, wyświetlając zdjęcia. Zaczynając od czaszki, obejrzeni je uważnie w zupełnej ciszy, kratkę po kratce. Corrie chciała zrobić tomografię, ale Morwood to zawetował ze względu na koszty i fakt, że nie była to jeszcze oficjalna sprawa.

– Ma zdrowe zęby – powiedział Lathrop. – Nie musiał chodzić do dentysty, więc nie ma dokumentacji stomatologicznej. Szkoda, mogłaby nam pomóc w identyfikacji.

Corrie próbowała się skupić na zdjęciach. Podczas szkolenia wiele razy zdumiewało ją to, jak łatwo można przeoczyć coś, co staje się zupełnie oczywiste, kiedy ktoś to wskaże. Postanowiła nie pominąć niczego,

co Lathrop mógłby zauważyć, głównie dlatego, że nie chciała, żeby traktował ją z góry.

– Niech pan spojrzy. Tu, na kości czołowej. Czy to nie zamknięte pęknięcie? A tutaj drugie, na kości klinowej.

– Widzę. – Patolog powiększył obraz i zwiększył kontrast. – Tak, rzeczywiście. Jest bardzo małe, ale wyraźne.

Powoli przesuwali się w dół ciała.

– Tu też. – Corrie wskazała żebro. – Kolejne pęknięcie.

Lathrop zmrużył oczy i znów powiększył obraz.

– Brak kostniny grubowłóknistej – dodała. – Wygląda na to, że powstały *perimortem*.

Patolog przytaknął jej chrząknięciem.

– Proszę spojrzeć, tu też. I tutaj. Na przednich żebrach, czwartym, piątym i szóstym. Widzi pan?

Lathrop nie odpowiedział.

– Wszystkie na przednich żebrach – ciągnęła podekscytowana wbrew sobie. – I wszystkie powstały *perimortem*, jakby przed śmiercią skądś spadł. Jak pan myśli?

– Czy moglibyśmy najpierw przeprowadzić oględziny ciała, a dopiero potem wyciągać wnioski? – spytał patolog z zaciśniętymi ustami i sarkastyczną uszczypliwością w głosie.

Corrie przełknęła ślinę i spróbowała się opanować.

Resztę zdjęć obejrzeli w milczeniu.

– Pokażę pani, jak się ustawia kamerę – powiedział, kiedy skończyli. – Do badania makroskopowego.

To już lepiej, pomyślała. Włączył i sprawdził system wideo, a ona uważnie śledziła każdy jego ruch.

– Dobrze. Najpierw podamy dzisiejszą datę, godzinę, miejsce badania, nasze nazwiska i tytuły. Potem, już podczas pracy, będziemy mówili, co robimy. Czy to jasne, młoda damo, czy mam powtórzyć?

– Jasne. – Ćwiczyła to wszystko wiele razy podczas zajęć z patologii w John Jayu, college'u prawa karnego w Nowym Jorku. Tyle że tam mieli

lepszy sprzęt.

Stanęli po przeciwnych stronach stołu i z jej pomocą Lathrop zaczął rozcinać płaszcz od rękawa w dół, żeby zdjąć go kawałkami bez naruszania kruchego ciała. Potem wszystkie kawałki zamknęli w szczelnym pojemniku.

– Brązowa plama na przodzie koszuli – odnotował patolog. – Plamy wokół nosa. Wygląda na to, że krótko przed śmiercią zmarły miał silny krwotok.

Corrie chciała powiedzieć, że obecność krwi tym bardziej potwierdza jej teorię o upadku z wysokości, ale postanowiła niczego nie komentować. Dlatego milczała, pozwalając Lathropowi mówić za nią. Obejrzeni i sfotografowali plamy krwi, a potem rozcięli koszulę, podkoszulek oraz spodnie i włożyli ubranie do szczelnych pojemników. Z butami było gorzej, bo skurczyły się i wypaczyły, więc rozcinali je bardzo ostrożnie. Mimo to kawałek stopy odpadł, a ponieważ mocno przywarł do skóry buta, musieli go podważyć i oderwać.

Corrie liczyła w głębi ducha na to, że w ubraniach znajdą więcej ukrytych skarbów, portfel czy jakiś dokument tożsamości, ale oprócz kilku monet w kieszeni mężczyzny nie znaleźli nic. Wyjęła monety i ułożyła je na stole: dwie ćwierćdolarówki, pięć pięciocentówek i cztery monety jednocentowe. Lathrop chciał wrzucić je do pojemnika, lecz go powstrzymała.

– Spiszemy daty?

Pogrupowała je i stwierdziła, że najstarsza pochodzi z 1922 roku, a najnowsza z 1945. Najnowszą była niemal nieużywana jednocentówka, co uznała za znaczące.

– *Terminus post quem* 1945 – podsumował patolog, oglądając ją przez lupę.

– Musiał umrzeć w 1945 albo później, ale nie wcześniej.

Lathrop spojrzał na nią jak zawiedziony profesor.

– Moja droga, właśnie to znaczy *terminus post quem*.

Dupek, pomyślała z uśmiechem. Przespała ten wykład na studiach? Będzie musiała wygooglować i zapamiętać ten przeklęty termin, żeby nie dać się ponownie przyłapać.

Ciało było już zupełnie nagie. Zajrzała do jamy brzusznej i zobaczyła, że jakiś gryzoń zbudował tam gniazdo wyłożone trawą i włóknami bawełny.

– Mała, przytulna chatka. – Patolog wyjął je ostrożnie w jednym kawałku i zamknął w pojemniku. *Tout le confort à bas prix.*

Nie miała pojęcia, co to znaczy, i nie zamierzała pytać.

– Interesują nas zwłaszcza wyniki badań toksykologicznych i patologicznych – powiedziała. – Wyraz jego twarzy i ułożenie ciała mogą wskazywać na otrucie. Dlatego proponowałabym, żebyśmy wyjęli żołądek, wątrobę i nerki do dalszej analizy.

– Tak, rozumiem.

Ona się cofnęła, a on włożył ręce do brzucha mężczyzny i zaczął tam grzebać i ciąć. W końcu wyjął potrzebne organy, wszystkie trzy wyschnięte i skurczone jak stare jabłka. Trafiły do osobnych pojemników.

– Poproszę również o próbkę włosów.

Ciach, ciach, ciach – kosmyk włosów z czaszki powędrował do probówki.

– Serce, mózg i płuca? – spytał Lathrop.

– Nie w tej chwili. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym przerwać sekcję, żeby zachować ciało w możliwie nienaruszonym stanie do badania tomograficznego. Na wypadek gdyby przyznano tej sprawie oficjalny status.

– Dobrze.

Patolog przykrył zwłoki plastikowym prześcieradłem i zaczął ustawiać oraz znakować pojemniki, a ona wyłożyła na stół i przejrzała rzeczy zmarłego. Ubranie, osmolony garnek i wgnieciona patelnia, grill, zawinięte w ceratę pudełko zapalek, otwarta puszka skondensowanego mleka, kilka spuchniętych puszek fasoli, otwarta konserwa z resztą zepsutego mięsa, pęknięty kompas, otwieracz do konserw, scyzoryk, dwie puste manierki, piersiówka kanadyjskiej whisky Rich & Rare, również pusta – nie było tam

ani notesu, ani map, ani dokumentów, ani skarbów, niczego, co mogłoby im podpowiedzieć, czym zmarły się zajmował. Włożyła wszystko do oznakowanych pojemników i zajęła się szkieletem muła leżącym w dużym pudle. W przeciwieństwie do ciała mężczyzny ciało zwierzęcia nie uległo mumifikacji, pewnie dlatego, że spoczywało na otwartej przestrzeni. Wyjęła i położyła na stole czaszkę oraz kulę, która je zabiła, pocisk kalibru 5,6 milimetra w plastikowej torebce.

Patolog podszedł do stołu i uniósł brwi.

– Koń czy muł? – spytał jak w jakimś teleturnieju.

– Założyłam, że muł – odparła – ale tak naprawdę to nie mam pojęcia.

Twarz Lathropa natychmiast pojaśniała, gniewne zmarszczki zniknęły. Pochylił się nad czaszką, oglądając ją ze wszystkich stron, mrużąc najpierw jedno, a potem drugie oko.

– Trzydzieści lat temu mieliśmy tu ciekawą sprawę. Pewien mężczyzna ukradł muła. Właściciel zwierzęcia dogonił go i zabił. Podczas bójki zginął również muł. Działo się to głęboko w górach Sandia i szkielety znaleziono dopiero po dwudziestu latach. Mężczyzny nie udało się zidentyfikować, ale podejrzewano, że jest to złodziej muła. Dlatego musieliśmy się dowiedzieć, czy ofiara jechała na koniu, czy na mule. Ponieważ była to ważna wskazówka, przeprowadziłem mały projekt badawczy, analizę porównawczą czaszek koni i mułów. Nikt się tym przedtem nie zajmował, przynajmniej w kryminalistyce.

– Jak pan to zrobił?

– Zdobyłem kilkadziesiąt czaszek, dokładnie je obmierzyłem i sporządziłem listę średnich pomiarów dla obydwu gatunków. Dzięki temu ustaliliśmy, że znaleziona w górach czaszka należy do muła, co ostatecznie rozstrzygnęło sprawę.

– Sprytne – powiedziała Corrie.

– Zaraz zademonstruję to na tej, niestety przedziurawionej, niemniej wciąż użytecznej.

Poszperał w szufladzie, wyjął suwmiarkę, zmierzył kilkanaście części czaszki i zapisał wyniki na kartce. Potem wyjął stary notes i porównał je

z tymi w notesie. Było widać, że powrót do tego dawno już przebrzmiałego triumfu przywrócił mu dobry humor.

– Aha! – wykrzyknął. – Już wiem, co to za zwierzę. – Zrobił dramatyczną pauzę i wycelował w nią czubkiem brody.

– Muł? Koń?

– Ani muł, ani koń.

– W takim razie co? Osioł?

– Oślik.

– Oślik? Co to takiego?

– Cóż... – Lathrop przybrał ton głosu wykładowcy. – Muł to skrzyżowanie klaczy konia z samcem osła. Natomiast oślik jest krzyżówką końskiego ogiera z oślicą. Ośliki są mniejsze niż muły i bardziej przypominają osła niż konia. Tak, to jest oślik, bez dwóch zdań.

Corrie nie wyobrażała sobie nudniejszej ciekawostki naukowej, ale ponieważ jego broda wciąż triumfalnie drżała, szybko wykorzystwała okazję.

– Niesamowite! Nigdy o takim stworzeniu nie słyszałam. Opublikował pan wyniki swoich badań?

– Pracuję nad krótkim artykułem do „Forensic Examiner”. Ot, taka tam notka, nic wielkiego. – Ton jego głosu zadawał kłam udawanej skromności.

– Jestem przekonana, że cieszyłby się wielkim zainteresowaniem.

– Trzeba go tylko trochę zredagować, to wszystko. Dać do przeczytania świeżej parze oczu.

– Chętnie go przejrzę. Oczywiście jeśli pan chce.

– Naprawdę? Byłoby fantastycznie! Zaraz go przyniosę. A tymczasem kontynuujmy nasze badania tego tu dżentelmena i jego oślika.

13

MORWOOD SIEDZIAŁ NA BRZEGU BIURKA. Miał skrzyżowane ręce, poluzowany krawat i rozpięty kołnierzyk koszuli, co było chyba jego wyobrażeniem kontrolowanego luzu. Corrie zauważyła, że na biurku leży jej raport.

– Usiądź, proszę.

Usiadła z nadzieją, że jej zdenerwowanie nie rzuca się w oczy.

– Przeczytałem twój raport. Jest bardzo ciekawy, dlatego po namyśle i po naradzie z górą postanowiłem przyjąć twoje zalecenie i przyznać tej sprawie status oficjalnej. – Posłał jej uśmiech.

– Dziękuję. Bardzo dziękuję.

– O dwa podziękowania za dużo. Nie robię ci przysługi. Mimo że przydzielam ci tę sprawę.

Chciała podziękować po raz trzeci, ale ugryzła się w język.

– Nie wiadomo, czy mamy do czynienia z zabójstwem, czy nie, ale wiemy, że ten krzyż jest bardzo cenny, a prawdopodobieństwo tego, że go skradziono, bardzo wysokie, co sama podkreślasz w raporcie.

– Tak.

– Rozumiem, że dogadałaś się z szeryfem Wattsem.

– Tak. Myślę, że będzie nam się dobrze pracowało.

– Świetnie, świetnie... Tak jak ciągle powtarzam, dobra współpraca z miejscowymi władzami jest zawsze naszym priorytetem.

Ponieważ jako nowa agentka specjalna wciąż była na dwuletnim stażu, wprowadzając ją w tajniki zawodu, Morwood, jej bezpośredni opiekun, śledził ją niczym duch. I przeszedł teraz na tryb mentorski, sokratejski.

– Jak twoim zdaniem powinno przebiegać śledztwo?

– Chciałabym przekazać krzyż doktor Kelly z Instytutu Archeologicznego w Santa Fe do szczegółowych analiz, które, jeśli rzeczywiście został skradziony, pomogłyby nawet go zidentyfikować.

Morwood kiwnął głową.

– Dobrze.

– Skoro sprawa jest już oficjalna, czy mogłabym zbadać zwłoki tomografem? Tak jak zaznaczyłam w raporcie, znaleźliśmy dowody, że w chwili śmierci zmarły doznał licznych ran: ma pękniętą czaszkę, popękane żebra i krwawił z nosa. To za mało na przyczynę zgonu, ale tomograf może wykryć więcej obrażeń.

– Dobrze, masz moje pozwolenie.

– No i musimy go zidentyfikować. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Nie chodził do dentysty i nie dysponujemy jego dokumentacją stomatologiczną. Moglibyśmy zbadać DNA, ale zwłoki mają siedemdziesiąt pięć lat, więc jest mało prawdopodobne, żeby w bazie danych figurowały jakieś próbki. Moglibyśmy również przeprowadzić porównanie genealogiczne, ale trwałoby wiele miesięcy, poza tym w najlepszym wypadku to strzał w ciemno.

– Jak sama dobrze wiesz – wtrącił Morwood.

Nie zareagowała na tę zawoalowaną aluzję do jej ostatniej i jak dotąd jedynej dużej sprawy.

– Można też spróbować z odciskami palców. Na uczelni nauczyłam się kilku technik, które wymagałyby jednak amputacji.

– Świetnie.

– Jeśli wszystko inne zawiedzie, zrobię całkowitą rekonstrukcję twarzy. Specjalizowałam się w tym na studiach.

Morwood kiwnął głową.

– A co sądzisz o miejscu znaleziska?

– O miejscu znaleziska?

– Uważasz, że powinno się je dokładniej przeszukać?

– Całe miasteczko?

Morwood nie odpowiedział. Czekał.

– Chyba tak. – Nie podobał jej się ten pomysł, choć nie wiedziała dlaczego.

– Ten człowiek miał przy sobie cenny złoty przedmiot. Niewykluczone, że gdzieś w pobliżu mogą być ukryte inne. Chciałabyś wysłać tam Zespół Reagowania Dowodowego?

– Tak, to dobry pomysł.

– Świetnie. Jeszcze jedno... – Morwood zniżył głos. – Jak sobie radzisz? Po tej strzelaninie.

Zaczerwieniła się.

– Dobrze, dziękuję.

– Pierwsza tego typu akcja to zawsze ciężkie przeżycie. Nawet jeśli nie oddało się, hmm... decydującego strzału.

– Właściwie to już druga. I właśnie w tym problem. W tym, że chybiłam.

Zdała sobie sprawę, że szef przygląda się jej ciekawie.

– Tak naprawdę to nie chybiłaś. Trafiłaś w ramię. Odrzuciło go do tyłu, dzięki temu inni agenci mogli go zdjąć. Strzelił na oślep, ale to tylko kwestia przypadku.

– Gdybym trafiła, nie strzeliłby w ogóle.

– Zgoda. Ale można to naprawić, spędzając więcej czasu na strzelnicy, choć wiem, że często tam bywasz.

Zrobił pauzę.

– No więc?

– No więc... co? – nie zrozumiała.

– Nie zakwestionujesz tego ostatniego spostrzeżenia?

Zmarszczyła brwi.

– Nie bardzo rozumiem...

– Chciałem, żebyś przestała się obwiniać, ale odpierałaś każdą moją próbę. Co mówi mi, że o tym myślisz. Myślisz dużo więcej, niż powinnaś. Dlatego powierzę ci zadanie, które może się okazać trudne. Streszczę je w dwóch słowach: przestań rozpamiętywać. – Przeszył ją surowym spojrzeniem. – Czy to jasne, agentko Swanson?

– Tak jest, jak słońce.

Morwood chrząknął i zsunął się z biurka, dając jej do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Ona też wstała.

– Na naszej cotygodniowej odprawie przedstawię tę sprawę kolegom. Ma kilka niezwykłych aspektów, które mogą ich zainteresować. – Zrobił pauzę. – A jeśli doktor Kelly odkryje coś istotnego, możesz ją zaprosić. Opowie nam o tym złotym krzyżu.

SPECJALISTA BRAD HUCKEY, szef Zespołu Reagowania Dowodowego w nowomeksykańskim oddziale FBI w Albuquerque, wysiadł z furgonetki i z czapki Kowbojów z Dallas zsunął na grzbiet nosa ciemne okulary, żeby nie oślepiło go słońce. Milt Alfieri, fotograf zespołu, i Don Ketterman, drugi śledczy, też wysiedli i stanęli obok niego. Rozejrzeli się.

– Kurde – rzucił Alfieri. – Jak plan filmowy.

Prowadząca sprawę agentka specjalna jechała drugim samochodem, jeepem cherokee z biura szeryfa w Socorro. Zaparkowała na uboczu i wysiadła – bo mogła to być tylko ona – z prawej strony. Szeryf, z wielką srebrzystą gwiazdą na piersi, wysiadł z lewej.

Huckey nie wierzył własnym oczom. Nigdy dotąd nie widział tak młodej agentki. Do czego to doszło? FBI werbowało już kobiety, które nie potrafiłyby zrobić pięciu pompek? Zaciąg z akcji afirmatywnej, bez dwóch zdań. Ale przynajmniej była ładna.

Spojrzał na Alfieriego i cicho zagwizdał.

– Obczaj tę młódkę.

Agentka – blada cera, krótko ostrzyżone brązowe włosy – ruszyła w ich stronę wraz z szeryfem równie młodym jak ona. Facet miał zabandażowane jedno ucho i dwa sześciopalcowe colty na biodrach. Niezły numerant.

Agentka wyciągnęła do niego rękę i wtedy zauważył, że straciła gdzieś czubek palca.

– Corinne Swanson.

– Brad Huckey.

– Milt Alfieri.

– Don Ketterman.

– Homer Watts.

Homer. Boże, co to za imię? Huckey sprawdził, czy z zabandażowanego ucha nie sterczy mu źdźbło słomy. A patrząc na colty, pomyślał, że gość nie słyszał pewnie o internecie. Ani nawet o elektryczności.

Oni ściskali sobie ręce na słońcu, a nad ich głowami krążyły skrzeczące kruki.

– Dzięki, że przyjechaliście – powiedziała Swanson. – Tutejsze drogi nie są zbyt dobre.

– Fakt – przyznał Huckey. – OK, więc co mamy przeczesać?

Agentka wskazała zniszczony budynek na skraju miasteczka.

– Ciało znaleziono w piwnicy. Ale jeszcze nie wiemy, czy jest to miejsce przestępstwa.

Huckey i jego ludzie zaczęli wyładowywać sprzęt.

– Wiadomo, co tam się mieściło? – spytał.

– Prawie na pewno dom publiczny – odparł Watts.

Huckey parsknął śmiechem.

– Marnie wygląda jak na burdel! Homer, opowiesz nam coś o tym miasteczku?

Szeryf zdjął kowbojski kapelusz, wytarł rękawem czoło i włożył go z powrotem.

– Dopóki w kopalni było złoto, osada rokowała duże nadzieje. Ale po jakimś czasie pokłady zaczęły się wyczerpywać. Na dobitkę zapadł się szyb i zginęło dużo ludzi. Zaraz potem wszyscy wyjechali.

– Ilu ludzi zginęło?

– Dwanaście osób. Nie mogli stamtąd wyjść.

Huckey kiwnął głową. Kopalnie złota zawsze go interesowały. Uznał, że po robocie warto będzie tu wrócić i się rozejrzeć. Kto wie, może są tu jakieś antyki czy bibeloty i tylko czekają, żeby się po nie schylić. A ponieważ zawodowo zajmował się tym, czym się zajmował, był ekspertem od szukania. Weźmy na przykład tę starą studnię w cieniu czegoś, co wyglądało na ruiny stajni: ludzie nie mają pojęcia, ile cennych

rzeczy można w czymś takim znaleźć. A ta nie widziała wiadra pewnie od stu lat.

Podeszli do burdelu i przystanęli przed wejściem do piwnicy. Było do połowy zasypane piachem. Huckey przykucnął, zajrzał do środka i poświecił latarką.

– Hej, Corinne – poprosił. – Powiesz mi w skrócie, co i jak?

Swanson przykucnęła obok niego.

– Ciało leżało pod tylną ścianą. Widać stąd odkrywkę. Usunęliśmy już i przesialiśmy większość piasku.

Huckey spojrzął za siebie.

– Don, bierz sito. Trzeba ten piach przesiać jeszcze raz, na wszelki wypadek.

Wziął łopatę i zszedł na dół, a za nim podążył Milt. Ketterman podał im szufłę, piłę, młot i sito na ramie. Huckey rozłożył je i ustawił.

– Trzeba przerzucić to z jednej kupy na drugą.

Włożył maskę i wziął się do roboty. Buchnął kurz. Na szczęście był chłodny dzień, bo latem mieliby w tej pieprzonej piwnicy tęgi usraj. Drobny, suchy piasek łatwo przelatywał na drugą stronę i na sicie zaczęły podskakiwać różne przedmioty: pęknięte butelki, tanie sztucce, guziki, puszki po tytoniu, gwoździe – wszystko bezwartościowe, z czasów poprzedzających te, w których żył zmarły mężczyzna.

Nagle z sita spadła kość.

– Oho! – Huckey podniósł ją i obejrzał. – Spójrzcie, co tu mamy! Kość ramienną! – Zerknął na wejście, gdzie stała obserwująca ich agentka. – Chyba coś przeoczyliście! – zawołał, machając kością.

Swanson zjechała na dół po piasku i podeszła do niego, wkładając rękawiczki. Podał jej kość, a ona ją obejrzała.

– Hmm, to raczej piszczel owcy.

Huckeyowi rozszerzyły się oczy. Ta baba była niewiarygodna! Odchylił się do tyłu i roześmiał gromkim śmiechem.

– Piszczel owcy? W kulki ze mną lecisz? Identyfikuję ludzkie gnaty całe życie i kiedy widzę kość ramienną, to od razu wiem, że to kość ramienna. –

Odwrócił się. – Alfieri, zapakuj to jako dowód rzeczowy. – Rzucił mu kość, a Alfieri włożył ją do torebki, którą następnie oznakował markerem.

Huckey przeniósł wzrok na agentkę.

– Piszczel owcy – powiedział z uśmiechem. – W życiu!

Baba chciała chyba coś powiedzieć, ale się powstrzymała – tym lepiej dla niej. Zrobiła z siebie idiotkę, z własnej winy.

– Dobra, wracamy do roboty. Potrzeba nam trochę więcej miejsca, więc gdybyś mogła...

Agentka odeszła i znów stanęła przy wejściu, uważnie ich obserwując.

Godzinę później skończyli przesiewać piach i nie znaleźli nic ciekawego. Huckey rozejrzał się, szukając miejsc, gdzie można by coś ukryć. Praca w ZRD polegała głównie na burzeniu ścian, rozpruwaniu sufitów, rozwalaniu mebli i samochodów w poszukiwaniu forsy czy prochów. Ale bez względu na to, czy miejsce było stare, czy nowe, szósty zmysł zawsze podpowiadał mu, gdzie ukryto towar. I nigdy go nie zawiódł.

– Zajrzyjmy... tam. – Wskazał dużą, starą kuchenkę węglową w kącie, którą kiedyś ogrzewano pomieszczenie. Spróbował otworzyć zardzewiałe drzwiczki, lecz ani drgnęły.

– Dajcie młot.

Podszedł do niego Ketterman w koszuli z podwiniętymi rękawami. Niósł młot.

– Rozwal to.

Ketterman uwielbiał rozwalać różne rzeczy, więc kilka dobrze wymierzonych uderzeń całkowicie zniszczyło żeliwną płytę. Huckey ukląkł, wyciągnął pogruchotane żelazo, pogrzebał w środku i nic nie znalazł. Znów się rozejrzał. Gdzie jeszcze można było coś ukryć w 1945 roku?

– Tam. – Wskazał zamurowane cegłami miejsce.

Ketterman zmienił młot na topór, a właściwie połączenie topora i ciesaka, i ostrym końcem grzmotnął w ścianę. Wystarczyło kilka ciosów i ukazała się płytka nisza.

Huckey poświecił latarką, lecz okazało się, że stoją tam tylko popękane słoje.

– Przepraszam... – Czyjś głos.

Odwrócił się i znów zobaczył twarz tej przeklętej agentki. Wyglądała zza drzwi.

– Tak?

– Co wy robicie?

– Nie widać? Szukamy.

– I musicie przy tym wszystko niszczyć?

Huckey zmrużył oczy.

– Niszczyć?

– To jest miejsce historyczne.

– Jezu Chryste, jesteśmy funkcjonariuszami federalnymi, przeszukujemy miejsce przestępstwa. Tak to się robi.

Twarz zniknęła. Huckey pokręcił głową, zastanawiając się, dlaczego, do diabła, tak jej zależy na tym starym burdelu. Nie mógł uwierzyć, że Quantico wypuszcza dzisiaj takich agentów.

Potem rozwalili małą szafę, ale tam też nic nie znaleźli.

– Chodźmy na górę.

Wyczołgali się z piwnicy i koślawymi drzwiami weszli na parter. Sufit częściowo się zapadł, mimo to było tam sporo miejsc do przeszukania.

– Uważajcie na przegniłą podłogę – ostrzegł Huckey.

Salon, bar, kilka połamanych krzeseł i stołów, mnóstwo rozbitych butelek po whisky, stareńkie pianino – marny ten burdel, pomyślał. Schody prowadziły prosto do nieba, bo piętro prawie zupełnie się zawaliło.

Oczywistym schowkiem było pianino.

– Hej, Don, zagraj nam coś, dobra?

Ketterman, wciąż z młotem w ręku, podszedł bliżej, wziął zamach, wycelował w kant i uderzył. Uderzył potężnie i pianino brzękliwie jęknęło. Ketterman uderzył jeszcze raz i odpadł bok. Don zajrzał do środka i poświecił latarką.

– Przestańcie! – W drzwiach stanęli Watts, szeryf i ta cholerna agentka. – Co wy robicie?

– Nie widać? – warknął Huckey, mocno już wkurzony tym namolnym kibicowaniem.

– To nie jest podziemne laboratorium, miejcie trochę szacunku.

– Jasne, moglibyśmy rozebrać ten szmelc na części i siedzieć tu cały tydzień, ale my pracujemy inaczej. Poza tym nikt nie będzie już grał na nim *Chińskich pałeczek*.

– To jest wspaniale zachowane wymarłe miasteczko i nie wolno robić tu więcej szkód, niż to konieczne. To, że jesteśmy na terenie federalnym, a wy jesteście federalnymi urzędnikami, nie znaczy, że możecie tu wszystko burzyć.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię... Homerze. Wy macie swoją jurysdykcję, a ja swoją. Jestem szefem grupy Zespołu Reagowania Dowodowego i właśnie tak pracujemy. Nie ty pierwszy się skarżysz. Nikt nie lubi patrzeć, jak ktoś niszczy jego rzeczy. Ale tak to się robi. Może lepiej idź pobawić się swoimi coltami? – Huckey głośno prychnął. – Kurde, w magazynku mojego siga jest więcej naboju niż w dwóch twoich gnatach!

– Jeśli dobrze strzelasz, wystarczy tylko jeden – odparł szeryf.

Przez chwilę bez słowa mierzyli się wzrokiem. I nagle Huckey odpuścił.

– Ale ponieważ tak ci na tym zależy, potraktujemy to pudło łagodnie. Prawda, Don? Delikatnie z nim. A właściwie z tym, co z niego zostało.

– Dobra.

Przeszli przez wszystkie pomieszczenia, zrywając podłogi, listwy i tynk w miejscach, gdzie można było coś ukryć. Ale tam też nic nie znaleźli. Huckey wściekał się w duchu, że Swanson i Watts ciągle patrzą im na ręce. Na dokładkę musiał wstać o czwartej rano, żeby tu dojechać, no i miał kaca.

– Sprawdźmy sracz – rzucił.

Wychodek stał za burdelem, krzywa budka na tle niebieskiego nieba. Ketterman podniósł młot. Kilkoma uderzeniami zburzył przegniłą

podstawę i budka przewróciła się jak drzewo, odsłaniając dziurę częściowo wypełnioną piaskiem.

– Trzeba to usunąć.

Rozstawili sito i zaczęli kopać. Gówna już tam nie było, tylko piach i ziemia, ale z czasem na sicie pojawiło się kilka ciekawych rzeczy – parę monet, parę rozbitych butelek po whisky, okulary – i nagle... blask złota.

– Hej, zobacz! – Ketterman podniósł coś do góry i Alfieri zrobił zdjęcie. Była to złota moneta z głową Indianina.

Swanson i Watts podeszli bliżej.

– Z 1908. – Huckey wziął monetę do ręki. – Ktoś wrzucił ją do sracza.

– Trzeba ją zapakować – powiedziała agentka. – Chociaż prawdopodobnie nie ma związku z ciałem.

Huckey włożył monetę do torebki. Cholera, będzie musiał tu wrócić i przewrócić wszystko do góry nogami. Olać oficjalne poszukiwania i zostawić trochę dobrego na później. Żałował, że kazał przeszukać wychodek na oczach tych wszystkich ludzi.

– Dobra, teraz reszta miasteczka. Zrobimy to szybko i, spełniając wasze życzenia, najdelikatniej, jak to będzie możliwe.

– Dziękujemy – burknął szeryf.

Huckey nie odpowiedział.

– Pokażcie, gdzie znaleziono szkielet muła i siodło.

Swanson zaprowadziła ich do stajni i od razu zobaczył miejsce, gdzie wykopano kości. Ustawili sito, Ketterman wziął łopatę i po chwili na sicie znów pojawiło się trochę bezużytecznego gówna, w tym parę kości.

Huckey podniósł jedną i obejrzał.

– Kolejna owca? – spytał z uśmiechem.

– Nie – odparła agentka. – Muł.

Odrzucił kość na bok.

– Choć raz trafiłaś.

Przeszli przez całe miasteczko, od końca do końca. Sfotografowali wszystkie pomieszczenia i przeszukali wszystkie oczywiste miejsca, lecz nie

wypatrzyli niczego ciekawego. Tym razem Huckey dopilnował, żeby nie szperali zbyt dokładnie.

Wrócili do furgonetki i zajrzał do nakazu przeszukania. Czekąca ich najciekawsza część zadania: kopalnia złota.

– Piszą tu – przeczytał, cytując słowa, które napisała sama Corrie – że przy zwłokach znaleziono sprzęt do wspinaczki. Że facet mógł albo zamierzał zejść do kopalni. I że... Zaraz, moment. Że mam tam zejść z agentką Swanson?

– Zgadza się – potwierdziła młoda.

– Czyja to decyzja?

– Moja. Chyba przywieźliście co trzeba, prawda?

Huckey wytrzeszczył oczy.

– Jasne, ale myślałem, że pójdę z Donem. Umiesz się wspinać i zjeżdżać na linie?

Swanson kiwnęła głową.

– Coś takiego – mruknął, nie ukrywając irytacji. – No dobra, w takim razie bierzmy sprzęt i do roboty.

ZŁOTY KRZYŻ LEŻAŁ NA PLASTIKOWEJ tacy wyłożonej czarnym aksamitem, pod obiektywem mikroskopu stereoskopowego z funkcją zoom, ustawionego na małą moc. Nora powoli przesuwiała stolik, badając powierzchnię artefaktu. Wszedł Orlando Chavez. Patrycjuszowska twarz, dramatycznie zaczesane, opadające niemal do ramion siwe włosy, tweedowa marynarka, krawat, a raczej ozdobny sznurek z turkusem tak ciężkim, że mógłby pociągnąć na dno człowieka – wyglądał jak profesor i kowboj zarazem. Był ekspertem od hiszpańskiej historii kolonialnej i instytutowym ulubieńcem Nory. Poznała go, kiedy jako stażystka pracowała nad doktoratem.

– Niesamowite! – Zacmokał, jakby leżał przed nim kawałek pysznego tortu. – Jak to możliwe, że zawsze wpadasz w sam środek każdego zamieszania? Popatrzmy.

Ustąpiła mu miejsca. Śmiesznie poruszając krzaczastymi brwiami, Chavez przytknął oczy do okularu i zaczął obracać stolik. Nora cierpliwie czekała.

– Mogę odwrócić go na drugą stronę? – spytał.

– Pozwoli pan, że ja to zrobię. FBI kazało mi przestrzegać specjalnych procedur. – Włożyła rękawiczki, odwróciła krzyż i wrzuciła rękawiczki do kosza. Nie zносиła nitrylowych rękawiczek.

Minęło kilka minut. W końcu Chavez podniósł głowę, zamrugał i wypuścił powietrze.

– I co pan myśli?

– Cóż... – Poprawił okulary w czarnej oprawce, żeby obejrzeć krzyż jeszcze raz, i przysunął się z fotelem bliżej mikroskopu. – Jest niezwykły.

Nora czekała. Chavez lubił wszystko przeciągać.

– Sądząc po stylu, technice, wzornictwie i jakości wykonania, powiedziałbym, że zrobiono go w Mexico City i szlakiem Camino Real przywieziono do Nowego Meksyku, najprawdopodobniej do jakiegoś kościoła misyjnego. Pochodzi najpewniej sprzed 1680, sprzed powstania Indian Pueblo.

– Czy coś wskazuje na to, że go skradziono? FBI bardzo chciałoby to wiedzieć.

– Gdyby skradziono ostatnio tak doskonale zachowany artefakt kolonialny, na pewno bym o tym wiedział. A ponieważ widzę go pierwszy raz w życiu, powiedziałbym, że raczej nie.

– Ile jest wart? Tych z FBI też to bardzo interesuje.

– Jak na swój wiek, to wspaniale wykonany przedmiot. Jako historyczny zabytek jest wprost bezcenny. Na wolnym rynku można by dostać za niego co najmniej sto tysięcy dolarów.

Nora cicho zagwizdała.

– Co jeszcze da się powiedzieć o jego historii?

Chavez wygładził włosy sękatą ręką.

– Pewnie zauważyłaś, że jest mocno wytarty.

– Tak.

– Większość artefaktów misyjnych taka nie jest. Prawdopodobnie często go noszono. Może należał do wędrownego zakonnika i był dla niego osobistą świętą relikwią. Albo dużo podróżował z innych powodów.

– A kamienie?

Chavez spojrział przez mikroskop.

– Są piękne, ale topornie wykończone. Dlatego twierdzę, że krzyż pochodzi sprzed buntu Pueblo. Jest tu szmaragd, kilka turkusów, wspaniałe nefryt, jaspis i krwawy granat zdumiewającej jakości. Powiedziałbym, że wszystkie pochodzą z Nowego Świata.

– Skąd ten człowiek miał tak cenną rzecz?

Chavez pokręcił głową.

– Krzyż mógł należeć do starej hiszpańskiej rodziny. Jakiś nawrócony na chrześcijaństwo Indianin mógł go ukryć podczas powstania i przekazać

krewnym; takie przypadki się zdarzały, są dobrze udokumentowane. Po upadku powstania sporo Indian Pueblo nadal potajemnie praktykowało chrześcijaństwo, a wiele przedmiotów religijnych pochodzących sprzed tego okresu wciąż jest w ich posiadaniu. Spoczywają w kivach i są pilnie strzeżone.

Nora wyczuła za sobą czyjąś obecność. Odwróciła się i zobaczyła, że do laboratorium wchodzi Connor Digby. Pozdrowił ich i podszedł bliżej.

– Wieści szybko się rozchodzą. Mógłbym spojrzeć?

– Oczywiście. – Nora odstąpiła mu fotel.

Digby szybko pozbył się niebieskiego blezeru oraz rypsowego krawatu i chodził teraz w sportowej marynarce i rozpiętej pod szyją koszuli. Spokojny i nierzucający się w oczy, zajmował się głównie porządkowaniem swojego gabinetu, przenoszeniem i układaniem książek oraz czasopism. Z niczym się nie wychylał i niczym się nie wyróżniał. Odnosił się do niej przyjaźnie i z szacunkiem. Był po prostu miłym facetem, który chce się dopasować i ze wszystkimi dogadać.

Spojrzał przez mikroskop.

– Nieprawdopodobne. Ile ma lat?

– Pochodzi sprzed powstania Indian Pueblo – odparł Chavez. – A więc co najmniej czterysta.

– Niesamowite. – Digby wstał. – Przepraszam za najście, ale po prostu musiałem sprawdzić, skąd to zamieszanie. Już uciekam.

– Nie ma sprawy. – Nora usiadła i spojrzała na Chaveza. – Powinnam napisać w raporcie coś jeszcze?

Profesor ściągnął usta.

– Czy po zakończeniu śledztwa FBI przekaże krzyż instytutowi? Dadzą się na to namówić?

Nora zmarszczyła czoło. Nigdy dotąd nie zastanawiała się nad kwestią własności krzyża.

– Myślę, że należy do rodziny zmarłego – odparła. – Chyba że jest skradziony.

– No tak, oczywiście... Cóż, chciałbym ci pokazać coś jeszcze. Odwróć się na drugą stronę?

Nora odwróciła krzyż.

– Widzisz te znaki?

Rzeczywiście, na drugiej stronie widniały dwa okrągłe znaki, niemal całkowicie zatarte symbole.

– To prawdopodobnie cechy probiercze, oznaczenie próby złota. Gdyby udało ci się je powiększyć, przyjrzałbym się im dokładniej. To by rozstrzygnęło, kiedy i gdzie go wykonano.

Tę ostatnią uwagę podkreślił zmarszczeniem krzaczastych brwi.

HUCKEY PODSZEDŁ DO BRZEGU urwiska i rzucił worek na ziemię. Rozpiął go i zaczął wyjmować ekwipunek, dwie uprząże, linę, karabinki, „małpki” i „kubki” asekuracyjne. Sprzęt był dobry, w większości nowy. W dół urwiska prowadziła kiedyś stroma droga, ale ponieważ już dawno zniknęła pod licznymi osuwiskami, można tam było tylko zjechać po linie. Ponad dwadzieścia metrów niżej wielka sterta odpadów skalnych utworzyła płaską półkę, na której znajdowało się wejście do kopalni.

Weszła w uprząż, przypięła karabinki i hamulec, włożyła rękawice i kask. Huckey przywiązał linę do potężnej sosny rosnącej na krawędzi urwiska i sprawdził, czy węzeł dobrze trzyma. Nie ufała mu za grosz i postanowiła sprawdzać wszystko jeszcze raz.

Mieli schodzić po pionowej litej skale i wylądować na półce, obok rozchwierutanego baraku i torów nikiących w szybie.

– Zjedziemy na dół, a potem wejdziemy na górę – powiedział Huckey. – Na pewno dasz radę?

– Tak.

W Quantico zrobiła podstawowy kurs wspinaczki, a w Albuquerque zaliczyła parę dodatkowych, uważając, że to przydatna umiejętność. I teraz się z tego cieszyła, choć nie była zachwycona, że ma jej towarzyszyć Huckey.

W uszach wciąż pobrzmiwały jej słowa Morwooda o tym, że ma się ze wszystkimi dogadywać. Współpraca z tym dupkiem miała być testem i zamierzała go zdać.

Huckey zszedł jako pierwszy i z ulgą stwierdziła, że wie, co robi. Mało tego, robił to tak dobrze, że musiał kiedyś służyć w wojsku. No i wyglądał

na byłego wojskowego, przynajmniej z postury. Może jednak nie będzie tak źle.

Kiedy zjechał na dół i odpiął linę, dał jej znak, że teraz jej kolej. Po chwili oboje stali przed wejściem do kopalni.

– Więc myślisz, że ten gość tu zszedł albo zamierzał zejść? – spytał Huckey.

– Tak.

– No to sprawdźmy, czego szukał. Może chciał się dostać do ciał tych górników.

Włożyli lampy na kaski i weszli do szybu, on pierwszy, ona za nim. Okazało się, że jest to prymitywny tunel wydrążony w skale za pomocą kilofów i materiałów wybuchowych, niezabezpieczony stemplami długi korytarz. Jego środkiem biegł tor dla wózków z rudą.

– Uwięzieni przez zawał – powiedział Huckey. – Wyobrażasz sobie? Ani jedzenia, ani światła, ani powietrza. Ciekawe, co dopadło ich najpierw. – Pociągnął nosem. – Przynajmniej nic tu nie śmierdzi. Bałem się, że będzie jechało suszoną wołowiną. – Zachichotał.

– W tym miejscu życie straciło kilkanaście osób. Trochę szacunku.

Huckey mruknął coś pod nosem, ale przestał przynajmniej snuć domysły na temat losu górników.

Piętnaście metrów dalej zaczęło ubywać naturalnego światła. Huckey przystanął i poświecił lampą na podłogę pokrytą kurzem i nawianym przez wiatr piaskiem.

– Brak śladów stóp. Nikogo tu nie było od bardzo, bardzo dawna.

Corrie kiwnęła głową i zrobiła kilka zdjęć służbowym aparatem.

Poszli dalej i co kilka minut przystawała, aby coś sfotografować. Nie licząc toru, tunel był zupełnie pusty i dopiero sto metrów dalej natrafili na drewniano-żelazny wózek, przewrócony i do połowy wypełniony rudą. Znowu zrobiła serię zdjęć i pobrała dwie próbki rudy do analizy. Za wózkiem stała zardzewiała żelazna maszyna z cylindrycznym młotem, śrubą i dźwignią.

– Założę się, że nigdy czegoś takiego nie widziałas – powiedział Huckey.

– Nie. Co to?

– Przenośna kruszarka. Wkładasz tu wielki kawał skały, dokręcasz śrubę i skała pęka na kawałki, które łatwiej jest podnosić i sortować.

– Aha.

Powoli weszli jeszcze głębiej. Powietrze pochłodziło i zgęstniało, a jedynym światłem było teraz światło ich lamp, bo wejście do szybu zniknęło za zakrętem. Po kolejnych stu metrach dotarli do wielkiego zawaliska. Tu i tam widać było ślady bezskutecznych, budzących litość prób przekopania się przez skały.

Corrie popatrzyła na gigantyczną stertę drewna i rozłupanych kamieni, spojrzała na zapadnięty strop i przypomniało jej się, co powiedział Fountain o miejscowym cementarzu. Ciała górników wciąż spoczywały gdzieś tam, za tym gruzowiskiem. Chociaż leżały głęboko w poziomym szybie, jej włosami poruszył chłodny wiatr i zadrzała w tej klaustrofobicznej, nadśluchującej ciemności.

– Suszona wołowina jest chyba tam – powiedział Huckey i zerknął na nią z ukosa, czekając na jej reakcję.

Corrie wzięła głęboki oddech. Nie odpowiedziała.

– Oho! – Światło jego latarki padło na przegniłą drewnianą skrzynkę z dwoma napisami na boku: SPÓŁKA GÓRNICZA ATLAS i TNT. – Oto przyczyna zawału. Dobrze, że nie próbowali ich tym uwolnić. Tylko pogorszyliby sprawę. – Pochylił się i trącił nogą pokrywę skrzynki. Pokrywa spadła, odsłaniając zmurszałe, pokryte woskiem laski i kłębowisko kabli.

– Chryste. – Corrie zrobiła krok do tyłu.

– Uważaj. To może wybuchnąć. Zaraz ją wyniosę.

– Zaczekaj... Chcesz ją podnieść? To chyba zły pomysł...

Ale Huckey już podnosił rozpadającą się skrzynkę. Trzymając ją obiema rękami, minął Corrie, potknął się na kamieniu i... upuścił skrzynkę u jej stóp. Trzasnęło pękające drewno i laski rozsypały się na wszystkie strony.

Ogarnięta paniką Corrie przeraźliwie krzyknęła, odskoczyła do tyłu, upadła i wylądowała na pupie, opierając się plecami o skały zawaliska.

Buchnął kurz. Huckey ryknął śmiechem.

– Kurwa mać! – wrzasnęła Corrie.

Huckey śmiał się tak bardzo, że przez chwilę nie mógł złapać tchu.

– Szkoda, że nie widziałaś swojej miny, kiedy upuściłem skrzynkę! – Gwałtownie wciągnął powietrze i zginając się wóół, znów ryknął śmiechem. – Pomyślałem, że pewnie nic nie wiesz o TNT, no i miałem rację. TNT to nie dynamit, nie wybuchnie bez zapalnika. Poza tym im jest starszy, tym ma większą inercję. Na pewno nie chcesz wrócić na parę lat do akademii i dopiero potem wyjść w teren, Corinne?

Corrie uspokoiła się i wstała. Serce przestało szaleńczo bić i przerażenie ustąpiło gniewowi, którego nie mogła dłużej powstrzymać.

– Ty sukinsynu!

– Hej, to była tylko zabawa! Przestań, nie można z ciebie zażartować? Bo jesteś agentką FBI? Jeśli chcesz żyć w zgodzie z chłopakami, lepiej do tego przywyknij.

– Z chłopakami? – odparła. – Chodzi ci o tych z fiutem między nogami? Bo ciebie to chyba nie dotyczy. Tylko cudak bez fiuta albo zidiociały troglodyta śmiałby się z tego szkolnego kawału, zwłaszcza w takim miejscu. Nie znosisz kobiet, które podważają twój autorytet, i jesteś wkurzony, bo kiedy znalazłeś tę kość, zgodnie z prawdą powiedziałam, że to kość owcy. To ty lepiej przywyknij do tego, że ja zostanę kiedyś dyrektorką FBI, a ty dalej będziesz burzył ściany i grzebał w starych sraczach.

Chciała dodać coś jeszcze, ale Huckey bardzo, ale to bardzo pobladł. Poza tym zabrakło jej tchu, więc wystrzelawszy się z epitetów, umilkła, ciężko oddychając. Huckey patrzył na nią z zaciśniętymi pięściami i przez chwilę myślała, że ją uderzy. Ale nie uderzył.

– A teraz dokończę oględziny – zakończyła nieco łagodniejszym tonem głosu. – Zrób mi przysługę i już się, kurwa, do mnie nie odzywaj.

* ... * ... *

On wyszedł z tunelu i czekał przed wejściem, a ona ostrożnie zbadała zawalisko. Wracając, zajrzała do rozlatującego się starego baraku i zrobiła kilka zdjęć nakrapianego słońcem wnętrza. W mrocznej głębi majaczyły jakieś narzędzia i dziwne maszyny pokryte kurzem i pajęczynami, nie znalazła jednak niczego, co mogłoby wskazywać na to, że zmarły mężczyzna kiedykolwiek tu był, ani żadnej wskazówki, czego mógłby szukać. Potem wyszła z tunelu i razem wrócili do zwisającej z urwiska liny. Włożyła uprząż i wspięła się na górę. Mroczny i milczący Huckey wspiał się za nią.

Na górze czekali jego ludzie. Watts był nieco dalej; przechadzał się po miasteczku.

– Znaleźliście coś? – spytał któryś.

Huckey minął ich bez słowa. Zdjął uprząż, wciągnął i zwinął linę, po czym wepchnął sprzęt do worka. Zarzucił worek na ramię i, nie patrząc na kolegów, warknął:

– Spadajmy stąd.

WCICHYM, CIASNYM LABORATORIUM CORRIE cofnęła się od stołu, aby ocenić swoje dzieło, pierwszą samodzielną próbę rekonstrukcji twarzy. Jak dotąd bardzo dobrze jej szło, była z siebie zadowolona. Umierała z ciekawości, jak ten mężczyzna wyglądał, i chciała już zaraz zobaczyć prawdziwe oblicze człowieka nieżyjącego od siedemdziesięciu pięciu lat. To, że umiała ożywiać twarze zmarłych, napełniało ją dziwnym, niemal religijnym uczuciem.

Wszystkie pozostałe metody identyfikacji zawiodły. Miała jego odciski palców, które jednak nie figurowały w kartotekach. Dokumentacja stomatologiczna nie zachowała się, poza tym mężczyzna bardzo dbał o zęby. Badanie toksykologiczne nie ujawniło żadnych trucizn, a wstępne badanie mikrobiologiczne żadnych chorób, nie licząc początków marskości wątroby. Genotypowanie SNP nie przyniosło rezultatów, a jego DNA nie było w ogólnodostępnych bazach danych. Wyglądało na to, że pod względem etnicznym mężczyzna pochodzi z Europy Zachodniej, najprawdopodobniej z Anglii, Szkocji lub Irlandii. Całkowita rekonstrukcja twarzy okazała się ostatnią deską ratunku, ale Corrie była przekonana, że sobie poradzi.

Zrobiła z żywicy odlew oczyszczonej czaszki i wykorzystując go jako podłoże, wypełniła plasteliną wszystkie ubytki i otwory, łącznie z jamą nosową oraz szczelinami oczodołowymi. Potem osadziła gliniane oczy. Wtedy przyszła kolej na najważniejszy krok, na rozmieszczenie w ściśle określonych miejscach dwudziestu jeden kolorowych kołeczków. Każdy pionowo wbity kołeczek wskazywał średnią grubość tkanki u człowieka tej samej rasy, co zmarły (rasa biała), jego płci (mężczyzna), wieku (mniej więcej pięćdziesiąt pięć lat) oraz budowy (szczupły). Następnie, warstwa

po warstwie, nałożyła na czaszkę mięśnie, najpierw *temporalis*, mięsień skroniowy, potem *masseter*, mięsień żwacz, *buccinator*, mięsień policzkowy i *occipitofrontalis*, mięsień potyliczno-czołowy. Pracowała bardzo ostrożnie, najdokładniej, jak umiała, ponieważ nawet najdrobniejszy błąd mógł sprawić, że nikt zmarłego nie rozpozna. To zdumiewające, że ludzkie oko potrafi wychwycić najdrobniejszą zmianę w anatomii twarzy – niewątpliwie przyczyniły się do tego miliony lat ewolucji.

– Co to za kołeczki?

Wystraszona, omal nie podskoczyła. Odwróciła się i zobaczyła Lathropa, który ciekawie spoglądał jej przez ramię. Stał tak blisko, że poczuła zapach jego płynu do płukania ust.

– Przestraszył mnie pan.

– Była pani tak pochłonięta pracą, że nie chciałem przeszkadzać. – Wskazał sterczące z czaszki kołeczki. – Co to? Mierniki głębokości?

– Tak – odparła, siląc się na obojętność. – Czeka mnie jeszcze dużo pracy.

– Nauczyła się pani tego na studiach?

– W tym się specjalizowałam. Zwykle robią to dwie osoby, antropolog kryminalistyczny i plastyk, ale studiowałam jedno i drugie, żeby radzić sobie sama.

– Imponujące. – Lathrop przysunął sobie fotel i usiadł. – Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym popatrzeć. Za moich czasów nie uczyliśmy się technik rekonstrukcji twarzy, wciąż były w powijakach.

Corrie nie lubiła, kiedy ktoś patrzył jej na ręce, ale postanowiła być dzielna.

– Oczywiście, bardzo proszę.

– Korzysta pani z jakiejś konkretnej metodologii?

– Z metody, którą Taylor i Angel opisali w *Identyfikacji twarzoczaszki w medycynie sądowej*. Jest dość stara, ale daje dobre rezultaty, a już na pewno lepsze niż kryminalistyczna analiza komputerowa.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Algorytmy komputerowe nie są jeszcze dokładnie opracowane i nie wygląda to tak jak na filmach fantastyczno-naukowych. Problem polega na tym, że twarze wykreowane przez komputer są zbyt prawdziwe, zbyt wierne, tak realistyczne, że ludzie ich nie rozpoznają. A te zrekonstruowane starą metodą rozpoznają niemal natychmiast. Ich trochę sztuczny, pospolity wygląd jest w gruncie rzeczy zaletą i niemal każdy, kto na taką spojrzy, powie: „Hej, przecież to wujek Joe!”. Komputery nie potrafią nakładać plasteliny i gliny w taki sposób jak człowiek, przynajmniej na razie.

– Ciekawe.

– Mamy szczęście, że na twarzy, a jeszcze więcej na ciele, zachowało się trochę tkanki miękkiej. Mogłam zmierzyć ilość tłuszczu, co jest niezmiernie ważne dla ostatecznego wyglądu.

– Sprawia wrażenie dość szczupłego.

– Nie miał ani grama tłuszczu.

– Może umarł z głodu.

– Możliwe. Ale w jego żołądku znaleźliśmy resztki ostatniego posiłku, suszoną wołowinę, whisky i fasolę.

– Obozowe jedzenie. Śniadanie mistrzów. Wykryliście obecność jakiejś trucizny? Nie wiedziałem jeszcze wyników toksykologii.

– Pierwsze były negatywne. Szukają teraz rzadszych trucizn.

Corrie zdała sobie sprawę, że dała się ponieść emocjom i powiedziała więcej, niż zamierzała. Dlatego z dyszącym jej w kark Lathropem odwróciła się, aby dokończyć nakładanie mięśni. Dodała trochę więcej gliny, pilnując, żeby głębokość każdej warstwy nie przekraczała widniejących na kołeczkach znaczników, po czym, fragment po fragmencie, wygładziła całość.

– Niesamowite – wymruczał Lathrop. – Powoli wraca do życia. Co będzie dalej?

– Dodam powieki, a potem wymodeluję nos, usta i tkankę miękką szyi. Później dodam uszy i postarzę twarz, nakładając zmarszczki i zwiotczenia skóry typowe dla pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Na końcu

wszystko pomaluję. Wtedy wystrzelą fajerwerki, bo mamy szczęście, że tak dużo o nim wiemy. Zaczynał łysieć, był bardzo opalony, miał przyprószone siwizną brązowe włosy i szorstką skórę od długiego przebywania na słońcu...

– Więc jest pani pewna, że to będzie dobra podobizna?

– Tak, jak najbardziej.

– Kapitalne. – Lathrop zerknął na zegarek, odsunął się z fotelem i wstał.

– Muszę pędzić do domu i zrobić kolację, ale nie mogę się już doczekać, kiedy zobaczę pani dzieło. Skończy pani do jutra?

– Mam nadzieję.

Nagle wyjął skądś papierową teczkę i położył ją na sąsiednim stole.

– Koń kontra muł, mój artykuł – powiedział, jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniał. I znów się nad nią pochylił, jak na jej gust, stanowczo za nisko.

Otworzyła teczkę i zobaczyła rękopis pełen błędów, skreśleń i gryzmołów.

– Nie pisze pan na komputerze?

– Komputer burzy twórczy natłok myśli.

– Rozumiem. – Natłok, a raczej biegunkę, pomyślała.

Posłał jej przymilny uśmiech.

– Zgodziła się pani go zredagować, prawda?

Przełknęła ślinę.

– Chętnie to zrobię, ale najpierw musi pan wszystko przepisać. Bardzo mi przykro.

Od Lathropa powiało chłodem.

– Miałem nadzieję, że mi pani pomoże.

– I pomogę, ale nie jestem sekretarką. Czy ktoś nie mógłby tego przepisać? Jestem bardzo zajęta, będę tu siedziała pół nocy.

Lathrop bez słowa wziął teczkę, odwrócił się i wyszedł, ciągnąc za sobą długi ogon dezaprobaty.

JEEP DŁUGO PODSKAKIWAŁ NA WYBOISTEJ DRODZE, wreszcie wjechał w bramę zrobioną z dwóch pni drzewa i połączonych na górze belką, do której trochę krzywo przybito krowie rogi. Zakurzona droga prowadziła do domu z suszonej na słońcu cegły, otoczonego olbrzymimi topolami i płotem ze sztachet.

Szeryf Watts zatrzymał samochód na cienistym parkingu obok starej przyczepy do przewozu bydła. Wysiedli, on i Corrie. Otworzyły się tylne drzwi i z jeepa z trudem wygramolił się Fountain, adwokat i historyk w jednej osobie. Chociaż nie rozpoznał zrekonstruowanej przez Corrie twarzy, Watts postanowił go zabrać, bo mogła im się przydać jego rozległa wiedza o przeszłości okolicznych terenów.

– Zobaczmy, czy dziadek coś pamięta – powiedział. – Mieszka tu od urodzenia, od osiemdziesięciu lat, ale pamięć ma jak klisza fotograficzna.

– To miło, że zechciał pan zaangażować w to swoją rodzinę – pochwaliła go Corrie.

– Tylko się z tego ucieszą.

Wytartymi drewnianymi schodami weszli na ganek, otworzyli opatrzone moskitierą drzwi i znaleźli się w kuchni. Tu wszystko zatrzymało się w czasie, pomyślała, w połowie lat pięćdziesiątych. Ale wszystko było też nienagannie czyste i jasne, bez śladów starości. Linoleum w falujące kolorowe prostokąty, zasłony z wizerunkami koni i kowbojów, stareńka lodówka, wykończona chromem kuchenka... Jak w muzeum wewnątrz z połowy XX wieku. I wszędzie unosił się zapach kawy i świeżo upieczonych ciasteczek.

– Babciu, dziadku, to ja, Homer! – zawołał szeryf.

W drzwiach do kuchni stanęła pulchna kobieta w kraciastej sukience. Szeroko rozłożyła ręce i mocno go wyściskała. Zawstydzony Watts zaczął wić się w jej objęciach, więc go puściła.

– A to kto? – zapytała.

– Agentka FBI, o której ci mówiłem, Corinne Swanson.

Kobieta była wyraźnie zaskoczona, lecz szybko to ukryła.

– Miło mi panią poznać.

– Mnie panią również.

Do kuchni wszedł adwokat.

– O, i pan mecenas! Chodźmy prosto do męża. Odpoczywa w swoim pokoju.

Weszli do przytulnego pokoju o ścianach ozdobionych licznymi dyplomami i plakietkami. Dyplomy i puchary stały również na gzymsie kamiennego kominka. W wygodnym fotelu z ruchomym oparciem siedział starzec w kraciastej koszuli i szelkach. Pociągnął za dźwignię i oparcie się wyprostowało.

– Proszę nie wstawać – powiedziała Corrie, ale mężczyzna był już na nogach i ścisnął jej rękę.

– Edno, poczęstuj naszych gości kawą i ciasteczkami. Pije pani z mlekiem?

– Nie, nie, dziękuję, naprawdę.

– Domowym ciasteczkom nigdy nie mówię „nie” – oświadczył z uśmiechem Fountain.

– Świetnie. Edno, przyniesiesz dzbanek? I kilka ciasteczek ekstra, na wszelki wypadek. – Dziadek Wattsa usiadł w fotelu, pomagając sobie laską. – Proszę, niech pani spocznie, młoda agentko. – Wskazał małą, tapicerowaną kanapę. – A pan, mecenasie, zajmie honorowe miejsce.

– Dziękuję. – Adwokatowi zaskrzyły się oczy. Poprawił okrągłe okulary i dodał: – Już mówiłem, po wyjściu z sądu jestem Charles.

– À propos. Nie zapłaciłem panu jeszcze za to prawo do wywłaszczenia. Fountain machnął ręką.

– Wszystko dla pańskiej rodziny.

Corrie usiadła i postawiła teczkę na podłodze. Szeryf spoczął na krześle i wtedy do pokoju weszła pani Watts z tacą z dzbankiem kawy, śmietanką, cukrem, filiżankami i ciasteczkami.

– Może jednak wypiję filiżankę – zdecydowała Corrie. Marzyła o kawie od rana, a ta, w przeciwieństwie do lury, którą pili w Albuquerque, była czarna i mocna, i wprost niebiańsko pachniała.

– Wiedziałem. – Starzec sięgnął po filiżankę. – Wiedziałem, że lubi pani kawę, kiedy tylko panią zobaczyłem.

Jego żona też usiadła.

– Jak twoje ucho, Homerze?

– W porządku, kula odcięła tylko kawałek. Pozostała bitewna blizna i będę się nią chwalił, kiedy to ja zasiądę w tym fotelu.

– Dalej uważam, że powinieneś być odstrzelić głowę temu Riversowi – powiedział starszy Watts.

Szeryf się roześmiał.

– W więzieniu dobrze się nim zajmą.

Zapadła cisza.

– Ma pan niezwykłą kolekcję nagród – powiedziała Corrie, żeby ją przerwać. – Był pan w młodości sportowcem? Grał pan w futbol?

Fountain stłumił śmiech, a starzec głośno zarechotał.

– To nie moje – odparł. – To nagrody strzeleckie Homera.

Corrie spojrzała na szeryfa i zaskoczona zobaczyła, że Watts lekko się zaczerwienił.

– Nie wiedziała pani? – zapytał starzec. – Jest świetnym strzelcem. Trzy razy wygrał mistrzostwa NRA, Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego, nie licząc wielu innych.

– Przestań, dziadku – wymamrotał szeryf.

Dziadek znów się roześmiał.

– Wszystkie te dyplomy i puchary walały się pod jego łóżkiem i w szafie. Tylko zbierały kurz, więc pomyślałem, że skoro on nie chce ich pokazywać, to pokażę je ja. – Puścił oko do wnuka. – Przynajmniej tyle może dla mnie zrobić w zamian za te colty.

Corrie zerknęła na rewolwery z jeszcze większym respektem.

Szeryf poprawił je, pochylił się do przodu i wypił łyk kawy. Wyraźnie chciał zmienić temat.

– Dziadku, agentka Swanson chciałaby pokazać ci kilka zdjęć.

– Tak, wiem i umieram z ciekawości. – Zmarszczył brwi. – Mają coś wspólnego z tą twoją teorią?

– Nie, a skąd!

– Z jaką teorią? – spytała Corrie.

Szeryf milczał.

– Opowiesz pani o swoich zbzikowanych pomysłach czy ja mam to zrobić? – nie odpuszczał starzec.

– To nic takiego – odparł Homer niemalże nieśmiało. – Tak jak cały Południowy Zachód, my też zawsze mieliśmy problemy z szabrownikami i poszukiwaczami skarbów, dlatego staram się uważać na tych, o których wiem, że mogą coś zmalować. Ale ostatnio, chociaż liczba grabieży spadła, na rynek trafia dużo więcej antyków nieznanego pochodzenia.

– Prywatny kolekcjoner, któremu zabrakło pieniędzy? – spekulował adwokat. – Sprzedaje pod stołem lewy towar?

Homer kiwnął głową.

– Możliwe.

– Albo mój wnuczek spędza za dużo czasu z głową na słońcu – dodał starzec.

– Mojej głowie nic nie dolega – zapewnił go szeryf. – Ty nazywasz to teorią, a ja mówię, że to po prostu ciekawe. Tak czy inaczej, osoba, którą próbujemy zidentyfikować, nie żyje od ponad siedemdziesięciu lat.

Corrie podniosła teczkę.

– Zanim je pokażę, chcę uprzedzić, że to, co pan zobaczy, jest tylko rekonstrukcją twarzy, sporządzoną na podstawie anatomii czaszki zmarłego. Niemal na pewno nie jest to jego wierny portret. Ale jeśli ta osoba kogoś panu przypomina, proszę nam powiedzieć. I proszę się nie śpieszyć.

Stary Watts kiwnął głową.

- Kiedy umarł?
- Około 1945 roku albo trochę później.
- W czterdziestym piątym miałem pięć lat! Jak mam go rozpoznać?
- Tak, zdaję sobie sprawę, że to mało prawdopodobne.
- Cóż, zrobię, co się da. Pokaże mi pani te zdjęcia?

Corrie podała mu pierwsze, portret *en face*, zdjęcie całej twarzy, nad której rekonstrukcją tak ciężko pracowała. Watts przyjrzał się mu ze zmarszczonym czołem. Patrząc, poruszał ustami, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

- I drugie. – Podała mu portret trzy czwarte.

Starzec wziął zdjęcie wolną ręką i z wysuniętą dolną wargą długo przyglądał się to jednemu, to drugiemu. Minęła minuta, może nawet dwie.

- Ma pani jeszcze jakieś?

Podała mu zdjęcie z profilu. Watts spojrzął na nie i głośno pociągnął nosem.

- Przykro mi, ale nie. Nie znam go.

- Na pewno? – spytał szeryf.

– Nigdy go nie widziałem. Przykro mi, że panią zawiodłem, młoda damo.

Corrie zebrała fotografie.

– Przychodzi panu do głowy ktoś, kto mógłby go znać? – spytał Fountain. – Ktoś, kto od dawna tu mieszka i jeszcze nie sfiksował. Ktoś starszy ode mnie. I od pana, jeśli to w ogóle możliwe.

Starzec zarechotał.

– Trudna sprawa. – Umilkł, a potem wyrwał kartkę z leżącego obok notesu i napisał coś na niej wąskimi, kanciastymi literami.

– Proszę. – Drżącą ręką podał ją Corrie. Na kartce widniały dwa nazwiska. – Homer będzie wiedział, jak ich znaleźć. Obaj mają co najmniej osiemdziesiąt pięć lat.

Corrie dopiła kawę, licząc na dolewkę. Dziadek szeryfa musiał czytać w jej myślach, bo bez pytania sięgnął po dzbanek.

– Bardzo dziękuję.

– Proszę wziąć ciasteczko.

Na talerzu leżały kruche ciasteczka z czekoladą, jej ulubione, ale grzecznie podziękowała – w przeciwieństwie do Fountaina, który świsnął kilka, przechodząc obok stolika.

– Dziadek go nie rozpoznał, ale pani rekonstrukcja jest naprawdę znakomita – powiedział szeryf, gdy kilka minut później szli do jeepa. – Nawet na zdjęciu wygląda jak portret żywego człowieka.

– Dzięki. Na plastyce w ogólniaku zawsze lubiałam pracować z gliną. Nigdy nie przypuszczałam, że przyda mi się to w FBI.

Watts spojrział na kartkę i zmarszczył brwi.

– Clark Stoudenmire i Marilou Foss...

– Powinniśmy również zajrzeć do archiwum miejscowej gazety – powiedziała. – Może kiedyś zrobiono mu zdjęcie.

– Budynek redakcji „Registera” spłonął w 1962 roku, a wraz z nim poszło z dymem całe archiwum. – Fountain ze smutkiem pokręcił głową.

Szeryf wciąż patrzył na kartkę.

– Foss mieszka w mieście, ale Stoudenmire aż na pogórzcu, kawał drogi stąd. Proponuję zacząć od niego.

– Jest pan niezwykłym człowiekiem – powiedziała Corrie.

Podniósł wzrok.

– Dlaczego?

– Wszystkie te nagrody. Nie wiem, jak pan opiera się pokusie, by się nimi chwalić. Słyszałam nawet, że zaczekał pan, aż Rivers pierwszy wyciągnie broń.

Przez chwilę myślała, że Homer znowu się zaczerwieni, ale on tylko szyderczo prychnął.

– E tam, wszystko dzięki ćwiczeniom i cierpliwości. Jest pani bardzo młoda, ma pani czas. Jak pani radzi sobie na strzelnicy?

– Fatalnie.

– Chyba nie jest aż tak źle?

Szybko odwróciła wzrok.

- W czym problem, Corrie? – spytał przyciszonym głosem.
- Nie chodzi o strzelanie – wypaliła zaskoczona, że w ogóle to powiedziała. – To coś innego.
- Mówi pani o tej strzelaninie na kempingu Cedro Peak?
- Zerknęła na niego z ukosa.
- Słyszał pan?
- Jestem szeryfem. – Wzruszył ramionami, jakby to wszystko wyjaśniało. Corrie milczała.
- Ile ta dziewczynka miała lat?
- Jaka dziewczynka?
- Ta z kempingu.
- Spuściła oczy.
- Siedem.
- Pani też miała kiedyś siedem lat. Jaki był pani ojciec?
- Miły. – Zawahała się. – To wujek był sukinsynem. Brat mojej mamy. Watts westchnął.
- Corrie, jestem za młody, żeby cię pouczać...
- To dobrze.
- Ale powiem jedno. Kiedy sięga się po broń, żeby kogoś zabić... To wywleka na wierzch różne rzeczy. Rzeczy, o których nie chce się pamiętać. Można zastrzelić pięciu bandziorów, ale w szóstym zobaczyć coś, co... – Urwał. – Policjanci nie chcą się do tego przyznawać, ale tak jest. I najważniejsze: jeśli przestanie to mieć dla pani znaczenie, trzeba szybko zmienić zawód.
- Zapadła cisza. Fountain przyglądał im się ciekawie z jeepa.
- Corrie odetchnęła, głęboko i powoli.
- OK? – spytał Watts.
- OK. – Spojrzała na niego lekko zwężonymi oczami. – Czy ta rozmowa w ogóle się odbyła?
- Ależ skąd!
- Tak myślałam.

19

CLARK STOUDENMIRE MIESZKAŁ w dużej przyczepie na wzgórzu, z którego roztaczały się przepiękne widoki. Nie miał telefonu, więc nie mogli go uprzedzić, ale kiedy zaparkowali, stał już w progu, olbrzym o szerokiej jak beczka piersi, wąskich biodrach i łysej głowie. Gdy wysiedli, z udawanym strachem podniósł do góry ręce.

– Do wszystkiego się przyznaję! Niech mnie pan zaobrączkuje! Nie wiem, co zrobiłem, ale mecenas mnie z tego wyciągnie! – Roześmiał się tubalnie i uściśnął im obu ręce.

Szeryf przedstawił mu Corrie i starzec spojrział na nią z zaskoczeniem, do którego zdążyła już przywyknąć.

– FBI?

Corrie uściśnęła mu dłoń.

– Co tu robi FBI? – spytał.

– Wejdziemy do środka? – Watts wskazał drzwi.

– Oczywiście, oczywiście.

Weszli do mrocznej, brzydkiej przyczepy, w której zalatywało starym bekonem, i usiedli w obskurnym saloniku zagraconym meblami obitymi tapicerką w szkocką kratę.

– Panie Stoudenmire – zaczął szeryf. – Słyszał pan o zwłokach mężczyzny, które znaleziono w tym wymarłym miasteczku?

– Ostatnio nie mam okazji czytać gazet.

– Znaleziono je w Wysokiej Samotni i wraz z FBI prowadzę śledztwo w tej sprawie. Próbuje je zidentyfikować i agentka Swanson chciałaby pokazać panu kilka zdjęć. Może przypomni pan sobie tego człowieka. Zmarł około 1945 roku.

Starzec kiwnął głową i z ciekawości pojaśniały mu oczy.

Corrie podała mu pierwsze zdjęcie i, tak jak starego Wattsa, uprzedziła go, że nie jest to idealna podobizna. Po długim namyśle Stoudenmire postukał w nie czubkiem długiego, brudnego paznokcia.

– Przypomina trochę tego starego głupka, który kręcił się tu, kiedy byłem dzieckiem. Tylko nie pamiętam, jak się nazywał.

– Proszę spojrzeć na to. – Podała mu drugie zdjęcie.

Mrużąc oczy, starzec przyjrzał mu się najpierw z bliska, potem z daleka.

– Tak, to on.

Z podekscytowania serce zabiło jej szybciej. Czyżby jej dzieło tak błyskawicznie przyczyniło się do identyfikacji ciała?

– Jak się nazywał?

– Nie pamiętam. Jim...

Corrie cierpliwie czekała.

– A dalej? – Szeryf też siedział na brzeżku krzesła.

Stoudenmire wykrzywił twarz.

– Niech to szlag, nie pamiętam. To był taki starszy gość, widywaliśmy go czasem w mieście. Miał zwariowane pomysły i żaden nie wypalił. Raz kupił kilka kóz kaszmirskich, ale wszystkie pozdychały. Potem chciał kupować i sprzedawać starocie...

– Ale nazwiska pan nie pamięta?

– Nie. Wszyscy mówili mu „Jim”.

Corrie przypomniał się nagle złoty sygnet z inicjałami.

– Nazwisko zaczynało się na „G”.

– Na „G”.. – powtórzył Stoudenmire. – Jim... Jim Gower. Tak. Jim Gower!

Corrie nachyliła się w jego stronę.

– Jest pan pewny?

– Na sto procent. Stary Jim Gower. To on. – I znów postukał palcem w zdjęcie, tym razem zdecydowanie.

– Co jeszcze pan o nim wie? – spytał adwokat.

– Miał ranczo gdzieś na pustyni, ale kiepsko mu się wiodło. Ciężko tam się żyje. Kiedy je stracił, zaczął zaglądać do miasta. Dużo pił, spał na ławce w parku albo coś sprzedawał, stare monety, groty strzał i inne

bezwartościowe rupiecie. To był taki nieszkodliwy dziwak. Jim Gower... Nie ma to jak wspomnienia, prawda?

Szeryf podniósł głowę.

– Jakiś Gower mieszka w Magdalenie. Jesse Gower. Młody facet, pisarz czy ktoś taki. Myśli pan, że są spokrewnieni?

Starzec ciężko westchnął.

– Nie znam innych Gowerów. I nie sądzę, żeby Jim miał jakąś rodzinę.

* ... * ... *

Cała preria tonęła w złocistym blasku, a wzgórza stały w ogniu. Zachód słońca na pustyni jest naprawdę piękny, pomyślała Corrie. Za dnia to zwykle pogorzelsko.

– Co pan wie o tym Jessem Gowerze? – spytała.

– Niewiele – odparł szeryf. – Pochodzi gdzieś stąd, ale wyjechał na studia. Przez jakiś czas mieszkał w Nowym Jorku, potem wrócił i zamieszkał w rodzinnym domu, żeby napisać powieść. Ale to było dziesięć lat temu i od tego czasu chyba kiepsko mu się żyje.

– To prawda – wtrącił Fountain. – Słyszałem, że w zeszłym roku ktoś złamał mu nos podczas bójki w barze w San Antonio. Spędził noc w areszcie. Myślę, że zaczął pić albo ćpać. Albo pije i ćpa. Wątpię, czy wam pomoże.

– Może i nie. Ale jeśli ma to samo nazwisko, musimy z nim porozmawiać. Jutro rano nie dam rady, bo przedstawiam tę sprawę na naszym cotygodniowym spotkaniu, ale po południu miałabym czas.

– Mnie to pasuje – powiedział Watts.

– Ja chyba sobie odpuszczę – odezwał się adwokat. – Z tego, co mówicie, nie będzie to raczej miła wizyta.

NORA WŁOŻYŁA SWÓJ NAJLEPSZY KOSTIUM i kiedy weszła do sali odpraw, natychmiast się z tego ucieszyła: sala była pełna elegancko ubranych mężczyzn w na błysk wypolerowanych butach i starannie umalowanych kobiet w nienagannych granatowych i szarych kostiumach. Jakże różniło się to od instytucyjowego luzu, od dżinsów i roboczych koszul. Okazało się, że nawet w Nowym Meksyku agenci FBI są konserwatywni pod względem wyglądu. Cieszyła się tym bardziej, że Weingrau pochwaliła ją dzisiaj za dobrą współpracę z organami ścigania. „To, co pani robi – powiedziała – jest dla nas bezcenną reklamą”. Jakby tego było mało, biuro prasowe instytutu opublikowało komunikat o wspólnych działaniach z FBI, a „Albuquerque Journal” go przedrukował. Oczywiście wiele szczegółów pominięto, w tym złoty krzyż, Wysoką Samotnię i samo ciało, mimo to artykuł był bardzo pochlebny.

Usiadła z tyłu sali. Jakiś Lathrop omawiał właśnie technikę rekonstrukcji twarzy, korzystając z PowerPointa i zdjęć zmarłego.

– Zastosowaliśmy metodę, którą Taylor i Angel opisali w *Identyfikacji twarzoczaszki w medycynie sądowej* – mówił z brytyjskim akcentem, stojąc obok fotografii odtworzonej twarzy. – Naszym zdaniem daje ona lepsze rezultaty niż kryminalistyczna analiza komputerowa. Zgodzi się pani ze mną, agentko Swanson?

Corrie krótko kiwnęła głową, a on kliknął pilotem, pokazując następny slajd.

– Ustaliliśmy, że zmarły był wychudzonym mężczyzną w wieku pięćdziesięciu kilku lat, że miał łysinę na czubku głowy i skórę szorstką od długiego przebywania na słońcu. Podczas pracy wzięliśmy to wszystko pod uwagę, dodając zmarszczki, włosy oraz mocną opaleniznę. Uważam,

że osiągnęliśmy znakomite rezultaty, czego dowodem jest to, że już go wstępnie zidentyfikowano.

Rozejrzał się.

– Czy są pytania?

Podniósł się las rąk. Lathrop wskazał jakiegoś mężczyznę.

– Dobrze, ale czy to było morderstwo?

Corrie chciała odpowiedzieć, ale Lathrop nie dopuścił jej do głosu.

– Na razie to nic pewnego. Przynajmniej z kryminalistycznego punktu widzenia.

– Ale czy jest to już oficjalna sprawa? – spytał ktoś inny.

Tym razem odpowiedziała Corrie.

– Tak, oficjalna i zatwierdzona przez górę.

Padło jeszcze kilka pytań na temat konkretnych sposobów i technik, których Lathrop użył podczas rekonstrukcji. Ten odpowiedział na nie z polotem i afektowaną pewnością siebie.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedziała stojąca tuż obok niego Corrie, kiedy pytania zaczęły się powoli kończyć.

Lathrop skinął jej głową i z szerokim uśmiechem wrócił na swoje miejsce. Corrie przejęła pałeczkę.

– Wczoraj szeryf Watts i ja pokazaliśmy te zdjęcia kilku sędziwym mieszkańcom okolic Socorro i wstępnie zidentyfikowaliśmy zmarłego jako Jamesa Doolina Gowera. Na razie mamy tylko jego nazwisko, ale zamierzamy potwierdzić jego tożsamość i zbadać szczegóły jego życia. Chciałabym teraz przedstawić państwu doktor Norę Kelly, starszą kustoszkę z Instytutu Archeologicznego w Santa Fe. Doktor Kelly wydobyła zwłoki z ziemi i zbadała znaleziony przy nich artefakt. Pani doktor?

Nora weszła na podium. Ona też przygotowała krótką prezentację i rozpoczęła ją, biorąc od Corrie pilota. Z biegiem lat instytutowe wykłady stały się jej drugą naturą, dlatego zdenerwowanie, które odczuwała na myśl, że ma wystąpić w sali pełnej agentów FBI, szybko minęło.

Wyświetliła pierwszy slajd przedstawiający złoty krzyż leżący na czarnym aksamicie. Krzyż intensywnie błyszczał i przez salę przetoczył się cichy pomruk.

– Doktor Orlando Chavez i ja zbadaliśmy to znalezisko i mamy już wstępne wyniki. Krzyż pochodzi z okresu hiszpańskiego imperium kolonialnego, sprzed powstania Indian Pueblo, czyli z lat 1598–1680. Wykonano go prawdopodobnie w Nowym Świecie, ponieważ zarówno kruszec, jak i kamienie pochodzą właśnie stamtąd.

Pokazała następny slajd, zbliżenie osadzonego na krzyżu turkus.

– Ustaliliśmy, że turkus pochodzi z kopalni Chalchihuitl na wzgórzach Cerillos na południe od Santa Fe, która była kiedyś ich głównym źródłem. Ma bardzo charakterystyczny bladozielony kolor i fakturę. Pochodzenie pozostałych kamieni jest trudniejsze do ustalenia, ale nefryt prawie na pewno wydobyto w środkowym Meksyku. Krzyż jest wyjątkowo precyzyjnie wykonany i prawdopodobnie wyszedł spod ręki mistrza złotnictwa z Mexico City. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że jakiś ksiądz czy zakonnik przywiózł go do Nowego Meksyku jako osobistą relikwię.

Pokazała kolejne zdjęcie.

– Na krzyżu są dość niezwykłe cechy probiercze, które moi koledzy z instytutu obecnie badają.

Powoli zbliżała się do końca prezentacji.

– Ponieważ są państwo funkcjonariuszami organów ścigania, zapewne zainteresuje państwa fakt, że ten artefakt nie figuruje w żadnych katalogach archeologicznych i nie zachowały się żadne wzmianki o jego pochodzeniu. Nie należy do żadnej znanej nam kolekcji prywatnej i nie zgłoszono jego kradzieży. Na razie możemy powiedzieć tylko tyle, ale kiedy rozszyfrujemy cechy probiercze, będziemy wiedzieli dużo więcej. Dziękuję.

Do podium podeszła Corrie.

– My również bardzo dziękujemy, pani doktor. Czy są jakieś pytania?

I znów podniosło się kilkanaście rąk.

– Ile ten krzyż jest wart?

– Z historycznego punktu widzenia to bardzo rzadki artefakt. Nigdy dotąd takiego nie widziałam.

– A na wolnym rynku? Czy może pani podać jego wartość pieniężną?

– W grę wchodziłaby zapewne sześciocyfrowa kwota.

– Wspomniała pani o powstaniu Indian Pueblo? Co to takiego?

Już przed prezentacją Nora zastanawiała się, jak dużą wiedzę historyczną mają ci ludzie. Rozejrzała się po sali i zdała sobie sprawę, że większość pochodzi pewnie z innych części kraju i nic na ten temat nie wie.

– Dobre pytanie – odparła. – Pozwólcie, że pokrótce zapoznam was z kontekstem historycznym. Pierwsi Europejczycy osiedlili się w Nowym Meksyku w 1598 roku. Kolonistów oraz grupę towarzyszących im franciszkanów przywiózł tu hiszpański konkwistador Don Juan de Oñate, który niemal zaraz po przybyciu wyruszył na podbój kraju. Wraz z nim w drogę wyruszyli franciszkanie, których celem była chrystianizacja Indian Pueblo mieszkających nad Rio Grande. Zakonnicy budowali w ich osadach kościoły misyjne, które musiały być wyposażone w stosowne rekwizyty, takie jak krzyże, dzwony, kielichy czy posągi Maryi Panny. Dlatego wielu złotników z Mexico City zaczęło je wytwarzać i wysyłać do kościołów rozrzuconych wzdłuż północnej granicy. Ponieważ kopalnie dostarczały mnóstwo złota, srebra i drogich kamieni, niektóre z nich były naprawdę wspaniałe i prosto z Mexico City wędrowały w głąb kraju. Uważamy, że było tak również w przypadku tego krzyża. Jest bardzo wytarty, dlatego zakładamy, że nie stał czy nie leżał w kościele, tylko nosił go jakiś zakonnik.

W 1680 roku Indianie wznieśli bunt, podczas którego zabili czterystu osadników i bardzo wielu franciszkanów, a pozostałych Hiszpanów wypędzili z Nowego Meksyku. To było właśnie powstanie Indian Pueblo. Buntownicy zaczęli zacierać wszelkie ślady hiszpańskiej okupacji. Niszczyli domy, palili kościoły, roztrzaskiwali krzyże i burzyli posągi. Każdego, kto został ochrzczony, rytualnie oczyszczali. Unieważnili wszystkie małżeństwa

zawarte przed obliczem zakonników. Dlatego tak trudno jest dzisiaj znaleźć coś, co ocalało z tej czystki, zwłaszcza coś zrobionego ze złota.

Ktoś spytał:

– Dlaczego zwłaszcza ze złota?

– Pueblo doszli do przekonania, że złoto jest przeklętym kruszcem, który doprowadzał Hiszpanów do szaleństwa, metalem, który zmuszał Indian do niewolniczej pracy w kopalniach. Mówi się, że zatarasowali je i zamaskowali, żeby Hiszpanie nie mogli ich ponownie otworzyć, gdyby kiedyś wrócili. Konkwistadorzy rzeczywiście wrócili, w 1692 roku, lecz niektórych kopalń do dziś nie udało się odnaleźć.

Poziom podekscytowania i zainteresowania wśród obecnych na sali wyraźnie wzrósł. Złoto, pomyślała Nora. Magiczne słowo.

– Więc jakim cudem ten krzyż wpadł w ręce kogoś, kto zmarł w 1945 roku?

– Nie wiemy.

– Musiał go skądś wziąć.

– Krzyż mógł być przekazywany z pokolenia na pokolenie w jego rodzinie. Mężczyzna mógł go również znaleźć albo ukraść. Jak już mówiłam, nie dysponujemy żadną dokumentacją dowodową, oprócz cech probierczych, o których również wspominałam. Jest całkiem możliwe, że nigdy nie dowiemy się, skąd pochodzi.

Podniosło się jeszcze więcej rąk i salę wypełnił gwar podekscytowanych głosów. Wstał Morwood. Podniósł do góry ramiona i ręce jego podwładnych jedna po drugiej opadły. Gwar ucichł.

– Chciałbym wam przypomnieć, że mówimy o śledztwie w sprawie potencjalnego zabójstwa. Ten złoty krzyż jest intrygujący, ale nie tracimy z oczu sedna sprawy. Nawet jeśli było to zabójstwo, nie ma powodów, aby łączyć krzyż ze śmiercią tego człowieka. Dla mnie dużo ważniejsze są ślady przemocy: pęknięta czaszka, złamane żebra i kula w głowie jego muła. To nie krzyż, ale właśnie te ślady pozwolą nam ustalić, czy mamy do czynienia z zabójstwem.

Morwood spojrzał na Corrie.

– Jak poważne były to urazy?

– Szczerze mówiąc, żaden nie był śmiertelny. Nie spowodowałby nawet trwałego kalectwa. Jest całkiem możliwe, że ofiara po prostu spadła z muła.

Ktoś na sali zaśmiał się cicho.

– Nie spieszyłbym się z wyciąganiem wniosków – powiedział Morwood. – Ten człowiek mógł uczestniczyć w jakiejś bójce i doznać znacznie poważniejszych ran. Sprawdziliście to?

– Tak. W jamie otrzewnej wykryliśmy ślady krwotoku. Jego organy wciąż są w laboratorium, ale na razie nic nie wskazuje na urazy wewnętrzne. Wkrótce zrobimy tomografię i uzyskamy konkretniejsze wyniki.

– Świetnie. Doktorze Lathrop? Niniejszym udzielam pochwały panu i agentce Swanson za znakomitą rekonstrukcję twarzy.

– Dziękuję – powiedział Lathrop. – Bardzo dziękuję!

* ... * ... *

Corrie zeszła z podium. Nie mogła uwierzyć, że ten debil przypisał sobie całą zasługę za jej dzieło. Może powinna była zaprotestować, kiedy Morwood delikatnie zasugerował, żeby to ten palant przedstawił rezultaty jej pracy? Zgodziła się, a on bezczelnie się pod nią podszył.

Podeszła do niej Nora.

– Świetna prezentacja, wielkie dzięki.

– Cieszę się, że mogłam pomóc. – Archeolożka przyjrzała się jej uważnie.
– Wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest – wymamrotała pod nosem Corrie, zbierając papiery i chowając laptop do pokrowca.

Kiedy sala opustoszała, podszedł do nich Morwood i uściśnął Norze rękę.

– Bardzo dziękuję za dzisiejsze wystąpienie.

– Nie ma za co.

– Jak sama pani widziała, krzyż wzbudził wielkie zainteresowanie.

– Złoto, drogie kamienie, zaginione kopalnie: to zawsze przykuwa uwagę.

– Czasem aż za bardzo. – Morwood spojrział na Corrie. – Świetna rekonstrukcja.

– Musi pan wiedzieć, że Lathrop ukradł...

Morwood podniósł rękę.

– Doktor Lathrop jest światowej klasy ekspertem od odróżniania czaszki konia od czaszki muła. To chcesz powiedzieć? Bo nie zamierzam wysłuchiwać żadnych skarg.

Corrie zaczerwieniła się i umilkła.

– Dam ci małą radę – dodał szef. – Dziel się swoimi osiągnięciami z innymi, nawet jeśli na to nie zasługują, a twoja kariera w cudowny sposób rozkwitnie. – Nachylił się ku niej. – Dobrze wiem, kto przeprowadził tę rekonstrukcję, a to ja tu się liczę.

– Tak jest.

Spojrział na Norę.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym porozmawiać z Corrie na osobności.

– Oczywiście.

Archeolożka wyszła i zostali sami. Na twarzy Morwooda zaczęły się zbierać ciemne chmury.

– Brad Huckey – rzucił.

Corrie skrzyżowała ręce.

– Tak?

– Dogadywanie się z ludźmi ma kapitalne znaczenie, nawet z ludźmi trudnymi. Rozmawialiśmy o tym wiele razy. FBI przykłada wielką wagę do utrzymywania dobrych stosunków z przełożonymi i podwładnymi. Nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów z osobnikami nieprzyjemnymi, zdegenerowanymi, ohydnyimi, a nawet ze zbrodniczymi kryminalistami leży w naturze naszej pracy.

Corrie zalała falą gniewu.

– Co dokładnie Huckey panu powiedział?

– Że jesteś trudna we współpracy, niekooperatywna i obelżywa, ale przyjmij to z rezerwą.

Corrie czekała na ciąg dalszy.

– Coś jeszcze?

– Że źle zidentyfikowałaś jakąś kość i naruszyłaś obowiązujące go procedury.

– I co? I uwierzył mu pan?

Nie chciała przybierać tak prowokacyjnego tonu i jej pytanie chyba go zaskoczyło.

– Nie, jednak do pewnego stopnia świadczy to o tym, że poniosłaś porażkę i się z nim nie dogadałaś.

Wzięła głęboki oddech.

– Nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów z osobnikami nieprzyjemnymi, zdegenerowanymi, ohydnyimi, a nawet ze zbrodniczymi kryminalistami zupełnie mi nie przeszkadza...

– Bardzo się cieszę, ale...

– Ale nie zamierzam tolerować typów takich jak on. Przepraszam, ale to zasadnicza różnica. Od samego początku Huckey był głośny i arogancki. Obrażał mnie i wypowiadał pod moim adresem seksistowskie uwagi. Traktował mnie z pogardą, próbował zdyskredytować mnie w oczach szeryfa Wattsa, a kiedy weszliśmy do kopalni, zamiast odnieść się z szacunkiem do tragedii, do jakiej tam kiedyś doszło, uznał za stosowne dla kawału upuścić tuż przede mną starą skrzynkę z TNT. Zachowywał się nieprofesjonalnie, od początku do końca. – Wzięła oddech. – Chce pan powiedzieć, że powinnam się na to godzić?

Morwood zmarszczył brwi.

– Cóż, w zasadzie...

– Proszę wybaczyć, ale powiem prosto z mostu: nie zmierzam. Nie będę tego tolerowała ze strony współpracowników, a zwłaszcza tych, którzy formalnie mi podlegają. To podważa mój autorytet jako agentki specjalnej FBI, nie uważa pan?

Zapadła cisza. Morwood długo patrzył na nią bez emocji, wreszcie spytał:

– Naprawdę było aż tak źle?

– Gorzej. Poza tym chcę zauważyć, że byłam skłonna to sobie odpuścić. To on złożył skargę, nie ja.

– Podobno nazwałaś go, między innymi, „cudakiem bez fiuta”. Przyznasz, że to niezbyt profesjonalne.

– Może i nie. Ale jestem przekonana, że gdyby potraktował tak kobietę, wylądowałby w szpitalu.

Z wciąż zmarszczonymi brwiami Morwood powoli pokiwał głową.

– Dobrze. Zgoda. Moi ludzie nie powinni się godzić na takie zachowanie.

– Dziękuję. – Omal nie spytała go, co zamierza z tym zrobić, ale pomyślała, że zabrzmiałoby tak, jakby chciała, żeby dał Huckeyowi reprimendę. Szczerze mówiąc, miała to gdzieś, co się z nim stanie, pod warunkiem że już nigdy nie będzie musiała z nim pracować. Tacy idioci się nie zmieniają.

Szef lakonicznie skinął jej głową i wyszedł, a ona, z walącym w piersi sercem, zebrała swoje rzeczy. Spieprzyła sobie karierę? Czy też dobrze zrobiła, broniąc swoich racji? Nie miała pojęcia i była coraz bardziej dezorientowana. Wiedziała tylko jedno: już nigdy nie odpuści typowi takiemu jak Huckey. Za bardzo kojarzył jej się z tym, czego zaznała w ogólniaku.

Na korytarzu czekała na nią Nora.

– Przepraszam, że tak długo to trwało.

– Nie szkodzi.

– Co teraz robisz?

– Wracam do Santa Fe. A ty?

– Muszę jechać do jakiejś zapadłej dziury i porozmawiać z kimś, kto może być krewnym Gowera – odparła Corrie. I niemal bez zastanowienia dodała: – Pojedziesz ze mną?

– Ja? – spytała zaskoczona Nora. – Po co?

– To długa, nudna podróż i... przydałoby mi się towarzystwo.

Nora długo się wahała. W końcu kiwnęła głową.

– Jasne.

21

JESSE GOWER MIESZKAŁ w otoczonej przez sosny długiej chacie z krytym blachą dachem, z której roztaczał się widok na góry Magdalena. Na podwórku stał rozpadający się kurnik – sądząc po dochodzącym z niego gdakaniu, wciąż zamieszkanym – a obok kurnika zabita deskami szopa na narzędzia. Nora pomyślała, że byłoby tu całkiem ładnie, gdyby podwórka nie zagracały stare samochody, dwie lodówki, pralka, zwoje drutu kolczastego, zniszczona brama z zagrody dla bydła i inne śmieci. Ponieważ Gowerowi wyłączono telefon, Watts zaproponował, żeby pojechali w ciemno, licząc na to, że zastaną go w domu.

Szeryf bardzo ją zaskoczył, bo nie tak go sobie wyobrażała. Wysoki, szczupły, absurdalnie młody i wyluzowany, miał staroświeckie maniere, ale największe wrażenie zrobił na niej jego kowbojski kapelusz. Był to wspaniały resistol z bobrowej skórki, który musiał kosztować grubo ponad tysiąc dolarów. Watts dbał o niego jak o małe dziecko, strzepywał z niego każdy pyłek – i nic dziwnego, bo wyglądał w nim jak młody Gary Cooper. „Agentko Swanson”, „szeryfie Watts” – zastanawiała się, czy coś między nimi nie zaszło, mimo, a może właśnie w powodu niezręcznej oficjalności, którą dostrzegła w ich relacjach.

Była zaskoczona jej propozycją, lecz nie odmówiła. Pojechali razem samochodem szeryfa i Watts parkował właśnie w pewnej odległości od chaty Gowera.

– Trochę zaczekajmy – powiedział. – Lepiej go nie zaskakiwać.

Więc czekali. Czekali i czekali, ale nic się nie działo, nie licząc gdakania i sporadycznych awantur w kurniku.

Po kilku minutach szeryf poprawił się w fotelu.

– Może tu zostańcie, a ja zapukam do drzwi?

– A może to ja zapukam, a wy zostaniecie? – skontrowała Corrie. – Wyglądam mniej groźnie. Pan jest duży, wysoki i w mundurze.

– Ale... – Watts nie dokończył, choć było widać, że jej pomysł mu się nie podoba.

– Mam broń i jestem przeszkolona – dodała Corrie.

– Zastanawiam się – powiedział ze śmiechem Watts – co pomyślą miejscowi, jeśli zostanę w samochodzie, a ten facet panią postrzeli.

– Poruszeni ludzką krzywdą dadzą panu medal za równe traktowanie kobiet.

Corrie wysiadła, podeszła powoli do ganku i przystanęła u stóp schodów.

– Panie Gower! – zawołała. – Jest pan tam?

Nikt jej nie odpowiedział.

Weszła na ganek i zapukała do drzwi.

– Jesse, jest pan tam? Nazywam się Swanson, Corrie Swanson.

Drzwi otworzyły się tak powoli, jakby otwierał je duch. Za nimi ukazał się prawdziwy strach na wróble, upiór w wyblakłym ubraniu, o zapadniętej twarzy i rzadkich, żółtawych włosach związanych w opadający prawie do pasa kucyk. Tego przerażającego wyglądu dopełniały złamany i źle zrośnięty nos oraz kilkudniowy zarost. To wrak człowieka, pomyślała Corrie. Na sto procent ćpun. Bierze metę albo herę. Albo jedno i drugie.

– Jak? – warknął.

– Corrie Swanson, FBI. – Pokazała mu legitymację i wyciągnęła do niego rękę.

Mężczyzna osłupiał.

– Nie, nikogo tu nie wpuszczę. – Zaczął zamykać drzwi.

– Nie szkodzi, spokojnie, nie musimy tam wchodzić. Chcemy tylko zadać panu kilka pytań...

Ale drzwi już się zamknęły i trzasnęła zasuwka.

I co teraz? – pomyślała siedząca w samochodzie Nora.

Watts chciał wysiąść, ale Corrie dała mu znak, żeby został.

– Panie Gower? Znaleźliśmy zwłoki Jamesa Gowera. Przyjechaliśmy porozmawiać.

Cisza.

– Przy zwłokach leżał bardzo cenny przedmiot.

Wciąż cisza.

– Jest pan jego potomkiem? Szukamy prawowitego właściciela tego przedmiotu.

Na te słowa drzwi znów się otworzyły i w progu ponownie stanęło upiorne widmo.

– Jaki przedmiot?

– Jeśli wpuści pan nas na ganek, usiądziemy i porozmawiamy.

Widmo przywołało ich gestem ręki.

Szeryf wysiadł i włożył swój niesamowity kapelusz. Wysiadła i Nora. Weszli na ganek, gdzie stały podarta kanapa i kilka dogorywających krzeseł. Usiedli, Gower na stołku, z kościstymi kolanami wystającymi z dziur w spodniach. Na ganku było chłodno i pachniało sosnami. Jeśli nie zwracać uwagi na te wszystkie śmieci, to naprawdę ładne miejsce, pomyślała znowu Nora.

Przyjrzała się Gowerowi. Miał rozszerzone źrenice i sprawiał wrażenie spiętego. Bardzo spiętego. Ciekawe, jak zdobywał narkotyki na tym odludziu.

– No więc co to za przedmiot? – spytał.

– Proszę najpierw powiedzieć, czy jest pan spokrewniony z Jamesem Doolinem Gowerem.

– Mówiła pani, że jest „cenny”..

– Wszystkiego się pan dowie, kiedy ustalimy, jakie pokrewieństwo łączy pana ze zmarłym. I czy w ogóle łączy.

Oficjalny ton głosu – albo sugestia, że zmarły może nie być jego krewnym – musiał Gowera otrzeźwić.

– Walcie się – rzucił i wstał.

– Dobrze – powiedziała Corrie. – Chodźmy. – Spojrzała na szeryfa. – Wyraźnie widać, że ten człowiek nie ma nic wspólnego ani z Jimem

Gowerem, ani ze znalezionym przy nim złotym artefaktem.

– Ze złotym artefaktem? – powtórzył Gower.

Corrie przeszła go wzrokiem.

– Najpierw muszę wiedzieć, czy będzie pan współpracował.

– Będę. Będę współpracował. – Gower opadł na stołek i po długiej chwili milczenia dodał: – James Doolin Gower był moim pradziadkiem.

Pokazała mu zdjęcie.

Wziął je drżącą ręką.

– Skąd je macie?

– To rekonstrukcja twarzy, którą zrobiono na podstawie czaszki znalezionej w wymarłym górniczym miasteczku kilkanaście kilometrów stąd. Czaszki człowieka wstępnie zidentyfikowanego jako James Gower.

– Świetna robota. Tak, to on.

– Chcę mieć całkowitą pewność. Mam tu jeszcze dwa zdjęcia.

Gower uważnie je obejrzał.

– Tak, to on, na pewno. Zaginął na długo przed tym, zanim się urodziłem, ale widziałem jego zdjęcia.

– Proszę nam o nim opowiedzieć.

– Co tu opowiadać? Miał ranczo w San Andres, kawałek jałowej ziemi. Tak jak wszystkie inne w tej okolicy, rząd je skonfiskował i przyłączył do Białych Piasków, tego poligonu wojskowego.

– Skonfiskował? Rząd?

– Tak, tak. Te sukinsyny zabrały mu ranczo, nie płacąc za nie ani centa, i ostatnie lata życia spędził, próbując zarobić na chleb. Przynajmniej mój ojciec tak mówił. Pradziadek był przekonany, że rząd zabrał mu ziemię, bo coś w niej było, ropa naftowa albo złoto. Kiedy prababcia go zostawiła, zniknął i zaginął po nim wszelki śluch.

– Kiedy zniknął?

– Parę lat po tym, jak ukradli mu ranczo. – Gower zmarszczył czoło. – Z tego, co mówił ojciec, chyba w połowie lat czterdziestych.

– Czy ktoś go szukał?

– Tak, federalni i szeryf skrzyknęli jakichś ludzi. Przez kilka dni szukali, tak na odczepnego, i w końcu zrezygnowali. Więc znaleźliście jego ciało w Wysokiej Samotni?

– Skąd pan wie, że właśnie tam? – spytała Corrie.

– Mówiła pani, że czaszkę znaleziono w wymarłym górniczym miasteczku kilkanaście kilometrów stąd, a kilkanaście kilometrów stąd jest tylko Wysoka Samotnia.

– Tak, zgadza się. Ciało znalazł łowca skarbów.

– Co on tam robił?

– Pana pradziadek? Właśnie to próbujemy ustalić. Nic nie przychodzi panu do głowy?

– Nie, nic a nic. Jak umarł?

– Jeszcze nie wiemy – odrzekła Corrie. – To mogło być zabójstwo albo wypadek. Czy w pana rodzinie krążyły jakieś plotki czy pogłoski na jego temat?

Gower spojrzał na nią podejrzliwie. A może paranoicznie, pomyślała Nora.

– Nie, chyba nie. A więc miał przy sobie coś cennego? Złoty zegarek?

– Złoty zegarek? – powtórzyła Corrie.

– Tak, kieszonkowy zegarek z gwiazdnymi konstelacjami wygrawerowanymi na samozatraskującym się wieczku. Chronograf z funkcją Flyback.

– Z czym? – nie rozumiał szeryf.

– Z funkcją Flyback. W czasach, kiedy go zrobiono, mniej więcej w latach dwudziestych, nazywano je repetierami.

– Dużo pan o nich wie.

Gower wzruszył ramionami.

– Mój ojciec dobrze się na nich znał i lubił je reperować. Ten dużo znaczył dla mojego pradziadka. Jest wart mnóstwo pieniędzy.

– Tak, znaleźliśmy przy nim coś ze złota – przyznała Corrie po chwili wahania. – Ale nie zegarek. Krzyż.

– Krzyż? – Wyglądało na to, że Gower nie potrafi sobie wyobrazić swojego przodka z krzyżem w ręku. – Ile jest wart?

– To też dopiero sprawdzamy.

– Jestem jego jedynym potomkiem. Krzyż należy do mnie. Do prawowitego właściciela. Sama pani powiedziała.

Nora nachyliła się w jego stronę.

– Opowie pan nam coś o historii swojej rodziny? Może naszkicuje pan swoje drzewo genealogiczne? Bardzo by nam to pomogło.

– Mój pradziadek, ten, którego znaleźliście, miał jedno dziecko, Murphy’ego Gowera. Matka zostawiła go i zabrała syna do swojego rodzinnego domu, do tej chaty. Murphy był moim dziadkiem. Odziedziczył to gospodarstwo i poślubił Elizę Horner, moją babcię, z którą miał dziecko: mojego ojca. Ojciec też miał na imię Jesse. Jakiś czas mieszkał w Kalifornii, potem wrócił i ożenił się z Millicent, moją mamą. Próbowali prowadzić ranczo pod Magdaleną i tam spędziłem pierwsze dwanaście lat mojego życia. Potem ranczo diabli wzięli, mama odeszła, a ja dostałem stypendium na Harvardzie. Wyrzucili mnie, kiedy tata umarł.

– Na Harvardzie? – wypaliła Nora.

– Tak, na Harvardzie. Pełne stypendium. Zszokowana? Studiowałem tam dwa lata i świetnie sobie radziłem. – Pierwszy raz twarz Gowera nabrała ludzkiego koloru: pojawił się na niej rumieniec wstydu.

– Proszę mówić dalej – zachęciła go Corrie.

– Pojechałem do Nowego Jorku i zacząłem trochę pisać. Nie wyszło. Musiałem mieć spokój i ciszę, więc wróciłem, żeby napisać powieść. Wciąż nad nią pracuję.

Zapadła cisza.

– Jaki ma tytuł?

– *Bez krwi i kości.*

Znowu zapadło milczenie.

– A potem? – spytała Corrie z nagłym gniewem. – Co się z panem stało?

Na twarzy Gowera wykwitły czerwone plamy.

– Ze mną? Nic. Żyję dalej. Sprzedaję jajka i piszę powieść.

– Od dziesięciu lat?

Gower poruszył się niespokojnie.

– James Joyce pisał *Finneganów* siedemnaście lat.

– Pytałam, kiedy wpadł pan w nałóg?

Gower zerwał się ze stołka.

– Wypieprzać mi stąd! – krzyknął. – Ale już!

Corrie wstała, szeryf i Nora też.

– Niech pan to rzuci – powiedziała Corrie. – Albo pan umrze.

– A mój krzyż? – spytał chrapliwie Gower.

– Będzie pan mógł rościć sobie do niego prawo, kiedy przestanie być potrzebny jako dowód rzeczowy. Pod warunkiem że rzeczywiście jest pan jedynym spadkobiercą i do tej pory nie umrze.

Ruszyli do samochodu i Gower odprowadził ich wzrokiem.

– Chryste – powiedział Watts. – Strasznie go pani sponiewierała. – Starannie powiesił kapelusz na haczyku pod drucianą półteczką, usiadł za kierownicą i spojrzał na nią ciekawie. Nora też – ten wybuch był dla Corrie zupełnie nietypowy.

– Harvard, a teraz to? – rzuciła gniewnie Corrie. – Toż to, kurwa, tragedia! Poza tym... – Zawahała się.

– Poza tym co? – przycisnęła ją Nora.

– Miałam... – Corrie znowu urwała. – Widziałam to samo w mojej rodzinie. I nie toleruję tego gówna.

BETONOWYMI SCHODAMI zeszła do podziemi budynku FBI. Zdawało się, że wszystko wokoło śpi, sam budynek, ciemne okna i opustoszały parking – nic dziwnego, bo była dopiero piąta rano. Obudziła się z koszmarnego snu, powtórki jej spartaczonego strzału, a ponieważ nie mogła już zasnąć, wstała, wzięła prysznic, zjadła batonik z musli i wypła dwie filiżanki kawy, czarnej i mocnej. Potem wsiadła do samochodu i pojechała do pracy. Nie dawał jej spokoju szkielet muła. Badając kości, Lathrop był bardzo zaborczy, więc mogła jedynie zerkać mu przez ramię. Nie wtrącała się, uważając, że ważniejsze są zwłoki Gowera, ale ponieważ wciąż nie znała odpowiedzi na wiele pytań – ciekawiło ją zwłaszcza to, dlaczego muła zastrzelono – postanowiła zbadać szkielet bez tego palanta.

Otworzyła kartą drzwi, weszła do środka i zapaliła światło. Ciasny korytarz był zavalony bardziej niż kiedykolwiek stertami nieotwartych skrzynek i pudeł, które się tam nagromadziły. Dowiedziała się, że to nieustanny problem: rampa rozładunkowa mieściła się tuż za laboratorium, dlatego korytarz i samo wejście stały się z czasem wygodnym miejscem do składowania zamówionych rzeczy, których nikomu nie chciało się rozpakować i szybko przenieść, gdzie trzeba. Sądząc po tym, że najwięcej pudeł pochodziło z hurtowni medycznych i laboratoryjnych, celował w tym zwłaszcza Lathrop.

Przebiła się przez nie i weszła do sali operacyjnej. Sala też była zastawiona wyposażonymi w ruchome wyciągi stołami, noszami na kółkach i podręcznym sprzętem. Na jej końcu stała chłodziarka z kilkoma szufladami. W jednej z nich spoczywały teraz szczątki Jamesa Gowera, w drugiej jego muła. Oślika. Cholera, nigdy nie zapamięta tej głupiej nazwy.

Włożyła fartuch, rękawiczki, maskę i kaptur, przepchnęła pusty stół do chłodziarki i otworzyła szufladę ze szkieletem zwierzęcia. W przeciwieństwie do ciała jego właściciela wystawione na działanie żywiołów ciało oślika uległo niemal całkowitemu rozkładowi. Wyciągnęła szufladę i przeniosła kości na stół, ale przed rozpoczęciem pracy postanowiła zajrzeć na chwilę do szuflady Gowera. Nieobecność Lathropa była bardzo odświeżająca i chciała ponownie obejrzeć zwłoki sama, żeby nikt nie dyszał jej w kark ani nie patrzył na ręce. Zmumifikowane ciało, bez niektórych organów wewnętrznych, wciąż leżało zwinięte w kłębek, z wyciągniętą ręką. I znów uderzyła ją ta nienaturalna pozycja. Było mało prawdopodobne, żeby ktoś taką przyjął, nawet ktoś umierający w męczarniach. No i ta schodząca płatami skóra – czy to na pewno rezultat tego, że trzy czwarte stulecia zwłoki przeleżały w suchym środowisku? To też było dziwne.

Ponownie skupiła uwagę na kościach oślika i postanowiła zacząć od kopyt i nóg; zwierzę mogło zostać zastrzelone, bo okulało albo odniosło jakieś rany. W laboratorium panowała coraz głębsza cisza. Corrie przywykła do pracy w kostnicach i do spoczywających w nich zwłok, ale nigdy nie mogła pozbyć się wrażenia – zwłaszcza wtedy, kiedy była w laboratorium sama, tak jak teraz – że ludzie ci nie są martwi, tylko śpią. Śpią, a czasem budzą się i... nasłuchują.

Odpędziła tę nedorzeczną myśl i kontynuowała badanie gołym okiem. Na kopytach i kościach nóg nie dostrzegła niczego podejrzanego, żadnych oczywistych urazów. Miednica też sprawiała wrażenie nieuszkodzonej. Ale w klatce piersiowej zauważyła coś interesującego. Na trzecim i czwartym tylnym żebrze były jakieś plamki. Ledwo widoczne, wyglądały jak zamazane cienie. Przyjrzała się im i podeszła do stojącej przy wejściu szafki, gdzie przechowywano okulary mikroskopowe. Drzwiczki były oczywiście zatarasowane jakimiś pudłami, które z irytacją podniosła i przestawiła. Wyjęła okulary, ustawiła dwuipółkrotne powiększenie, włożyła je i, poprawiając paski, usłyszała przytłumione popiskiwanie,

ciche, lecz regularne. Czy to podjeżdżający do rampy dostawczak z UPC? Nie, jest za wcześnie. Zamknęła szafkę i zastawiła drzwiczki pudłami.

Oglądając kości pod powiększeniem, stwierdziła, że miała rację. To, co oglądane gołym okiem wyglądało jak cień, pod mikroskopem okazało się dwoma cieniutkimi jak włos równoległymi pęknięciami, które nie zdążyły się zrosnąć. Kolejne urazy powstałe *perimortem* i zastanawiająco podobne do tych na żebrach Gowera. Dziwne. Czyżby obydwaj upadli, on i oślik? Mało prawdopodobne. Poza tym nikt nie zastrzeliłby muła z powodu dwóch mikroskopijnych uszkodzeń kości.

Skupiła się na otworze wlotowym widniejącym dokładnie między oczodołami i wokół jego krawędzi dostrzegła mikroskopijne wgłębienie, co znaczyło, że zwierzę zastrzelono z przystawienia: ktoś przytknął lufę do głowy i pociągnął za spust. Pocisk kalibru 5,5 milimetra miał za małą energię, aby wyjść drugą stroną, więc odbił się kilka razy w czaszce, momentalnie zabijając zwierzę.

Corrie powoli wyprostowała się i zdjęła okulary. Nie znalazła żadnych wskazówek, które podpowiedziałyby, dlaczego zwierzę musiało zginąć. Nogi sprawiały wrażenie zdrowych, a parę drobnych pęknięć na żebrach nie zrobiłoby z niego kaleki. Mogło doznać jakichś urazów wewnętrznych, ale to też było wątpliwe.

Sfrustrowana przykryła szczątki, odsunęła na bok stół i poszła po zwłoki Gowera.

I znowu usłyszała to popiskiwanie. Coraz bardziej zirytowana, tym razem się rozejrzała. Popiskiwanie nie dochodziło zza drzwi prowadzących na rampę, tylko stąd, z laboratorium. Czyżby ktoś zostawił tu telefon z włączonym budzikiem? Bo dokładnie tak to brzmiało, jak ciche, natarczywe popiskiwanie budzika.

Rozejrzała się jeszcze raz i uszy skierowały ją do sterty niedawno dostarczonych przesyłek, tych obok szafki z okularami. Tak, popiskiwanie dochodziło gdzieś stamtąd.

Zaciekawiona ruszyła w stronę pudeł. Drogę zagradzał jej stół ze szkieletem oślika, więc odepchnęła go na bok.

Popiskiwanie ustało, lecz zdążyła ustalić jego źródło: pudełko stojące na wierzchu sterty.

Przez kilka obłąkanych sekund zastanawiała się, czy to nie bomba. Ale nie, przecież to czysta głupota: bomby popiskują tylko na filmach. Zdjęła pudełko i potrząsnęła nim, najpierw ostrożnie, potem mocniej. Przytknęła je do ucha.

Nic. Cisza.

Co jest, do diabła?

Z pudełkiem w ręku podeszła do stołu, aby w świetle lamp przeczytać napis na naklejce. Podeszła i popiskiwanie natychmiast wróciło.

Znieruchomiała. Potem powoli zrobiła krok do tyłu.

Popiskiwanie znowu ucichło.

Ostrożnie podniosła pudełko na wysokość oczu. Przysłała je firma z Michigan, a napis na naklejce głosił:

FOUR-C SCIENTIFIC

12 DOZYMETRÓW ELEKTRONICZNYCH RADEX

DAWKI PROMIENIOWANIA w $\mu\text{SV/h}$ dla β -, α - i w R

(Z bateriami)

Prawie nie myśląc, rozerwała pudełko i zobaczyła dwanaście innych, dużo mniejszych. Otworzyła jedno i wyjęła dozymetr, niewielki, plastikowy aparat z malutkim ledowym ekranem i klamerką, którą przypinało się go do ubrania. Wyciągnęła go przed siebie trzęsącą się ręką i zrobiła krok w stronę stołu ze szkieletem oślika.

Popiskiwanie przybrało na sile i częstotliwości.

Zrobiła drugi krok, potem trzeci. Popiskiwanie stało się tak gwałtowne, że przeszło w głośny jazgot, a ekran zmienił kolor na czerwony i zaczął szybko migać.

– Cholera jasna... – Corrie odeszła od stołu. Jazgot powoli ucichł, a ekran przestał migać.

Wciąż z dozymetrem w ręce minęła stół i podeszła do szuflady ze szczątkami Gowera.

Dozometr znowu zapiszczał, potem zagrzechotał jak kastaniety, by w końcu szaleńczo zajazgotać.

Przeżona Corrie zamarła. Stała tak kilka sekund, potem zrobiła dwa kroki do tyłu, odwróciła się i wybiegła z laboratorium.

23

NORA, POCHYLONA NAD ROZŁOŻONYMI NA STOLE skorupami glinianych naczyń, usłyszała ciche zawodzenie syren. Przerwała pracę. Tak, oczywiście, czasem przejeżdżały tędy policyjne radiowozy, ale te jakby zwalniały. Zawodzenie stało się głośniejsze i miała nieodparte wrażenie, że radiowozy wjechały na instytutowy parking.

Parę minut później rozległo się głośnie pukanie do drzwi, które otworzyły się, zanim zdążyła do nich podejść. Na korytarzu zobaczyła Corrie Swanson, agenta specjalnego Morwooda i swoją dyrektorkę, doktor Weingrau, z zatroskaną twarzą. Za nimi stało dwóch osobników w białych kombinezonach antyradiacyjnych. Mieli ukryte za przyłbicami twarze, znak radioaktywności na piersi, a jeden dźwigał ciężką metalową skrzynkę.

– Co się...?

– Obawiam się – przerwała jej dyrektorka – że FBI przyjechało po nasz krzyż.

Wyrósł za nią Digby z wyciągniętą szyją.

– Uprzedzilibyśmy was, ale zabronił nam... hmm, protokół bezpieczeństwa narodowego.

– Bezpieczeństwa narodowego?

– Wszystko wskazuje na to, że leżący w twoim sejfie krzyż jest radioaktywny.

– Radioaktywny? To jakiś żart?

– Poziom napromieniowania jest prawdopodobnie bardzo niski – dodała szybko Corrie. – Ale to wystarczy, żebyśmy musieli go zabrać i przewieźć do specjalnego magazynu.

Nora wpuściła ich i w ciasnym laboratorium zrobiło się jeszcze ciaśniej. Przynajmniej Digby został na korytarzu.

– Gdzie jest? – spytała Corrie.

Nora wzięła głęboki oddech i spojrzała na Morwooda, który patrzył na nią z nieprzeniknioną twarzą.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, wolałabym najpierw usłyszeć coś konkretniejszego na ten temat. Jakim cudem krzyż mógł...

– Wszystkiego dowie się pani u nas – przerwał jej agent. – Teraz trzeba przenieść go do tej skrzynki.

– Jest w sejfie, zaraz otworzę...

– Nie. Ci ludzie to zrobią. Wszyscy pozostali proszę się cofnąć.

„Ludzie” w kombinezonach podeszli do sejfu i Nora podała im szyfr. Otworzyli drzwi, wyjęli owinięty w skórę krzyż, delikatnie umieścili go w skrzynce – najwyraźniej wyłożonej ołowiem – zamknęli wieko i przekręcili klucz.

Tymczasem Corrie położyła na biurku jakiś dokument.

– Potwierdzenie wydania i odbioru. Podpisz.

Nora podpisała. Wszystko działało się tak szybko.

– Co teraz?

– Zabierzemy krzyż do Albuquerque. Tam zbadamy go dokładnie. Chcesz jechać z nami?

Nora zerknęła na dyrektorkę, a ta kiwnęła głową.

– Koniecznie jedź i o wszystkim melduj. To bardzo niepokojące. Co najmniej.

– Dobra – rzuciła krótko Nora.

* ... * ... *

Wsadzili ją do samochodu FBI. Corrie pojechała przodem, z krzyżem, więc Nora nie mogła jej zadać żadnych pytań. Godzinę później byli już na Luecking Park Avenue i weszli do budynku tylnym wejściem. Ci w kombinezonach truchtem wnieśli skrzynkę do środka. Nora dołączyła do Corrie i Morwooda i we troje poszli za nimi.

– I co, wyrośnie mi teraz druga głowa? – Poirytowana Nora chciała zażartować, ale nie bardzo jej to wyszło. – Leżał w moim sejfie ponad

tydzień. Wyjmowałam go i wkładałam, i nagle wszyscy przechodzą na DEFCON jeden.

– Promieniowaniem nie musisz się martwić – zapewniła ją Corrie. – Jest tylko trochę wyższe niż promieniowanie tła. Przepraszam za to zamieszanie, ale powołali się na ten protokół i nie miałam nic do gadania. Wierz mi, w pierwszej chwili ja też się wystraszyłam. Ale dawka promieniowania nie jest wyższa od tej, którą wchłaniasz, lecąc dwie godziny samolotem na wysokości dziesięciu, jedenastu kilometrów.

– Więc skąd ta histeria?

– Mówiłam: protokół. I przesadna ostrożność. Nawet jeśli promieniowanie jest minimalne, musimy przestrzegać przepisów. Ostatecznie nie wiemy, skąd ten krzyż pochodzi.

– Te przepisy nie przeszkodziły mi zawieźć go do Santa Fe i napromieniować cały instytut! – powiedziała Nora gniewnie, niż zamierzała. Wzięła głęboki oddech. – Przepraszam. Mam w pracy... takie tam małe zamieszanie polityczne.

– Nie przepraszaj.

Przez chwilę szły w milczeniu.

– Po prostu nie rozumiem, jak to możliwe – odezwała się Nora.

– Ja też nie. Wiem tylko, że kości muła, sakwy i wszystko, co ma jakiś związek z ciałem Gowera, jest radioaktywne.

* ... * ... *

Idąc za ludźmi w kombinezonach, zapuścili się w labirynt podziemnych korytarzy o ścianach z pustaków. Szli długo, lecz w końcu zatrzymali się przed jakimiś drzwiami i Morwood wystukał kod na klawiaturze panelu. Kliknął zamek, drzwi otworzyły się i zobaczyli olbrzymi magazyn pełen półek, od podłogi po sufit zastawionych pojemnikami i dziwnymi przedmiotami owiniętymi plastikową folią. Było tam wszystko, od starych zderzaków samochodowych i odciętych kawałków podłogi, po poszatowaną kulami framugę okienną. Obok framugi leżał stary Tommy gun, pistolet maszynowy Thompsona z okrągłym bębniem.

- Magazyn dowodów rzeczowych – powiedziała Corrie.
- Jak muzeum.
- Bo to jest muzeum – odrzekł Morwood. – I tak jak w muzeum, niczego stąd nie wyrzucamy.

Przeszli przez magazyn i stanęli przed błyszczącymi stalowymi drzwiami opatrzonymi znakami ostrzegającymi przed promieniowaniem.

- Tu musimy zaczekać – rzucił agent.

Drzwi otworzyły się z sykiem i w środku automatycznie zapaliło się jaskrawe światło, odsłaniając czyste, proste pomieszczenie. Ludzie w kombinezonach weszli do środka i drzwi się zamknęły.

- Po 11 września – wyjaśnił Morwood – kilka najważniejszych oddziałów terenowych FBI wyposażono w magazyny dowodów radioaktywnych, takie jak ten. Nasz oddział też. – Odchrząknął. – Przejdziemy do biura, żeby omówić tę... hmm, sytuację?

* ... * ... *

Kilka minut później byli już w jego gabinecie. Agent usiadł przy biurku, złożył ręce i pochylił się do przodu.

- No i tak – zaczął z bladym uśmiechem, patrząc to na Norę, to na Corrie.
- Myślę, że naszą pierwszą reakcją można by skwitować prostym pytaniem: co się, do diabła, dzieje?

Zapadła cisza.

- Czy któraś z was domyśla się, jakim cudem ten Gower się napromieniował?

Nikt mu nie odpowiedział.

- Kości, ubranie, szkielet muła... Wszystko jest radioaktywne? – spytała po chwili Nora.

– Tak – potwierdziła Corrie.

- On zaginął siedemdziesiąt pięć lat temu – ciągnęła Nora. – Jak to możliwe, że jego zwłoki...

Nagle urwała, bo w jej głowie zakiełkowała pewna myśl. Spojrzała na Morwooda.

– Mogę spytać, dlaczego wasz oddział znalazł się na liście tych wyposażonych w te radioaktywne magazyny?

Agent posłał jej lekki uśmiech.

– Los Alamos i laboratoria Sandia w Albuquerque, dwa najważniejsze instytuty naukowe zajmujące się badaniem i konstruowaniem broni nuklearnych, podlegają naszej jurysdykcji.

– Los Alamos... – powtórzyła Nora. Kiełkująca myśl przerodziła się w olśnienie tak porażające, że niemal zaparło jej dech w piersi. – Corrie, dokładnie kiedy zaginał Gower?

– Zaraz sprawdzę. – Corrie przewinęła kilka stron na tablecie. – Zaginięcie zgłoszono w lipcu 1945.

Serce waliło Norze jak oszalałe.

– Trinity. W 1945 roku zdetonowano pierwszą bombę atomową. Tu, w Nowym Meksyku, na pustyni, niedaleko Wysokiej Samotni. Sprawdzisz datę?

Corrie weszła do internetu, otworzyła stronę Wikipedii i przeczytała:

– „Trinity (Trójca) – kryptonim pierwszego naziemnego testu broni atomowej przeprowadzonego przez armię Stanów Zjednoczonych o piątej dwadzieścia dziewięć 16 lipca 1945 roku”

Podniosła wzrok.

– W lipcu. Wtedy zaginał Gower.

– Czytaj dalej – ponaglił ją Morwood.

– „Test przeprowadzono na pustyni Jornada del Muerto, pięćdziesiąt sześć kilometrów na południowy wschód od Socorro w Nowym Meksyku, na terenie ówczesnego poligonu bombowo-artyleryjskiego Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych, który jest obecnie częścią poligonu wojskowego Białe Piaski”

Odłożyła tablet. Pokój wypełniła elektryzująca cisza. Po chwili odezwała się Nora.

– A więc Gowera dosięgnął podmuch wybuchu...

– Dosięgnął i zabił – sprecyzowała Corrie. – To wyjaśnia te dziwne urazy, pęknięte żebra, pękniętą czaszkę i schodzącą płatami skórę. Poza tym jego

ubranie jest jakby przypalone.

– Właśnie, przypaliła je wysoka temperatura.

– I pęknięcia na żebrach muła! Napór fali uderzeniowej musiał być potężny, prawdopodobnie powalił i jego, i jego zwierzę.

– Tak. Gower nie mógł być w centrum wybuchu, boby wyparował. Ale musiał być na tyle blisko, że doznał tych urazów. Przeżył, lecz wchłonął olbrzymią dawkę promieniowania. Zdołał wrócić do Wysokiej Samotni i tam umarł.

– A przedtem zastrzelił muła – dodała Corrie. – Nie chciał, żeby zwierzę cierpiało.

Morwood usiadł wygodniej.

– Niesamowite. Człowiek, który zginął podczas wybuchu pierwszej bomby atomowej. Tyle lat nikt o tym nie wiedział... – Zamyślony postukał palcami w blat biurka. – Ponieważ doszło do tego na poligonie wojskowym, podczas próby nowej broni, musimy wciągnąć w to wojsko. Dlatego proponuję, żeby zapoznać z naszymi odkryciami dowództwo Białych Piasków. – Zerknął na Norę. – To są poufne informacje, pani doktor. Proszę nie mówić o tym kolegom z instytutu, przynajmniej na razie.

Nora kiwnęła głową. Zastanawiała się, jak przyjmie to dyrektorka, kiedy w końcu się dowie.

– Ale co go tam zagnało? – myślała na głos Corrie. Co on tam, do diabła, robił?

– Właśnie to musi ustalić twoje śledztwo – odrzekł Morwood.

TU JEST JAK W MIEŚCIE, pomyślała Corrie, gdy minąwszy posterunek kontrolny, wjechali między zalane słońcem blaszane baraki i otynkowane budynki stojące na płaskiej, pustynnej równinie. Centrum dowodzenia poligonu wojskowego Białe Piaski. Ona, Morwood i Nora przyjechali tu czarnym SUV-em, których FBI miało chyba niewyczerpany zapas. Watts jechał za nimi swoim samochodem. Morwood wprowadził go w sytuację i szeryf nie ukrywał zaskoczenia.

Przed bramą czekała na nich eskorta, dwóch żołnierzy w otwartym jeepie. Minęli kilka bloków mieszkalnych, wieżę ciśnień, pole golfowe, baterię białych talerzy radarowych i w końcu dojechali na miejsce, do otynkowanego na biało niskiego, płaskiego budynku. Zaparkowali na parkingu zarezerwowanym dla dowództwa.

Corrie wysiadła i głęboko odetchnęła. Fala wczesnopaździernikowego upału przybrała na sile i było chyba z czterdzieści stopni w cieniu. Nad asfaltem drżało powietrze, a na rozciągającej się za kompleksem pustyni wirował słup piasku. Chociaż mające na horyzoncie góry były wyniosłe i dramatycznie spektakularne, nie nazwałaby tego miejsca ładnym.

Za drzwiami czekał na nich kolejny żołnierz i zbawienna klimatyzacja. Przeszli przez punkt kontrolny i żołnierz poprowadził ich długim korytarzem.

Kiedy weszli do gabinetu, dowódca bazy wstał.

– Generał Mark McGurk. – Wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę.

Corrie była zaskoczona, bo nie tak wyobrażała sobie generała. Po pierwsze, McGurk był niski i miał okrągłą twarz. A po drugie, zamiast w wyjściowym był w wygniecionym mundurze polowym i gdyby nie

czarna gwiazdka na kieszonce na lewej piersi, nigdy w życiu nie pomyślałaby, że stoi przed nią prawdziwy generał.

– To jest moja adiutantka – powiedział, kiedy uścisnęli sobie ręce. – Porucznik Woodbridge.

W przeciwieństwie do niego porucznik Woodbridge była ciemnoskóra, szczupła, elegancka i co najmniej piętnaście centymetrów wyższa do generała.

Usiedli na krzesłach ustawionych przed biurkiem. Gabinet był bardzo funkcjonalny. Na biurku stały zdjęcia dzieci i jakieś kobiety – pewnie jego rodziny, pomyślała Nora – na ścianach wisały plakietki, dyplomy pochwalne oraz zdjęcia pocisków raketowych w różnych fazach prób, stojących na wyrzutni, startujących i eksplodujących. Biurka strzegły dwie flagi, amerykańska i żółta flaga Nowego Meksyku, z ikonicznym czerwonym słońcem.

– Muszę przyznać, że ta wiadomość bardzo mnie zaskoczyła – powiedział generał, siadając. – Pomyśleć tylko: szczątki kogoś, kto zginął podczas testu Trinity. Kiedy przekazałem ją przełożonym, wzbudziła wielkie zainteresowanie. I niepokój. Chociaż doszło do tego siedemdziesiąt sześć lat temu, jest to oczywiście tragedia, która jednak, co też jest oczywiste, na pewno nie przysporzy nam reklamy. Zdajemy sobie sprawę, że wszystko, co jest związane z tego rodzaju bronią, musi wzbudzać kontrowersje.

– Mamy podobne obawy – przyznał Morwood. – Między innymi dlatego utrzymujemy to w tajemnicy.

– Bardzo mądrze. Chciałbym podziękować FBI, że tak szybko nas zawiadomiło. Bardzo to doceniamy.

– Przynajmniej wiemy już, że to nie było zabójstwo. Ale kilka aspektów tej sprawy wciąż trzeba wyjaśnić.

Generał lekko skinął głową.

– Prowadzi ją agentka specjalna Corinne Swanson – dodał Morwood. – Zapozna pana ze szczegółami.

McGurk przeniósł na nią wzrok i choć zachował kamienną twarz, Corrie wyczuła, że jest zaskoczony. Pewnie zbiły go z tropu jej płeć i wiek.

– Dziękuję. – Wyjęła z teczki gruby skoroszyt i położyła go na biurku. – Skopiowałam dla pana wszystkie najważniejsze dokumenty i raporty.

– Bardzo dziękuję.

Zwracała się do wpływowego, lecz bezpośredniego człowieka, więc starała się mówić z przekonaniem, spokojnym, opanowanym głosem.

– Pozwoli pan, że najpierw streszczę pokrótce nasze dotychczasowe ustalenia, a potem, jeśli pan się zgodzi, chciałabym zadać kilka pytań.

– Naturalnie.

Zaczęła od łowcy skarbów, strzelaniny z szeryfem Wattsem i odkrycia zwłok.

– Wydobyła je doktor Kelly. Niemal natychmiast pojawiło się wiele zastanawiających niejasności, których większość wyjaśnił fakt, że człowiek ten przebywał w pobliżu miejsca eksplozji bomby atomowej. – Powiedziała mu o pękniętych kościach, o skórze schodzącej z ciała jak prastare płótno z mumii i o przypalonym ubraniu. Mówiąc, przerzucała kartki skoroszytu i pokazywała fotografie.

– Największą niespodzianką było to, że miał przy sobie bardzo cenny przedmiot. – Pokazała zdjęcie krzyża i generał przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

– Pochodzi najprawdopodobniej z okresu wczesnego hiszpańskiego imperium kolonialnego, sprzed 1680 roku. Doktor Kelly badała go w Instytucie Archeologicznym w Santa Fe, dopóki nie okazało się, że jest radioaktywny.

– Złoty krzyż... – powiedział McGurk. – Wiadomo, skąd się tam wziął?

– Nie – odparła. – Przynajmniej na razie. Nic nie wskazuje na to, że został skradziony.

Generał pokiwał głową.

– To właściwie wszystko. – Corrie zerknęła na Norę. – Pani doktor, czy ma pani coś do dodania?

– Tak, dziękuję. Próbujemy rozszyfrować dość niezwykle cechy probiercze na krzyżu, które mogą nam zdradzić dokładne miejsce jego pochodzenia, a nawet nazwę manufaktury. To szczerozłoty artefakt, bardzo kunsztownie wykonany. Jesteśmy prawie pewni, że zrobiono go w Mexico City na początku siedemnastego wieku i szlakiem Camino Real przywieziono do Nowego Meksyku.

– Cóż, życzę powodzenia – powiedział z uśmiechem generał. – Ale czy zidentyfikowaliście już tego człowieka? I, co interesuje nas dużo bardziej, ustaliliście, co robił na pustyni rankiem 16 lipca 1945 roku?

– Nazywał się James Doolin Gower – odparła Corrie. – Jego rodzina miała ranczo u stop gór San Andres, gdzie się wychował. W 1942 roku rząd przejął te tereny i zostali eksmitowani. Nie wiemy dokładnie, co potem robił, ale kiedy przeprowadzano próbę z bombą, przebywał najpewniej w pobliżu rodzinnego domu.

Na twarzy McGurka pojawił się przeblysł rozpoznanie.

– Gower? Z Gowerów, którzy mieli dom niedaleko miejsca testu Trinity? Nazywamy je ranczem Gowera.

– Zgadza się – potwierdził Morwood.

Generał pokręcił głową.

– A niech mnie! Z tym domem wiąże się kawał historii. Uczestnicy projektu „Manhattan” mieli tam warsztat. Noc przed wybuchem spędził tam doktor Oppenheimer i kilku innych. – Zmarszczył czoło. – Dobrze znam historię Trinity, ale nie pamiętam, żeby schwytano wtedy jakichś intruzów. Oczywiście to bardzo rozległy, pusty teren. Myślicie, że kiedy wybuchła bomba, Gower wracał do domu?

– Dobre pytanie. Wiemy, że eksmisja bardzo go zdenerwowała.

– Tak jak większość tamtejszych farmerów. Nic dziwnego, zapłacono im marne grosze. Po latach to naprawiono, ale za długo to trwało.

– Czy w archiwach Białych Piasków zachowały się jakieś informacje na temat przejęcia rancza Gowerów?

– Nie wiem na pewno, ale rząd prowadził szczegółową ewidencję. Jeśli się zachowały, jak najszybciej je wam prześlę.

– I mówi pan, że na poligonie nie schwytano wtedy żadnych intruzów? Nie było innych rannych?

– Były roszczenia prawne ze strony ludzi mieszkających na granicach poligonu, którzy zachorowali później na raka. Wszystkie rozstrzygnięto polubownie wiele lat temu. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Czy Gowerowie też wnieśli roszczenie?

– Mogę to sprawdzić. – McGurk spojrział na swoją adiutantkę, która robiła notatki. – Proszę nadać temu najwyższy priorytet.

– Tak jest.

– I ostatnie pytanie – zakończyła Corrie. – Czy moglibyśmy zobaczyć dom Gowerów?

Morwood zerknął na nią z ukosa – celowo mu o tym nie wspomniała, na wypadek, gdyby zabronił jej o to prosić – ale generał skinął głową.

– Dlaczego nie? O ile wiem, zachował się w całkiem dobrym stanie, ze wszystkimi meblami i całą resztą. Dbano o niego bez konkretnego powodu. Podejrzewam, że w tamtych czasach pozbywanie się niepotrzebnych rzeczy uważano za niedogodność. Teraz rzadko tam bywamy. Parę razy wymieniono chyba dach, ale poza tym nic się tam nie zmieniło.

– Kiedy moglibyśmy pojechać?

– Dlaczego nie choćby zaraz? – Generał zwrócił się do swojej adiutantki.

– Proszę podstawić dwa jeepy z kierowcami. – Przeniósł wzrok na Corrie. – To kawałek drogi, prawie pięćdziesiąt kilometrów w jedną stronę, ale zobaczymy sporą część poligonu i piękne góry. Niewielu może to miejsce oglądać.

WYRUSZYLI DWOMA JEEPAMI. Corrie siedziała z przodu tego, który prowadził generał, a z tyłu siedzieli Watts i Nora. Miejsca w drugim zajęli Morwood i adiutantka McGurka.

Jechali na północ dobrze utrzymaną żwirówką biegnącą u podnóża gór, przez krainę nie tylko piękną, ale i dziewiczą.

– Gdzie są leje po bombach? – spytała Corrie.

Generał roześmiał się ponad szumem powietrza.

– To największy poligon wojskowy w Stanach Zjednoczonych. Jest jak Rhode Island i Delaware razem wzięte. Obszar, na którym przeprowadzamy testy, zajmuje tylko jedną dziesiątą jego powierzchni. Mamy tu najlepiej zachowane krajobrazy na całym Południowym Wschodzie.

– Jak to możliwe?

– Gdy w 1942 roku przejęliśmy te tereny, całkowicie ustał wypas zwierząt i ziemia powróciła do swego pierwotnego stanu. Dlatego w zasadzie patrzy pani w przeszłość, na Nowy Meksyk z czasów, kiedy nie było tu jeszcze bydła. Gdybyśmy dojechali do granic poligonu, zobaczyłaby pani różnicę. Po jednej stronie sięgająca do pasa trawa, a po drugiej same kaktusy, biegacze stepowe i pustynne zielsko. Dwa wieki wypasania niemal całkowicie zniszczyły pierwotną roślinność.

– Nie do wiary, tu jest jak w Afryce.

– Bo to jest Afryka. Na całym Zachodzie nie znajdzie pani lepiej zachowanych łąk. Jeśli będzie się pani czujnie rozglądała, może zobaczy pani nawet oryksa.

– Oryksa?

– Dużą antylopę z długimi, prostymi rogami. W latach trzydziestych uciekły z jakiejś farmy, a ponieważ nie muszą pić wody, żyją tu jak w raju.

Generał okazał się miłym, otwartym gawędziarzem – no i sam prowadził – więc początkowe onieśmienie powoli minęło i Corrie nabrała odwagi.

– Proszę wybaczyć moją ignorancję, ale co się tu właściwie dzieje?

– To pytanie jest proste tylko z pozoru. Od czego by tu zacząć? Opracowaliśmy tu wiele pocisków krótkiego i dalekiego zasięgu, poczynając od niemieckiego V-2, zaraz po wojnie. Potem były vikingi, pociski Nike i raketowy system antybalistyczny Patriot. Dzisiaj testujemy bardzo dużo dronów we współpracy z bazą lotniczą Holloman, naszym sąsiadem zza miedzy. Mieści się tu również port kosmiczny z dwoma gigantycznymi pasami startowymi, na których lądowały kiedyś nasze promy, oraz awaryjne lądowisko dla orbiterów. Szkolimy też astronautów. No i polujemy z raketowymi psami.

– Z jakimi? – nie zrozumiał szeryf.

– Pociski nie zawsze zachowują się tak, jak byśmy tego chcieli, zwłaszcza podczas prób. Czasem eksplodują w powietrzu, rozpadają się i spadają, a radary nie widzą ich szczątków. Piekielnie trudno je znaleźć, nie mówiąc już o tym, że potrafią wbić się głęboko w ziemię. Dlatego najważniejsze części opryskujemy tranem z wątroby rekina i kiedy dochodzi do eksplozji, wsadzamy do śmigłowca psy z przewodnikami, przierzucamy je w ten rejon i one błyskawicznie wszystko przeczesują.

– Niesamowite – powiedziała Corrie. Tran z wątroby rekina. Kto by pomyślał?

Generał okazał się prawdziwą skarbnicą wiedzy i było oczywiste, że lubi opowiadać o swoim poligonie. Wiedziała również, że czasem dochodziło do tarć między FBI i wojskiem i wyczuła, że mówiąc lekkim tonem, próbuje ją uspokoić.

Góry piętrzyły się teraz nad nimi, purpurowe w jesiennym świetle, a droga skręcała w długi kanion.

– Przejeżdżamy przez Narodowy Rezerwat Przyrody San Andres – powiedział McGurk. – Po drugiej stronie jest Jornada del Muerto, gdzie testowano pierwszą bombę. Podnóża gór są piękne, ale pustynia to piekło.

Droga lekko się wspięła i za przełęczą, z której roztaczały się niezapomniane widoki, zjechali między trawiaste wzgórza. Skręcili na północ.

– A tam jest Hembrillo Basin. – Generał wskazał na prawo. – Miejsce największej bitwy, którą w 1840 roku kawaleria stoczyła w wojnie z Apaczami pod wodzą słynnego Victoria. Po naszej stronie walczyli równie słynni Buffalo Soldiers, czarni żołnierze z Dziesiątego Regimentu Kawalerii. Cały ten teren leżał w samym środku krainy Apaczów i był ich warownią, ale Amerykanie wyparli ich stamtąd i wypędzili do Meksyku, gdzie Victorio zginął.

– Widać, że zna pan miejscową historię – zauważyła Nora.

– Jakim byłbym dowódcą, gdybym nie znał? Ale to prawda, historia, zwłaszcza Zachodu, jest moim hobby. Poza tym spójrzmy prawdzie w oczy: to jest poligon i ośrodek badawczy, a nie wysunięte stanowisko ogniowe, dlatego między okazjonalnymi kryzysami znajduję trochę czasu na lekturę. Historia nauczyła mnie kilku twardych prawd. Ci Apacze walczyli o swoją ziemię i pod tym względem nie różnili się niczym od naszych przodków, którzy walczyli o niepodległość kraju. Źle z nimi postąpiliśmy, to dla nas wielka hańba... No i proszę. Tam. Stado oryksów!

Corrie spojrzała na wschód. Z oddali obserwowała ich grupa stojących na baczność antylop o długich, smukłych rogach.

– Tu naprawdę jest jak w Afryce – wymamrotała.

– A nie mówiłem? Tu musimy skręcić.

Skręcili w lewo, na wyboistą drogę, i bardzo zwolnili. Droga długo wiła się między niskimi wzgórzami, w końcu wpadła do niewielkiej trawiastej kotliny. Na jej środku stały dom z mocno już zniszczonej niewypalanej cegły, pozbawiona dachu kamienna stodoła i kilka wiekowych zagród.

– Ranczo Gowera – oznajmił generał.

Zaparkowali i Corrie wysiadła. Było tu chłodniej, bo znajdowali się na większej wysokości, a półksiężyc wzgórz po jednej stronie i potężne wyniesienie gór San Andres po drugiej chroniło kotlinę od wiatru i złej pogody. Ze zbocza górującego nad ranczem wzniesienia bił mały strumyk, który przecinał dolinę, zmierzając w kierunku odległej Rio Grande.

Dołączyli do nich Morwood, Nora i adiutantka McGurka.

– Jasny gwint! – Szeryf zdjął kapelusz. – Jak tu ładnie!

– Niczego im nie brakowało – powiedział generał. – Mieli nawet swoje własne gorące źródło. – Wskazał grupę topól rosnących na pobliskim wzgórzu.

– Teraz rozumiem, dlaczego Gower tak się zdenerwował, kiedy ich eksmitowano – odezwała się Nora.

Zniszczoną bramą weszli na podwórko i stanęli przed drzwiami. McGurk wyjął klucz, otworzył je i po kolei weszli do domu, adiutantka na końcu.

W domu było chłodno, pachniało kurzem i starymi tkaninami. Zastony kiedyś zaciągnięto, ale słońce zmieniło je w strzępy i jego promienie wpadały dziurami do środka. Wnętrze było proste, lecz pełne godności. Weszli do sieni, a potem do malutkiego salonu, gdzie stały wygryziona przez szczury kanapa, dwa drewniane krzesła i połamany stół. W kuchni stały wykończony chromem emaliowany piecyk na drewno, drugi stół i krzesło. Jedyne ozdoby były okładki czasopism i wycięte z gazet zdjęcia, oprawione w ramki i powieszzone na ścianach.

– Tu jest jak w kapsule czasu – powiedziała Nora.

– Spójrzcie tylko na to. – Szeryf wskazał górną półkę w saloniku. Rondem do góry leżał na niej nadjedzony przez mole kowbojski kapelusz, a obok kapelusza – stara gra planszowa Parcheesi. Na niższej leżało kilkanaście numerów czasopisma „Life” i egzemplarz „National Geographic”, chyba sprzed 1960 roku, bo bez zdjęcia na okładce.

– Właściwie gdzie testowano tę bombę? – zapytała Corrie.

– Trinity? – odparł McGurk. – Około trzynastu kilometrów na północ stąd. Jak już wspomniałem, noc przed wybuchem spędził tu doktor Oppenheimer. Kto wie, może spał nawet na tej kanapie.

– Więc gdzie jest tablica pamiątkowa? – zapytał Watts i wszyscy się roześmiali.

Potem w ciszy i zadumie długo oglądali stare wnętrze pełne pyłków kurzu żeglujących w powietrzu na promieniach słońca. Corrie zastanawiała się, czy w tym starym domu pozostały jakieś ślady bytności Gowera i tego, co robił tego brzemiennego w skutkach dnia. Lecz nie dostrzegła tam nic oprócz oznak wieloletniego ubóstwa, zaniedbania i porzucenia. W końcu powiedziała:

– Nie rozumiem. Skąd Gower, który, jak z tego widać, był biedny jak mysz kościelna, wziął ten bezcenny krzyż?

– Pewnie znalazł skarb na Górze Victoria – odparł szeryf.

Generał i pozostali stłumili śmiech.

– Zaraz. Jaki skarb? – spytała zaskoczona.

– To stara legenda – wyjaśniła porucznik Woodbridge. – Jedna z bardzo, bardzo wielu. Niektórzy mówią, że na Górze Victoria ukryto miliard dolarów w złocie. Inni, że dwa razy tyle. Mijaliśmy ją po drodze.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Tylko żartowałem – powiedział Watts. – W latach trzydziestych wymyślił tę historyjkę niejaki Doc Noss, który twierdził, że we wnętrzu tej góry natrafił na olbrzymie składowisko złota. Przez resztę życia zbierał pieniądze, kopał i wysadzał skały, ale nie znalazł ani jednego marnego centa.

– Noss był oszustem ze starej szkoły – dodał McGurk. – Znalazł sposób na wyciąganie pieniędzy od ludzi, które przeznaczał jakoby na poszukiwania. Choć trzeba przyznać, że był w tym bardzo, bardzo dobry. W końcu zastrzelił go ktoś, kogo oszukał. Co więcej, zrobił to na zboczu tej góry.

– Ale skąd wiadomo, że tego złota tam nie ma?

– Agentko Swanson – odezwał się Morwood. – W Nowym Meksyku krąży mnóstwo legend o ukrytych skarbach. I dosłownie wszystkie są tylko bajeczkami.

– Ale właściwie co ta legenda mówi? – Corrie była trochę rozzalona, że nikt nie raczył wspomnieć jej o tym rzekomym skarbie.

– Podczas buntu Indian Pueblo – odparł szeryf – hiszpańscy zakonnicy zebrali ponoć wszystkie kościelne kosztowności i kiedy wieźli je do Meksyku, napadli ich Apacze. Zakonnicy zeszli ze szlaku i ukryli skarb w starej kopalni gdzieś w tych okolicach, a potem zatarasowali i zamaskowali wejście. Doc Noss twierdził, że znalazł ich złoto we wnętrzu Góry Victoria, ale przypadkowo pogrzebał je pod skalnym zawaliskiem, poszerzając dynamitem korytarz.

– Kluczowym słowem jest tu „twierdził” – dodał generał. – Czy ktoś wie, ile ważą dwa miliardy dolarów w złocie?

– Sześćdziesiąt ton – odparła jego adiutantka.

– Pani porucznik słyszała, jak bajdurzę na ten temat – powiedział ze śmiechem generał. Posłał jej rozbawione spojrzenie. – Ani słowa więcej! Woodbridge zeszywniała.

– Tak jest.

McGurk przeniósł wzrok na pozostałych.

– Ale ma rację. Sześćdziesiąt ton. Gdyby na każdego muła załadować czterdzieści pięć kilogramów, powstałaby karawana złożona z ponad tysiąca dwustu zwierząt! Nawet gdyby w 1680 roku w całym Nowym Meksyku było tyle mułów, nie ma żadnych dowodów, że Hiszpanie wykopali taką ilość złota na całym Południowym Wschodzie. Co więcej, na Górze Victoria nie ma ani porzuconej kopalni, ani nawet jednego szybu. Chociaż według geologów nie dałoby się tam nic ukryć, szukało go tylu ludzi, że gdyby w tej legendzie było choć ziarno prawdy, na pewno by coś znaleźli.

Powiódł wzrokiem po ich twarzach. Wszyscy milczeli.

– Chyba trochę mnie poniosło, przepraszam. Tak, kiedy tu przyjechałem, ta legenda zafascynowała i mnie. Fascynowała wszystkich. Ale wkrótce się dowiedziałem, że „skarb” z Góry Victoria od samego początku był cierniem w oku Białych Piasków. Noss i jego kamraci dziesięć lat burzyli dynamitem skały i niczego nie odkryli. Nawet po 1942 roku, kiedy teren

ten został zamknięty, wielu poszukiwaczy skarbów, zrzeszonych w różnych spółkach i stowarzyszeniach, wzniecało tęgi raban, chcąc się tam dostać. Cztery czy pięć razy wojsko próbowało uspokoić sytuację, wpuszczając ich na górę. Kopali, wysadzali skały, sondowali je najnowocześniejszym sprzętem i nic nie znaleźli. Dosłownie rozerwali tę biedną górę na strzępy. Szkoda, że nie widzieliście, jak wygląda z powietrza.

Corrie zerknęła na Norę.

– Słyszałaś coś o tym?

– W Nowym Meksyku wszyscy o tym słyszeli – odparła archeolożka z uśmiechem.

– Ach tak... – mruknęła zawiedziona Corrie. – Szkoda, bo pasowałoby to do tego krzyża.

– Lepiej wróćmy do rzeczywistości, dobrze? – powiedział ostro Morwood i Corrie poczuła, że się czerwieni.

Wyszli na dwór, na popołudniowe słońce.

Generał przystanął.

– Porucznik Woodbridge i ja zamkniemy dom, a wy jedźcie przodem.

Corrie, Morwood, Nora i Watts ruszyli w stronę jeepów.

– Agentka Swanson jest niezadowolona – stwierdził Morwood. – Chyba znam już tę minę.

– To tylko stary dom – rzucił szeryf. – Cieszę się, że go widziałem, ale po siedemdziesięciu sześciu latach trudno tam o jakieś niespodzianki.

– Ja też się cieszę – przyznała Nora. – To kawałek historii. A generał poświęcił swój czas, żeby nas tu przywieźć i oprowadzić. Jest bardzo gościnny, bo na pewno miał na głowie ważniejsze rzeczy.

– Może aż nazbyt gościnny – mruknęła Corrie.

– Aha, to tłumaczy tę minę – powiedział Morwood. – Nigdy nie widziałem młodszej agentki bardziej sceptycznej niż panna Swanson. To dobra cecha, choć nie do końca.

– Dziękuję. – Corrie była lekko poirytowana, mimo to próbowała podtrzymać żartobliwy ton tej rozmowy.

Wsiedli do auta, kierowca odpalił silnik i rajski zakątek Gowerów wkrótce zniknął im z oczu.

* ... * ... *

Generał McGurk i porucznik Woodbridge weszli do domu. McGurk przystanął pod oknem, skrzyżował ręce i przez wystrzępione zasłony spojrzał na błękitne góry. Chłonał ten spektakularny widok dobrą minutę. Potem odwrócił się i zniżonym głosem powiedział:

– Trzeba się tym zająć. I to natychmiast.

26

TYM RAZEM, ZAMIAST WEJŚĆ, Corrie wbiegła na zatłoczone drugie piętro Szpitala Prezbiteriańskiego, nie zważając na ludzi, wózki i kroplówki. Zwolniła dopiero na końcu korytarza, gdzie mieścił się pokój Riversa. Jakimś cudem Morwoodowi udało się ją wyprzedzić i czekał już tam wraz z lekarzem, pielęgniarką i dwoma strażnikami leśnymi z Biura Gospodarowania Ziemią, w tym strażnikiem, który podczas jej pierwszej wizyty czytał gazetę i pił kawę. Drzwi do pokoju były uchylone.

– Co się stało? – wysapała zdyszana, podchodząc bliżej.

Sekundę później zdała sobie sprawę, że przerwała ożywioną rozmowę, bo strażnicy, lekarz i Morwood jeden po drugim spojrzeli w jej stronę.

– Nasz aresztant nie żyje – odparł Morwood.

Tego się obawiała. Do szpitala przygnała ją wiadomość, że Rivers, drań, który postrzelił Wattsa, miał atak serca.

– Wiadomo dlaczego? – spytała. – Bo chyba nie umarł od rany w nodze.

Lekarz, mężczyzna o wymizerowanej twarzy i całodniowym zarostie, powoli zamrugął.

– Były pewne komplikacje, dlatego jeszcze go nie wypisaliśmy, ale wszystko wskazuje na to, że doszło do nagłego zatrzymania akcji serca.

Corrie popatrzyła na nich z nadzieją, że ktoś udzieli jej pełniejszej odpowiedzi.

– Do nagłego zatrzymania akcji serca? To bez sensu!

– Cóż – odpowiedział lekarz zmęczonym głosem. – Zawał jest w Stanach najczęstszą przyczyną śmierci z powodów naturalnych.

– Ale jakie komplikacje? Mogły doprowadzić do zawału?

– Choćby infekcja. Ale serce może stanąć zupełnie nagle i niespodziewanie. Pacjent nie był podłączony do kardiomonitora, dlatego

nie wiemy, czy powodem zgonu było migotanie komór, czy choćby utajona arytmia. Miał bardzo wysoki poziom cholesterolu, być może dziedziczny, więc w grę wchodzi także kardiomiopatia. Na pewno wiemy jedynie to, że śmierć nastąpiła na skutek ustania pracy serca.

– Corrie – wtrącił Morwood – zażądaliśmy sekcji zwłok i wkrótce wszystkiego się dowiemy.

Corrie spojrzała na umundurowanych strażników.

– Byliście wtedy na służbie?

– Tylko ja – odparł ten, którego widziała pierwszy raz. Dość niechętnie się do tego przyznał. Na identyfikatorze widniało jego nazwisko: Akime.

– O której to się stało?

– Około piątej rano. Zajrzała do niego pielęgniarka, bo monitor na ich stanowisku wyświetlał dziwne wskazania. Zajrzała i chwilę później wypadła z pokoju. – Zerknął na pielęgniarkę stojącą obok lekarza.

– Zatrzymanie akcji serca – potwierdziła kobieta. – Pacjent był nieprzytomny.

– Natychmiast rozpoczęliśmy reanimację – dodał lekarz – resuscytację krążeniowo-oddechową oraz elektryczną stymulację. Ale zatrzymanie akcji serca musiało wywołać IM, a to z kolei doprowadziło do zgonu.

– IM?

– *Infarctus myocardii*, ostre zapalenie mięśnia sercowego. A kiedy krew przestaje dopływać do mózgu... – Lekarz pokręcił głową.

Zapadła cisza.

– Był w szpitalu – rzuciła gniewnie Corrie. – Mieliście go pilnować.

Lekarz przestąpił z nogi na nogę i jak tonący na koło ratunkowe znów spojrzał na pielęgniarkę.

– To nie jest OIOM kardiologiczny – powiedziała kobieta. – Ani nawet oddział terapii półintensywnej. Pacjent dochodził do siebie po postrzale na oddziale obserwacyjnym, ponieważ nigdzie indziej nie mamy bezpiecznego pomieszczenia. Miał lekką infekcję.

– Bardzo wygodne – mruknęła Corrie.

Morwood położył jej rękę na ramieniu.

– Agentko Swanson? Zapraszam na krótką przechadzkę.

Już miała odejść, ale coś ją tknęło. Spojrzała na strażnika.

– Mogę zobaczyć rejestr odwiedzających?

Strażnik schylił się po podkładkę z klipsem opartą o nogę krzesła. Corrie wzięła ją i dała się Morwoodowi poprowadzić w głąb korytarza. Przechodząc obok drzwi pokoju Riversa, zerknęła do środka. Zobaczyła tylko puste łóżko i zmiętą pościel.

Weszli do niszy przy schodach, jedyne względnie cichego miejsca na zatłoczonym piętrze.

– Wiesz już, co źle zrobiłaś? – zaczął agent z lekką naganą.

Nabrała powietrza.

– Nie. – Domyślała się, lecz roztropniej było zaczekać, aż on to powie.

– Straciłaś zimną krew. Byłaś niecierpliwa. Podważałaś wiedzę lekarza i kompetencje strażników. Nie tak zjednujemy sobie ludzi i zdobywamy ich wsparcie. Pamiętaj, że nie jesteś samotnym wilkiem. Dopóki nosisz tę odznakę, reprezentujesz FBI. Chociaż przyczyna śmierci zdaje się oczywista, przeprowadzimy sekcję zwłok. Wiem, że jesteś na siebie zła, bo nic z niego nie wyciągnęłaś. Ja też jestem trochę zły, ale na ciebie. A teraz zgrzytasz zębami, bo nie będziesz miała drugiej okazji. Ale wyżywając się na innych, niczego nie osiągniesz.

Corrie spojrzała na podłogę i podniosła głowę.

– Ma pan rację, przepraszam. – Naprawdę była na siebie zła? Może, ale postanowiła przeanalizować to potem. – Wiem, że lekarz i pielęgniarka zrobili, co mogli. Ale strażnicy? Nie podobali mi się już wtedy, kiedy byłam tu pierwszy raz. Nie zdziwiłabym się, gdyby spali, kiedy...

– Kiedy co? Kiedy ktoś się tam wślizgnął i jakimś cudem zatrzymał serce tego prostaka? To cud, że w ogóle tak długo pożył. Poza tym słyszałaś, co powiedziała pielęgniarka: trzymano go pod kluczem. Strażnicy mieli wpuszczać do niego tylko uprawniony personel lekarski.

Wskazał podkładkę.

– Ci strażnicy nie są może zbyt rozgarnięci, ale nie masz powodu podważać ich...

– Hej, niech pan spojrzy! – Kiedy Morwood mówił, Corrie trzymała podkładkę, patrząc na górne wpisy, i teraz podsunęła mu ją pod nos.

Szef zmrużył oczy.

– Szeryf Watts, funkcjonariusz aresztujący. Laforge, Biuro Gospodarowania Ziemią, transfer federalny i formalności. Swanson, FBI, przesłuchanie. O ostatnim odwiedzającym wiemy chyba wszystko, prawda?

Corrie postukała palcem w podkładkę.

– Niech pan spojrzy na ostatni wpis.

Morwood zmarszczył brwi.

– Bellingame, Żandarmeria Wojskowa, DSZSZ. Przesłuchanie.

– Co to jest DSZSZ?

– Dowództwo Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych.

– Więc przyjechał tu z Białych Piasków. Po co żandarm przesłuchiwał Riversa?

– Nie przyjechał z Białych Piasków. Najbliższą bazą wojskową DSZSZ jest Fort Bliss, ich sąsiedzi.

– To żadna różnica. Skoro Fort Bliss graniczy z Białymi Piaskami, tworzą jedną całość. Co im do Riversa?

– Nie, Bliss i Białe Piaski są jak noc i dzień. Fort Bliss to dywizje i brygady pancerne, to dowództwo powietrznych sił obronnych. Aha, i jeszcze centrum wywiadu operacji taktycznych. Tajemnica na tajemnicy, więc raczej nie organizują tam wycieczek.

– Mają tym mniej powodów, żeby interesować się Riversem – zauważyła Corrie.

Morwood wziął od niej podkładkę.

– Tracimy tylko czas. Ten żandarm mógł przyjechać z Fort Bliss. Mógł też przyjechać z Fort Bragg. Albo nawet z Fort Knox. – Wyszedł na korytarz i szybkim krokiem ruszył z powrotem do pokoju Riversa. Corrie potruchtała za nim.

Lekarz i pielęgniarka wciąż stali pod drzwiami, ale już się odwracali, żeby odejść. Na widok Morwooda przystanęli. Morwood minął ich

i podszedł do strażnika.

– Akime?

Strażnik stanął na baczność.

– Tak?

Morwood pokazał mu podkładkę.

– Ostatnie nazwisko na liście. Bellingame. Wpuściliście go kwadrans po jedenastej wieczorem.

Akime spojrzał na listę jak na głowę Gorgony.

– Miał pan wtedy służbę?

– Tak.

– Widział pan tego człowieka?

– Tak.

– I wpuścił go pan?

– Powiedział, że ma kilka pytań do aresztowanego.

– Powiedział, z jakiej jest bazy albo kto go przysłał?

– Okazał legitymację służbową. Nie wzbudzała podejrzeń, ale... nie odnotowałem, z jakiej był bazy.

– Nie zażądał pan, żeby pokazał stosowny rozkaz?

– Procedury tego nie wymagają.

Morwood poruszał szczęką.

– Jak długo tam był?

Strażnik potarł czoło.

– Około dziesięciu minut.

– Sam na sam z Riversem?

– Tak.

– Słyszał pan wtedy coś niezwykłego, na przykład ich podniesione głosy?

Długa cisza.

– Nie, nie słyszałem.

– Nie pomyślał pan, że jedenasta wieczorem to dość dziwna pora jak na przesłuchanie?

– Kwestionowanie godziny przesłuchania nie należy do moich obowiązków.

– Zajął pan do aresztowanego po wyjściu żandarma?

– Tak. – Strażnik znowu przestąpił z nogi na nogę. – Kwadrans później. Mniej więcej.

– Co robił Rivers?

– Spał. Tak jak przed przyjściem żandarma.

– Proszę tu zostać. – Morwood ruszył w stronę stanowiska pielęgniarek.

Corrie pobiegła za nim.

– Co pan chce zrobić?

– Co chcę zrobić? Zamierzam dopilnować, żeby zabezpieczyli nagranie z monitoringu. – Wskazał kamerę w kącie korytarza. – I żeby sekcję zwłok przeprowadzono jeszcze dokładniej, niż planowano. Ale nie, nie z powodów, które przedstawiłaś. Ich prośba powinna była przyjść drogą służbową i chcę wiedzieć, dlaczego nie przyszła. Chcę też wiedzieć, o co ten żandarm pytał aresztowanego. – Zawahał się i sztywno dodał: – Udzielam ci pochwały za to, że pomyślałaś o przejrzeniu rejestru odwiedzających.

Jeszcze zanim zawiadomiono ją o śmierci Riversa, zastanawiała się, jak poprosić szefa o coś, na co pewnie się nie zgodzi. I teraz, po tej nieoczekiwanej małej pochwie, uznała, że to dobry moment.

– Jest coś jeszcze...

Morwood już wyjmował telefon.

– Tak?

Wzięła głęboki oddech.

– Chciałabym przeszukać dom Gowera.

– Myślałem, że wczoraj tam ze mną byłaś.

– Nie, chodzi o nakaz przeszukania. Oficjalny.

Szef przestał wybierać numer i powoli opuścił komórkę.

– Po jakiego diabła?

– Uważam, że możemy tam znaleźć dodatkowe informacje o naszych zwłokach. O naszych radioaktywnych zwłokach. Moim zdaniem to

najbardziej obiecujące miejsce.

– Widziałaś ten dom. Od eksmisji Gowerów mieszkało tam wielu ludzi, w tym sam Robert Oppenheimer. Generał mówił, że wymieniono w nim dach. Myślisz, że po pierwszym przecieku? Ta chata przez trzy czwarte wieku znosiła szaleństwa natury, nie mówiąc już o szaleństwach jej wojskowych opiekunów.

Wiedząc, że szef jeszcze nie skończył, Corrie milczała.

– Ale mniejsza z tym. Dużo bardziej niepokoi mnie ten nakaz. Żeby przeszukać obiekt należący do wojska, FBI musi przedstawić im nakaz. To wymóg *pro forma*, ale wymóg.

O tym też wiedziała i właśnie dlatego wahała się, czy go o to poprosić.

– Już o tym rozmawialiśmy – ciągnął. – W jeepie, niecałe dwanaście godzin temu. Generał był tak uprzejmy, że zawiózł nas tam osobiście jako swoich gości. Jak twoim zdaniem zareaguje, jeśli odpłacimy mu za to oficjalnym nakazem przeszukania?

– Myślę, że biorąc pod uwagę nieoczekiwaną śmierć naszego aresztanta i nieznany charakter odwiedzin tego żandarma, zrozumie, że zachodzi taka potrzeba.

– Ale konkretnie czego chcesz tam szukać?

– Żeby odwiedzić swój rodzinny dom, Gower zakradł się do zamkniętej bazy wojskowej. Musiał mieć potężny powód. Ten powód wciąż może tam być. Listy, dokumenty, rzeczy w szufladzie...

Morwood milczał przez chwilę, w końcu, poirytowany, głośno wypuścił powietrze.

– Muszę załatwić kilka telefonów. Dzwoniąc, rozważę twoją prośbę. Ale tylko rozważę.

– Dziękuję.

– Jeszcze mi nie dziękuj. Nawet jeśli się zgodzę i nakaz przejdzie, generał może poczuć się dotknięty i doskonale go zrozumiem. Będziesz musiała stanąć na głowie, żeby go nie wkurzyć i okazać swoją wdzięczność. Białe Piaski są tu znacząco obecne.

– Rozumiem.

– A teraz idź i posiedź trochę nad papierami. To uspokaja, przynajmniej mnie. Dam ci znać. – Szef odwrócił się i podniósł telefon.

Corrie wiedziała, że mądrzej będzie na tym poprzestać, dlatego zerknąwszy w stronę pokoju, który do niedawna zajmował nieżyjący już Pick Rivers, poszła do windy.

PO POŁUDNIU NASTĘPNEGO DNIA JECHALI przez trawiastą równinę i wiatr rozwiewał jej włosy. Wszystko poszło po jej myśli. Morwood zatwierdził wniosek – być może mimo całej tej gadaniny sam się zastanawiał nad takim rozwiązaniem – a McGurk najwyraźniej nie zgłosił sprzeciwu, bo kiedy wjeżdżała na poligon, wartownik ledwo zerknął na jej dokumenty. Chciała okazać generałowi swoją wdzięczność, ale przebywała w kwaterze głównej tak krótko, że nie miała szans go zobaczyć. Niemal zaraz po jej przybyciu na parking dla gości zajechał jeep ze starszym szeregowym za kierownicą – zarówno samochód, jak i kierowca byli klonami samochodu i kierowcy z jej pierwszej wizyty w Białych Piaskach – i teraz, niemal godzinę później, zwalniali, dojeżdżając do kotliny, w której stał dom Gowerów.

Widok strzelających w niebo gór San Andres zapierał dech w piersiach tak samo jak przedtem, a dzień był nieco chłodniejszy, ze szczyptą jesieni w powietrzu. Kierowca zaparkował przed domem i zaciągnął hamulec ręczny. Corrie podziękowała mu i wysiadła.

– Trochę to potrwa.

– Nie ma sprawy – odparł szeregowy. – Zaczekam na ganku. – Wszedł tam skrzypiącymi schodami, usiadł w zakurzonej bujaku i szykując się na długie oczekiwanie, wyjął czasopismo zwinięte tak ciasno, że wyglądało jak trzcinka oficerska. Najwyraźniej szoferowanie było tego dnia jego służbowym obowiązkiem. Zauważyła, że czyta „Wodniactwo” – dość dziwny wybór, biorąc pod uwagę to, jaki krajobraz ich otaczał.

W torbie miała sprzęt do zbierania dowodów rzeczowych, w większości pewnie niepotrzebny. Wyjęła ją z auta, zarzuciła na ramię i powoli potoczyła wokoło wzrokiem. Ćwiczyła przeszukania w Quantico

i w Hogan's Alley, ośrodka szkoleniowo-taktycznym FBI. Raz prowadziła prawdziwe – na terenie wykopalisk archeologicznych, gdzie poznała Norę Kelly – lecz miała wrażenie, że tu jest inaczej. Może dlatego, że na ranczu panowała atmosfera osamotnienia i przygnębiającej beznadziei, choć raczej dlatego, że w głębi ducha wiedziała, że nic tu nie znajdzie i tylko straci czas. Mimo że stoczyła ciężki bój, żeby się tu dostać, w głowie wciąż słyszała słowa Morwooda. Osiemdziesiąt lat zaniedbań to szmat czasu. Gowera eksmitowano stąd trzy lata przed jego śmiercią. W ciągu tych osiemdziesięciu lat dom miał wiele wcieleń – służył między innymi za barak dla słynnych naukowców – ale teraz był jedynie opuszczonym budynkiem bez większego znaczenia historycznego. Wszystko, co ważne, wyrzucono stamtąd prawdopodobnie wiele lat temu, a nawet jeśli nie, to rzeczy te rozsypały się już pewnie w proch.

Mimo to pewne fakty napełniały ją pełną ożywienia podejrzliwością, jeśli nie przecuciem istnienia jakiegoś spisku. Gower zakradł się na poligon z jakiegoś powodu i zginął od podmuchu eksplozji, mając przy sobie bezcenny złoty krzyż. Skąd go wzięł? Dlaczego się z nim nie rozstawał? Człowiek, który znalazł jego zwłoki, umarł w podejrzanych okolicznościach. FBI nie zdołało wytropić jego ostatniego gościa. Na liście żołnierzy Fortu Bliss nie było żadnego Bellingame'a; wyglądało na to, że nie ma go również w innych bazach amerykańskich. Kamery szpitalnego monitoringu nagrały Afroamerykanina w eleganckim mundurze wyjściowym żandarma wojskowego z twarzą zasłoniętą czapką. Jej podejrzenia wzmógł fakt, że mężczyzna zdawał się znać rozmieszczenie kamer. Wchodząc i wychodząc, niby to przypadkiem odwracał głowę w jedną czy drugą stronę. W ręku miał podkładkę z jakimiś papierami, na którą zawsze spoglądał w taki sposób, że kamery uchwyciły jedynie niewyraźny obraz dolnej połowy jego twarzy. Nawet Morwood uznał, że to podejrzane, dlatego pojechał na patologię i zażądał, żeby jak najszybciej przeprowadzono sekcję zwłok, wraz z pełną toksykologią.

Powróciła myślami do rancza Gowerów, zastanawiając się, od czego zacząć. Zaczęła od zagród dla bydła, lecz nie znalazła tam nawet

historycznego końskiego łajna. Potem weszła do rozpadającej się kamiennej stodoły, gdzie zrobiła serię zdjęć, jej wnętrza i zewnątrz. W środku pachniało kurzem i sianem. Na tylnej ścianie wciąż wisiało kilka zardzewiałych narzędzi, a w kącie, obok pustych końskich boksów, leżały rozsypane się bele lucerny. Podłoga była z ubitej ziemi, więc czubkiem buta wykopała w niej kilka dziur, lecz nic nie znalazła. Ktoś zrobił tarczę do rzutków z jednej ze ścian i wciąż tkwiło w niej parę strzałek tak starych, że zaopatrzonych w prawdziwe pióra. Ale nie było tam nic godnego zainteresowania.

Pora na dom.

Weszła na ganek, skinęła głową żołnierzowi – z pożądaniem w oczach oglądał właśnie dwudziestoczterostopowego boston whalera – przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i weszła do środka. Sień, salonik, prawie pusta kuchnia – ogarnęło ją przemożne wrażenie, że dobrze to wszystko zna, ale nie dlatego, że była tu dwa dni temu. Nie, to miejsce przypominało jej starą przyczepę kempingową, w której mieszkała z matką w Medicine Creek. Panowała tam taka sama atmosfera samotności, straconych nadziei, wieloletniego upadku i zmarnowanych szans, które prześlizgnęły się jak piasek przez palce. Kiedy spojrzała w stronę kuchni, pamięć podsunęła jej pewne wyjątkowo nieprzyjemne wspomnienie. Chciała wtedy wślizgnąć się niezauważenie do domu, późnym wieczorem, i miała nadzieję, że idąc korytarzem, nie obudzi pijanej matki. Nic z tego.

„Myślisz, że możesz tu za darmo mieszkać, za darmo jeść i wracać, kiedy ci się podoba? Nic nie umiesz, jesteś nic niewarta! Nie odchodź, kiedy do ciebie mówię!”

Matka zniknęła już z jej życia, prawdopodobnie na dobre. Ale przynajmniej odnowiła kontakt z ojcem, Jackiem. Mieszkał teraz niedaleko parku rekreacyjnego Delaware Water Gap i miał stałą pracę. Cegła po cegle wciąż odbudowywali swoje stosunki. Ale fundament już stał.

Odpędziła wspomnienia i wróciła do rzeczywistości. Czy Gower zakradł się na ranczo, żeby coś zabrać? Kogoś się przestraszył? Mogło tak być, bo w domu nocowali wtedy naukowcy prowadzący test Trinity.

Postanowiła zacząć od tylnych pomieszczeń i skończyć na frontowych. Najpierw obeszła kuchnię, otwierając szafki i szuflady. Większość okazała się pusta, nie licząc tanich sztucców, pudełka soli i zardzewiałych pułapek na myszy. Duchówka w emaliowanym piecyku też świeciła pustkami, a pod piecykiem zebrała się gruba warstwa kurzu. W domu nie było prądu, mimo to otworzyła lodówkę, gdzie znalazła starą butelkę mleka, z którego została jedynie łuszcząca się skorupa. Z trudem odsunęła lodówkę od ściany: jeszcze więcej kurzu. Pokryte ohydnyimi wzorami linoleum wyblakło i miało wywinięte brzegi.

Potem obejrzała łazienkę, następnie mały pokój służący za sypialnię. W pokoju stała wielka komoda i Corrie liczyła na to, że będzie to kopalnia złota, lecz znalazła w niej tylko zmiętą paczkę papierosów z polowych racji żywnościowych i – w dolnej szufladzie – „Almanach Farmera” z 1938 roku.

Wzięła go do ręki. Wyblakł ze starości. Przerzucając kartki, zauważyła różne znaki zrobione równie wyblakłym ołówkiem. Znalazła również kilka podkreślonych dat, a przy innych ptaszki. I kilka notatek na marginesach, sporządzonych ledwo czytelnym koślawym pismem.

Zamyśliła się. 1938 rok. Ranczo wciąż należało wtedy do Gowera. Nawet jeśli notatki na marginesach zrobił ktoś inny, mogły kryć się w nich ważne informacje. Włożyła almanach do torebki na dowody rzeczowe, zamknęła ją i oznaczyła. Rozejrzała się po pokoju ostatni raz, żeby sprawdzić, czy niczego nie przeoczyła, a potem przeszła do saloniku.

Stanęła w progu. Ostatnie pomieszczenie. Przez wystrzępione zasłony w brudnym oknie widziała żołnierza, który odchylając się w bujaku pod niebezpiecznym kątem, przerzucał kartki czasopisma. Zebrała myśli i rozejrzała się, próbując wyobrazić sobie, jak wyglądało to wszystko osiemdziesiąt lat temu, kiedy dom był jeszcze domem, a nie ruiną. Zatrzymywała wzrok na wszystkich meblach i przedmiotach po kolei: stół, dwa krzesła, oprawione w ramkę zdjęcia na popękanych ścianach, zastawione bibelotami półki.

Podeszła bliżej i przyjrzała im się: kolekcja starych numerów „Reader’s Digest” i jakichś książek, kilka butelek po winie, które ktoś uznał za ładne,

sterta czasopism, kowbojski kapelusz i gra planszowa Parcheesi, którą zauważył szeryf Watts.

Przejechała palcem po grzbietach książek, rysując linię w kurzu. Zane Grey, Biblia Gedeonitów z motelu Sage Brush, zaczytany egzemplarz *Wczesnych legend z Dzikiego Zachodu* niejakiego Hymana S. Zima. Zdjęła z półki tę ostatnią i przerzuciła kartki. Choć książka była zaczytana i bardzo sfatygowana, nie znalazła w niej żadnych notatek. Mimo to istniało duże prawdopodobieństwo, że należała do Gowera i mogły w niej być odniesienia do czegoś użytecznego. Włożyła ją do torebki na dowody, podeszła do kanapy i przypomniawszy sobie o szczurach, usiadła przy koślawym stole. Na blacie roiło się od wyciętych nożem gryzmołów rodem z obrazów Keitha Haringa, od rysunków i wiadomości, prawdopodobnie autorstwa znudzonych żołnierzy, czekających na jakieś ćwiczenia czy próby. Były tam również dwie daty: „Lipiec 1945” i „Wrzesień 44” – musieli je wyryć pracownicy zatrudnieni przy teście Trinity. Pozostałe wyżłobione w blacie rysunki były albo wulgarnie anatomiczne, albo zawierały teksty w rodzaju „Kilroy był tutaj”. Sfotografowała je mimo to. Potem schowała aparat i z cichym westchnieniem usiadła wygodnie.

Warto było zdobyć nakaz przeszukania, nawet gdyby miała potem robić sobie wyrzuty, że przeoczyła coś, co rozwiązałoby sprawę. Ale nie, wyglądało na to, że kiedy skonfiskowano ten teren, Gower wyniósł z domu wszystko, co uważał za cenne, zwłaszcza jeśli miało to związek z polowaniem na skarby.

Wszystko? Na pewno? W takim razie co robił w pobliżu rancza 16 lipca 1945 roku?

Po pierwszej wizycie dokładniej zbadała historię Białych Piasków i testu Trinity. Wbrew temu, co mówił jego prawnuk, kiedy Gower opuścił swój dom, rząd jedynie dzierżawił tę ziemię na potrzeby poligonu raketowego. Działki i gospodarstwa zostały skonfiskowane dużo później i dopiero w latach siedemdziesiątych stały się integralną częścią Białych Piasków. W 1942 roku, gdy eksmitowano Gowerów, Jim Gower miał wszelkie

powody, aby myśleć, że wkrótce odzyska ranczo – nikt wtedy nie wiedział, że w bliskim sąsiedztwie wojskowi detonują bombę atomową – dlatego być może coś tu ukrył.

Może. Być może. Mógł. Pora przyznać, że nic nie znalazła. Wstała. Czas wracać.

Jej wzrok padł na ilustrowane okładki dwóch czasopism oprawionych w ramkę i wiszących na ścianie. Ramki sprawiały wrażenie topornych, ręcznie robionych i wyglądały jak te, które robił jej ojciec, żeby ozdobić przyczepę obrazkami. Okładki były zabezpieczone szlakiem, zbrązowiałym już i popękany.

Podeszła bliżej i znów wróciła pamięcią do Medicine Creek. Matka też wieszala na ścianach różne koszmarki, ale nic aż tak kiczowatego. Jedna okładka pochodziła ze starego numeru „Autostrad Arizony”, z pewnością najnudniejszego periodyku znanego ludzkości, i widniało na niej czarno-białe zdjęcie Krateru Zachodzącego Słońca. Pamiętała tę formację wulkaniczną ze slajdów, które jej koleżanki i koledzy z ósmej klasy zrobili na wycieczce do Wielkiego Kanionu. Ona nie pojechała. Matka skreśliła ten pomysł jako zbyt kosztowny. Jeszcze zabrakłoby jej pieniędzy na wódkę i papierosy.

W drugą ramkę oprawiono okładkę „Saturday Evening Post” z 1936 roku. Widniejący na niej baner informował, że ten ilustrowany tygodnik został założony przez Benjamina Franklina i kosztuje pięć centów. Obrazek na okładce nawiązywał najpewniej do opowieści z Dzikiego Zachodu, którą w nim zamieszczono: preria, jeździec na koniu, zakręt na szlaku, a za zakrętem grzechotnik zwinięty groźnie na porzuconej strzelbie Sharpsa.

Ten bohomaż obiecywał przynajmniej trochę akcji. Zdjęła obrazek, żeby obejrzeć z bliska ramkę, i... dotknęła palcami czegoś przymocowanego z drugiej strony.

Odwróciła obrazek i zobaczyła kawałek papieru przyklejonego do ramki taśmą równie starą i pożółkłą jak szelak.

Zaczęła ostrożnie odrywać papier, lecz taśma pękła, rozsypała się na kawałki i papier wyslizgnął jej się z ręki. Złapała go zwinnie

w powietrzu i starając się trzymać go tylko za krawędzie, powoli odwróciła. Było to zrobione ze sporej wysokości czarno-białe zdjęcie lotnicze przedstawiające pustynne doliny, kaniony i żleby.

Ożywiona, szybkim krokiem podeszła do torby i włożyła je do torebki na dowody rzeczowe. Potem zrobiła kilkanaście zdjęć obrazka, z przodu i z tyłu, oraz brudnego prostokąta na ścianie, na której wisiał tyle lat. Później powiesiła obrazek na haczyku i jeszcze raz się rozejrzała. Instynkt podszeptował jej, że nie ma tu więcej tajemnic. Podniosła torbę, zarzuciła ją na ramię i ruszyła do drzwi. Musiała wracać do bazy.

WOZDOBIONYM ANTYKAMI PRZESTRONNYM gabinecie w Starym Domu Instytutu Archeologicznego w Santa Fe Nora Kelly włożyła nitrylowe rękawiczki i ostrożnie wyjęła zdjęcie z torebki.

– To oryginał? – spytała zdziwiona.

Corrie poruszyła się nerwowo na stołku.

– Chciałam, żebyś je obejrzała. Kopia mogłaby czegoś nie uchwycić.

Nora obróciła zdjęcie w rękach i przyjrzała mu się ze wszystkich stron. Potem podniosła je do nosa i delikatnie powąchała.

– Papier fotograficzny starej daty. Nawet pachnie koszernie.

– Nasze laboratorium ustaliło, że ma siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat.

Więcej szczegółów znajdą, kiedy je zwrócę.

A więc dlatego tak ci się śpieszy, pomyślała Nora. Kończyła właśnie analizę wykopalisk w Tsankawi i nie mogła natychmiast pojechać do Albuquerque, więc Corrie przyjechała do niej.

– A to? – Wskazała wąski fragment starej taśmy na górnej krawędzi zdjęcia.

– Scotch tape, taśma samoprzylepna wyprodukowana przez spółkę wydobywczo-produkcyjną w Minnesocie około 1940 roku.

Nora kontynuowała oględziny.

– Macie dobre laboratoria.

– Najlepsze.

– Scotch tape, szkocka taśma – powiedziała z uśmiechem archeolożka. –

Wiesz, dlaczego producent tak ją nazwał?

– Nie mam pojęcia.

– Bo na początku klej nakładano tylko na brzegi i ktoś zażartował, że to typowo szkockie skąpstwo. Szkoci mieli wtedy opinię ludzi wyjątkowo...

powiedzmy, że oszczędnych.

Corrie się roześmiała:

– Hej, ja też jestem Szkotką i zaraz się obrażę!

– A w latach pięćdziesiątych Studebaker wprowadził na rynek Scotsmana. Nazwali go tak, bo był tani i nie miał żadnych bajerów.

– Już widzę, jak jakaś firma robi to dzisiaj. Skąd ty bierzesz te wszystkie ciekawostki?

– Moja rodzina pochodzi z Dublina i mój dziadek... – Nora przeszła na silny irlandzki akcent – lubił obsmarowywać wszystko i wszystkich po drugiej stronie kanału. – Znowu skupiła uwagę na zdjęciu. – Szkoda, że na odwrocie nie ma żadnych informacji albo legendy. Wiedzielibyśmy, skąd pochodzi.

– Nasz technik był zawiedziony zwłaszcza brakiem próbki pisma. Oni potrafią ustalić nie tylko wiek atramentu, ale też czas, kiedy coś nim napisano. No i jeszcze jedno: tu nie ma odcisków palców.

– Dziwne, prawda? – Nora odsunęła zdjęcie na długość ramienia i przyjrzała mu się w zadumie. – Myślisz, że to Gower je przykleił?

– Tak. On albo ktoś z jego rodziny. Wskazują na to wiek taśmy i data na okładce czasopisma. Być może chciał po nie wrócić.

– Biedny staruszek... Dobrze, ale nie chodzi ci o analizę kryminalistyczną. Liczysz na to, że rozpoznam ten teren.

– Jest trochę zamazane, ale znasz Nowy Meksyk jak własną kieszeń, więc...

– Pochlebstwa, ach, te pochlebstwa. Ale masz rację, rzeczywiście jest niewyraźne, jak na zdjęcie lotnicze aż za bardzo. Może samolot wpadł w turbulencje... Tak czy inaczej, trzeba je dokładnie obejrzeć. – Zrobiła miejsce na biurku, położyła na nim torebkę na dowody rzeczowe, a na niej zdjęcie, brzegiem z taśmą od siebie. – Tak, to wygląda na krajobraz typowy dla Nowego Meksyku. Widać kaniony, żleby, kępy sosen... Zrobiono je z ilu? Z dziewięciuset metrów?

Długo przyglądała się zdjęciu ze zmarszczonymi brwiami. Potem poszperała w szufladzie, wyjęła podświetlaną lupę i zaczęła ją nad nim

przesuwać z góry na dół i z lewej do prawej. Trzymała ją tak blisko twarzy, że szkło lekko zaparowało. W pewnym momencie cicho zakłęta.

– Co? – spytała Corrie.

– Nie wiem. Coś jest nie tak.

– Nie tak? Jest zamazane, ale...

– Nie, nie, nie o to chodzi – przerwała jej Nora. – Znam te okolice, ale... – Nagle cofnęła się i ze śmiechem opuściła lupę. – Zgłupiałam czy co?

– Dlaczego?

– Gower przykleił je do góry nogami! – Odwróciła fotografię o sto osiemdziesiąt stopni i znów się pochyliła.

– Północ na górze i od razu jest dużo lepiej. To skupisko niskich, płaskich wyniesień i ten wijący się kanion... – Wyprostowała się gwałtownie i triumfalnie uśmiechnęła. – To jest kanion Anzuelo, a to Navajo Ridge.

– Gdzie to jest? – spytała Corrie.

– Powiem ci, gdzie tego nie ma: nie ma tego w pobliżu Białych Piasków ani Wysokiej Samotni. W prostej linii to sto sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód stąd. – Archeolożka pokiwała palcem. – Chodź tu. Rozpoznałam to miejsce po kanionie szczelinowym...

– Jakim?

– Widzisz tę cienką, zakrzywioną linię z ostrym zakretem na końcu? To jest kanion szczelinowy, wyżłobiona w piaskowcu niezwykle wąska dolina erozyjna o stromych zboczach. Może mieć sto metrów wysokości i tylko parę szerokości. – Postukała delikatnie w ciemny półokrąg na fotografii. – A to nazywają tu El Anzuelo, po hiszpańsku Rybi Haczyk, widać dlaczego. A to zakrzywione wyniesienie na wschodzie to część Navajo Ridge.

– Ale po co Gower miałby ukrywać niewyraźne zdjęcie lotnicze?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Rzuciło ci się w oczy coś jeszcze? Jakaś anomalia geologiczna czy historyczna? Nie? Nic?

Nora pokręciła głową.

– Interesujący jest tylko kanion Anzuelo. Są nad nim ruiny domów Indian Tewa... Jak się to pueblo nazywa? Tziguma. Tak, Tziguma.

Długą chwilę siedziały w milczeniu, patrząc na fotografię.

– Jedno jest pewne – powiedziała w końcu Corrie. – Jeśli to Gower ją ukrył, a jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym, musiał mieć jakiś powód.

– Pełna zgoda – odrzekła Nora. – Zobaczmy, czy uda nam się go znaleźć.

* ... * ... *

– No dobra. – Archeolożka wyprostowała się i rozmasowała krzyż. Od ich poprzedniej rozmowy minęła godzina i siedziały teraz w małej, pięknie ozdobionej bibliotece instytutu, przy stole, na którym piętrzyły się mapy miernicze, atlasy i książki historyczne. – Wygląda na to, że w Tziguma, wiosce, o której ci mówiłam, był kiedyś hiszpański kościół misyjny.

– Tak, nad tym kanionem. Nad Rybim Haczykiem.

Nora kiwnęła głową.

– Indianie Tewa dołączyli do buntu Pueblo i zabili tamtejszego misjonarza, ale gdy w 1692 roku Hiszpanie wrócili, Tewa stawili im opór. Wioska została zniszczona, porzucona i w końcu popadła w ruinę. O ile wiem, nigdy nie prowadzono tam wykopalisk.

– Nie prowadzono wykopalisk – powtórzyła Corrie. – Mimo to krąży legenda, że jest tam ukryty skarb.

– Ta sama legenda krąży na temat połowy porzuconych wiosek i zniszczonych kościołów na Południowym Zachodzie.

– Może i tak, ale o tej wspomina nie jedna czy dwie, ale aż trzy różne książki, łącznie z tą, która należała prawdopodobnie do Gowera. – Corrie postukała palcem w okładkę *Wczesnych legend Dzikiego Zachodu*.

– Fakt. – Archeolożka zaczęła zamykać książki i zbierać mapy. – Więc co dalej? Chcesz iść z tym do szefa?

– Do Morwooda? Powie, że to same domysły. Nie, i tak już przegięłam. Najpierw muszę sprawdzić to sama. Jeśli coś znajdę, spróbuję go przekonać.

– Dobry pomysł, tylko będziesz miała mały problem. Jak się tam dostaniesz? Nie znajdziesz tego kanionu za sto lat. Nawet twój nowy

przyjaciel Watts... – Nora urwała. – O nie!

– Wpadłaś na minę – powiedziała ze śmiechem Corrie. – Wielkie dzięki, z przyjemnością dam ci się tam zaprowadzić.

Mimo że w bibliotece prawie nie było ludzi, wszyscy ci, którzy tam byli, odwrócili głowę, słysząc odpowiedź Nory.

ZAPARKOWAŁY NA KOŃCU SZLAKU i wysiadły, bo wijąca się przez pustynię długa bita droga kończyła się nawrotką. Rzeźkie powietrze pachniało bylicą i kwitnącą chamisą, a wędrujące po niebie puchate obłoki rzucały wolno przesuwające się cienie. Nora pomyślała, że to idealny dzień na pieszą wycieczkę. Rozciągał się stamtąd widok na kanion Anzuelo, szeroką bruzdę w płaskowyżu, z której – niczym zniekształcone bałwany – tu i ówdzie wyrastały skalne wieżycy i kominy.

Przyjechały jej samochodem, ponieważ Corrie nie mogła wziąć służbowego; była niedziela, no i występowała jako osoba prywatna.

– Ładnie tu.

Archeolożka wyjęła komórkę i włączyła GPS.

– Wioska jest mniej więcej trzy kilometry stąd.

Zarzuciły na ramię plecaki i wyruszyły. Ledwo widoczny szlak zaprowadził je na wymyte przez wodę dno kanionu i im dalej szły, tym wyższe i bardziej spektakularne były jego ściany.

– Nigdy takiego nie widziałam – powiedziała Corrie.

– Tak, kaniony szczelinowe robią wrażenie. I mogą być niebezpieczne. Lata temu w Utah złapała mnie w takim nagła powódź. Nigdy w życiu tak się nie bałam.

– Jak to się stało?

– Kierowałam ekspedycją archeologiczną do prehistorycznej osady skalnej. Można było się tam dostać tylko przez kanion podobny do tego. Złapała nas powódź błyskawiczna, głośna i gwałtowna jak dziesięć pociągów towarowych... – Nora urwała, zastanawiając się, po co opowiada tę bolesną historię. W dodatku komu? Agentce FBI? – Nieważne – dodała

szybko. – Dzisiaj nie będzie padało, sprawdzałam. Poza tym ruiny są na górze, a nie na dole.

Kanion gwałtownie się zwęził i znalazły się w chłodnym cieniu. Powietrze pachniało piaskowcem, a resztki światła dziennego zalały je ciepłym blaskiem. Było tak, jakby wchodziły do jaskini.

– Dobrze, opowiesz mi o tej wiosce? – poprosiła Corrie.

– Hiszpanie zbudowali tam kościół, już mówiłam. Tewa przyłączyli się do buntowników i zburzyli go. Potem opuścili wioskę i od tej pory nikt nie zwracał na nią uwagi, może tylko łowcy skarbów. Nie uważa się jej za miejsce ważne z archeologicznego punktu widzenia.

Były już w samym sercu kanionu. Wypolerowane przez niezliczone powodzie urwiste skalne ściany wyginały się na wszystkie strony, a dno pokrywał czyściutki piasek.

Corrie rozłożyła ręce.

– Można dotknąć jednej i drugiej! Niesamowite.

– Ta część kanionu to tak zwany Rybi Haczyk. Na końcu jest szlak, który prowadzi w górę, do ruin.

Czteryście metrów dalej kanion znów się poszerzył i światło rozproszyło mrok. Skalne ściany zniknęły, ustępując miejsca kilku niskim mesom.

– Ruiny – powtórzyła Corrie. – Narzuca się myśl, że Gower mógł znaleźć krzyż, szukając skarbu w ruinach tego kościoła.

– Wątpię. Wysoka Samotnia jest daleko stąd.

Szlak przeciął wymyte przez wodę dno kanionu i zaczął się pięć na szczyt mesy. Po krótkiej wspinaczce stromą, krętą ścieżką dotarli do brzegu urwiska i kilka minut później znalazły się na szczycie mesy.

– No i jesteśmy – powiedziała Nora. – Ruiny są tam.

– Gdzie? Nic nie widzę.

– Widzisz miejsce, w którym zmienia się roślinność? Te kaktusy i pustynne krzaki na stertach głazów i ziemi? To tam.

– Ale gdzie jest kościół? – Corrie zdjęła plecak i wyjęła kopię zdjęcia.

Nora spojrzała ponad jej ramieniem na duży ziemny pagórek.

– Tam. Widać po zarysie.

Corrie schowała zdjęcie i ruszyły w tamtą stronę. Wszędzie walały się skorupy glinianych naczyń i kawałki krzemienia zmieszane z popękkanymi kamieniami budowlanymi i zielskiem. Tu i ówdzie z ziemi wyrastały kopce mrowisk.

– Spójrz! – Corrie podniosła duży fragment pomalowanego garnka.

– Jest bardzo ładny, ale musisz go odłożyć. Nie możemy niczego dotykać.

– Ups! Przepraszam.

Podeszły do pagórka. Z bliska było widać grubą ścianę z niewypalanej cegły, zawaloną, zerodowaną i gęsto porośniętą krzakami. Został z niej tylko stojący na końcu filar. Wdrapały się na szczyt pagórka, płosząc stado wron, które z wrzaskliwym krakaniem wzbiły się w powietrze i wylądowały na pobliskiej sośnie.

Zajrzały do zagłębienia, gdzie kiedyś była kościelna nawa.

– Hej, ktoś tu kopał – zauważyła Corrie. – To świeże dziury, przynajmniej niektóre.

– Zero zaskoczenia. Po naszych wykopaliskach grasuje wielu szabrowników. Większość tych miejsc jest za daleko, żeby je upilnować.

– Myślisz, że szukali skarbu? Może to tutaj Gower znalazł ten krzyż?

– Możliwe, że kopał tu dawno temu. Nie ukrył tego zdjęcia bez powodu.

Nad ruinami przetoczył się suchy trzask i po ich prawej stronie trysnęła fontanna kurzu.

– Padnij! – krzyknęła Corrie, ale Nora dawała już nura za wewnętrzną ścianę kościoła.

Kiedy wylądowały twardo wśród krzaków, zabrzmiało kilka kolejnych wystrzałów. Jedna kula trafiła w filar, obryzgując je kamykami, inne ścięły wierzchołek krzaka po ich lewej stronie.

– Tędy! – Corrie wstała, pociągnęła za sobą Norę i padły na ziemię za filarem. Nora dopiero teraz zauważyła, że agentka ma w ręku pistolet.

Przez chwilę leżały obok siebie, ciężko dysząc.

– Strzały padły stamtąd, z tamtej grani – powiedziała Corrie.

– Cholera jasna, ktoś do nas strzelał? Do nas?

– Najwyraźniej.

Nora poczuła, że szok ustępuje miejsca strachowi i panice.

– Ale dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć, Corrie podczołgała się do krawędzi filaru i ostrożnie wyjrzała zza krzaków.

Huknął kolejny wystrzał i szybko się cofnęła.

– Cholera! Przyszpilił nas. – Odciągnęła suwadło zamka, aby sprawdzić, czy w komorze jest nabój.

– Co robimy?

– Jeśli zejdziesz na dół, będzie musiał się odsłonić. Tu nie ma za czym się ukryć.

– Będziesz do niego strzelała?

– Oby nie. To służbowa broń, więc musiałabym to zgłosić i wypełnić stos papierków. – Nie dodała, że kiepsko strzela i że ten, kto ich zaatakował, ma najpewniej karabin i jest za daleko.

– Więc co robimy?

– Daj mi chwilę.

Nora oparła się o ścianę, próbując zapanować nad oddechem. Tymczasem Corrie znów podczołgała się do krawędzi filaru i ostrożnie spojrzała przez krzaki. Minęło kilka minut.

– Chyba już poszedł.

– Skąd wiesz?

– Widziałam smugę kurzu na grani, chyba za jakimś samochodem.

– „Chyba” to trochę za mało.

Corrie zdjęła plecak, wyjęła kurtkę, odłamała grubszą gałąź z krzaka, owinęła ją kurtką, zatknęła na górze swoją czapkę i powoli wysunęła gałąź zza filara, najpierw tylko kawałek, potem trochę więcej.

Nic. Cisza.

– Musiałby to zobaczyć – powiedziała. – Nie ma go. Zrobimy tak. Pobiegniesz do tego żlebu. To otwarta przestrzeń, ale...

– Zwariowałaś? Nigdzie nie pobiegnę!

– Będę cię osłaniała i jeśli zaczniesz strzelać, ja też zacznę. Potem dołączę do ciebie i pójdziemy naokoło. Żleb nas osłoni i będziemy mogli zejść do kanionu z drugiej strony. Ale myślę, że facet już odjechał.

Archeolożka spojrzała w stronę żlebu. To miało sens – chyba że „facet” nie odjechał.

Corrie położyła się za krzakami z wyciągniętym przed siebie pistoletem.

– Gotowa?

Nora kiwnęła głową. Serce waliło jej jak oszalałe.

– Na trzy. Raz, dwa, trzy. Teraz!

Nora napięła mięśnie, popędziła przez otwartą przestrzeń i wskoczyła do żlebu. Strzał nie padł. Chwilę później do żlebu wskoczyła Corrie i przykucnęły na dnie, głośno dysząc.

– Dobrze jest – wysapała agentka. – A teraz szybko, bo tamten może wrócić.

Nisko pochylone dotarły w milczeniu do miejsca, gdzie żleb wpadał do kanionu. Po gładkich i skalnych rumowiskach zeszły na dół i wkrótce znalazły się u podnóża mesy. Potem szybko, lecz ostrożnie przemknęły za ciągiem niskich wzgórz, wbiegły do kanionu, pokonały Rybi Haczyk i kwadrans później były już przy samochodzie. Nora usiadła za kierownicą, a Corrie wskoczyła na miejsce pasażera i zatrzasnęła drzwi. Ryknął silnik, samochód zawrócił z poślizgiem i pomknął drogą.

Corrie schowała pistolet do kabury.

– Zdjęcie – rzuciła. – Przyjechałyśmy tu przez to zdjęcie. I ktoś na nas czekał. To była zasadzka.

– Chcesz powiedzieć, że specjalnie je podrzucono? Że miałaś je znaleźć? – Archeolożka zmarszczyła brwi. – Do domu Gowera wstęp mają tylko wojskowi. Poza tym skąd ten ktoś wiedział, że dziś tu przyjedziemy? I że w ogóle przyjedziemy? Ulokowali tam snajpera na stałe?

– Myślę, że to wojskowi je podrzucili. Ten McGurk nie podobał mi się od samego początku. Nie zdziwiłabym się, gdyby kazał nas śledzić.

– Śledzić i zabić?

– Cholera go wie.

– Ale dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

Nora się zawahała. Ta teoria była tak nieprawdopodobna, że aż niedorzeczna. Corrie miała zbyt bujną wyobraźnię i z jakiegoś absurdałnego powodu nie pałała sympatią do generała.

– To nie ma sensu. Pomyśl. Niby co miałyby nim kierować? Zabić agentkę FBI? To poważny krok, rozpętałyby się piekło. Podrzucić zdjęcie? Skąd wiedział, że zajrzysz za ten obrazek, że je znajdziesz, rozpoznasz to miejsce i postanowisz tam pojechać? Skąd wiedział kiedy? Nie zauważyłam, żeby ktoś nas śledził. I wreszcie gdyby to był wojskowy snajper, już byśmy nie żyły. Strzelał ledwie ze stu, może stu pięćdziesięciu metrów. I straszliwie pudłował, co najmniej z trzymetrowym rozrzutem. Równie dobrze mógł to być jakiś krótkowzroczny myśliwy. Albo szabrownik, który znalazł coś w tych dziurach i chciał nas odstraszyć. Albo ukrywający się na odludziu świr. Pełno tu takich.

– Tak, masz rację – przyznała Corrie. – Chyba po prostu nie lubię McGurka. Jest jakiś taki... Nie wiem, zbyt miły.

– Wolałabyś, żeby był dupkiem?

Corrie milczała.

– Zgłosisz to szefowi? – spytała archeolożka.

– Niech Bóg broni. Przyjechałam tu w dniu wolnym od pracy, bez pozwolenia, z cywilem. Otworzyłabym puszkę Pandory.

– Więc co zrobisz?

Agentka ściągnęła usta.

– Poproszę szeryfa, żeby tu przyjechał. Podobno jest świetnym tropicielem. Może coś znajdzie. Jest bardzo uczynny.

– I ładniutki.

– Oj, przestań. – Corrie umilkła i po chwili z sarkazmem dodała: – Możesz się z nami zabrać jako przyzwoitka.

30

WYGLĄDAŁO NA TO, że w sekretariacie nikogo nie ma, a drzwi do gabinetu są prawie, ale tylko prawie zamknięte. Corrie poszła przodem i zapukała.

– Proszę.

Pociągnęła za klamkę i weszła. Była tu pierwszy raz i z trudem ukryła zaskoczenie. Budynek, w którym mieściło się biuro, choć trochę zbyt surowy, robił w sumie miłe wrażenie, ale w gabinecie było jak w górskiej chacie. Na ścianach wyłożonych sękatą sosnową boazerią wisiały dwa nawajskie kobierce, a nad ceglany kominkiem – głowa łosia. Na biurku panował idealny porządek, a pod ścianą stał rząd szafek na dokumenty.

– Jaka miła niespodzianka! – Szeryf wstał. – Agentka specjalna Swanson i doktor Kelly. I jeszcze to piękne poniedziałkowe przedpołudnie. Zdążyły panie w ostatniej chwili, właśnie miałem wyjść na lunch. W czym mogę pomóc? – Przeczesał ręką kręcone włosy. – Przepraszam. Proszę, siadajcie.

– Dziękujemy – powiedziała Corrie i usiadły, szeryf też.

– Dzieje się coś nowego? – spytał.

– Tak, ale prosimy byśmy, żeby na razie zachował pan to dla siebie.

Watts kiwnął głową, skrzyżował ręce i nachylił się ku nim z twarzą pełną uwagi i zainteresowania.

– Zna pan kanion Azuelo?

– Ten koło Pie Town?

– Tak – odparła Nora. – Na jego szczycie są ruiny indiańskiej wioski Tziguma.

– Nigdy tam nie byłem.

Corrie zawahała się, wyjęła zdjęcie z koperty i położyła je na biurku.

– To zdjęcie lotnicze tego terenu.

Watts wziął je do ręki.

– Dziwnie wygląda.

– Pochodzi mniej więcej z 1940 roku.

– To ten kanion?

– Tak – odrzekła Nora. – I miejsce, gdzie stał kościół misyjny zburzony podczas buntu Indian Pueblo.

– Skąd je pani ma?

– Uzyskaliśmy nakaz przeszukania rancza Gowerów – wyjaśniła Corrie. – Było ukryte za starym obrazem.

– Ciekawe.

– Dlatego wczoraj tam pojechaliśmy – dodała Corrie.

– Znalazłyście coś?

Corrie przełknęła ślinę.

– Nie zdążyliśmy. Ktoś do nas strzelał.

Watts omal nie wstał.

– Strzelał?

Corrie opowiedziała mu całą historię. Szeryf sięgnął po kapelusz, jeszcze zanim skończyła.

– Chodźmy.

– A pana lunch?

Watts machnął ręką.

– Widziałyście, skąd strzelał, tak? Musiał zostawić jakieś ślady. Trzeba tam dotrzeć, dopóki są świeże. – Włożył kapelusz i pas z rewolwerami. – Pojedziemy moim wozem.

* ... * ... *

Dotarli na skraj kanionu, kiedy słońce minęło południk, malując małe, plackowate cienie na piętrzących się w dole skalnych formacjach.

Szeryf spojrział na cyfrową mapę w telefonie.

– Pójdziemy górą. To trudniejszy teren i dłużej to zajmie, ale tak będzie bezpieczniej.

Ruszył przed siebie, one za nim, omijając rosnące tu i ówdzie karłowate sosny i krzewy jałowca. Po kilkuset metrach Watts nagle przystanął i rozłożył ręce, żeby też się zatrzymały.

Powoli ukląkł i przyjrzał się ziemi. Potem przywołał je do siebie.

– Widzicie? – Wskazał świeże ślady na piasku. – Ktoś tędy szedł. W dużych butach, na oko w jedenastce. A więc mężczyzna. Ciężki. Nie więcej jak dwadzieścia cztery godziny temu, prawdopodobnie później.

– Myśli pan, że to ten, który do nas strzelał?

– Chodźmy dalej. Zobaczymy, dokąd prowadzą.

Od tej chwili szedł poboczem szlaku. Ślady odcisnięte w piasku łatwo było dostrzec, ale on potrafił je wypatrzeć na twardym żwirze czy nagiej skale.

Czym zaimponował nawet Norze.

– Jak pan to robi?

– To piaskowiec, więc idący człowiek zostawia lekkie otarcia. Na przykład tutaj.

Corrie opadła na kolana, a Nora spojrzała jej przez ramię.

– Nic nie widzę.

Watts delikatnie przesunął palcem po powierzchni skały.

– Tu są luźne ziarenka piaskowca, a tu nie.

Corrie zmrużyła oczy.

– Dalej nic nie widzę.

– Kiedy przez połowę dzieciństwa szuka się zbiegłych krów, nabiera się wprawy – powiedział ze śmiechem szeryf. – Dlatego zostałem szeryfem, a nie ranczerem. Krów mam po dziurki w nosie.

Trop biegł najpierw brzegiem kanionu, potem okrążył Rybi Haczyk i tylną ścianą mesy zawiódł ich nad skalne urwisko.

– To tu – powiedziała Corrie. – Strzelał stamtąd.

– Zostańcie – polecił szeryf. – Pójdę przodem. Zawołam was, kiedy skończę.

Nisko pochylony poszedł dalej i zniknął za głazami. Po pięciu czy dziesięciu minutach usłyszały jego krzyk.

– Chodźcie!

Kiedy go zobaczyły, robił zdjęcia komórką.

– Obejdźcie bokiem, coś wam pokażę.

Podeszły bliżej.

– Dobra, widzę to tak – zaczął. – Strzelec przyszedł tu tą samą drogą co my. Miał karabin. W tym miejscu oparł go o ścianę, bo kolba odcisnęła ślad w piasku. Stał tu trochę, chyba nic nie robiąc. Potem wziął karabin, podszedł tutaj, przyklęknął i oddał siedem strzałów.

– Siedem strzałów... – Corrie wróciła myślą do poprzedniego dnia. – Zgadza się. Skąd pan wiedział?

– Zostawił siedem łusek. Utknęły w piasku. Tam.

– No jasne – mruknęła Corrie, zawstydzona, że sama ich nie zauważyła.

Watts pochylił się, podniósł jedną czubkiem długopisu, wyjął z kieszeni torebkę strunową i wrzucił do niej łuskę.

– Może zostawił odciski palców – wyjaśnił, zbierając pozostałe.

– Są duże – zauważyła Nora.

– Łuski? Tak, bardzo. To naboje bocznego zapłonu do karabinu powtarzalnego Spencera.

– Używano go chyba podczas wojny secesyjnej.

– Zgadza się. Duży kaliber, mały zasięg i niewielka prędkość początkowa pocisku. Straszna broń, jeśli chce się kogoś zabić ze stu, dwustu metrów. – Schował torebkę do kieszeni. – Więc kończy strzelać, wstaje i odchodzi. Wraca chyba inną drogą, bo widać tylko ślady prowadzące w jednym kierunku.

– Dlaczego jakiś świrus z antycznym karabinem miałby do nas strzelać? – spytała archeolożka.

Szeryf pokręcił głową.

– Myślę, że był to jakiś dureń, który przyjechał tu postrzelać na otwartej przestrzeni, bez przesłon i kulochwyty. Po prostu was nie widział.

– Chyba pan żartuje – zaprotestowała Corrie. – Kule trafiały tuż obok nas!

– Blisko?

– Nie wiem, trzy metry od nas.

Szeryf uśmiechnął się ironicznie.

– Trzy metry? Proszę tu podejść.

Corrie podeszła.

– W tym miejscu strzelał z „klęczaka”. Niech pani też uklęknie. – Położył jej ręce na ramionach i podtrzymał ją, kiedy klękała. – A teraz niech pani ułoży ręce tak, jakby celowała pani z karabinu w te ruiny. – Objął ją od tyłu i pomógł jej to zrobić. – O właśnie. Co pani widzi?

Corrie spojrzała na ruiny kościoła.

– Niewiele, tylko ten filar.

– Otóż to. Celował w filar, bo to jedyny rzucający się w oczy cel. A wy przypadkiem się za nim ukryłyście.

– Bzdura. Celował w nas.

Watts spojrzał na Norę.

– Pani też tak uważa?

Archeolożka się zawahała.

– Trudno powiedzieć. – Było oczywiste, że nie chce otwarcie zaprzeczyć, tak jak oczywiste było to, że dostrzega słuszność rozumowania szeryfa.

– Magazynek rurowy karabinu Spencera mieści siedem naboju – ciągnął Watts. – Ten ktoś wystrzelił siedem razy. Wygląda na to, że przyjechał tu wypróbować karabin. Wypróbował i odjechał. Te naboje kosztują trzydzieści pięć dolarów za sztukę. Nowych już się nie produkuje. Ten gość był poważnym kolekcjonerem, a nie snajperem.

– Kolekcjonerzy strzelają ze swojej broni?

– O tak. Prawdziwy kolekcjoner kupuje działającą broń i co najmniej raz chce ją wypróbować, zobaczyć, jak to jest. Wystrzelić z pięknego, starego karabinu: jest w tym trochę romantyzmu. Cóż, może poszczęści mi się z odciskami palców. Chyba że woli pani zbadać łuski w swoim laboratorium?

– Niech Bóg broni – odparła Corrie. – Nie chcę nawet, żeby dowiedzieli się, że tu byłam. Miałabym im powiedzieć, że przypadkowo trafiłam na strzelnicę jakiegoś pomyłonego kowboja? Nigdy w życiu.

– A więc przychyła się pani do mojej teorii? – spytał z uśmiechem szeryf.
– Chyba tak – przyznała niechętnie agentka. – Ale skoro to był poważny kolekcjoner, dlaczego nie zabrał łusek?

– Są nic niewarte.

– Nie zachował ich nawet na pamiątkę? Chyba że chciał, żebyśmy je znaleźli.

– Za dużo pani myśli, agentko Swanson. Jeśli mogę tak powiedzieć.

Corrie uważała, że nie może, ale tylko zacisnęła usta. I wtedy zapiszczała jej komórka.

– Tu jest zasięg? Niesamowite. – Wyjęła telefon. Dzwonił Morwood.

– Corrie? – Mówił dziwnym głosem, więc od razu wzmogła czujność.

– Tak?

– Przed chwilą dostaliśmy meldunek. W Wysokiej Samotni znaleziono ciało Huckeya. Na dnie studni. Wszystko wskazuje na wypadek, ale wezwaliśmy Zespół Reagowania Dowodowego.

– Co on tam robił? – spytała zdumiona Corrie.

– Wygląda na to, że... szabrował. Właśnie tam jadę. Przyjedź jak najszybciej.

TO BYŁA DŁUGA, KARKOŁOMNA JAZDA i kiedy dotarli na miejsce, Corrie ze szczerą przyjemnością wysiadła z samochodu. Zachodzące słońce skryło się za odległymi burzowymi chmurami, zmieniając je w krwistoczerwone wieże i rzucając na góry dziwne, czerwone cienie. Wjazdu do wymarłego miasteczka broniła taśma policyjna, za którą parkowało kilka samochodów i furgonetek.

Roiło się tam od ludzi. Corrie wypatrzyła Morwooda, który rozmawiał z członkami ZRD stojącymi wokół studni. Podeszła bliżej. Co dla niego nietypowe, szef mówił bardzo głośno. Na jej widok urwał.

– Co to jest? – warknął, patrząc na Norę i szeryfa. – Chciałem utrzymać ten incydent w tajemnicy!

Ta gwałtowna reakcja bardzo ją zaskoczyła.

– Kiedy pan zadzwonił, sprawdzaliśmy coś niemającego związku z naszą sprawą. Żeby podrzucić ich do domu, musiałabym zrobić duży objazd i przyjechałabym znacznie później.

Morwood puścił tę uwagę mimo uszu, ale chyba go trochę udobruchała. Znów spojrzał na szeryfa i archeolożkę.

– To ściśle poufne – zaznaczył.

– Rozumiem – powiedziała Nora.

– Chodź – rzucił do Corrie. – Zerknął przez ramię na nieproszonych gości.
– Wy też możecie.

Podeszli do studni. Wciąż wisiał nad nią kołowrót, a pod kołowrotem zakrwawione nosze. Drewniana pokrywa, przegniła i przeżarta przez robaki, była pęknięta na pół, a na ziemi, w otwartej torbie na zwłoki, leżało ciało Huckeya. Głowę miał przykrytą złożoną plastikową folią.

– Czujesz? – spytał Morwood. – Powąchaj.

Corrie się zawahała. Niby co miała powąchać? Trupa? Dziwne polecenie.

– Podejdź bliżej.

Podeszła i natychmiast poczuła silny zapach alkoholu.

– Pił?

– Śmierdzi wódką, prawda? – Morwood wskazał ręką za siebie. – Tam rozbił biwak. Wszędzie walają się puste „małpki”, a w plecaku miał spory zapas. Pobraliśmy mu krew. Zobaczymy, w jakim był stanie.

– Jak go znaleziono? – spytała Nora.

– Rano nie przyszedł do pracy. Żona odchodziła od zmysłów, bo miał wrócić w niedzielę wieczorem. Namierzyliśmy jego komórkę. To była dobra robota, bo na tym odludziu sygnał a to się pojawia, a to zanika. Mieliśmy fart. – Spojrzał na jednego z techników. – Tom, gdzie są jego rzeczy?

– W skrzynce.

– Chodźcie. – Podeszli do skrzynki na dowody rzeczowe. – Znaleźliśmy to w jego kieszeniach. – Morwood wyjął z niej kilka plastikowych torebek. – Złota moneta, pierścioneł, stare klucze. Większe rzeczy trzymał w obozowisku. Szabrował wszystko, co wpadło mu w ręce. Miał wykrywacz metalu, wszędzie kopał dziury.

– I FBI kogoś takiego zatrudniło? – Watts pokręcił głową. – Od początku wiedziałem, że będą z nim kłopoty. Burzył ściany bez żadnego szacunku dla tego miejsca...

– Proszę zatrzymać te enuncjacje dla siebie – przerwał mu Morwood.

Szeryf spokojnie zdjął kapelusz, przygładził włosy i ponownie go włożył.

– To nie w moim stylu, szanowny panie.

Morwood odwrócił się na pięcie i warknął:

– Corrie? Za mną!

Ruszył przed siebie szybkim krokiem, więc poszła za nim, Nora i Watts też. Boże, pomyślała, żeby tylko szeryf znowu z czymś nie wyskoczył. Nigdy dotąd nie widziała Morwooda w takim stanie.

Okazało się, że Huckey zburzył ścianę wychodka i wykopał kilka dziur pod fundamentami kościoła. Zanim wpadł do studni, zdążył narobić trochę szkód, na szczęście niewielkich. Minęli kościół i na skraju miasteczka zobaczyli spory plac usiany płytkimi dziurami.

Nora uklękała.

– Sądząc po glinianych skorupach i rozbitych butelkach, prawdopodobnie było tu wysypisko śmieci.

– Pogadajmy z Alfierim, już wyszedł. – Morwood jak burza przeszedł na drugą stronę głównej ulicy, gdzie zaczerwieniony i spocony Alfieri właśnie zdejmował kombinezon ochronny.

– Mów – rzucił agent.

– Prosta sprawa. Dowody jednoznacznie wskazują na to, że przyjechał tu sam. Miał wykrywacz metalu i przeczesywał nim teren. Wygląda na to, że cały czas pił, bo niemal wszędzie leżą puste „małpki”. Pijany, natknął się na studnię. Przegniła pokrywa pękła i spadł, a studnia ma trzydzieści metrów głębokości. To musiało być nocą, bo na dnie znaleźliśmy roztrzaskaną latarkę.

– To sucha studnia? – zapytała Corrie.

– Jak pieprz. Spadł... głową naprzód.

Nic dziwnego, że mu ją zastłonili, pomyślała.

– Gdzie rozbił obozowisko?

– Chodźcie – burknął tylko Morwood.

Huckey rozbił namiot za ścianą kościoła, po zawietrznej. Był tam krąg kamieni, gdzie rozpalił ognisko, garnek, puszka po gulaszu wołowym, kilka małych butelek Southern Comfort, niedopałki papierosów i inne śmieci. Na starej desce leżały znalezione przez niego przedmioty: uździenica ze srebrnym grawerunkiem, mosiężne hiszpańskie strzemię, kilka starych butelek, porcelanowy talerz, kilka sztucców, zamków i wyrwanych z drzwi okuć, fortepianowe klawisze z kości słoniowej i garść monet.

Nadeszła Nora, która zatrzymała się na chwilę na wysypisku.

– Mogłabym prosić o rękawiczki?

Alfieri podał jej parę. Archeolożka włożyła je, uklękła i podniosła jedną z butelek.

– Rich & Rare – przeczytała.

– Taką samą miał Gower – powiedziała Corrie.

Nora obejrzała pozostałe przedmioty i wzięła z deski pięciocentówkę.

– Z 1936. Też mogła należeć do Gowera. To ważny trop.

– Dlaczego?

Archeolożka wstała.

– Bo to znaczy, że Huckey znalazł jego stare obozowisko. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym zerknąć na dziury, które tu wykopał.

– Dobry pomysł. – Corrie zerknęła na swojego szefa.

– Alfieri pokaże pani, gdzie są – powiedział Morwood. – Milt?

– Z przyjemnością.

Technik wyjął z kieszeni plan Wysokiej Samotni, na którym je zaznaczył, i poszli. Corrie i Watts ruszyli za nimi. Korzystając ze szkicu Alfieriego, zaczęli od skraju miasteczka i przesuwali się powoli w kierunku policyjnej taśmy.

Nora klękała, uważnie oglądając każdą dziurę.

– Był pracowity jak pszczołka.

Na dłużej przystanąła przed stajnią, na płaskim kawałku ziemi, gdzie dziur było najwięcej.

– To wygląda obiecująco.

W tym samym miejscu Corrie znalazła szkielet muła. Nora pochyliła się i podniosła rozbitą butelkę.

– Rich & Rare. Znowu. A tutaj rozpałił ognisko. – Odsunęła na bok kłęb wyschniętego na wiór zielska. – Spójrzcie! – Ze śmieci zalegających w kamiennym kręgu ogniska wygrzebała blaszane pudełko tytoniu do żucia. Było zardzewiałe, lecz na jego brzegu wciąż widniał czytelny napis: „Patent 1940”

– Jestem niemal pewna, że Gower tu biwakował. Widzicie to przegniłe płótno? Założę się, że to jego namiot. – Spojrzała na Corrie, potem na Morwooda. – Trzeba to wykopać. Tu mogą być ważne ślady. Poza tym...

– Zawahała się. – Jeśli Gower znalazł więcej cennych rzeczy, najprawdopodobniej ukrył je właśnie tutaj.

Morwood popatrzył na Corrie.

– Co ty na to?

– Dobry pomysł.

Morwood kiwnął głową.

– Moje słowa. – Odchrząknął. – Doktor Kelly, cieszę się, że pani przyjechała. I przepraszam za niemiłe powitanie. Powinniśmy jak najszybciej ruszyć z pracami. Kiedy może pani zacząć?

Corrie wstrzymała oddech. Wiedziała, że Nora ma napięte terminy, i nie miała pojęcia, co odpowie.

Archeolożka w końcu przemówiła.

– Muszę mieć dwa dni na zebranie sprzętu i sprawdzenie, jak radzi sobie mój asystent. A więc pojutrze. Myślę, że zajmie mi to dwa dni, więc przyjadę z namiotem. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zabrałabym też mojego brata Skipa.

Morwood nachmurzył czoło, lecz ku zaskoczeniu Corrie nie zaprotestował.

SIERŻANT SZTABOWY ANTONIO ROMAN siedział za kierownicą terenowego humvee M1079, patrząc przez brudne okno na rozciągającą się przed nim pustą równinę. Kurz, piasek, kępy trawy, niskie góry w oddali – jakimś cudem równina była zarówno monotonna, jak i urozmaicona. Otaczały go kręgiem inne pojazdy: dwie mobilne bazy M1113, dwie ciężarówki M1123 i wóz dostawczy M1079A2. Nieco dalej, w specjalnie zbudowanym baraku, mieściło się mobilne centrum dowodzenia, gdzie kilkunastu żołnierzy z jego plutonu kończyło wykonywać zadanie, które tak nagle im przydzielono. Obok baraku stała przyczepa z pneumatyczną katapultą, teraz pustą.

Zaskrzeczało radio.

– Tango Jeden, Tango Jeden, tu Victor Dziewięć, odbiór.

To był specjalista trzeciej klasy Hudson, który zdalnie pilotował Nocnego Strażnika. Nawet tu, na poligonie rakietowym, tysiące kilometrów od najbliższego wroga, Hudson lubił odgrywać prawdziwego żołnierza. Roman podniósł słuchawkę.

– Tu Tango Jeden, nadawaj.

– Ostatni przelot negatywny. Proszę o pozwolenie na powrót.

– Zarejestrowaliście wszystkie dane?

– Tak jest, wszystkie dane zostały odebrane i zarejestrowane.

– Bardzo dobrze, Victor Dziewięć. Ląduj i zabezpiecz dron. Bez odbioru.

Roman odnotował meldunek na tablecie, a potem znów spojrzał powoli na otaczający go krajobraz. Było po czwartej i słońce wisiało tuż nad odległymi górami. Nie powiedziałby tego podwładnym, ale chciał jak najszybciej zakończyć te bzdurne ćwiczenia i wrócić do bazy. Wieczorem leciał ostatni odcinek *Westworld* i nie zamierzał go opuścić.

Po raz tysięczny zadał sobie to samo pytanie: skąd u starego te mrówki w tyłku? Tak jak w każdej bazie wojskowej, w Białych Piaskach odbywało się wiele różnych ćwiczeń i testów, planowanych i nieplanowanych. Ale od kilku dni wyglądało to tak, jakby szykowali się do ataku na plażę Omaha. Misje zwiadowcze przed lotami bombowymi, przeprowadzane z powietrza aktualizacje strategicznych map pomiarowych w ultrarozdzielczości, a nawet wypadły w teren w poszukiwaniu niewypałów i niewybuchów – wiedział, że w Białych Piaskach przez wiele lat testowano nowe rodzaje pocisków, ale zawsze dokładnie zbierano ich szczątki, więc tego rodzaju zadania były jedynie bezsensowną pracą dla zabicia czasu, zwłaszcza teraz, w XXI wieku. Ale najbardziej zaskakująca była dzisiejsza misja: jego pluton dostał rozkaz odszukania pocisku rakietowego, który nawalił i eksplodował w rejonie Góry Victoria. W dodatku mieli to zrobić nie za pomocą zwykłego drona typu RQ-7, tylko za pomocą najnowszego, Nocnego Strażnika, wyposażonego w radar z syntetyczną aperturą, sonar niskiej częstotliwości i system łączności satelitarnej, umożliwiający sterowanie poza zasięgiem widzenia. Był to jedyny taki dron w bazie i – Roman nie miał co do tego wątpliwości – nie skonstruowano go do tak błahych zadań. Drugi dron, zwykły RQ-7 Shadow, leżał na przyczepie jako zapasowy.

Odłożył tablet i zerknął w stronę horyzontu, gdzie w gasnącym świetle dnia rósł punkcik powracającego Strażnika. Może działało się coś na wyższych szczeblach władzy. Może wszystkie amerykańskie bazy przeprowadzały ostatnio więcej ćwiczeń i testów. Wmawiał to sobie aż do dzisiejszego dnia, bo polityka świata zewnętrznego nie bardzo go interesowała. Ale poszukiwania zaginionego MIM-23? Do awarii doszło kilka miesięcy temu i ustalono, że hawk eksplodował w powietrzu po tym, jak włączył się system samozniszczenia. Poza tym leciał w zupełnie innym kierunku.

Nocny Strażnik był już blisko – sukinsyn latał jak szalony – i siedzący w centrum dowodzenia Hudson obiema rękami sprowadzał go na ziemię. Roman odłożył na bok domysły i spekulacje. Generał był w porządku –

każdy dowódca ma swoje dziwactwa. Może inaczej nie zostałby dowódcą? McGurk nie należał do małosłownych tyranów i nie pysznił się jak trzeciorzędny Hitler. Nigdy nie dawał się ponieść gniewowi. Zgoda, miał bzika na punkcie historii broni atomowej, ale co w tym złego? Tłumaczyło to zresztą, dlaczego półtora roku temu poprosił o przeniesienie na stanowisko dowódcy Białych Piasków, co nie było zbyt mądrym krokiem na ścieżce kariery zawodowej, ponieważ poligonami dowodzili zwykle pułkownicy. Roman wolałby, żeby...

Z zamyślenia wyrwał go ruch w bocznym lusterku. Od strony posterunku dowódczego zbliżał się mały konwój, dwa jeepy. Co się, do diabła, dzieje? Kiedy zobaczył gwiazdę na drzwiach tego jadącego przodem, zwykła ciekawość ustąpiła miejsca zupełnie czemu innemu.

Wyskoczył z samochodu w chwili, gdy jeepy gwałtownie zahamowały w kłębach kurzu. Nocny Strażnik już wylądował i jego ludzie, którzy właśnie podprowadzali przyczepę, znieruchomieli, zaskoczeni widokiem pojazdu generała.

W drugim jeepie siedziało dwóch żandarmów. Pierwszym kierowała porucznik Woodbridge, adiutantka McGurka. Wysoka i szczupła wysiadła z niemal królewską godnością i powoli odwróciła się twarzą do Romana. Przypominała mu egipską królową, bo miała wystające kości policzkowe, idealną miedzianą cerę, bursztynowe oczy i pełne usta, które chyba nigdy się nie uśmiechały. I tak jak królowa wzbudzała strach – generał i ona byli jak yin i yang. A teraz stała nieruchomo jak posąg. Żandarmi nie zgasili silnika i pozostali w samochodzie.

Jedyną szybko poruszającą się osobą był McGurk. Wyskoczył z jeepa i ruszył ku nim jak burza. Roman nigdy nie widział u niego takiej miny. Stanął na baczność i zsalutował, lecz generał minął go i podszedł do Hudsona.

– Melduj – warknął.

Hudson, nienawykły do rozmów z generałami, zerwał się na równe nogi.

– Słucham?

– Melduj!

Hudson przełknął ślinę.

– Panie generale, melduję, że lot zwiadowczy nie przyniósł pozytywnych wyników.

– Pokaż mapę. – McGurk wziął od niego tablet, spojrzął na ekran i kilka razy zastukał weń palcem.

– Strefy od C-12 do F-14. Lataliście tylko tam?

– Tak jest, takie mieliśmy rozkazy.

– To niecała połowa tych formacji! – McGurk machnął ręką w kierunku Góry Victoria.

– Panie generale, balistycy ustalili, że jeśli pocisk eksplodował w powietrzu, jego szczątki mogły spaść tylko po tej stronie...

– Ustalenia balistyków mnie nie interesują. – Generał powiedział to spokojnym głosem, ale jego twarz poczerwieniała aż do linii włosów. – Czy komputer może przewidzieć trajektorię pocisku, który uległ awarii?

– Nie, panie generale.

– Czy jesteście absolutnie pewni, że pocisk nie spadł po drugiej stronie góry?

– Nie, panie generale.

– W takim razie przeszukajcie ją, do cholery! I zwiększcie promień do trzech i pół kilometra. Wyniki przyslijcie bezpośrednio do mnie.

– Panie generale... – zaczął Hudson, ale McGurk szedł już do jeepa. Mijając Romana, łypnął na niego spode łba.

Wszystko zdarzyło się tak nagle, tak nieoczekiwanie i tak szybko, że sierżant nie zdążył zareagować. McGurk wsiadł do samochodu, za nim wsiadła adiutantka, jeepy zawróciły i pomknęły w kierunku bazy. Oszołomiony Roman odprowadził je wzrokiem. To, że generał przyjechał na poligon, aby osobiście skontrolować wyniki rutynowej misji, było czymś niezwykłym. Mrówki? Nie, ten facet miał w tyłku nosorożca.

Wyczuł, że ktoś za nim stoi.

– Panie sierżancie? – To był Hudson. – Parametry lotu zwiadowczego były zgodne...

– Słyszałeś, co powiedział generał – przerwał mu Roman. – Parametry się zmieniły. Przyjedziemy tu jutro o szóstej i poszerzymy zakres poszukiwań zgodnie z nowymi rozkazami.

TYM RAZEM, KIEDY ZAPARKOWAŁA przed krytą blachą chatą, Jesse Gower czekał na nią na ganku. Corrie wysiadła i ominąwszy zalegające na podwórku śmieci, przystanęła u stóp schodów.

Gower – był w tym samym obszarpanym ubraniu, w którym widziała go poprzednim razem – spojrzął na nią ze starego krzesła. Może miała przywidzenia, ale chyba umył głowę i się uczesał. I na pewno się ogolił.

– Odsłuchałam pana wiadomości – zaczęła. – Obydwie.

Zostawił jej dwie wiadomości głosowe, w których pytał o postępy w śledztwie i o złoty krzyż. A teraz milczał.

– Mogę wejść?

Zaprosił ją gestem ręki, więc weszła na ganek i usiadła na stołku.

Przez chwilę patrzyli na siebie i milczeli. Corrie przypomniały się szorstkie słowa, którymi go wtedy pożegnała. Nieoczekiwanie wypłynęły skądś na powierzchnię. Nie wiedziała dlaczego. Może dlatego, że Gower – uzależniony od narkotyków, pochłonięty sobą i zły na cały świat – przypominał trochę jej matkę. Bardziej niepokojące było jednak to, że widziała w nim także siebie, a raczej Corrie, jaką mogła się stać.

– Nie przyjechałam tu, żeby pana przesłuchiwać, przeszukiwać dom ani pana aresztować. Przyjechałam jako ktoś, kogo interesuje pański dziadek. Chodzi nam o to samo. Nie ma powodu, żebyśmy byli wrogami. Poza tym... – Zrobiła pauzę. – Poza tym chciałam pana przeprosić za to, co powiedziałam ostatnim razem. Przed odjazdem.

Gower przyjął to z kamienną twarzą.

– A krzyż?

– Wciąż jest dowodem rzeczowym. Znalezione go przy zwłokach na terenie publicznym. W tej chwili nic w tej sprawie nie mogę zrobić ani

ja, ani nikt inny. Kiedy śledztwo się skończy, rozważymy, czy można go panu zwrócić. Ale to też jest skomplikowane ze względu na przepisy prawne. Poza tym... – Chciała dodać, że krzyż jest radioaktywny, ale ta informacja była ściśle zastrzeżona. – Obiecuję, że zrobię, co się da.

Gower przyjął spokojnie i to. On też przemyślał chyba wiele rzeczy.

– Nie chciałem wyjść na ostatniego dupka. Po prostu... – Machnięciem ręki wskazał zapuszczone podwórko i rdzewiejące narzędzia, przytłaczające ucieleśnienie straconych marzeń.

Natychmiast go zrozumiała. Po tak trudnym dzieciństwie studia na prestiżowym uniwersytecie musiały być jak awans do lepszego świata. Ale ten świat się rozpadł, Jesse musiał wrócić i wiodło mu się jeszcze gorzej.

– Wychowałam się w Kansas – powiedziała. – W mieście niewiele większym i tylko trochę ładniejszym niż... to tutaj. – Ugryzła się w język. – Przepraszam, nie chciałam...

– Nie, ma pani rację, tu jest ohydnie. W Cambridge przeżyłem olśnienie. Nie miałem pojęcia, że świat może być taki zielony.

– Zieleń nie zawsze jest fajna. Mieszkałam wśród pól kukurydzy. Jako dziecko myślałam, że ciągną się i ciągną bez końca. Zielone piekło.

Znów umilkli. W końcu Gower poruszył się na krześle.

– Przynieść pani szklankę wody czy czegoś? Przepraszam, ale naprawdę nie mam...

– Nie, dziękuję, nie trzeba. – Oboje popatrzyli na otaczające ich pustkowie. W końcu Corrie podjęła decyzję.

– Pana pradziadek zginął podczas testu Trinity. Uważamy, że szukał skarbów na pustyni Jornada del Muerto. Zabił go podmuch wybuchu. Udało mu się wrócić do obozowiska w Wysokiej Samotni, ale zaraz potem umarł.

– Chryste... – Gower miał na twarzy maskę zaszokowania i niedowierzania. – Chce pani powiedzieć, że leżał tam od dnia wybuchu bomby?

– Tak. Prawdopodobnie odkryliśmy miejsce, gdzie obozował. Właśnie je badamy.

– Dowiedzieliście się czegoś więcej o tym krzyżu?

Corrie się zawahała. Nie chciała wzbudzać w nim zbyt wielkich nadziei, ponieważ wciąż nie ustalono, czy w ogóle będzie miał prawo rościć sobie prawo do znaleziska.

– Krzyż też został napromieniowany. Pana pradziadek miał go przy sobie w chwili wybuchu. Niewiele o nim wiemy oprócz tego, że jest stary i cenny. Mógł należeć do hiszpańskiego zakonnika, wędrownego misjonarza.

– Jest mocno napromieniowany?

– Teraz już nie. Taką dawkę wchłania się, lecąc samolotem na wysokości jedenastu kilometrów.

Gower westchnął.

– Nie znaleźliście przy nim zegarka?

– Nie. Dlaczego?

– To dziwne, że miał przy sobie złoty krzyż, a nie zegarek. To była jedna z dwóch rzeczy, na których najbardziej mu zależało, pamiątka rodzinna przekazywana z pokolenia na pokolenie. Ale przepadła wraz z nim. – Zamyślił się. – Złoty krzyż. Hiszpański. Więc pewnie skarb. Myśli pani, że przed śmiercią znalazł skarb z Góry Victoria?

Corrie milczała. Gower bardzo szybko dodał dwa do dwóch, może nawet za szybko. Właściwie dlaczego tu przyjechała? Po części w odpowiedzi na jego telefony. Ale coś jej mówiło, że Gower wie więcej, niż jej powiedział.

W ciszy głośno zagdakała kura w kurniku.

– Brawo, Pertelote! – zawołał. – Zrobiła mi kolację.

– Pertelote?

– Rozpoznaję kury po ich gdakaniu. To bardzo ekscentryczne bestyjki.

– Skąd pan wytrzasnął to imię?

Gower spuścił głowę.

– Z resztek mojej edukacji. Często przesiaduję na tym ganku i ponadawałem tu wszystkiemu imiona postaci z literatury angielskiej. Nic innego nie mam do roboty. Chaunticleer i Pertelote to kogut i kwoczka z *Opowieści kanterberyjskich* Chaucera. Pertelote była ulubienicą mojego koguta, ale Chaunticleer pewnego dnia zniknął. Pewnie szop go dopadł. Pozostałe kury też ponazywałem. A kurnik to Canterbury. To stare, pęknięte drzewo to Child Roland z poematu Byrona, bo wygląda jak rycerz, któremu nie bardzo się powiodło. A cała ta przestrzeń między drogą i płotem to Ziemia Jałowa... Ale chyba nie trzeba czytać Eliota, żeby na to wpaść.

Corrie słuchała tego nagłego potoku słów ze szczerym zdziwieniem. Jesse Gower wcale nie był głupi. Miała ochotę spytać go o tę powieść, ale kiedy spytała poprzednim razem, szybko ją zbył. Dlatego niby od niechcienia wskazała szopę na narzędzia, zabita starymi deskami.

– A jak pan nazwał tę budkę?

– Nijak – mruknął. Zamknął się w sobie tak szybko, że nabrała przekonania, iż powiedziała coś złego, więc natychmiast zmieniła temat. – Ten zegarek, o którym pan wspominał. Opowie pan o nim coś więcej?

– To był złoty flyback.

– Flyback?

– Każdy zegarek wskazuje godziny i minuty. Jeśli robi coś więcej, to funkcja ta nazywa się w horologii „komplikacją”. Chronometry wskazują na przykład sekundy, i to bardzo dokładnie. A w chronografie z funkcją Flyback jednokrotne naciśnięcie przycisku stopera powoduje zatrzymanie, wyzerowanie i ponowne uruchomienie pomiaru czasu.

– W horologii? Od „horroru”?

Gower uśmiechnął się, pierwszy raz.

– Tak jak mówiłem, mój tata znał się na zegarkach i umiał je naprawiać. Ludzie przynosili mu zwykle tandetne timexy, ale raz dostał starego pateka do czyszczenia i regulacji. Pamiętam, że pozwolił mi do niego zajrzeć. Zobaczyłem tam cały świat, dźwignie, sprężyny, rotory, a nawet szlachetne kamienie. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby tata był tak

podekscytowany. To był jeden jedyny raz, kiedy dostał do naprawy zegarek ze świętej trójcy.

– Skąd?

– Patek Philippe, Vacheron Constantin, Audemars Piguet: trzech najstarszych, największych mistrzów sztuki zegarmistrzowskiej. Każdy zegarek, który wyszedł spod ich ręki, składa się z setek części wykonanych z niewyobrażalną dokładnością i pietyzmem. A wszystkie pracują w ukryciu i w ciszy, idealnie ze sobą współpracując. – Powiedział to wszystko z błyszczącymi oczami.

– A rolexy? – spytała. – Myślałam, że to rolexy są najlepsze.

– Mają ikoniczny wygląd, ale to tylko maszyny robocze. Nie montuje się ich z fanatyczną dbałością, poza tym nie mają wiecznego kalendarza ani... – Urwał, widząc, że Corrie mu się przygląda.

– Niech pan mówi dalej.

Wzruszył ramionami.

– Po co? Za milion lat nie stać by mnie było na taki zegarek. Nawet gdybym sprzedał... – Nie dokończył.

Corrie też umilkła. Siedział przed nią ktoś, kto całe życie spędził sam na sam ze swoimi myślami. Nie nawykł do tego, żeby z kimś się nimi dzielić.

– Powiedział pan, że pradziadkowi zależało na dwóch rzeczach – spytała obojętnie. – A ta druga?

Długo patrzył na nią, jakby wrodzona podejrzliwość walczyła w nim z pragnieniem towarzystwa.

– Stare malowidło – odparł w końcu.

– Dlaczego było dla niego tak ważne?

– Kto wie? Przekazywano je w rodzinie z pokolenia na pokolenie, jak świętą księgę czy coś. Mama przez całe życie nosiła kameę, chociaż okazało się, że to podróbka. Ludzie przywykają do ulubionych rzeczy. Poza tym już dawno go nie ma.

Corrie czuła, że Gower się wycofuje i coraz bardziej zamyka w sobie. Jednocześnie układała sobie w głowie rzeczy, które przed chwilą

powiedział. „Chociaż okazało się, że to podróbka...”

Rozejrzała się i zatrzymała wzrok na szopie. Odpowiedział na jej pytanie niechętnie i burkliwie. A wisząca na drzwiach kłódka była podejrzenie nowa w porównaniu ze wszystkim innym na podwórku.

– Ta szopa. Moglibyśmy do niej zajrzeć?

– Po co? – Natychmiast podniósł głos. – Już drugi raz pani o nią pyta.

– Ciekawie wygląda i po prostu pomyślałam...

– Po prostu pomyślałam. Po prostu pomyślała pani, że może pani tu przyjechać, naopowiadać mi o tym krzyżu, podpuścić mnie mglistymi obietnicami, a potem zadać jeszcze więcej pytań. Myśli pani, że co? Że mam tam laboratorium amfetaminy?

– Nie, chciałam tylko...

– Wszystkie te sugestie, że jesteśmy pokrewnymi duszami, te wzmianki o Kansas, to udawane zainteresowanie zegarkami... Tak naprawdę chciała pani coś ze mnie wyciągnąć! Wszyscy gliniarze są tacy sami! – Zerwał się z krzesła. Krzyczał, miał załzawione oczy. – I pomyśleć, że omal nie dałem się nabrać! Wynocha, ale już! Spierdalaj stąd i nie wracaj!

Corrie zrozumiała, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Gower wpadł nagle w irracjonalny szal jak ktoś z zaburzeniem dwubiegunowym. Widywała już takie napady i wiedziała, że można wtedy zareagować tylko w jeden sposób. Dlatego wstała, zeszła z ganku i szybko wróciła do samochodu.

NORA SIEDZIAŁA NA PIĘTACH, patrząc na odkopane w Wysokiej Samotni stare obozowisko Gowera: sześć metrów kwadratowych ziemi wraz z paleniskiem, śmieciami, przegniłym namiotem i niepokojąco dużą liczbą butelek po Rich & Rare. To był dziwny i nieprzyjemny dzień. Słońce przestłoniły wysokie chmury, a silne podmuchy wiatru porzrzucały po ruinach kłęby wędrownego zielska i pokryły wszystko cienką warstwą kurzu, włosy i oczy też.

Natomiast wykopki przebiegły fantastycznie i skończyła dużo szybciej, niż zakładała. Bardzo się z tego cieszyła, bo chociaż Weingrau bez szemrania zwolniła ją z pracy, zrobiła to mniej chętnie niż poprzednio. Adelsky świetnie się sprawił, ale – co było do przewidzenia – podczas jej nieobecności opóźnienie na wykopaliskach w Tsankawi jeszcze bardziej się zwiększyło. Poza tym miała mieszane uczucia co do uwagi, jaką zyskiwał w instytucie Connor Digby, który przejąwszy część jej obowiązków administracyjnych, całkiem dobrze się sprawdzał.

Nie. Szybko odpędziła te myśli. Pracowała w instytucie od dziesięciu lat, a Digby ledwie od kilku tygodni. Był od niej młodszy, a liczba jego publikacji, choć spora, nie mogła równać się z jej dorobkiem naukowym. To niemożliwe, żeby awansowano go zamiast niej. Niepotrzebnie się martwiła. To małostkowe, a nawet trochę paranoiczne.

Skupiła uwagę na obozowisku. Większość znalezisk już sfotografowali i spakowali, w tym owinięty w skórę niezwykle przedmiot, indiańskie „leki”. W ciągu jedenastu godzin wraz ze Skipem uporała się z dwudniową robotą. I to z jakimi rezultatami! Z satysfakcją pomyślała, że ich odkrycia mogą zmienić wszystkie poprzednie założenia, pchnąć do przodu tę sprawę.

Skip spakował ostatnie narzędzia i zamknął skrzynkę.

– Trzeba to uczcić – powiedział. – Co powiesz na coś prosto z lodu?

Nie mogła się nie uśmiechnąć. Brat nigdy nie przepuściłby okazji do napicia się piwa, ale musiała przyznać, że tego wieczoru ona też miała ochotę.

– Czemu nie?

– Już podaję.

– Najpierw to przykryjmy.

– Ty tu rządzisz.

Przykryli wykopalisko dużą plastikową płachtą, dokładnie przybili ją palikami do ziemi, a potem wrócili do swojego obozowiska, które rozbili pięćdziesiąt metrów dalej. Cieszyła się, że wiatr w końcu ustał i mogą cieszyć się wieczorem bez kurzu w ustach.

Skip pogrzebał w lodówce i przyniósł dwie butelki piwa, mokre od spływających po szkle kawałków lodu. Otworzył je wprawnie, podał jej jedną i podniósł swoją jak do toastu.

– Za niesamowite wykopki.

Tręcili się szkłem.

– Dobra – rzucił. – I co o tym wszystkim myślisz?

– Po pierwsze – odparła – w namiocie były dwa legowiska, więc jest oczywiste, że Gower miał współnika. A sądząc po ilości śmieci i nadpalonych kawałków drewna w palenisku, obozowali tu dłuższy czas, ze dwa tygodnie.

– A te „leki”?

Znaleźli je w namiocie, owinięte w kozłą skórę i wyschnięte na wiór. Ostrożnie rozwinęła skórę i je wyjęła: stary dziób jakiegoś ptaka, małą figurkę wilka z agatu, małą plecionkę z trawy, pęczek szałwii i krótkich ptasich piór oraz pięć malutkich woreczków wyschniętej ziemi.

– Myślę, że należały do jego współnika, co znaczy, że współnik był Indianinem, najpewniej Apaczem.

– Skąd wiesz?

– To są tak zwane „leki” ziemne. Cztery z tych woreczków zawierają ziemię ze szczytów czterech świętych gór, a piąty z rodzinnych stron właściciela. Takie „leki” robili tylko Apacze i Nawahowie. Nie zdziwiłabym się, gdyby współnik Gowera był Apaczem Mescalero. Należały do nich wszystkie te ziemie.

– Więc gdzie się podział?

Nora się zamyśliła.

– Musiał szybko odjechać. Zostawił „leki”, co świadczy o tym, że odjeżdżał w panice. No i po nie nie wrócił. – Pociągnęła łyk piwa. – A dzisiejsze odkrycia pozwolą nam dokładniej odtworzyć ostatni dzień życia Gowera.

Skip melodramatycznie zatarł ręce.

– Super!

Słońce już zaszło i leżącą w dole pustynię pokryła czerwona mgła. W ich kierunku napływały ciemne chmury i cienki pasek jaśniejszego nieba nad górami szybko zniknął. Zamrugła błyskawica, ale tak daleko, że nie słyszeli grzmotu. Był to jeden z tych wieczorów, groźny i mroczny, jakby nadchodził koniec świata. Gwałtownie spadała temperatura.

– Rozpalmy ognisko i przedstawię ci moją teorię.

– Dobra.

Skip ściął nożem trochę trawy i szałwii na podpałkę i po chwili zapłonął ogień, rozpraszając gęstniejący mrok kręgiem ciepłego światła.

– Jest 15 lipca 1945 roku – zaczęła. – Gower i jego współnik...

– Zaczekaj. Musimy nadać mu jakieś imię. Inaczej co to by była za opowieść?

– Dobrze, nazwijmy go „X”

– Nie, to zbyt oklepane. – Brat podrapał się w czoło. – Na przykład „A”, od Apacza.

Przewróciła oczami.

– Niech ci będzie. Więc obozowali tu parę tygodni. Szukali czegoś na Jornada del Muerto albo u stóp San Andres.

– Czegoś? Szukali skarbu! – Skip otworzył kolejną butelkę piwa.

– Może. Albo zaginionej kopalni. Albo czegoś cennego, co zostało na ranczu Gowera. W każdym razie rozbili tu obozowisko. I pewnie widzieli ten sam krajobraz, na który teraz patrzymy. To mógł być wieczór podobny do dzisiejszego, z nadciągającymi ciemnymi chmurami. Trochę czytałam o Trinity i okazuje się, że test opóźniono ze względu na burzę.

– Pewnie bali się, że bombę może trafić piorun. – Skipowi rozbłąsły oczy.

– Na pewno. Więc Gower jedzie na mule przez pustynię. „A” czeka na niego w obozowisku. Tymczasem, o czym nie wiedzą, za chwilę ma wybuchnąć pierwsza bomba atomowa, najpilniej strzeżona tajemnica projektu „Manhattan”

Zapada noc, mijają godziny. Zupełnym przypadkiem Gower przejeżdża niedaleko punktu zero. Bomba spoczywa na szczycie trzydziestometrowej wieży, okablowana i gotowa do odpalenia. Naukowcy są w bunkrze, czekają, aż się wypogodzi. O piątej dwadzieścia dziewięć naciskają guzik i bomba eksploduje. Test jest wielkim sukcesem, tylko że Gowera zahacza skraj fali uderzeniowej. Tymczasem „A” ogląda wybuch jak z łoża honorowej: ma stąd bezpośredni widok na oddalone o trzydzieści kilometrów miejsce testu. My też, jest tam. – Wskazała nicość między górami, bezbrzeżną i pełną szkarłatnych cieni. Przeszły ją ciarki. Patrzyła na nawiedzoną przez demony pustynię, gdzie miało miejsce jedno z najważniejszych wydarzeń w historii ludzkości.

– Pewnie wystraszył się jak jasna cholera.

– Mało powiedziane. Wyobrażasz sobie, jak musiał się czuć, widząc rozbłysk światła jaśniejszego niż słońce? A potem wzbijającą się w niebo monstrualną kulę ognia wielkości miasta? Chwilę później usłyszał potworny huk i trafiła go fala uderzeniowa. Czegoś takiego nikt przedtem nie widział, zupełnie nikt, w całej historii świata. Oniemieli nawet naukowcy, którzy wiedzieli, czego się spodziewać. Oppenheimer porównał ten wybuch do rozbłysku tysiąca słońc.

Popatrzyła na pustynię.

– Gower został ciężko ranny. Miał szczęście, że nie oślepl, tak jak wielu mieszkańców Hiroszimy, którzy w chwili eksplozji spojrzeli w niebo.

– A potem? – spytał Skip. – Co zrobił „A” po wybuchu?

– A co mógł zrobić? Zaczekał na współnika. Pomyśl tylko, jakiej wymagało to odwagi, bo Gower dowlókl się tu pewnie po dziesięciu godzinach. I co „A” wtedy widzi? Krwawiącego upiora, z którego schodzi płatami zaczerwieniona skóra i który ma przypalone ubranie i włosy. Muł też był pewnie zakrwawiony i miał spaloną sierść. Obaj wchłonęli olbrzymią dawkę napromieniowania i obaj umierali. Jednymi z symptomów choroby popromiennej są splątanie i dezorientacja, a także napady szału i pragnienie, którego nie sposób ugasić. Więc Gower wpadł w szal. „A” próbował mu pewnie pomóc, ale wkrótce potem Gower zmarł, najprawdopodobniej wyjąc z bólu.

– Jezu Chryste...

– Nie potrafię sobie wyobrazić, co się działo w głowie „A”. Najpierw zobaczył ten rozbłysk, a potem swojego współnika zmienionego w oskórowane, bełkoczące od rzeczy monstrum. Pomyślał pewnie, że to dzieło szatana.

– Skąd wiesz, że nie uciekł zaraz po wybuchu?

– Już mówiłam: nigdy nie zostawiłby współnika. Poza tym był religijny. Nie był chrześcijaninem, ale przestrzegał indiańskich tradycji, czego dowodem są „leki”. Apacze uważają, że każdego zmarłego trzeba pochować. Że to ich święty obowiązek. Dlatego nie miał wyjścia i po prostu musiał pochować swojego przyjaciela i współnika. Co też zrobił.

– Więc myślisz, że Gowera pogrzebano celowo?

– Tak, i jestem głupia, bo nie wpadłam na to wcześniej. „A” nie obszukuje ciała, dlatego nie wie, że Gower ma przy sobie złoty krzyż, a nawet jeśli wie, jest w takim stanie, że wszystko mu jedno.

Skip dorzucił do ognia kilka patyków i gęstniejąca ciemność szybko pierzchła.

– I grzebie go w piwnicy.

– Tak, bo jest tam pełno nawianego przez wiatr piasku, miękkiego i łatwego do kopania. Teraz już rozumiem, dlaczego ciało było ułożone w pozycji embrionalnej: to pozycja, w jakiej Apacze tradycyjnie chowają swoich zmarłych. Ręka wysunęła się pewnie na zewnątrz, kiedy „A” wrzucił ciało do dołu. Zaraz po pogrzebie „A” ucieka. Spełnił swój obowiązek, ale to nie znaczy, że się nie boi. Jest tak przerażony, że zostawia w obozowisku wszystkie rzeczy, „leki”, namiot, materace i całą resztę. Ale przed ucieczką coś robi: skraca cierpienia mułowi. I już nie wraca albo nie może wrócić, bo umiera. Inaczej nie byłoby tu jego „leków”.

– A potem? Co się z nim stało?

Nora spojrzała w ogień.

– Minęło siedemdziesiąt sześć lat, więc pewnie już nie żyje. Te wydarzenia musiały całkowicie odmienić jego życie, nie trzeba do tego telepaty.

– Ciekawe, czy komuś o tym powiedział.

– Wątpię. Przebywali nielegalnie na terenie zamkniętego poligonu wojskowego. Zniknięcia Gowera nigdy nie wyjaśniono. Jestem pewna, że zabrał tę tajemnicę do grobu.

– Jezu, aż ciarki przechodzą. – Skip dopił piwo. – Po opowieściach z dreszczykiem zawsze jestem głodny. Kolacja?

– Jasne.

Rozpychając się między chmurami, zza gór po lewej stronie wychynał prawie pełny księżyc.

– Piwo?

– Nie, dzięki. A właściwie tak, a co tam. Dawaj.

Usiedli przy ognisku na składanych krzesłach. Skip pogrzebał w węgielkach, po czym rzucił na ruszt dwa steki, kilka łagodnych papryczek i dwie kolby kukurydzy. Przez kilka minut patrzyli, jak to wszystko skwierczy. Potem Skip obrócił mięso na drugą stronę. Już miał obrócić papryczki, gdy nagle wstał i zastygł bez ruchu, patrząc na wschodzący księżyc.

– Widziałem jakiś kształt – powiedział cicho. – Na tej górze, na tle księżyca.

Nora też wstała.

– Jaki kształt?

– Jakby cień... człowieka.

– Na pewno nie zwierzęcia?

Skip zmrużył oczy, wciąż patrząc na zamglony księżyc, który zniknął już za chmurami.

– Może. Ale był za wysoki jak na zwierzę.

Nora powiodła wzrokiem po tonących w ciemności zboczach.

– Nikt przy zdrowych zmysłach by tu nie przychodził, nie o tej porze.

– Cóż, jeśli ktoś przyjdzie, powitam go moim remingtonem osiemset siedemdziesiąt.

– Tylko niech cię palec za bardzo nie swędzi. Ale tak, nabij go i zabierz do namiotu.

– Będę go tulił całą noc – obiecał ze śmiechem Skip.

Steki doszły i podał kolację. Nora jadła z apetytem. Brat jak zwykle przygotował jedzenie wprost doskonale: mięso było soczyste i różowe, papryczki lekko przypalone, a kukurydza obrana i obficie polana roztopionym masłem. Kilka razy spojrzała na góry, lecz nie zobaczyła tam ani światła, ani najmniejszego śladu życia. Widziała jedynie czarną ciemność.

– Wiesz co? – rzuciła, kiedy skończyli jeść. – Przynieś swojego gibsona i coś zaśpiewaj. Przepędźmy ten ponury nastrój. Ta opowieść mnie też przyprawiła o dreszcze.

– Jakąś starą amerykańską balladę? Już służę.

I Skip zniknął w namiocie.

35

NORA OBUDZIŁA SIĘ W ŚRODKU NOCY z gwałtownie bijącym sercem. Było ciemno jak w grobie, bo księżyc schował się za chmurami.

– To ja – rzucił cicho Skip sprzed wejścia do namiotu. – Mów szeptem.

Usiadła.

– Co się dzieje?

– Ktoś tu jest.

– Jesteś pewny?

– Słyszałem głosy. Ubierz się.

Szybko włożyła dzinsy i bluzkę. Wystawiła głowę z namiotu. Skip siedział w kucki tuż obok, z remingtonem w rękach. Ognisko zgasło i panowała nieprzenikniona ciemność.

– Gdzie słyszałeś? – spytała.

– Tam. – Brat wskazał ręką.

Wytężyła słuch, lecz słyszała jedynie szelest poruszającego się płótna namiotu. Wbiła wzrok w ciemność i nagle zobaczyła krótki rozbłysk światła, jakby ktoś zapalił i natychmiast zgasił zapałkę.

– Cholera, widziałaś?

– Tak.

Czekali. Serce waliło jej jeszcze mocniej, tak mocno, że nie mogła się skupić na nocnych odgłosach. Mijały sekundy.

Cicho trzasnęła złamana gałązka.

Nora wstrzymała oddech, próbując zapanować nad tętnem. Skip uniósł lufę remingtona i wycelował w nieprzeniknione morze ciemności.

– Nie widzą nas – szepnął. – Chyba że mają noktowizory. Ale wątpię.

– Co robimy?

Brat nie odpowiedział i nie opuścił lufy. Usłyszała – albo tylko tak się jej wydawało – cichy szept. Dotknęła ręki Skipa, a on kiwnął głową na znak, że też to słyszał.

– Pójdę tam – rzucił. – Zajdę ich z boku.

Z ciemności znów dobiegł cichy trzask czy szelest.

– Skradają się. – Skip ułożył broń w zagłębieniu łokcia, szykując się do skoku. – Musimy przejść do ataku, nie ma innego wyjścia. Nic nie rób i ani mru-mru. Pamiętaj, że oni nic nie widzą, tak jak my.

Ścisnęła mu ramię i zabrała rękę.

Brat wstał i chyłkiem ruszył w ciemność. Nora czekała, patrząc w stronę źródła odgłosów. Po chwili usłyszała cichy chrzęst, jakby ktoś nieostrożnie postawił nogę na ziemi nie dalej jak sześć metrów od niej. Skip miał rację: ktoś się tam skradał, czujnie i z rozmysłem.

Przestrogi przestrogami, ale zdała sobie sprawę, że nie może tu siedzieć bezbronna jak małe dziecko. Odwróciła się po cichu, włożyła rękę do namiotu, pogrzebała w bocznej kieszeni i powoli wyjęła latarkę i nóż, oksydowany na czarno zero tolerance 0888. Latarkę położyła obok prawej stopy, a nóż rozłożyła. Klinga zaskoczyła z cichutkim kliknięciem. Teraz mogli ją atakować, ale na pewno tego pożąają.

Znowu czyjś szept. Chrapliwy, dochodzący z bliższej odległości. Chryste, że też musi być tak ciemno. Pochyliła się, zacisnęła palce na tytanowym uchwycie i wyciągnęła przed siebie rękę, spięta i gotowa ciąć i dźgać wszystko, co napotka ostrze. Odwagi dodawał jej ciężar dobrze wyważonej broni, noża z limitowanej serii, który ktoś przysłał jej anonimowo po tym, jak pomogła Corrie podczas wyprawy do Przełęczu Donnera.

Co ten Skip robi? Nie słyszała, żeby w ogóle się poruszał. To chyba dobrze, ale czuła się porzucona. W uszach dudniła jej krew. Ciemność była tak gęsta, że intruz albo intruzi mogli stać kilkanaście centymetrów od niej, a i tak by ich nie zobaczyła. Powoli zatoczyła nożem łuk. Ostrze o nic nie zahaczyło.

Minęło kilka sekund. Zapalić latarkę i dla zmyłki rzucić ją w bok albo za siebie? Nie, bo jak tylko by ją zapaliła, zdradziłaby im, gdzie jest,

stałaby się łatwym celem. Szybko przeanalizowała kilka innych scenariuszy, ale żaden nie dawał nadziei na sukces. Po prostu musiała zaufać bratu. To on miał strzelbę.

Znowu szeptał, tak blisko, że poczuła czyjś oddech. Machnęła uzbrojoną ręką. Nic.

Była tak spięta, że z trudem wciągała powietrze do płuc.

I nagle... dotyk szorstkich palców na twarzy.

Przeraźliwie krzyknęła, tnąc nożem w lewo i w prawo. Ostrze napotkało opór, w coś się wbiło i ktoś krzyknął z bólu. Wciąż machając na oślep uzbrojoną ręką, zrobiła krok do tyłu, wpadła do namiotu i w tym samym momencie potężnie huknęła strzelba. Rozbłysk z lufy oświetlił na sekundę trzech uzbrojonych mężczyzn, dwóch tuż przed nią i jednego z tyłu. Skip stał nieco z boku, z wycelowanym remingtonem. Wystrzelił drugi raz i przez góry znów przetoczyło się echo potwornego huków, mieszając się krzykami i odgłosami panicznej ucieczki.

Nora chwyciła latarkę, włączyła ją i zdążyła jeszcze zobaczyć sylwetki dwóch mężczyzn znikających w pobliskim wąwozie. Skip podbiegł do niej i objął jej ramiona.

– Jesteś cała?

Kiwnęła głową.

– Tak. Widziałeś ich? Trafiłeś?

– Było ich trzech, ale wszystko działo się tak szybko, że nie zdążyłem im się przyjrzeć. Strzelałem nad ich głowami. Nie chciałem nikogo zabić i na szczęście nie musiałem. Ale mam jeszcze trzy naboje, więc jeśli wrócą...

Nora zapanowała wreszcie nad oddechem.

– Dobrze zrobiłeś. – Pokazała mu nóż. – Chyba któregoś dźgnęłam.

– Chryste, nawet na pewno.

Zerknęła na klingę błyszczącą w świetle latarki. Ociekała krwią.

– Pieprzone sukiny – warknął Skip. – Ciągłe powtarzałem, że tylko wariatka nosiłaby taki nóż jak zwykły scyzoryk, ale cieszę się, że go zabrałaś. – Zmarszczył brwi. – Co oni tu robili? Dlaczego się skradali?

Przełknęła ślinę.

- Nie mam pojęcia. Zjeżdżajmy stąd, i to już.
- Sam bym lepiej tego nie ujął.

Spakowali się błyskawicznie. Ona wrzucała rzeczy do samochodu, a on stał na straży ze strzelbą i latarką. Ciągle ją pośpieszał, ale pod koniec musiała zwolnić i sprawdzić, czy znalezione przez nich artefakty są dobrze zapakowane do specjalnych pudełek. Potem wskoczyła za kierownicę i ciemną, wyboistą drogą na złamanie karku pognali z powrotem do cywilizacji.

36

CO? – SPYTAŁA CORRIE. – Dźgnęłaś go nożem? – Dochodziła piąta rano i ze snu wyrwał ją telefon Nory.

– Na sto procent. Głęboko.

– Ale gdzie? W twarz? W ramię?

– Nie wiem.

– Sprawdzimy w szpitalach i na pogotowiu, może go znajdziemy. I nie wiesz, co tam robili? Na pewno chcieli was napaść?

– Mieli broń, ale... Gdyby chcieli nas napaść, chybabyśmy teraz nie rozmawiały. Myślę, że szukali skarbów. Szli do Wysokiej Samotni i przypadkiem się na nas natknęli. Nie wiem, może chcieli nas odstraszyć.

– Będziecie musieli tu przyjechać i złożyć zeznania.

– Wiem. – Nora się zawahała. – Posłuchaj, coś tam znaleźliśmy.

– Ale co?

Nora opowiedziała jej pokrótce o wspólniku Gowera, wytłumaczyła, dlaczego znalezione w piwnicy zwłoki leżały w nietypowej pozycji i skąd w obozowisku Gowera wziął się woreczek z „lekami”

– Woreczek z czym? – nie zrozumiała Corrie.

– Z indiańskimi „lekami”. To takie zawiniątko z kamiennymi figurkami, ziołami i innymi przedmiotami, które mają magiczną albo leczniczą moc. Musiały należeć do jego wspólnika. To bardzo cenny przedmiot, dlatego to dziwne, że go zostawił.

Corrie podciągnęła się wyżej i usiadła w łóżku.

– Tak jak ten krzyż.

– Właśnie. W normalnych okolicznościach bym ich nie zabierała, ale bałam się, że tamci wrócą, i nie chciałam ryzykować... – Nora zawiesiła głos. – Posłuchaj, myślę, że uda mi się go wytropić, tego wspólnika.

- Co? Po tylu latach? Pewnie już nie żyje.
 - Możliwe, ale ciekawie by było ustalić choćby to, co się z nim potem działo. Te „leki” są unikatowe. Nie ma dwóch takich samych. Mogłabym się dowiedzieć, kim ten Indianin był i czy na pewno był współnikiem Gowera. Może nawet dowiedziałabym się, czego szukali.
 - Ale te „leki” są dowodem rzeczowym.
 - Jeśli żyje i go znajdziemy, opowie nam, co naprawdę się stało. Uzupełni luki w tej historii. Może nawet zaprowadzi nas do skarbu.
- Corrie otworzyła usta, żeby odmówić, ale zamiast tego westchnęła.
- Dobrze. Przyjedź ze Skipem, powiedzmy o jedenastej. Spiszemy zeznania. A ja dam ci zdjęcia i szczegółową listę rzeczy...
 - Nie. Żadnych zdjęć ani list. Muszę mieć „leki”.
 - Żartujesz? To część łańcucha dowodów rzeczowych.
 - Posłuchaj, to ty do mnie przyjechałaś, niemal błagając o pomoc. To ty mnie w to wciągnęłaś, w dodatku w najgorszym momencie mojej kariery zawodowej. Dlatego zrobimy, co trzeba, i rozwikłamy tę historię. Albo się z tego wycofam.
 - Jezu.... – Corrie opadła na poduszkę. – Coś wymyślę, OK? Tymczasem odpocznij. Wygląda na to, że obie będziemy miały ciężki dzień.

* ... * ... *

Trzydzieści dwa kilometry na południowy wschód, w małym, dźwiękoszczelnym pomieszczeniu pełnym sprzętu elektronicznego generał Mark McGurk patrzył, jak jego adiutantka klika myszką, zatrzymując nagranie. Potem zapisała plik i podniosła wzrok.

- Głośno i wyraźnie? – spytał generał.

Woodbridge przewinęła nagranie – elektroniczna igła przesunęła się szybko po cyfrowych falach – i puściła krótki fragment. „Opowie nam, co się naprawdę stało. Uzupełni luki w tej historii. Może nawet zaprowadzi nas do skarbu”

- Wyśmienicie, pani porucznik – powiedział McGurk. – Wyśmienicie.
- A jeśli odkryją, gdzie to jest?

– Jeśli odkryją – odparł generał cichym, łagodnym głosem – wiem, co zrobić, żeby zatrzymali tę wiedzę dla siebie.

A WIĘC KTOŚ Z NIM współpracował – podsumował Morwood. – Jakiś wspólnik.

– Tak – potwierdziła Corrie.

Było krótko po lunchu. Zgodnie z umową Nora i Skip przyjechali do biura, złożyli zeznania, opisali napastników, po czym odjechali i Morwood – miał zaczerwienione oczy – przeglądał teraz jej opatrzony zdjęciami wstępny raport.

– Ktoś, kogo z nim wtedy nie było i kto dał nogę po śmierci towarzysza.

– Tak uważa doktor Kelly.

– Ale przedtem zdążył go pochować. Ba! Zastrzelił jego muła i... zostawił złoty krzyż.

Corrie omal nie westchnęła. Fakt, ona też uważała, że mało w tym sensu, a szef myślał pewnie, że jest go jeszcze mniej.

– Ale wszystkie te odkrycia, a raczej domniemania doktor Kelly nie mają chyba bezpośredniego związku z tą nocną napaścią.

– Nie, a przynajmniej tego nie ustaliliśmy.

– Cóż, trzeba by to sprawdzić... – Morwood zamarł, oglądając jakieś zdjęcie. – Jezu słodki. Czy to zero tolerance zero, osiem, osiem, osiem?

– Tak.

– I ona miała go przy sobie?

– Tak.

– Limitowana seria. Powinien leżeć w przeszklonej gablocie, a nie w czyjejs kieszeni.

– Zraniła jednego z napastników. Pobraliśmy z klingi próbki krwi i tkanek i zrobiliśmy masę zdjęć. – Nie wspomniała, że po oględzinach Nora nie chciała zostawić noża w depozycie jako dowodu rzeczowego.

– Hmm, jeśli tak dobrze nim włada, należy się cieszyć, że miała go pod ręką. Pójdziemy tropem krwi i znajdziemy tego typu. – Morwood odłożył raport na bok i wziął do ręki inny. – Wysyłam tam ludzi. Zabezpieczą cały teren.

– Cały? Całe miasteczko?

Szef krótko skinął głową.

Chciała go o coś spytać, lecz się powstrzymała. Ale Morwood zdawał się czytać w jej myślach.

– Tak. Przejmuję tę sprawę.

Zapadła głucha cisza, a on otworzył drugi raport.

– Mam tu pełne wyniki sekcji zwłok Riversa. Analiza krwi oraz pozostałe dane jednoznacznie wskazują, że zmarł na... – Zmrużył oczy. – Na syndrom Brugada.

Corrie z trudem odzyskała głos.

– Na co?

– Ja też o czymś takim nie słyszałem. Na syndrom Brugada, cytuję, „wywołany wstrzyknięciem karbamazepiny”. O ile dobrze rozumiem, w osobach podupadających na zdrowiu albo mających utajone problemy kardiologiczne, a, jak widać z dokumentów, nasz przyjaciel Rivers je miał, wstrzyknięciem blokerów długotrwałego prądu sodowego można wywołać złośliwą arytmie komorową. Jednym z takich blokerów jest karbamazepina. Jest tu mnóstwo innych długich słów i terminów: polimorficzny częstoskurcz komorowy, regulacja kanałów sodowych bramkowanych napięciem, kardiomiopatia rozstrzeniowa, i tak dalej. Możesz sama się z nimi zapoznać. – Rzucił raport na ten leżący na biurku. – Wszystko to sprowadza się do jednego: do zabójstwa. Rivers został zamordowany prawdopodobnie przez kogoś, kto znał go na tyle dobrze – albo kto miał na tyle dobre koneksje – aby wiedzieć, w jakim jest stanie. Miał też na sumieniu różne podejrzone sprawki, oszustwa czy sprzedaż nielegalnie pozyskanych antyków. Jesteśmy niemal pewni, że zabił go mężczyzna nagrany przez kamery szpitalnego monitoringu. Ponieważ ustaliliśmy, że mamy do czynienia z morderstwem, śledztwo – Gower,

Rivers, Trinity – nagle się skomplikowało, a jego zasięg się poszerzył. Dlatego muszę w to wkroczyć.

– Czyli odbiera mi pan tę sprawę? – Natychmiast uświadomiła sobie, jak beznadziejnie to zabrzmiało, i pożałowała, że nie siedziała cicho.

– Nie bierz tego do siebie – odparł. – Jeśli są spełnione pewne kryteria, sprawę prowadzoną przez agenta na stażu przejmuje jego opiekun, to standardowa procedura. A w tym przypadku takich kryteriów jest aż za dużo. – Klepnął ręką w leżące na biurku raporty. – Powinnaś być z siebie dumna. Wykonałaś najcięższą pracę, zwłaszcza jeśli chodzi o Gowera. Masz dobry instynkt, co potwierdziło się choćby w szpitalu. Ale fakt pozostaje faktem: ponieważ wciąż nie jesteśmy pewni, czy te dwa zgony są ze sobą powiązane, nie mamy wyjścia i musimy poszerzyć zakres śledztwa. Rozumiesz?

– Tak. – Czy to ona to powiedziała? Dziwne, bo jakby nie ona.

Morwood uśmiechnął się ironicznie.

– Na pewno. Ale to ci się nie podoba. Mnie też by się nie podobało. Spróbuj dostrzec w tym plusy. Kiedy po raz pierwszy pojechałaś do Wysokiej Samotni, pewnie nie przyszło ci do głowy, że weźmiesz udział w śledztwie dużo szerszym niż to, które się wtedy zapowiadało. Poza tym będziesz prowadziła jego ważne wątki. Badania kryminalistyczne, napromieniowane zwłoki, pochodzenie tego krzyża, rzeczy, w których się specjalizujesz, o czym wielokrotnie mi przypominałaś. Będziesz miała ręce pełne roboty.

„Spróbuj dostrzec w tym plusy”. Kiwnęła głową.

– Dziękuję.

– Jeszcze mi nie dziękuj. Przed nami długa droga.

– Ale... – Mimo że była wstrząśnięta, wciąż miała mu do powiedzenia wiele rzeczy: Rivers mógł dla kogoś pracować, co miał z tym wspólnego generał McGurk, czy mogła wypożyczyć Norze te indiańskie „leki”. Ale kiedy Morwood spojrział na nią niecierpliwie, postanowiła posłuchać intuicji, skinęła głową, odwróciła się i wyszła.

„Leki” i cała reszta musiały zaczekać.

ZAPARKOWAŁA NAPRZECIWKO BARU SPACE HARBOR. Wysiadła i potoczyła wokoło wzrokiem. Leżące u stóp gór Sacramento Alamogordo okazało się dużo większe, niż myślała, lecz było to typowe urzędnicze miasto, funkcjonalne i bez uroku.

Słyszała, że Space Harbor jest ulubionym barem żołnierzy stacjonujących w Białych Piaskach i personelu bazy lotniczej Holloman, ale stojąc na ulicy w resztkach wieczornego światła dogasającego na pustym niebie, omal nie wsiadła do samochodu i nie odjechała. To był głupi pomysł, to był krok wstecz. Z drugiej strony Morwood nie zabronił jej przyjrzeć się bliżej Białym Piaskom, oczywiście pod warunkiem, że będzie trzymała język za zębami. Nie miała żadnych nowych tropów, bo po dokładnych badaniach stwierdzono, że almanach, który znalazła na ranczu Gowera, nie wnosi do śledztwa nic wartościowego. No i w tym, że młoda kobieta – nie szkodzi, że agentka specjalna FBI – idzie do baru na drinka, nie było nic nielegalnego czy nieetycznego. Jeśli któryś z gości coś powie, a ona to przypadkowo usłyszy, tym lepiej dla niej.

Ponieważ szef nie przejawiał chęci do dalszej rozmowy, równie dobrze mogła pójść na ryby sama. Kto wie, może złowi coś na środku pustyni.

Odetchnęła, wygładziła spódnice, potrząsnęła włosami i ruszyła w stronę mrugającego szyldu przedstawiającego startujący prom kosmiczny. W drzwiach przystanęła, rozejrzała się i znów pomyślała, że to chyba bez sensu. Dochodziła ósma i w barze było sporo gości, zwłaszcza jak na czwartek. Dostrzegła wielu żołnierzy w mundurach, w tym zaskakująco dużo kobiet, z czego się ucieszyła. Nie było tam zbyt przytulnie – niefortunna kombinacja chromu i sztucznej skóry robiła swoje

– lecz nie ulegało wątpliwości, że jest to przyzwoity bar z ożywioną, lecz powściągliwą atmosferą.

Podeszła do lady i jakiś żołnierz natychmiast ustąpił jej miejsca.

– Bardzo proszę.

Posłała mu zachęcający uśmiech.

– Wielkie dzięki. – Usiadła na wciąż ciepłym stołku.

– Billy. – Wyciągnął do niej rękę jak dzieciak i rozbawiona uściśnęła mu dłoń. Jak dzieciak? Tak, bo po żołniersku ostrzyżony, mógł mieć najwyżej dwadzieścia jeden lat. Uświadomiła sobie, że jest niewiele od niego starsza.

– Corrie.

– Miło cię poznać. Mogę postawić ci drinka?

– Czemu nie? – Zerknęła na rząd kranów na ladzie. – Wezmę pilznera Alamogordo.

Żołnierz zamówił piwo, rzucił na ladę dwadzieścia dolarów i wziął piwo dla siebie. Było widać, że nie pierwsze.

– Jesteś stąd? – spytał, odwracając się i przysuwając do niej trochę za blisko.

– Nie, z Albuquerque.

– Z Albuquerque? Kawał drogi. Co tu robisz?

– Pracuję.

Kiwnął głową, dopił piwo i zamówił kolejne.

Ona upiła tylko łyczek i szybko zmieniła temat.

– Stacjonujesz w Białych Piaskach?

– Tak, jestem technikiem UMW.

– UMW?

– Usuwanie materiałów wybuchowych. Rozmontowujemy i niszczymy bomby i ajdiki, w kombinezonach saperskich albo robotami. Jestem tu na szkoleniu, potem wyślą mnie gdzieś indziej.

– Fascynujące.

Billy zamówił ente piwo i natychmiast podniósł szklankę do ust. Nigdy nie widziała, żeby ktoś tak szybko pił.

– Pełna zgoda. – Nachylił się ku niej. – Zatrzymałaś się gdzieś tutaj?
Niedługo to trwało, pomyślała.

– U ojca.

– No proszę, masz tu rodzinę? – Dopił piwo.

– Tak. – Musiała skierować rozmowę na właściwe tory, i to szybko.

– Więc jesteś technikiem UMW? Jak tu się pracuje? Widujesz generała McGurka?

– McGurka? – powtórzył zdezorientowany. – A skąd, nie mamy z nim żadnego kontaktu. – Podniósł rękę i poruszał palcami. – To ważniak, za wysokie progi.

– Słyszałam, że krąży o nim dużo plotek.

– Nikt z moich kumpli o nim nie plotkuje, ale posłuchaj... – Nachylił się ku niej jeszcze bardziej i poczuła jego zalatujący piwem oddech. – Możemy o nim pogadać, o nim i o czym chcesz, ale może w jakimś, no wiesz... spokojniejszym miejscu?

Zatoczył się do przodu.

– Tu jest całkiem miło.

– Przestań, mój wóz stoi...

Dopiła piwo, postawiła szklankę na ladzie i wstała.

– Nie, dziękuję.

– Hej kochanie, zaczekaj, nie odchodź!

Cofnęła się w ostatniej chwili, bo żołnierz znowu się zachwiał i upadł twarzą na podłogę.

Wybuchło małe zamieszanie i nagle między nią i próbującym wstać Billym wyrósł ktoś w oficerskim mundurze.

– Bardzo panią przepraszam. – Położył jej rękę na plecach i lekko pchnął, prowadząc ją w inne miejsce. – Zostawmy go.

Billy'ego otoczyli koledzy. Kiedy pomogli mu wstać i go otrzepali, barman kazał mu się wynosić.

Oficer pokierował ją wprawnie do stolika.

– Zechce pani wypić ze mną drinka?

– Chętnie.

Usiadła, on naprzeciwko niej. W przeciwieństwie do większości żołnierzy w barze zamiast polowego miał na sobie mundur koloru khaki i srebrną belkę na obu pagonach. Przenikliwe niebieskie oczy, dwadzieścia pięć, dwadzieścia siedem lat, wysportowany, przystojny, o sztywnych wojskowych manierach – był dużo bardziej obiecujący niż Billy.

– Mam na imię Ben. Ben Morse.

– Corrie Swanson.

– Ten głupek przynosi nam wstyd. Powinienem złożyć raport.

– Nie, niech pan tego nie robi, jest nieszkodliwy. – Miałaby dać się wciągnąć w postępowanie dyscyplinarne? Tylko tego jej brakowało.

Ben uśmiechnął się i zaskrzyty mu się oczy.

– Dobrze, ze względu na panią.

Nadeszła kelnerka i Corrie zamówiła piwo, a on gin z tonikiem. Pomyślała, że jeśli ma wrócić do domu, nie powinna już więcej pić. Postanowiła od razu przejść do sedna i posłała mu swój najładniejszy uśmiech.

– Nie znam się na dystynkcjach. Te belki, co to za stopień?

– Komandor podporucznik. – Ben teatralnie zasalutował. – Komandor podporucznik Morse do usług.

– A więc jest pan oficerem?

– Tak, podporucznikiem marynarki, ale mają mnie awansować na pełnego porucznika. Pojutrze wyjeżdżam do San Diego.

– Jak to? Służy pan w marynarce wojennej?

Uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście, gdzieżby indziej?

– Nie wiem, po prostu... to jest baza sił lądowych i powietrznych. No i jesteśmy na pustyni. Najbliższy okręt wojenny cumuje pewnie setki kilometrów stąd.

– Marynarka wojenna nie tylko żegluje po morzach. Na przykład ja pracuję w VLF.

– Gdzie?

– W stacji długofalowej VLF w północnej części poligonu, dziesięć kilometrów na północny wschód od miejsca testu Trinity. Na zachód od Abajo Peak.

Kelnerka przyniosła drinki. Podporucznik podniósł kieliszek i trącił nim jej szklanę.

– W radiostacji? Co pan puszcza? Stare przeboje? Top Forty?

Morse stłumił śmiech.

– Mamy tylko jedną grupę słuchaczy: załogi okrętów podwodnych.

– Poważnie?

– Poważnie. Fale radiowe o niskiej częstotliwości przenikają ziemię i wodę, dzięki czemu możemy przekazywać im rozkazy. Tutejsze warunki są prawie idealne, dlatego nasze dowództwo dzierżawi ten teren od wojska... – Zawiesił głos. – Przepraszam, ale nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Nie szkodzi, rozumiem. – Zrozumiała coś jeszcze: „nasze dowództwo dzierżawi ten teren od wojska”. Powiedział to z goryczą, której nie potrafił do końca ukryć.

– Na kawałku ziemi daleko od morza, wśród wojskowych, którzy uważają was pewnie za intruzów... Musi być wam ciężko.

– Nie jest tak źle – powiedział, ale znów usłyszała w jego głosie nutę rozgoryczenia.

– Wpadł pan kiedyś na generała McGurka? – spytała z nadzieją, że pomyśli, iż celowo zmieniła temat na bardziej mu odpowiadający.

Jego kieliszek znieruchomiał w połowie drogi do ust.

– Zna go pani?

– A skąd! – odparła, wyczuwając napięcie w jego głosie. – Ale mój znajomy, też oficer, nie ma o nim najlepszego zdania.

– Nic dziwnego.

– Dlaczego?

– Nie chcę zdradzać żadnych tajemnic, ale...

Corrie czekała z coraz szybciej bijącym sercem. Coś, co wyglądało początkowo na głupią, zupełnie zwariowaną misję, mogło nagle wypalić.

– Dowódcy przychodzą i odchodzą. Większość z nich szanuje naszą pracę i rozumie, że dyscyplina nie obowiązuje tu bez powodu. Ale ponieważ w latach sześćdziesiątych w Białych Piaskach stacjonował jego ojciec, McGurk uważa chyba, że ma prawo robić, co mu się żywnie podoba.

No i zaskoczenie. Ojciec McGurka też tu służył? Szybko zapanowała nad emocjami, tak by nie pojawiły się na jej twarzy.

– To by wyjaśniało, dlaczego mój znajomy miał o nim tak niepochlebne zdanie. Ale właściwie co McGurk robi?

Morse upił łyk ginu.

– Dowodzi bazą dopiero od roku, ale zdążył już wywrócić do góry nogami cały harmonogram ćwiczeń i testów. Pozmieniał też niektóre cele bombowe. A wszystko tylko po to, żeby zamanifestować swój autorytet.

– Ale po co miałyby to robić?

Zwężiły mu się oczy.

– Dlaczego pani pyta?

Zdała sobie sprawę, że przeciągnęła strunę.

Szybko podjęła decyzję. Dobrą czy złą, ale decyzję. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni, wyjęła opatrzoną zdjęciem odznakę i położyła ją na stoliku. Morse długo się jej przyglądał, w końcu podniósł wzrok.

– To jakiś... żart?

– Nie. Agentka specjalna Corinne Swanson.

Popatrzył na nią kompletnie zaskoczony i zaczerwienił się, próbując pokryć zmieszanie.

– Przepraszam, ale... zamurowało mnie. Nie wygląda pani...

– Na agentkę FBI? – spytała, zastanawiając się, jak mogłaby to wykorzystać. – Proszę się nie martwić, słyszę to cały czas. – Zniżyła głos. – To jedna z moich pierwszych spraw. Gdyby mógł mi pan pomóc, byłabym bardzo wdzięczna.

Morse wziął głęboki oddech.

– Co to za sprawa?

– Mogę prosić, żeby zachował pan tę rozmowę w tajemnicy?

– Najpierw muszę wiedzieć, czego będzie dotyczyła.

Dobra, czas zmienić taktykę. Długo ćwiczyła umiejętność przesłuchiwania i przedstawiania faktów, ale trudno jej było znaleźć równowagę między powagą i złośliwością. Przybrała oschły, oficjalny ton głosu.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci kogoś związanego z Białymi Piaskami. Chciałabym powiedzieć coś więcej, ale nie mogę. Zapewniam pana, że generał McGurk nie jest o nic podejrzany, ani on, ani nikt z pracującego w bazie personelu. Próbuję tylko uzupełnić luki w informacjach. Jeśli zechce pan odpowiedzieć na kilka pytań i zachować to w tajemnicy, bardzo mi pan pomoże. Mnie i nam.

Morse nie zastanawiał się długo.

– Najpierw coś wyjaśnię, żeby nie odebrała pani tego w niewłaściwy sposób. Jak pani zapewne wie, między moją jednostką i wojskowymi dochodzi do tarć. McGurk traktuje nas jak dzikich lokatorów. Lotnicy z bazy Holloman też są na niego wkurzeni, bo wiele razy nastąpił im na odcisk. A ta Woodbridge? To jego osobisty bulterier, bezwzględna manipularka, sprytna, ambitna i przyjazna jak grzechotnik. Proszę zebrać to do kupy i domyśli się pani, jakie bluzgi lecą tu pod jego adresem. Słusznie czy nie, czasem trudno powiedzieć.

– Dziękuję, że naświetlił pan sytuację. Czy wie pan coś o jego ojcu?

Morse rozejrzał się i pochylił.

– Tak naprawdę to nic o nim nie wiem. Słyszę tylko plotki, których nie powinienem powtarzać.

– Może pan mówić szczerze. Rozmawiamy nieoficjalnie i nikomu tego nie powtórzę. Nawet nie będę robiła notatek.

Chyba mu trochę ulżyło.

– Niektóre z tych plotek są trochę absurdalne...

– Właśnie te najbardziej mnie interesują.

Lekko się zawahał.

– Gdzie pani pracuje? W Albuquerque?

– Tak.

– Od dawna?

– Nie, stosunkowo krótko.

– Słyszała pani legendę o złocie Victoria? O hiszpańskim skarbie ukrytym na tej górze?

Po jej plecach przebiegł lekki prąd.

– Tak, coś słyszałam.

– Kiedy Lyndon Johnson został prezydentem, przynajmniej tak mówią, dowiedział się skądś o tym i wraz z sekretarzem obrony i gubernatorem Teksasu zorganizował tajny projekt, którego celem było zbadanie Góry Victoria za pomocą najnowocześniejszych technologii i odnalezienie skarbu, jeśli rzeczywiście tam był. Zaangażowano do tego starannie wybraną grupę wojskowych z Białych Piasków i bazy Holloman. Nawiasem mówiąc, ta plotka krąży od dziesiątek lat i nigdy jej nie potwierdzono ani nie zaprzeczono.

– A ojciec McGurka? Brał udział w tym projekcie?

– Podobno.

– I... znaleźli coś?

– Niektórzy twierdzą, że tak, inni, że nie. Badali tę górę, sondowali, wiercili i rozsadzali. I nic, totalna klapa. A nie znaleźli nic dlatego, że nic tam nie ma. – Porucznik dopił drinka. – Po prostu nie ma. To bajeczka dla grzecznych dzieci.

– A generał?

Morse wzruszył ramionami.

– Podobno walczył o to stanowisko, żeby dokończyć to, co zaczął jego ojciec. Dlatego zmienia trasy nalotów i tak dalej. Maskuje tym swoje prawdziwe cele. Bo to jest tak: kiedy technicy z UMW namierzą jakiś niewypał, jadą tam i na miejscu go detonują. Podobno specjalnie psują część pocisków, aby za pomocą wstrząsu sejsmicznego wywołanego detonacją zlokalizować podziemną grootę, w której ukryto złoto.

– Jezu... – wymamrotała Corrie. To, że ojciec McGurka stacjonował kiedyś w Białych Piaskach, przestało nagle wyglądać na zwykły przypadek.

– Właśnie. Uprzedzałem, że to absurd. Nic więcej nie wiem, a jeśli wiem, nikomu tego nie powiem, nawet agentce specjalnej FBI. – Stuknął kieliszkiem w jej szklankę. – Jeszcze jedno? Mam czas na jeszcze jednego drinka, a potem muszę jechać.

39

OBAWIAM SIĘ, ŻE BĘDZIE PANI musiała pojechać sama – powiedział Watts z za starego, porysowanego biurka. – Jeśli pojedzie pani z szeryfem czy policjantem, będą bardzo nieufni.

– Ma pan znajomych w Mescalero – odrzekła Nora. – Może pan przynajmniej kogoś mi polecić? Nie pojedę tam w ciemno.

Szeryf kiwnął głową.

– Jasne, oczywiście. – Pochylił się i zaczął przerzucać fiszki starodawnego wizytownika. Zapisał nazwisko i adres i podał jej karteczkę. – Emmeline Eskaminzin, członkini rady plemiennej i adwokatka. Jest mocno zaangażowana w poszukiwania zaginionych Indianek. Prowadziłem kiedyś śledztwo w Socorro i trochę jej pomogłem.

– Dzięki.

– Tak się przypadkiem składa, że jest też prapraprawnuczką Geronima.

– Rany!

– Ale proszę o tym nie wspominać, chyba że sama coś powie. – Watts założył ręce za głowę i odchylił się, nie zważając na skrzypliwe protesty starego, drewnianego fotela. – Te „leki”.. Indianie niechętnie o nich mówią.

Nora milczała.

– Według mnie – ciągnął – to szukanie wiatru w polu. Gdyby dowiedziała się pani, do kogo należały, byłby to prawdziwy cud. A nawet jeśli się pani dowie, co wtedy? Ten człowiek już dawno nie żyje.

Nora zebrała zdjęcia i włożyła je do koperty.

– Przynajmniej się stąd wyrwę.

Uśmiech na twarzy Wattsa ustąpił miejsca zatroskanej minie.

– Wciąż nie wiadomo, kto chciał was napaść?

– Nie wiem, ale chyba nie. Corrie mówi, że zatarli swoje ślady jak zawodowcy.

– Podobno dała pani jednemu z nich coś na pamiątkę. Coś, co może nigdy nie zniknąć. – Zrobił pauzę. – Bardzo się pani w to zaangażowała, prawda? A przecież nie ma to bezpośredniego związku z archeologią.

Myślisz, że tego nie wiem? Chciała to powiedzieć, lecz nie powiedziała. Watts miał rację. Wkrótce kończyło się pozwolenie na wykopaliska w Tsankawi. Adelsky, jej doktorant, zrobił bez niej wszystko, co mógł, a jak na starszą kuratorkę spędzała ostatnio bardzo mało czasu w instytucie.

– Na pana miejscu potraktowałabym to jako lekcję pogładową – odparła. – Kiedy Corrie Swanson prosi o pomoc, niech pan uważa, co pan obiecuje. U mnie zaczęło się od niewinnej wizyty w Wysokiej Samotni. A teraz tkwię w tym po uszy. – Zmrużyła oczy. – Ale tak, bardzo mnie to intryguje.

Na twarz szeryfa powrócił uśmiech.

– Cóż, w takim razie życzę powodzenia.

* ... * ... *

Mescalero leżało w górach na wschód od Białych Piasków, w pięknej dolinie rzecznej, otoczonej sosnowymi wzgórzami. Jak w Wyoming albo w Kanadzie, pomyślała, dojeżdżając na miejsce. Trudno uwierzyć, że ledwie trzydzieści kilometrów dalej roztacza się bezlitosna pustynia.

Zjechała z drogi na parking przed skromnym budynkiem, gdzie mieściły się centrum plemienne i dom kultury. Wzięła torbę i weszła do środka. W małym holu połączonym z poczekalnią powitała ją recepcjonistka.

– Jestem umówiona z panią Emmeline Eskaminzin.

– Trzecie drzwi po prawej.

Poszła w tamtą stronę, próbując opanować zdenerwowanie. Drzwi były otwarte i siedząca przy biurku kobieta wstała na jej widok. Bardzo wysoka i wysportowana, miała na sobie klasyczny kostium i jedwabną bluzkę rodem z kancelarii adwokackiej. Jedyнным ukłonem w stronę indiańskiej

kultury były ściągnięte do tyłu włosy i dwa warkocze z kolorowymi wstążeczkami na końcach. Wyglądała na trzydzieści kilka lat.

– Doktor Kelly, prawda? Proszę usiąść.

Nora usiadła na krześle naprzeciwko biurka.

– Co mogę dla pani zrobić? – Emmeline uśmiechnęła się i skrzyżowała ręce. – Przez telefon była pani bardzo tajemnicza.

Miała niski, spokojny głos. Przed przyjazdem Nora długo myślała, jak przedstawić tę delikatną prośbę, ale teraz, widząc, że ma do czynienia z rzeczową kobietą, postanowiła mówić prosto z mostu.

– Jestem archeolożką – zaczęła. – I konsultantką FBI. Próbuję zidentyfikować właściciela indiańskich „leków”, które znaleźliśmy podczas niedawnych wykopalisk. Myślę, że należały do Apacza.

– „Leków”? Skąd pani wie, że należały do Apacza?

– Nie jestem pewna, ale wskazują na to znajdujące się w zawiniątku przedmioty. A Mescalero mieszkają najbliżej miejsca, gdzie je odkryto.

– Przywiozła je pani?

– Tak. – Nora wyjęła z torby pojemnik i ostrożnie postawiła go na biurku. Ta kobieta, pomyślała, nie ma pojęcia, ile zachodu, ilu pochlebstw, komplementów i gróźb kosztowało ją przekonanie Corrie, żeby wypożyczyła jej dowód rzeczowy.

Indianka spojrzała na pojemnik, lecz go nie dotknęła.

– Mogę spytać, gdzie je znaleziono?

– W Wysokiej Samotni, porzuconym miasteczku górniczym u podnóża gór Azul na północ od Jornada del Muerto. Zna pani to miejsce?

– Nie, ale słyszałam o nim. Wspomniała pani o FBI. Czy to jest śledztwo kryminalne?

– Nie, przynajmniej na razie. Właściciel „leków” nie jest zamieszany w żadne przestępstwo, poza tym „leki” mają co najmniej siedemdziesiąt pięć lat.

Wciąż patrząc na pojemnik, Emmeline ściągnęła usta. Należała pewnie do tych, którzy muszą starannie zebrać i przeanalizować myśli, zanim się odezwą. W pokoju zapadła cisza.

– W kulturze Apaczów – zaczęła powoli – „leki” uważane są za coś bardzo prywatnego. Nikomu się ich nie pokazuje. To niezwykle, że ktoś je porzucił.

– Rozumiem.

– Czy zdradzi mi pani, dlaczego identyfikacja ich właściciela jest taka ważna?

– Wiąże się z nimi niezwykła historia. Ale musiałaby pani zachować ją w tajemnicy.

– Oczywiście.

– W lipcu 1945 roku ich właściciel i niejaki James Gower rozbili obóz w Wysokiej Samotni. Szukali czegoś na Jornada del Muerto. Nie wiemy czego, w tym problem i tajemnica. Wczesnym rankiem 16 lipca, gdy Gower jechał mułem przez pustynię, dosięgnął go podmuch wybuchu bomby atomowej. Słyszała pani o teście Trinity?

– Jak mogłam nie słyszeć? Bomba wybuchła na ziemiach naszych przodków, skaziła dużą ich część. Proszę mówić dalej.

– Gower zdołał wrócić do Wysokiej Samotni, ale wchłonął śmiertelną dawkę promieniowania i wkrótce umarł. Jego współnik pochował go w tradycyjny indiański sposób, zwiniętego w kłębek, a potem uciekł, zostawiając „leki”

– Musiał bardzo się bać.

– Widział wybuch.

– Widział?

– Punkt zero znajdował się dokładnie naprzeciwko obozowiska.

– Straszne.

– Kilka tygodni temu w Wysokiej Samotni znaleziono ciało Gowera, które leżało tam od dnia wybuchu. Ponieważ jest to teren federalny, FBI wszczęło śledztwo. Poproszono mnie, żebym wydobyła zwłoki z ziemi i zbadała ich obozowisko. Tam znalazłam „leki”

Indianka długo milczała z nieprzeniknioną twarzą. W końcu poprosiła:

– Proszę to otworzyć.

Nora otworzyła pojemnik i wyjęła zawiniątko. Emmeline ujęła je delikatnie obiema rękami, ostrożnie rozwinęła i jeden obok drugiego ułożyła na biurku wszystkie przedmioty. Potem podnosiła je po kolei, uważnie oglądała, po czym odkładała na miejsce. Odłożywszy ostatni, spojrzała na Norę i powiedziała:

– Nantan Taza.

– Słucham?

– „Leki” należały do Nantana Tazy.

– Skąd pani wie?

– Przykro mi, ale mogę powiedzieć jedynie to, że każde „leki” są unikatowe i zawierają przedmioty, które mogą wskazać szcep i plemię ich właściciela. Nantan Taza był bratem mojego dziadka. To dziwny zbieg okoliczności, ale jesteśmy niewielkim plemieniem.

Nora nie mogła uwierzyć, że miała takie szczęście.

– Może pani coś o nim opowiedzieć?

Eskaminzin znów skrzyżowała ręce.

– To, że widział wybuch bomby, dużo wyjaśnia. Długo się zastanawialiśmy, dlaczego tak się zmienił.

– A zmienił się?

– Wszyscy mówili, że jako dziecko był marzycielem, radosnym, beztróskim chłopcem pełnym planów. Ale potem coś się stało i... zmienił się w mrocznego, milczącego dziwaka.

– Czy to coś wydarzyło się mniej więcej wtedy, kiedy wybuchła bomba?

– Tak. Nigdy się nie ożenił i nie miał rodziny. Żył skromnie z wypasania bydła i był dobrym myśliwym. Wyróżniał się nie tylko swoim samotnictwem, ale i tym, że umiał zajrzeć w przyszłość. A przynajmniej tak uważano. Dlatego ci w największej potrzebie przychodzili do niego, żeby przepowiedział, co ich czeka, albo żeby został ich przewodnikiem duchowym. Był ponury i nieprzystępny. Śmiech i wesołość są dla Apaczów bardzo ważne, to część naszej kultury, ale nigdy nie widziałam, żeby się chociaż uśmiechnął. Ani razu. Wyglądał tak, jakby spojrzał w oczy diabłu. I z tego, co pani mówi, chyba spojrzał.

- Co się z nim stało?
- Odszedł dziesięć lat temu.
- Umarł?
- Nie, po prostu odszedł.
- Dokąd?
- Nie wiemy.
- Tak zwyczajnie odszedł? Ile miał wtedy lat?

- Osiemdziesiąt pięć. Coś wyjaśnię, dobrze? Jak już mówiłam, bardzo długo traktowano go z podziwem i szacunkiem. Ale potem młodzi zaczęli powątpiewać w jego wyjątkowe moce. Widzieli w nim tylko zręczliwego, odpychającego starca. Myślę, że doszedł do wniosku, że przestał być użyteczny. Dlatego pewnego dnia spakował do worka swoje rzeczy, wziął strzelbę i naboje, wsiadł na konia i pojechał w góry.

- Ale po co? Dlaczego?

- W czasach, kiedy byliśmy jeszcze nomadami, starzy ludzie skazywali się czasem na wygnanie, żeby nie być ciężarem dla innych. Zwłaszcza kiedy walczyliśmy z Meksykanami i Amerykanami, bo wtedy musieliśmy być szybcy jak wiatr. Może było to anachroniczne, ale nie widzieliśmy w tym nic niezwykłego.

- Więc wyjechał i co? Umarł?

- Możliwe. Albo postanowił zostać pustelnikiem. Nasz rezerwat ma powierzchnię ponad dwudziestu tysięcy kilometrów kwadratowych, jest tu mnóstwo zwierzyny i wody. Mógł zamieszkać w jakimś odległym kanionie i nikt by go nigdy nie znalazł.

- Dobiegałby teraz setki. Dziesięć lat samotności w dzikich górach... Trudno uwierzyć, że mógłby przeżyć.

Indianka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Jesteśmy potomkami Geronima, Cochise'a i Victoria. Przetrwamy wszystko.

- Jeśli jeszcze żyje, czy... czy domyśla się pani, gdzie może być?
Eskaminzin długo milczała.

– Odwiedzał go pewien chłopiec. Przynosił mu jedzenie, rąbał drewno i pomagał wypasać bydło. W zamian za to Nantan opowiadał mu bajki. Kiedy odszedł, chłopiec był zaskoczony i zmartwiony. Jako jedyny z nas.

– Mogłabym z nim porozmawiać?

– Jest teraz młodym mężczyzną i mieszka w Albuquerque. Pracuje w banku. – Indianka zapisała coś na karteczce. – Proszę. Nazywa się Nick Espejo.

Nora wstała.

– Bardzo mi pani pomogła. Dziękuję. – Zebrała leżące na biurku „leki”, włożyła je do pojemnika i odwróciła się, żeby wyjść.

– Proszę traktować je z wielkim szacunkiem – poprosiła na pożegnanie Eskaminzin.

40

PROSZĘ SIĘ NIE ROZŁĄCZAĆ! – zawołał, kiedy tylko odebrała. – Proszę, niech pani się nie rozłącza...

Oczywiście rozpoznała ten głos. I w normalnych okolicznościach przerwałaby połączenie, ale przedtem wytłumaczyłaby mu szczegółowo, dlaczego wśród niezliczonej rzeszy nieudaczników, ćpunów, szumowin, wyrzutków, dupków i zбочeńców, których ostatnio spotkała – w ciągu ledwie kilku lat – niejaki Jesse Gower zajmuje pierwsze miejsce. Ale nie, to była otwarta sprawa, a on był przedmiotem zainteresowania FBI, dlatego musiała przynajmniej odnotować, że zadzwonił.

Więc milczała i czekała.

– Przepraszam za tamto. Wiem, przepraszam już drugi raz i niczego to nie zmieni, ale sama pani widziała, że jestem w rozsypce. To nie wymówka, to tylko wytłumaczenie. Nie ufam nikomu, kto reprezentuje władzę. Mam to po ojcu, a on miał to po dziadku. Ilekroć przychodzi do mnie gliniarz, podejrzewam, że to jakaś pułapka. Wie pani, że w ciągu ostatnich pięciu, sześciu lat nie odbyłem z nikim dłuższej rozmowy niż ta z panią? To pokazuje, jak żalosne jest moje życie. Pani zainteresowanie, pytania, które pani zadawała... Chyba do tego nie przywykłem. Wpadłem w paranoję, bo zwykle pytają mnie tylko o pieniądze. „Gdzie jest moja kasa?” – Roześmiał się smutno.

Corrie wciąż milczała. Przeprosiny były całkiem dobre. A przynajmniej brzmiała w nich nuta szczerości. Ale po tym, jak wyprosił ją z domu, ona też sporo myślała. W trakcie tamtej rozmowy zdradził jej więcej, niż mu się wydawało. Było oczywiste, że pozostawiał w lombardzie wszystko, co się dało, a ta luźna uwaga o kamei wskazywała, że umie ocenić wartość starych przedmiotów. Nie zdziwiłaby się, gdyby sprzedawał też

nielegalnie wydobyte artefakty, a zważywszy na to, jak bardzo był rozdrażniony, kiedy spytała go o tę szopę, niewykluczone, że właśnie tam je przechowywał. No i było jeszcze to niedokończone zdanie, które skłoniło ją do zupełnie innych podejrzeń.

Zdała sobie sprawę, że umilkł.

– Tak?

– Pytałem, czy zechce pani przyjąć gałązkę oliwną.

– Gałązkę oliwną? Czy torebkę amfy? Bo jeśli tak, to nie przepadam za jedzeniem motocyklistów.

– To nie fair – jęknął szczerze urażony.

Westchnęła.

– Dobrze, o jakiej gałązce pan mówi?

– Nie przez telefon. Zepsułbym niespodziankę.

– Niech pan posłucha. Byłam u pana dwa razy tylko po to, żeby dwa razy wyprosił mnie pan z domu. Musi się pan bardziej postarać.

– Dobrze. Mówiąc o tej drugiej cennej rzeczy pradziadka, trochę nakłamałem. Wciąż ją mam.

Nie zareagowała.

– No i? – rzucił.

– No i co?

– Nie podziękujecie mi pani? Przecież to klucz.

– Klucz do czego, Jesse? Zresztą i tak wiedziałam.

– Naprawdę? W FBI uczą was czytania w myślach?

– Nie, wychwytywania pewnych rzeczy. Słów, które do siebie nie pasują czy fałszywie brzmią. Albo urwanych w połowie zdań.

– Jestem pisarzem. Zawsze pamiętam, żeby kończyć zdania. Może z wyjątkiem tych, w których przeklinam, ale nawet wtedy staram się, żeby były gramatyczne.

– Możliwe. Ale podczas naszej poprzedniej rozmowy jednego zdania pan nie dokończył.

– Tak? Którego?

Brzmiało tak: „Nawet gdybym sprzedał..”, ale nie zamierzała go cytować.

– Powiedzmy, że powiązałam je z tym, że oprócz złotego zegarka pana pradziadek miał jeszcze jedną wartościową rzecz. Odniosłam wrażenie, że zamierzał pan ją zastawić, ale pan tego nie zrobił. Co znaczy, że wciąż ją pan ma. I najprawdopodobniej nie jest to zwykłe „stare malowidło”, tylko coś naprawdę cennego.

Wtedy Gower zrobił coś nieoczekiwanego. Zamiast zachwycić się jej wspaniałymi umiejętnościami dedukcyjnymi, wybuchnął śmiechem. Corrie zmarszczyła brwi, lecz mu nie przerwała. W końcu śmiech przeszedł w wesołą czkawkę.

– Przepraszam, nie śmieję się z pani. Przez chwilę świetnie pani szło.

– Tak?

– Tak.

– Użyła pani określenia „wartościowa rzecz”, tymczasem ja mówiłem o czymś „cennym”. Tego pani nie wychwyciła, prawda? – Znowu się roześmiał. – Zegarek zaginął wraz z pradziadkiem, ale ta druga rzecz została. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się nią zachwycał. Bo traktował ją jak relikwię. Nie pozwalał nikomu jej dotknąć. Potem przejął ją ojciec, a po ojcu ja. Ponieważ zegarek przepadł, początkowo była dla nas rodzinną ciekawostką. Ale od tamtego czasu minęło tyle lat, że jest teraz czymś w rodzaju schedy. I... – Zawiesił głos. – I co pani na to?

– Nie wiem. – Z trudem nadążała za tymi wynurzeniami.

– Ale tak, była pani na dobrym tropie – ciągnął. – W czasach mojego pradziadka większość ludzi powiedziałyby, że ta rzecz nadaje się tylko na wykładzinę ptasiej klatki. Ale z czasem zyskała na wartości. I to bardzo. Jest warta krocie, nawet jeśli wie o tym tylko Pertelote.

– I co? I sprzedał pan wszystkie artefakty, które przechowywał pan w tej starej szopie, a tego nie?

– Chce pani mnie wkurzyć? Przynoszę gałązkę oliwną. Bardzo ważną gałązkę.

– Dobrze, więc dlaczego jest taka ważna?

– Mój pradziadek umarł na chorobę popromienną, mając przy sobie bezcenny złoty krzyż. Ta druga rzecz była dla niego niezmiernie ważna, dlatego myślę, że będzie ważna i dla pani.

Drażnił się z nią, przekomarzał. Czy była to tylko kolejna podpucha? Chciał, żeby znowu do niego przyjechała, aby znowu zabawić się w doktora Jekylla i pana Hyde'a?

– Twierdzi pan, że ten przedmiot pomógłby mi w śledztwie?

– Na pewno by nie zaszkodził.

Westchnęła.

– Zamiast wygadywać te bzdury, dlaczego po prostu nie powie pan, co to takiego?

– Musi pani to zobaczyć. Poważnie. Trudno to opisać.

Potarła czoło. Warto tam pojechać?

– Dobrze. Mam teraz trochę pracy. Spróbuję wyrwać się za godzinę.

– Usmażę jajka. Jeśli chce się pani czegoś napić, proszę to przywieźć. Mam tylko wodę i whisky.

ZAMIAST GODZINY TRWAŁO TO DWIE. Odczuwała dziwną przyjemność, pracując nad dokumentami dotyczącymi sprawy, którą prowadziła... chociaż Morwood właśnie ją przejmował. W końcu wstała od biurka, szybko zeszła na dół, wsiadła do samochodu i pojechała. Ciekawiło ją, czy ten „cenny” przedmiot okaże się kolejną bzdurą.

Tak jak poprzednio jechała długo, lecz tym razem nie zabłądziła, choć słońce już zaszło i szosa tonęła w ciemności. Na jednym z ostatnich odcinków bitej drogi minął ją wielki ford F-250 jadący w przeciwną stronę. Pędził na złamanie karku, co ją wkurzyło. Zerknęła w boczne lustro, chcąc zapamiętać numer rejestracyjny, ale samochód był tak brudny i zakurzony, że nie zdołała go odczytać. Mężczyźni i ich samochody – byli jak nastolatki eksperymentujący z ziołem. Ford wzniecił wielką chmurę kurzu i zirytowana zatrąbiła klaksonem, lecz minął ją tak szybko, że kierowca na pewno tego nie słyszał. Wypluła kurz, zamknęła okno i przestawiła klimatyzację na zamknięty obieg. Wszędzie ten przeklęty kurz. Nie mogła do tego przywyknąć. W porównaniu z Nowym Meksykiem Kansas było jak tropikalna oaza.

Dojeżdżając do niszczonej farmy Jessego Gowera, zwolniła i za starą, przekrzywioną skrzynką pocztową skręciła na podwórze pełne wątpliwej jakości arcydzieł sztuki trawnikowej. W domu było ciemno. Chryste, czyżby Gower zaprosił ją na kolację przy świecach?

Wysiadła i rozejrzała się powoli. Wszędzie panowała cisza.

– Gower? – zawołała.

Nie odpowiedział.

– Jesse? Jest pan tam?

Ponieważ wciąż nie odpowiadał, wyjęła z samochodu latarkę, sprawdziła, czy w komorze glocka tkwi nabój, po czym ostrożnie podeszła bliżej domu.

– Jesse?

Gdzie on, do diabła, jest? Gospodarstwo było tak małe, że musiał ją słyszeć z każdego miejsca. Nie wyglądał na kogoś, kto lubi robić kawały. Siedział naćpany w domu? W dudniących słuchawkach na uszach? Zapomniał, że się umówili? Pociągnęła nosem, ale nie wyczuła zapachu amoniaku ani trawki – doszedł ją tylko smród ptasich kup w kurniku.

Zawołała jeszcze raz i umilkła, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Trzeszczącymi schodami weszła na ganek i poświeciła latarką. Wszystko wyglądało tak samo. Siatkowych drzwi od dawna nie było, a wewnętrzne zwisały krzywo na zawiasach. Pchnęła je nogą, weszła do środka, przystanęła i przesunęła światłem po salonie.

Przewrócone i wybebeszone kanapy, zerwane ze ścian półki i obrazy, rozrzucone po podłodze książki, niektóre z wystającymi karteczkami, pewnie jego notatkami, przewrócone lampy, roztrzaskany i przewrócony telewizor – w salonie było jak po przejściu tornada. W kącie stała krzywo komoda i w świetle latarki uśmiechały się do niej opróżnione szuflady. Niczym płaty śniegu, wszystko pokrywały kartki rękopisów i maszynopisów.

Omiatając latarką podłogę, szła ostrożnie przez pasmo zniszczenia. Chciała zapalić światło, lecz zmieniła zdanie.

Dotarła do końca salonu i zajrzała do kuchni. Tamtędy też przeszło tornado. Jej uwagę przykuła jedna rzecz: cztery rozbite jajka na podłodze przed piecykiem.

„Usmażę jajka. Jeśli chce się pani czegoś napić, proszę to przywieźć. Mam tylko wodę i whisky”

Zawróciła i wyszła na ganek. Coś jej mówiło, że gdziekolwiek Gower jest, na pewno nie ma go w domu. Co to było? Jakiś kipisz? Wisiał komuś pieniądze za prochy i po nie przyszli? Wyglądało to tak, jakby najpierw wściekle się z nim szamotali, a potem wszystko przetrząsnęli. Może uciekł

tylnymi drzwiami i zniknął w gęstniejącym mroku? Albo – nie daj Boże – go porwali?

Przypomniał jej się ford pędzący po bitej drodze.

Zeszła na dół i poświeciła latarką. Kurnik był chyba nietknięty, ale nawet z daleka widziała, że przecięto kłódkę.

Wyjęła pistolet z kabury. Oprócz szelestu własnych kroków na zakurzonej ziemi nie słyszała absolutnie nic. Popatrzyła na szopę, zapamiętała, gdzie jest, zgasiła latarkę i zastygła bez ruchu, czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Kiedy przywykły i kiedy dostrzegła jej czarny zarys, powoli, powolutku ruszyła w tamtą stronę i w końcu stanęła przed drzwiami.

Serce waliło jej jak oszalałe. W szopie panowała głucha cisza. Napięła mięśnie, kopnęła drzwi, wpadła do środka, przyjęła niską pozycję strzelecką i z latarką przyciśniętą do boku glocka omiotła lufą wewnątrz.

– FBI! – krzyknęła. – Niech nikt się nie rusza!

Odpowiedziało jej tylko echo i ciche skrzypienie drzwi.

Wyprostowała się powoli, zawadzając łokciem o włącznik światła. Włącznik był stary, taki ze sterzącym sztyftem, więc skoro światło się nie zapaliło, pewnie nie zapali się i teraz.

Opuściła latarkę i wciąż z gotowym do strzału pistoletem, przesunęła sztyft do góry.

Zapłonęła naga żarówka, odsłaniając zniszczenia podobne do tych w domu. Jesse Gower siedział pod tylną ścianą. Miał ręce związane za oparciem krzesła i przekrzywioną na bok głowę, mimo to widziała, że zmasakrowano mu twarz. Jego koszula i wystrzępione szorty były przesiąknięte krwią, której rozbryzgi widniały też na podłodze. Leżały tam również dwa wybite zęby. Nie ulegało wątpliwości, że bito go długo i metodycznie.

– Jesse? – rzuciła cicho. Podeszła bliżej, choć wiedziała, co zaraz zobaczy. Miał zamglone oczy i nie oddychał. Dotknęła jego szyi, lecz nie wyczuła pulsu. Był już prawie zimny.

Naszły ją mdłości, więc cofnęła się i popatrzyła wokoło. Na jednej ścianie wisały półki z nieheblowanego drewna. Pod drugą walały się stare narzędzia, części samochodowe, rdzewiejące puszki farby, znaki drogowe i inne szpargały przykryte kiedyś brezentem. Ale była to jedynie rekonstrukcja myślowa, bo teraz w szopie panował tak wielki bałagan, że nie mogła się w niczym rozeznać. Wiedziała tylko jedno: był to rezultat dokładnego, agresywnego przeszukania.

I jeszcze coś: zważywszy na wielkość zniszczeń, tamci prawdopodobnie nic nie znaleźli. A skoro tak, nic nie znajdzie i ona.

GODZINĘ PÓŹNIEJ, O DZIESIĄTEJ WIECZOREM, na ranchu Jessego Gowera panował wielki ruch. Przenośne reflektory bezlitośnie oświetlały szopę i dom, a wszędzie roiło się od ubranych w kombinezony pracowników Zespołu Reagowania Dowodowego – z kamerami, torbami i różnego rodzaju sprzętem kryminalistycznym.

Corrie stała na uboczu, opierając się o bok ich furgonetki. Po jej lewej stronie stał Morwood, a po prawej szeryf Watts, który przyjechał kilka minut wcześniej, kiedy agent ją przesłuchiwał.

Watts zdjął kapelusz, strzepnął z runda niewidzialny pyłek i znów okrył głowę.

– Ale dokładnie co chciał pani pokazać?

– Nazywał to „drugą cenną rzeczą pradziadka”. Mówił, że nikt nie wiedział, dlaczego uważał ją za skarb, i że z czasem stała się czymś w rodzaju rodzinnej schedy.

– Bredził?

– Nie, chyba nie.

– Dobrze. – Morwood przywołał lekarza sądowego w kombinezonie, który świecił upiornie w blasku reflektorów.

Mężczyzna skinął im głową.

– Mam wstępne wyniki. Ofiara zmarła z powodu złamania kręgów szyjnych, prawdopodobnie na skutek nadmiernego ich naciągnięcia.

– Skręcili mu kark? – upewnił się Morwood. – Jest mocno poturbowany...

– Szczegóły poznamy podczas sekcji. Możliwe, że przyczyną zgonu były inne obrażenia, ale stawiałbym na kręgi.

– Dobrze, dziękuję.

Agent spojrzał na Corrie.

– Udzielam pani pochwały, agentko Swanson. Zachowała się pani ostrożnie i rozważnie w trudnej i nieoczekiwanej sytuacji.

– Dziękuję.

– Jutro chciałbym mieć pełny raport w tej sprawie. Interesuje mnie zwłaszcza rozmowa, którą odbyła pani z Gowerem, i powody pani przyjazdu.

– Tak jest.

– Może zabójcy szukali tego samego? – odezwał się Watts. – I skatowali go, próbując się dowiedzieć, gdzie to jest?

– Nie ulega wątpliwości, że było to bestialskie przesłuchanie – zgodził się z nim Morwood. – Ale nie mamy pojęcia, czego szukali. Może Gower sprzedawał antyki, żeby zdobyć pieniądze na prochy? Nie spisaliśmy jeszcze wszystkich rzeczy, ale w szopie jest pełno artefaktów, w tym wiele bezwartościowych i sprokurowanych tak, żeby wyglądały na prawdziwe.

– Podrobionych?

– Chyba tak. Sęk w tym, że istnieje wiele powodów, dla których ktoś mógł go pobić: pieniądze, narkotyki, informacje i tak dalej.

– Ale nie wiemy na pewno, czy coś z niego wyciągnęli – powiedziała Corrie.

– Nie?

– Mogli go zabić przypadkowo.

– Przekładkowo? – powtórzył Morwood. – Wiesz, ile zębów tam znalazłem?

– Chcę tylko powiedzieć, że być może nie zamierzali go zabijać. Gdyby zamierzali, rozsądniej by było go zastrzelić. Czy nie jest możliwe, że zrobili to przypadkiem, zanim zdążył coś powiedzieć?

– Owszem, możliwe. Zaczekajmy na wyniki sekcji zwłok. – Agent popatrzył na Watta. – Cóż, szeryfie. Wygląda na to, że trafiły nam się dwa zabójstwa w pańskim hrabstwie. Śledztwem pokieruje FBI, ale będziemy potrzebowali pańskiej pomocy. Jesse Gower, jego ziemia i ludzie, z którymi się zadawał, to wszystko pana jurysdykcja. I wiedza. Współpracuje pan już

z agentką Swanson i wiem, że bardzo jej pan pomaga. A teraz będziemy pana potrzebowali jeszcze bardziej. Popracujemy nad tym razem, pan i ja.

– Chętnie pomogę – powiedział Watts. – Praca z agentką Swanson to czysta przyjemność.

– Świetnie, bardzo się cieszę. Chciałby pan pewnie zobaczyć miejsce zbrodni, prawda? – Morwood uściśnął mu rękę i przywołał technika z ZRD, który poprowadził szeryfa do szopy.

Corrie patrzyła za nimi, wstrząśnięta i wkurzona, że Morwood nie tylko zabrał jej sprawę, ale i szeryfa.

– Więc Watts nie będzie już ze mną pracował? – spytała. – Zabiera go pan? Ot tak?

– Miała pani ciężki dzień, Swanson – odparł agent. – Dlatego udam, że tego nie słyszałem.

Corrie zaczerwieniła się, zdawszy sobie sprawę, jakim tonem zwróciła się do przełożonego.

– Nie skarżę się, że przydzielił go pan do tej sprawy. Chodzi o to, że dobrze nam się razem pracowało. Szeryf ma bardzo dużą wiedzę i masę miejscowych kontaktów.

– Wciąż możesz się z nim konsultować po rozmowie ze mną.

Udało jej się utrzymać język za zębami, ale wymagało to ogromnego opanowania.

– Czuję, że przestał mi pan ufać – powiedziała w końcu spokojnie.

Morwood zamknął oczy, jakby liczył do dziesięciu. Po chwili otworzył je i odparł:

– Generał McGurk twierdzi, że znalazłaś coś podczas przeszukania rancza Gowera. Nie miałem o tym pojęcia, a w rejestrze dowodów rzeczowych nie figuruje nic nowego.

Corrie znów się zaczerwieniła.

– Nie chciałam niczego odnotowywać, dopóki nie będę pewna, że ma to związek ze sprawą.

– Co to za dowody?

– Zdjęcie lotnicze, almanach i książka.

– Jakie mają znaczenie?

– Zdjęcie ukryto za obrazkiem, w almanachu były odręczne notatki, a książka to *Wczesne legendy z Dzikiego Zachodu*. Są w niej między innymi opowieści o ukrytym skarbie, więc pomyślałam, że może podpowie nam, czego Gower szukał.

– Rozumiem.

– Więc generał się z panem kontaktował?

– Dzwonił dziś rano. A ja nic nie wiedziałem.

– Nie sądzi pan, że to bardzo sprytne posunięcie?

Morwood spojrzał na nią bez emocji.

– Sprytne?

– Myślę, że generał próbuje odsunąć mnie od śledztwa.

– Dlaczego?

– A dlaczego interesują go dowody, które tam znalazłam?

– Dzwonił, bo trzyma rękę na pulsie.

– Nie jestem tego pewna. Proszę pomyśleć: wojsku grozi skandal. Okazuje się, że podczas testu Trinity ktoś zginął. Żołnierz przebrany za żandarma morduje jednego z naszych podejrzanych. Znajdujemy napromieniowane ludzkie szczątki, a teraz ktoś zabija naszego informatora. Wszystko wskazuje na to, że są w to zamieszane Białe Piaski, a dowódcą tej bazy jest McGurk.

Morwood pokręcił głową.

– Generał McGurk podejrzanym? Nie żartuj.

– Nie twierdzę, że ma z tym coś wspólnego. Nie bezpośrednio. Ale Białe Piaski to duży fragment tej układanki... – Urwała. Chciała mu powiedzieć o spotkaniu z porucznikiem marynarki, lecz widząc jego minę, doszła do wniosku, że lepiej będzie się zamknąć.

– Nigdy nie lekceważę żadnej teorii, ale ta... – Otaksował ją spojrzeniem.

– Prowadząc swoją pierwszą sprawę, nowicjusze zwykle za dużo myślą, ale ty bijesz wszystkich na głowę. Nie wiem, jaką zdobędziesz nagrodę, tort czy krowi placek, ale jedno jest pewne: jeśli ktoś choćby piśnie, że FBI interesuje się generałem McGurkiem, będziemy ugotowani. Chyba

że zdobędziemy żelazne dowody. Dlatego rób dalej swoje. Tylko trzymaj język za zębami. I codziennie składaj mi raport. Nie, lepiej co tydzień. Aż do odwołania. Czy to jasne?

– Tak jest.

– Dobrze. W takim razie wracaj do domu i się prześpij. Dzisiejszy raport może poczekać do rana. – I zanim zdążyła zareagować, ruszył w stronę roju ludzi kręcących się wokół szopy i zwłok Jessego Gowera.

43

NICK ESPEJO PRACOWAŁ W MAŁYM POKOJU w banku w Albuquerque, a wisząca na drzwiach tabliczka informowała, że jest urzędnikiem do spraw kredytów. Dwadzieścia kilka lat, granatowy garnitur, wypolerowane na błysk buty, schludna fryzura – właśnie tak wyobrażała sobie młodego bankowca. Zapukała i z szerokim uśmiechem zaprosił ją do środka.

– Proszę spocząć. Doktor Kelly, prawda?

Usiadła. Nie powiedziała mu przez telefon, po co chce się z nim widzieć, i teraz stwierdziła, że popełniła błąd, bo sądząc po ciepłym powitaniu i sztucznym uśmiechu, myślał pewnie, że jest nową klientką.

– Co mógłbym dla pani zrobić? Raty kredytów są najniższe od...

– Nie przyszłam po kredyt. Jestem archeologką. Pracuję w Instytucie Archeologicznym w Santa Fe.

Wyraz serdeczności na jego twarzy ustąpił miejsca czujności.

– Przepraszam, myślałem, że chce pani wziąć...

– Skierowała mnie do pana Emmeline Eskaminzin. Powiedziała, że być może będzie pan w stanie mi pomóc.

Od razu złagodniał.

– Oczywiście. Proszę, słucham.

– Chodzi o Nantana Tazę.

Tym razem transformacja była wprost dramatyczna, bo przez jego czarne oczy przemknął wyraz zaskoczenia i smutku.

– Ach, tak... Co się stało? Czy on...

– Nie, w każdym razie nic o tym nie wiem. Pozwoli pan, że wszystko wyjaśnię. Postaram się mówić jak najkrócej.

Zastrzegając, że rozmowa jest poufna, opowiedziała mu o odkryciu zwłok Gowera, o teście Trinity, starym obozowisku i należących do Tazy „lekach”. Espejo słuchał bardzo uważnie i było widać, że jest niezmiernie poruszony.

– Dlatego przyjechałam – zakończyła. – Liczyłam na to, że Taza opowiadał panu o Gowerze czy o czymkolwiek, co mogłoby rzucić więcej światła na to, co się wtedy wydarzyło.

Espejo spuścił głowę.

– To są bolesne wspomnienia... Opowiadał mi wiele historii, ale były to bajki i legendy. Mity Indian Mescalero. Był dobrym człowiekiem. Dobrym, ale mrocznym. Nie cynicznym. Mrocznym. Jakby uważał, że nasz gatunek jest skazany na zagładę. Teraz już wiem dlaczego. Mój Boże, on naprawdę widział wybuch tej bomby?

Nora kiwnęła głową. Emmeline Eskaminzin użyła tego samego słowa: „mroczny”.

Espejo długo siedział zamyślony.

– Miałem wtedy jedenaście czy dwanaście lat. Nantan mieszkał pod miastem, w starej chacie nad Strumieniem Cmentarnym. Był samowystarczalny. Polował, suszył mięso, uprawiał warzywa w ogródku. Poznałem go przez przypadek. Jechałem kanionem i niechcący wystraszyłem jego bydło. Było na wpół dzikie, ale Nantan i tak wpadł w złość. W ramach przeprosin narąbałem mu drewna i z czasem zacząłem robić to regularnie. Początkowo się go bałem. Był taki surowy. Nigdy się nie uśmiechał, prawie nigdy się nie odzywał. Ale stopniowo do niego przywykłem i zaczął przydzielać mi inne prace. Traktował mnie jak dorosłego, równego sobie.

– A więc opowiadał bajki i legendy. O czym jeszcze rozmawialiście?

– O tradycyjnych wierzeniach Apaczów. O tym, jak przyzwoicie żyć. Mówił, że trzeba traktować wszystko tak, jakby było święte, że to bardzo ważne.

Potem, kiedy poznałem go lepiej, wspominał czasem, że musi odejść, ale nie mówił kiedy i dlaczego. Myślałem, że tylko tak mówi. Ale pewnego

dnia zobaczyłem, że siodła konia, przywiązuje do łąku worek z rzeczami i ma strzelbę w kaburze. Spytałem, dokąd jedzie. Odparł, że nadeszła pora jechać w góry. Zdenerwowałem się. Nie mogłem tego zrozumieć i zasypałem go pytaniami, ale nie chciał rozmawiać. Płakałem, błagałem, ale na próżno. Powiedziałem, że z nim pojedę, i pobiegłem osiodłać konia, ale zatrzymał mnie i kazał przysiąc, że zostanę. A potem odjechał.

– To przykre. Pewnie czuł się pan jak po stracie ojca.

– Ojca i najlepszego przyjaciela. Nie rozumiałem, jakie to było dla mnie ważne, dopóki nie zniknął. Staram się wierzyć, że na swój sposób wciąż ze mną jest, on i jego nauki, ale to trudne.

Nora się zawahała.

– Wie pan, dokąd pojechał?

– Nie chciał powiedzieć.

– Ale... ma pan jakieś podejrzenia?

Teraz z kolei zawahał się on.

– Dlaczego pani pyta?

– Po prostu zastanawiam się, czy jeszcze żyje.

– Miałby dziewięćdziesiąt pięć lat.

Bez słowa skinęła głową.

– Przetrwac samotnie dziesięć lat w górach... Myśli pani, że to możliwe?

– A pan?

Nie odpowiedział od razu.

– Jeśli umarł, wrócił do Krainy Wiecznych Łowów. Jeśli żyje, nie chce, żeby go znaleziono. Przynależem nigdy go nie szukać.

– Ale jeśli żyje, może pomóc nam rozwiązać tę zagadkę. Opowiedzieć, co się wtedy stało. Czego szukał z Gowerem.

Espejo znów długo milczał.

– Jeżeli powiem, dokąd pojechał, co pani robi?

– Pojadę tam.

Ciężko westchnął, zamyślony wbił wzrok w biurko i w pokoju zapadła cisza.

– Jest takie miejsce... – powiedział po chwili. – Raz o nim wspomniał, tylko raz. Pewnego wieczoru, podczas gwałtownej burzy, powiedział, że musiał kiedyś oczyścić się z dotyku zła. Że do niego przywarło, ścisnęło jak szpony śmierci i tylko podróż duchowa mogła go uwolnić. Teraz wiem, że mówił o tej bombie. W każdym razie pojechał na pustkowie i długo wędrował, aż znalazł miejsce mocy. Ojo Escondido, tak je nazywał. Spędził tam pięć dni w ścisłym poście i doznał przejmującej wizji. Ale nigdy nie powiedział jakiej i zabronił mi do tego wracać.

– I już nigdy więcej o tym nie mówił?

– Nigdy. Dał mi tylko do zrozumienia, że od tamtej chwili inaczej patrzy na świat, że ta wizja go odmieniła, ale jest zbyt okrutna i niebezpieczna, żeby opowiadać o niej młodemu chłopcu.

– I myśli pan, że właśnie tam pojechał?

– Tak, myślę, że tam wrócił.

– Ojo Escondido. Zna pan takie miejsce?

Pokręcił głową.

– Pamiętam, że dawno temu kilku starszych wymieniało tę nazwę, ale jakby mimochodem. Miało leżeć gdzieś koło Sierra Blanca na północnym krańcu rezerwatu, ale mówili o tym tak, że nigdy nie wiedziałem, czy istnieje naprawdę, czy to tylko mit.

– Ojo Escondido... – powtórzyła powoli. – Ukryte Oko.

– W nowomeksykańskiej hiszpańszczyźnie „ojo” znaczy również „źródło”.

– Zaprowadzi mnie pan tam? A przynajmniej tam, gdzie według pana mogłoby się znajdować?

Tym razem cisza panowała tak długo, że Nora poczuła się nieswojo.

– Przepraszam. Chyba przeszarżowałam.

– Chciałbym pani pomóc. Ale nie mogę. Złożyłem przyrzeczenie.

– Nawet teraz? Wiedząc to, co pan wie?

Espejo spojrział na ręce.

– To niczego nie zmienia.

Nora siedziała przez chwilę bez ruchu. Potem rozpięła torbę, wyjęła pojemnik i postawiła go na biurku.

Indianin podniósł wzrok.

– Co to jest?

Nora otworzyła pojemnik i wyjęła „leki”. Espejo gwałtownie drgnął, jakby przeszedł go prąd.

– Skąd pani to ma?

– To są „leki” Nantana.

Ale on już się tego domyślił.

– Skąd je pani ma?

– Zostawił je w obozowisku w Wysokiej Samotni.

Espejo powoli wypuścił powietrze.

– Opowiadając mi o swoich poszukiwaniach, powiedział coś dziwnego. Powiedział, że kiedyś „osierocono go duchowo”. Nie wiedziałem, co to znaczy. Nie byłem nawet pewny, czy rozumiem te słowa. – Spojrzał na „leki”. – Ciekawe, dlaczego po nie nie wrócił.

– Był zbyt przerażony widokiem wybuchu.

– Ale z tego, co pani mówi, nie bał się zostać przy umierającym przyjacielu. Ani pochować go w odpowiedni sposób. – Zawiesił głos. – Nie, to nie był strach. Nie rozumiem. Nikt by ich nie zostawił.

Znów długo milczał.

– Nauczył mnie, że nic nie dzieje się bez powodu. Nic nie jest dziełem przypadku. Dlatego w tym, że pani tu jest, że przyjechała pani z jego „lekami”, też musi być jakiś powód. – Wyprostował się. – Dobrze. Zaprowadzę tam panią. A raczej zaprowadzę do miejsca, do którego mogę, nie łamiąc przyrzeczenia. Ostatnie dwa kilometry będzie pani musiała przejść sama.

CORRIE LEŻAŁA NA ŁÓŻKU, patrząc w sufit. Choć padała z nóg, nie mogła zasnąć. Była zbyt niespokojna. Niespokojna i sfrustrowana.

Tak jak poprzedniego wieczoru, kiedy Morwood odesłał ją do domu. Cały dzień chodziła podenerwowana, prawie nic nie robiąc. A teraz znowu gapiła się w sufit, co usypiało ją równie dobrze jak wczoraj.

Sięgnęła po telefon i wyłączyła muzykę, która miała ją uśpić, *Deep Frieze SleepResearch Facility*. Skoro już nie spała, mogła chociaż pomyśleć.

Źródło jej niepokoju nie było tajemnicą – zdenerwowała ją ostatnia wyprawa na farmę Gowera. Miała wyrzuty sumienia, że tak oschle rozmawiała z nim przez telefon? Może i miała, ale niewielkie, bo zasłużył na takie traktowanie. Czy podziałała tak na nią ponura, brutalna i bezsensowna nieodwracalność tego, co tam zobaczyła? Chyba nie. Nie odczuwała strachu ani nie doznała żadnej traumy. W Quantico widziała dużo strasznych rzeczy, które jednak bladły w porównaniu z widokiem potwora stojącego w drzwiach przyczepy kempingowej w Medicine Creek, tej wielkiej, bladej jak księżyc, obryzganej krwią twarzy, ręki, którą chciał ją chwycić...

Zamknęła szkatułę wspomnień i zaczęła od początku.

Jessego Gowera torturowano i zamordowano nie bez powodu. Wszyscy się co do tego zgadzali: ktoś czegoś od niego chciał. Tylko czego? Pieniędzy? Prochów? Czego?

Po raz enty odtworzyła w myślach ich wczorajszą rozmowę. Niemal błagał ją, żeby przyjechała, machając jej przed nosem marchewką w postaci tajemniczej bezcennej rzeczy należącej do pradziadka, tej samej, którą w poprzedniej rozmowie nazwał zdawkowo „starym malowidłem”. „Traktował ją jak relikwię”

Czy był to jedynie jakiś głupi żart, sposób na to, żeby dała się namówić na długą wyprawę i żeby znów mógł ją zwymyślać? Nie, chyba nie. Nie wyglądał na kogoś, kto zawracałby sobie głowę takimi gierkami. Poza tym wiedział, że gdyby miało się na tym skończyć, już nigdy by jej nie zobaczył, chyba że z kajdankami i nakazem aresztowania w ręku.

Czy ktoś mógł stać pod domem i słyszeć, jak rozmawiali przez telefon? Nie, to byłby za duży zbieg okoliczności. Poza tym Gower twierdził, że to coś jest nie tyle wartościowe, ile cenne. Ktoś założył podsłuch w jego telefonie? Nie, bez przesady.

Nie tyle wartościowe, ile cenne. Co to, do diabła, znaczy?

Leżała w ciemności, próbując sobie przypomnieć, co dokładnie o tym czymś mówił. „W czasach mojego pradziadka większość ludzi powiedziała by, że ta rzecz nadaje się tylko na wykładzinę ptasiej klatki. Ale z czasem zyskała na wartości. I to bardzo. Jest warta krocie, nawet jeśli wie o tym tylko Pertelote”

Przynajmniej tyle pamiętała. Jesse – wciąż nie mogła przywyknąć do tego, że już nie żył – miał denerwujący zwyczaj lubowania się w dwuznacznościach i rzadko kiedy mówił coś prosto z mostu. Te ironiczne dygresje, te rozwlekłe aluzje do przerwanych studiów, z których był taki dumny...

Teraz żałowała, że nie przysłuchiwała się im uważniej. Na wykładzinę ptasiej klatki? I kto to jest Pertelote?

Pertelote. Tak, coś jej to mówiło. Użył tego słowa podczas jej poprzedniej wizyty na farmie. Cofnęła się do tej rozmowy, tej, którą tak nagle przerwał, każąc jej się wynosić. Opowiadał coś o szwajcarskich zegarkach i innych rzeczach, ale nie pamiętała o jakich i musiałaby zajrzeć do notatek. Zresztą nie to nie dawało jej spokoju. Czuła, że chodziło o coś, co powiedział wcześniej, gdy pierwszy raz trochę się otworzył.

Powiedział: „Z resztek mojej edukacji”. Tak, i coś jeszcze: „Ponadawałem tu wszystkiemu imiona postaci z literatury angielskiej”

Cholera jasna, ale kto to jest Pertelote?

I nagle sobie przypomniała. Siedzieli na ganku. Zagdakała kura, a on rozpromienił się i uśmiechnął. „Brawo, Pertelote! Zrobiła mi kolację”

„Zrobiła mi kolację”

„Rozpoznaję kury po ich gdakaniu”

„Ponadawałem tu wszystkiemu imiona postaci z literatury angielskiej”

Momentalnie zerwała się z łóżka.

Dziesięć minut później była już ubrana i siedziała w samochodzie.

O drugiej rano wjechała na farmę Gowera.

Zgasiała reflektory, wyłączyła silnik i zaczęła, aż opadnie kurz i oczy przywykną do ciemności. Jeśli nie liczyć taśmy policyjnej i tego, że w szopie brakowało drzwi – stała teraz szeroko otwarta, jakby straciła ząb – wszystko wyglądało tak jak poprzednio.

Upewniwszy się, że jest sama, wzięła latarkę, sprawdziła broń i wysiadła.

W świetle księżycy – nie zapaliła latarki – przeszła pod taśmą, minęła dom, potem szopę i przystanęła przed kurnikiem. Wokoło panowała cisza. W ciemności nic się nie poruszało. Podeszła trochę bliżej.

Nigdy dotąd nie była w kurniku i miała jedynie mgliste pojęcie o tym, co może być w środku; czerpała tę wiedzę głównie z kreskówek o kuraku Leghornie. Ten był miniaturową szopą z krytym dachówką spiczastym dachem, jednym oknem, drzwiczkami i kładką. Zapaliła latarkę i omiotła światłem drzwiczki, ścianę i znajdujący się za kurnikiem wybieg. Jej uwagę zwrócił odór. „Cuchnie jak kurze gówno” – dopiero teraz zrozumiała, co to znaczy.

„Nawet jeśli wie o tym tylko Pertelote”

Więc może ta rzecz jest ukryta tutaj, w kurniku? Nic innego nie pasowało. Nie zauważyła żadnych śladów wskazujących na to, że zaglądała tu policja czy ktokolwiek inny. To był jedyny trop i musiała go zbadać. Przynajmniej tyle była winna Jessemu.

Podniosła drewniany skobel, otworzyła drzwiczki, wetknęła do środka głowę i poświeciła latarką. Na tylnej ścianie zobaczyła rząd skrzynek lęgowych, w połowie zajętych przez kury. Inne kury siedziały na grzędach.

Popatrzyło na nią oskarżycielsko sześć czy siedem par paciorkowatych oczu i rozległo się nerwowe gdakanie.

– Mnie też się to nie podoba, drogie panie – szepnęła.

Która z nich to Pertelote?

Ta siedząca najbliżej, po prawej stronie, była chyba największa, a jej skrzynka lęgowa najbardziej wytarta. Pertelote, zapewne ulubienica Jessego, musiała być nie tylko duża, ale i mieć stosowną do wielkości osobowość. Corrie wsunęła rękę w słomę, na której siedziała kura. Ptak wściekle zagdakał i dziobnął ją w nadgarstek.

– Hej! – Nie miała pojęcia, że te ptaszynki potrafią tak mocno dziobać. Mimo to zdążyła dotknąć leżącej pod słomą siatki. Nie, niczego tam nie było.

Wycofała się i obejrzała nadgarstek w świetle latarki. Wyglądał tak, jakby oberwała zestawem sztucznych paznokci. Nie zamierzała tego powtarzać, wykluczone.

Kurnik stał na niskich palach podtrzymujących drewnianą kratownicę, która miała pewnie chronić ptaki przed drapieżnikami. Corrie uklękła i poświeciła na nią, co znów sprowokowało chór marudnych narzekań. Pod skrzynkami lęgowymi były kuwety, sądząc po zawartości, dawno nieczyszczone.

– Wielkie dzięki, Jesse – wymamrotała.

Nabrała powietrza, precyzyjnie rękę przez kratownicę, wymacała kuwetę Pertelote i ostrożnie, lecz dokładnie przebrała jej zawartość palcami. Rezultat był ohydny.

– Chryste! – Odwróciła głowę, walcząc z nudnościami.

Czy była to jej kolejna nie do końca przemyślana dedukcja, obłąkana nadzieja, że rozmowy z Gowerem – i jego śmierć – nie poszły na marne? Boże, gdyby Morwood ją teraz zobaczył... Z cichym przekleństwem wyciągnęła uwalaną odchodami rękę. I wtedy kuweta lekko się poruszyła.

Corrie znieruchomiała. Potem chwyciła za koniec kuwety, pociągnęła ją, pchnęła i podniosła.

To zadziałało. Kiedy brzeg kuwety podjechał do góry na dwa, trzy centymetry, szybko pomacała pod nią palcami. Coś tam leżało. Tam, w kuwecie mieszczącej się pod tą, którą podniosła. Było za ciemno, żeby zobaczyć, co to takiego, ale miała wrażenie, że dotyka złożonego płótna. Nie przeszłoby przez kratownicę, dlatego nie chcąc go zniszczyć, podniosła cały fragment podłogi kurnika i wyciągnęła je spod spodu.

Następne kilka minut spędziła, myjąc ręce w zdewastowanej kuchni Jessego. Potem – z latarką i tajemniczym odkryciem na kolanach – usiadła na ganku i wyjęła komórkę.

Już dotykała ekranu, żeby wybrać numer, ale zawahała się i po dłuższej chwili zmieniła zdanie. Schowała telefon do kieszeni, szybko podeszła do samochodu, wsiadła, ostrożnie położyła płótno na fotelu obok i pojechała w noc.

O ŚWICIE ZAŁADOWALI DO PRZYCZEPY dwa konie w domu rodziców Espeja, potem jechali dwie godziny na północ coraz gorszymi bitymi drogami, w końcu dotarli do malutkiego osiedla. Nazywało się Kopyto Muła i sprawiało wrażenie porzuconego. Tam, pod ośnieżonymi szczytami gór Sierra Blanca, strzelających w niebo na wysokość prawie czterech tysięcy metrów, rozładowali konie, wsiedli na nie i ruszyli szlakiem wijącym się między gęstymi od jodeł wzgórzami.

Znowu w siodle – Norze przypomniały się wykopaliska, którymi kierowała w maju w Sierra Nevada. Wraz ze swoim zespołem odkryła wtedy i odkopała pozostałości XIX-wiecznego obozowiska feralnej wyprawy Donnera. Choć było to bardzo traumatyczne przeżycie – delikatnie mówiąc – lubiła jeździć konno i cieszyła się, że znowu ma ku temu okazję. Krajobraz – kępy wielkich jak katedra jodeł rosnących nad brzegiem szemrzącego strumienia – był naprawdę porywający, a w powietrzu unosił się silny zapach sosen i dzikiego geranium. Espejo okazał się milczącym towarzyszem podróży, co bardzo jej odpowiadało. Jeździła kiedyś z gadułami, a rozmowa na koniu pociągała za sobą konieczność ciągłego odwracania się i krzyczenia, co psuło całą przyjemność.

Ale wróciwszy myślą do ich utopijnej wyprawy, zaczęła się zastanawiać, co ona, do diabła, robi. Chociaż Adelsky bardzo się starał, wykopaliska w Tsankawi miały opóźnienie nie do odrobienia. Musiała prosić dyrektorkę o kolejny wolny dzień i tym razem Weingrau nie była zadowolona. Uszczypliwie spytała, na czym dokładnie polega jej obecna współpraca z FBI, i Nora musiała się tłumaczyć i kręcić. Musiała też przyznać przed samą sobą, że wciągnęła się w tę sprawę tak bardzo,

że straciła do niej dystans. Na domiar wszystkiego wyprawa z Espejo była szukaniem wiatru w polu. Nantan Taza już dawno nie żył i szaleństwem było myśleć inaczej. Jeśli w ogóle coś tam znajdą, to najwyżej pozostałości po obozowisku i jego kości. Watts miał rację: za bardzo zaangażowała się w to emocjonalnie. Corrie, choć trochę zielona i upierdliwa, doskonale poradziłaby sobie bez niej.

W południe przekroczyli wysokość trzech tysięcy metrów. Szlak się rozmył, strumień zmienił w potok przecinający alpejskie łąki pełne dzikich kwiatów, a coraz bliższe szczyty Sierra Blanca piętrzyły się nad nimi jak wielka ściana. W końcu wyjechali spomiędzy drzew na piękną zieloną grań, z której roztaczał się widok na pustkowie White Mountain Wilderness. Jak okiem sięgnąć, góry za górami, w promieniu trzydziestu kilometrów nie było chyba ani jednego człowieka, chyba że Nantan Taza wciąż żył.

Na szczycie grani Espejo przystanął, Nora obok niego.

– Widzi pani te strome, równoległe kaniony? – Wskazał ręką w dół. – Ojo Escondido jest podobno w tym środkowym, osiem kilometrów stąd.

– Konno się tamtędy nie przejedzie.

– Z tego, co mówił Nantan, chyba nie. Zobaczymy. Będziemy jechać, dopóki się da.

Powoli ruszył i zaczęli ostrożnie zjeżdżać na dół. Szlak już dawno zniknął, lecz ostrożnie kroczące konie instynktownie szły niewidoczną, wydeptaną przez łosie dróżką, która przecinała szerokie łąki, prowadząc do ujścia kanionu. Teren stawał się coraz bardziej stromy i kamienisty, coraz bardziej napierały na nich skalne ściany.

– Lepiej zsiądźmy – rzucił Espejo.

Zsiedli i zamiast spętać konie, na szyi swojego zawiesił dzwonek i puścił je wolno, żeby się pasły. Potem spojrział na nią.

– Dalej pójdzie pani sama.

Chociaż właściwie już to powiedział, wciąż mu nie dowierzała.

– Naprawdę pan nie pójdzie?

– Nie mogę. Musi pani tylko iść tym kanionem. To najwyżej dwa, trzy kilometry stąd.

Założyła plecak i poszła. Granitowe skały wkrótce się zwęziły i w kanionie zapanowała ponura, klaustrofobiczna atmosfera. Dnem nie płynął ani strumień, ani potok. Leżały tam tylko poobijane pnie drzew naniesionych przez błyskawiczne powodzie i porozrzucone krzaki. Dochodziło południe i zastanawiała się, czy zdążą wrócić na szlak przed zmrokiem. Dobrze chociaż, że miała być pełnia księżyca.

Teren pogorszył się jeszcze bardziej i w kilku miejscach kanion zwęził się do tego stopnia, że mogła dotknąć rękami obu jego ścian. A potem przeszedł nagle w rozległą trawiastą nieckę o szerokości co najmniej stu metrów – była ocieniona potężnymi topolami i ich podświetlone przez słońce liście wyglądały jak witraż. U podnóża skał błyszczało lustro małej sadzawki otoczonej zielenią i płaczącymi wierzbami, co wskazywało na to, że bije tam źródło. Nieco dalej, pod tylną ścianą kanionu, stały prymitywna chata z drewnianych bali, mała szopa i wychodek. Obok chaty ktoś zbudował zagrodę dla owiec. Nigdzie nie było śladu życia.

Nora przystanęła z sercem w gardle. Czy to tu? Chyba nie mogło być miejsca bardziej oddalonego i ukrytego. No i sprawiającego wrażenie bardziej porzuconego. Zdumiewało ją, że ktoś tak stary jak Nantan żył na tyle długo, żeby zbudować dom i całą resztę. Nagle przestraszyła się tego, co może znaleźć w chacie. Ale nie było już odwrotu.

– Halo! – Jej głos odbił się echem od sięgających nieba skał.

Cisza.

– Panie Taza?

Wciąż cisza.

Ostrożnie podeszła bliżej. Drzwi były uchylone. Przystanęła i zapukała.

Nikt jej nie odpowiedział.

– Halo?

Cisza.

Pchnęła drzwi i zaskrzyphiały zawiasy. W środku panował półmrok i przez chwilę niewiele widziała. Potem zobaczyła izbę najprostszą

z możliwych: uszczelnione błotem bale, klepisko, kominek, toporny stół, krzesło, kilka płaskich kamieni zamiast talerzy i pokryta brudnymi skórami drewniana prycza w kącie. Dopiero po kilku sekundach zdała sobie sprawę, że pod skórami ktoś leży. Był w nieodgadnionym wieku i miał długie, białe włosy, mocno kontrastujące z brązową twarzą. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Żył? Czy nie?

– Panie Taza?

W jej stronę powoli odwróciła się głowa. Podniosła się chuda, pomarszczona ręka, która gestem poprosiła ją bliżej. Nora podeszła, stanęła przy łóżku, zdjęła plecak i położyła go na podłodze.

Starzec nie odrywał od niej oczu.

– Kim...

Spróbowała ująć myśli w słowa. Był tak wysuszony, tak wynędzniały – nie mogła wyjść z zadziwienia, że w ogóle żyje.

– Nazywam się Nora Kelly...

– Po co przyszłaś?

– Jestem archeolożką. – Zawahała się i wypaliła: – Znalaziono ciało Jamesa Gowera. Sama je odkopałam.

Wyraz jego twarzy uległ zmianie, ale nie wiedziała jakiej.

– Jak mnie znalazłaś?

– Przeprowadził mnie pana przyjaciel Nick Espejo. Czeka kilka kilometrów stąd, przed wejściem do kanionu. Nie chciał złamać przyrzeczenia. Przyszłam sama.

– Ale dlaczego? – powtórzył głosem cichym jak szept wiatru.

– Liczyłam na to, że... opowie mi pan swoją historię i... – Nie dokończyła.

W izbie zapadła cisza.

Instynkt mówił jej, że starzec na coś czeka, lecz nie wiedziała na co. Jej wzrok padł na plecak i nagle zrozumiała.

Corrie będzie wściekła. Kto wie, czy nie oskarży jej nawet o przestępstwo. Zdawała sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiała podjąć jakąś decyzję, i zmagala się ze sobą, odkąd wyruszyli

w drogę, lecz pod wpływem wzroku starca zaczęła wyzbywać się wątpliwości i w końcu skapitulowała.

Taza zamknął oczy.

– Wiedziałem, że pewnego dnia ktoś przyjdzie.

Żeby się nie rozmyślić, szybko rozpięła plecak i wyjęła pojemnik. Otworzyła go, wyjęła „leki” i podała je starcowi.

Rozszerzyły mu się oczy. Wyciągnął obie ręce i położyła „leki” na jego dłoniach. Trzymał je tak przez chwilę, po czym z nabożną czcią położył obok siebie i przytulił, jak dziecko przytuliłoby ukochanego misia.

– Czekałem na posłańca – wyszeptał. – Czekałem tyle lat. Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę... kogoś takiego jak ty.

– Na posłańca?

– Ukarano mnie długim życiem, bo nie chciałem nikomu o tym opowiedzieć. Ale przyszłaś i wiem, że już czas.

Podniósł rękę i wskazał drugi koniec izby.

– Przynieś to pudełko.

Wstała i przyniosła mu zbite kołkami pudełko z ręcznie struganego drewna, zaopatrzone w źle dopasowane wieczko.

– Otwórz.

Otworzyła je. W środku leżały dwa przedmioty: coś owiniętego w kozłą skórę i koperta z niewyprawionej skóry.

– Otwórz – powtórzył starzec.

Rozwiązała rzemienie, rozwinęła skórę i zobaczyła złoty zegarek z gwiazdnymi konstelacjami wygrawerowanymi na wytartym wieczku. W kopercie był arkusz starego pergaminu z indiańskim rysunkiem przedstawiającym trzech jeźdźców na koniach.

– Teraz to należy do ciebie.

Zaschło jej w ustach.

– Ale... co to jest? – spytała.

Zapadła cisza. Starzec zamknął oczy i kilka razy głęboko odetchnął.

– Opowiem ci to, co chciałaś usłyszeć. A potem będę mógł wreszcie odejść.

SIEDZĄC PRZY KUCHENNYM STOLE, Corrie starannie rozłożyła kawałek folii aluminiowej, którą przygotowała po powrocie do domu. Włożyła rękawiczki, otworzyła pojemnik na dowody rzeczowe, wyjęła – już drugi raz – pergamin oraz ceratę, w którą był zawinięty, i położyła je obok siebie. Przysunęła lampę i wzięła lupę.

Cerata była stara, zeszywniała ze starości i poplamiona. Rozłożyła ją, szukając jakichś napisów czy rysunków. Choć przez warstwę brudu niewiele widziała, wszystko wskazywało na to, że nie ma na niej żadnych znaków.

Potem zajęła się pergaminem. Szywny i kwadratowy, miał boki o długości około dwudziestu centymetrów i był pokryty prastarymi inskrypcjami. Upływ czasu nadał mu kolor ciemnego miodu. Trzy krawędzie sprawiały wrażenie starych i wytartych, natomiast na czwartej widniały w miarę świeże ślady cięcia, drobne rysy po sunącym tam i z powrotem nożu. Ktoś odciął połowę wyblakłych inskrypcji, co jednoznacznie wskazywało na to, że dokument był kiedyś dwa razy większy.

Odwróciła go i przyjrzała się drugiej stronie. Był tam rysunek – a właściwie jedna jego połowa, bo drugą odcięto – wykonany chyba kredkami, choć niektóre fragmenty wypełniono akwarelami. Przedstawiał galopujących na koniach Indian. Jeden pędził na srokaczu, drugi na dereszku i obaj mieli ochraniacze na nogi oraz łuki. Ścigali uciekającego konno kawalerzystę. Wszystko narysowano z dziecięcą prostotą i przejrzystością: starannie dopracowano każdy szczegół, łącznie ze smugami farby na twarzach Indian, wędzidłami, wodzami

i kawaleryjskim mundurem żołnierza. Rysunek tchnął życiem i mimo upływu lat wciąż był niezwykle świeży i ujmujący.

Natomiast inskrypcje – nie rozpoznała ich, lecz sprawiały wrażenie hiszpańskich – były dużo starsze i tak wyblakłe, że ledwo czytelne. Roiło się w nich od skreśleń i kleksów, co świadczyło o tym, że ich autor pisał w pośpiechu. Były nie do rozszyfrowania, przynajmniej dla niej. Nie potrafiła nawet rozróżnić poszczególnych liter ozdobionych zamaszystymi zawijasami.

Usiadła wygodniej, żeby pomyśleć – od rana nie robiła nic innego. Jesse Gower musiał mówić o tym pergaminie. Nic innego nie miało sensu. Ale czy jego pradziadek zachował pergamin ze względu na rysunek, czy hiszpański tekst? A może ze względu na jedno i drugie? Zajrzała do internetu i dowiedziała się, że indiańskie rysunki tego rodzaju – zwane „rejestrowymi” od starych wojskowych ksiąg rejestrowych, które często wykorzystywano jako szkicowniki – są bardzo cenne. Rysowali je zwykle wojownicy, chcąc uwiecznić ważne bitwy czy zaloty zakochanych. Indianie cenili sobie pergamin ze względu na jego trwałość i wytrzymałość. To, że Gower go nie sprzedał, choć potrzebował pieniędzy na narkotyki, było doprawdy niezwykle. Musiał być dla niego bardzo ważny. Albo Jesse nie zdawał sobie sprawy z jego wartości. Nie, nieprawda. „W czasach mojego pradziadka większość ludzi powiedziała by, że ta rzecz nadaje się tylko na wykładzinę ptasiej klatki. Ale z czasem zyskała na wartości. I to bardzo” – sam to powiedział.

Westchnęła. Miała przed sobą konkretny dowód rzeczowy. Powinna zawieźć go do Albuquerque, zarejestrować i zbadać w laboratorium. A te hiszpańskie inskrypcje, czy cokolwiek to było, musiał przetłumaczyć ekspert. Ale Morwood tak ją zdenerwował, że choć minął cały dzień, wciąż z tym zwlekała.

Może w ogóle powinna sobie odpuścić. Morwood i tak by to pewnie zlekceważył – tak jak zlekceważył jej podejrzenia co do generała McGurka – i znów po ojcowsku poradziłby jej, żeby się z niczym nie wychylała. Ale nie, otrząsnęła się. Myślała jak dawna buntowniczka, zamiast jak

nowoczesna agentka specjalna FBI. Musiała przestrzegać zasad, co znaczyło, że choć dochodziła szósta wieczorem w niedzielę, musi też zawiadomić Morwooda. Cholera, powinna była to zrobić dużo wcześniej.

Wyjęła telefon i zadzwoniła na jego prywatny numer.

Odebrał po drugim sygnale.

– Corrie? Co się dzieje?

Opowiedziała mu o swoich przecuciach, o wyprawie do domu Gowera i o pergaminie. Nie wspomniała, kiedy tam była, a on o to nie zapytał. A potem długo milczał. Już myślała, że znów się zirytuje i ją spławi, ale nie. Kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała nieoczekiwana nuta.

– Możesz przysłać mi zdjęcia? Kilka zdjęć komórką, zaczekam.

Sfotografowała obie strony pergaminu, ceratę oraz woskowane rzemienie i wysłała mu zdjęcia.

– Dobra, już mam – powiedział.

Znów długo milczał, wreszcie spytał:

– Ile ten rysunek może być wart?

– Dużo, około dziesięciu tysięcy dolarów. Sprawdziłam w internecie.

– A te hiszpańskie inskrypcje na drugiej stronie?

– Nie mam pojęcia, co to jest.

– To może być ważny dowód. Już go zgłosiłaś?

– Jeszcze nie. Ale przestrzegałam wszystkich procedur i wszystko udokumentowałam.

– Bardzo dobrze. Trzeba przetłumaczyć ten tekst. Jutro rano przywieź manuskrypt do magazynu, zarejestruj i sprawdź, czy nie da się go odczytać w ultrafiolecie albo za pomocą obrazowania wielospektralnego. Potem zadzwoń do doktor Kelly i spytaj, czy ktoś z instytutu mógłby to przetłumaczyć. Przydałby się też ekspert od indiańskich rysunków.

– Tak jest.

Chwila wahania.

– Dobra robota, Corrie.

– Bardzo dziękuję – odpowiedziała zaskoczona i zadowolona.

Rozłączyli się i jeszcze raz obejrzała rojący się od zawijasów wyblakły tekst. Potem zadzwoniła do Nory, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Nora pojechała do rezerwatu Indian Mescalero – szukała tego starego Apacza – i najwidoczniej jeszcze nie wróciła. „Leki” – Corrie aż przełknęła ślinę. To, że archeolożka uparła się, żeby je zabrać, jej pewność, że same zdjęcia nie wystarczą i przekreślą jej śledztwo, zanim się na dobre zaczęło, oraz to, że ona, Corrie, osobiście wyraziła na to zgodę, sprawiło, że pochwała Morwooda zabrzmiała niemal złowieszczo. Jeśli Nora ich nie zwróci... Z nagłym pośpiechem włożyła pergamin i ceratę do pojemnika, starannie go zamknęła i zapisała na pokrywie datę i godzinę. Tym razem zamierzała dopilnować, żeby materiał dowodowy był niepodważalny.

Wróciła myślą do rozmowy z porucznikiem marynarki. Jeśli generał McGurk rzeczywiście szukał skarbu z Góry Victoria, same plotki nie wystarczą. Znała Morwooda na tyle dobrze, że już słyszała, jak wygłasza tyradę na temat niebezpieczeństw związanych z pogłoskami czy insynuacjami. Mimo to czuła, że fragmenty układanki zaczynają do siebie pasować. Jim Gower i jego wspólnik szukali skarbu i Gower go znalazł, czego dowodem był złoty krzyż. Przetrzęsnięto dom jego prawnika, torturowano go i zamordowano, i zrobił to ktoś, kto też czegoś szukał. Czyżby tego pergaminu? Jesse wiedział, że dla pradziadka ten dokument był bezcenny, i umarł, nie zdradziwszy ukrytych w nim tajemnic. Czy McGurk naprawdę był w to zamieszany?

Generał miał około czterdziestu pięciu lat, więc na początku lat sześćdziesiątych, gdy w Białych Piaskach stacjonował jego ojciec, nie było go jeszcze na świecie. Ale mógł coś słyszeć. Tak, musiała się dowiedzieć czegoś więcej o ojcu McGurka, poznać konkretne fakty, a nie plotki. FBI mogłoby zażądać jego akt wojskowych. Często to robiło. Ale prośba musiałaby przejść przez Morwooda, a Morwood dostałby szału. Miał na głowie sprawę śmierci Riversa i już ją ostrzegł, żeby prowadziła śledztwo dyskretnie.

Rivers... Kolejny fragment układanki. Tak, na pewno, w przeciwnym razie dlaczego go zamordowano? Szukał w Wysokiej Samotni skarbu

z Góry Victoria? Wyglądało na to, że wszyscy polowali na to samo.

Westchnęła. Dość tych spekulacji. Jutro zgłosi nowy dowód rzeczowy, skontaktuje się z Norą i poprosi o przetłumaczenie manuskryptu, ale przedtem odzyska „leki” i zwróci je do magazynu dowodów rzeczowych, gdzie było ich miejsce.

KANCELARIA ADWOKACKA CHARLESA FOUNTAINA mieściła się w dawnym ratuszu, bezpośrednio nad jadłodajnią Sage. Wszyscy jednak wiedzieli, że zamiast siedzieć w swoim eleganckim gabinecie, Fountain przesiadywał właśnie tam, w kącie jadłodajni, pijąc kawę, spotykając się ze znajomymi i załatwiając interesy. Tam też zastali go w poniedziałek Watts i Morwood. Siedział samotnie w boksie, przy zasłanym papierami stoliku, na którym stał duży dzbanek kawy.

Na ich widok uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Witam, szeryfie. Agent specjalny Morwood, prawda? Wybaczcie, że nie wstaję. Jestem już w średnim wieku i nabawiłem się poważnej przypadłości medycznej zwanej „kałdunem”. – Jego lekko wystający brzuch zdawał się przeczyć tym słowom, ale Fountain roześmiał się ze swojego dowcipu i poprosił, aby usiedli. – Kawy?

– Chętnie.

Pomachał ręką do kelnerki, która przyniosła dwa kubki. Obsłużył ich, po czym odesłał dzbanek do ponownego napełnienia.

– Przepraszam za ten bałagan – powiedział, zbierając dokumenty i wpychając je byle jak do i tak już pękatego segregatora. – „Zabałaganione biurko jest oznaką ukontentowania”. Przeczytałem to w ciasteczku z wróżbą, a ciasteczko nie może się mylić.

Watts zdał sobie sprawę, że wciąż ma na głowie kapelusz, dlatego zdjął go, sprawdził, czy stół jest nieskazitelnie czysty, i położył go delikatnie rondem do góry. Morwood poprosił go, żeby poprowadził rozmowę, ponieważ, tak jak wszyscy w mieście, znał Fountaina całe życie. Watts przygotował sobie kilka pytań i położywszy kapelusz, wyjął notes.

– Dzięki, że znalazł pan dla nas czas, panie mecenasie.

– Homer, ile lat my się znamy? Charles, jeśli łaska. Dla pana też, agencie Morwood.

Szeryf skinął głową.

Zapraszam na E><S i T e S. p L

– Mamy kilka pytań dotyczących zabójstwa Jessego Gowera. Przeszukanie jego posiadłości ujawniło, że handlował antykami, artefaktami i tym podobnymi rzeczami. Prawdopodobnie sprzedawał je, żeby mieć pieniądze na narkotyki.

– Tak jak jego pradziadek – zauważył adwokat. – Tyle że on kupował wodę.

– Właśnie. Wiele z tych rzeczy należało chyba do niego, do pradziadka. Jest tam stara szopa i leżały w niej pewnie od niepamiętnych czasów. Jego ojciec i dziadek też dodali coś pewnie do tej kolekcji. Jesse sprzedawał je jedną po drugiej, żeby mieć za co ćpać.

Fountain pokręcił głową.

– I pomyśleć, że zaczynał na Harvardzie. Z wysoka upadł.

– Zapewne pan wie – ciągnął Watts – że mimo oczywistego spadku liczby grabieży na rynek trafia znacznie więcej antyków nieznanego pochodzenia. Trwa to na tyle długo, że wywołuje mój niepokój. Ponieważ nie wiadomo, skąd te rzeczy pochodzą, grabież historycznych i prehistorycznych miejsc musi jednak wciąż trwać, tylko że szabrownicy robią to wyjątkowo ostrożnie i po dokładnym rozpoznaniu. Są inteligentni i finezyjni. Większość zwykłych szabrowników po prostu zostawia wykopane dziury, a ci je zasypują, żeby nikt niczego nie zauważył.

– Ciekawa teoria. – Adwokat upił łyk kawy. – Żeby to wypaliło, ci ludzie musieliby być dobrze zorganizowani. A skoro tak, trzymaliby się raczej z daleka od młodego Gowera. Za duże ryzyko. Poza tym czarnorynkowe antyki sporo kosztują. A rzeczy, które znaleźliście w szopie Gowera, nie należą chyba do tej kategorii.

Watts uśmiechnął się ponuro.

– Nie domyśla się pan, komu Jesse mógł je sprzedawać?

Fountain usiadł wygodniej.

– Dokładnie o jakich przedmiotach mówimy?
– Miał tam kule i guziki z okresu wojny secesyjnej, butelki, groty strzał, stare czasopisma i książki, parę zepsutych bandžo...

– Żadnych dokumentów ani kwitów?

– Nie.

– Szkoda. – Mecenas ściągnął usta. – Myślicie, że nie miał nic naprawdę wartościowego? Jego pradziadek handlował rupieciami, delikatnie mówiąc.

– To, co siedemdziesiąt pięć lat temu było rupieciem, dzisiaj może być sporo warte...

– À propos – wtrącił się Morwood. – W jego kurniku znaleźliśmy również XIX-wieczny rysunek indiański.

Krzaczaste jak wąsy brwi Fountaina podskoczyły do góry.

– XIX wiek? Na pergaminie? Interesujące.

– Podobno.

– Może być dużo wart. Gower wiedział, że tam jest? Ciekawe, dlaczego go nie sprzedał.

– I jeszcze coś – dodał Morwood. – Na razie tego nie rozgłaszamy, ale Riversa zamordowano.

Wyraz nonszalanckiej wesołości na twarzy adwokata po raz pierwszy ustąpił miejsca autentycznemu zdziwieniu.

– Zamordowano? W szpitalu?

– Tak. Ktoś wstrzyknął do kroplówki śmiertelną dawkę narkotyku. Mężczyzna w mundurze żandarma wojskowego. Nagrały go kamery monitoringu.

– Zidentyfikowaliście go?

– Nie. To był wysoki, szczupły Afroamerykanin. Prawdopodobnie wiedział, gdzie są kamery, i zasłaniał twarz. Problem w tym, że zarówno Rivers, jak i Gower byli zamieszani w grabież antyków i obaj zostali zamordowani. Dlatego zastanawiamy się, co ich może łączyć.

Fountain pociągnął łyk kawy i odstawił kubek.

– Zapewne pamiętacie, że kilka miesięcy temu w kanionie Bonito ktoś rozkopał kilka prehistorycznych grobów.

Szeryf skinął głową.

– Tak, pamiętam.

– Gdyby nie fotograf, który porównał ich zdjęcia ze zdjęciami zrobionymi miesiąc wcześniej, nikt nie zauważyłby żadnej różnicy. To była profesjonalna robota. Coś takiego mogłaby zrobić tylko pomysłowa, dobrze zorganizowana grupa, o jakiej pan mówił. Naprawdę myślicie, że ci ludzie zadawaliby się z narkomanem, takim jak Gower, czy z karanym przestępcą, takim jak Rivers?

– To jeden z wątków, które badamy – odparł Watts. – Nie słyszał pan żadnych plotek? Czegoś, co mogłoby naprowadzić nas na trop?

– Nie, chyba nie. Ale jestem przekonany, że jeśli ta grupa w ogóle istnieje, nie są to miejscowi.

– Dlaczego? – spytał Morwood.

Mecenas stłumił śmiech.

– Jestem adwokatem i znam większość tutejszych złodziejasków, chuliganów i lumpów. Niektórych uratowałem nawet przed więzieniem. Gdyby to był ktoś stąd, na pewno bym coś słyszał. – Dolał sobie kawy. – Ale oczywiście popytam. Amfetamina Gowera pochodziła zapewne z Albuquerque, a gang, o którym pan mówił, też miałby siedzibę w dużym mieście. – Zapatrzył się w kubek. – Coś wam podsunę. W San Pasqual jest pewien bar, tawerna Cascabel. Rivers bywał tam w czasach, kiedy miewał jeszcze zatargi z prawem, i lubił dużo gadać. To strzał w ciemno, ale może ktoś coś słyszał.

– Dzięki.

– Tylko bądźcie ostrożni. Pełno tam zwariowanych prepersów i różnych anarchistów.

– Dziękujemy za spotkanie i radę. – Morwood wstał. – Dodamy ten bar do naszej listy. Wysoką Samotnię też.

– Wysoką Samotnię?

– Nie wiemy, co się tu dzieje, ale wszystko zdaje się krążyć wokół Samotni. Ponieważ trupów przybywa szybciej niż tropów, FBI postanowiło wysłać tam Zespół Reagowania Dowodowego. Mają przeszukać każdy centymetr kwadratowy miasteczka, a jeśli będzie trzeba, rozebrać je na kawałki.

– Szkoda by było – powiedział Fountain, a Watts zrobił przerażoną minę.

– Fakt. Dlatego miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Bardzo dziękuję, panie mecenasie.

– „Panie mecenasie”, znowu to samo. Powodzenia. Panu też, szeryfie.

Watts bez słowa ruszył za Morwoodem. Myślał, co by tu zrobić, żeby uchronić Wysoką Samotnię od zniszczenia z rąk federalnych.

W PONIEDZIAŁEK O JEDENASTEJ NORA siedziała w laboratorium obok Orlanda Chaveza. Byli tam od szóstej rano, gdy zerwała go z łóżka i namówiła, żeby przyjechał wcześniej do instytutu. Oboje patrzyli na duży ekran monitora, który wyświetlał inskrypcje z pergaminu Nantana Tazy.

– Nareszcie można wszystko odczytać – powiedział naukowiec. Wiele godzin spędzili, fotografując pergamin w ultrafiolecie i poprawiając cyfrowo jakość wyblakłych liter, żeby nie przeoczyć żadnego szczegółu, i osiągnęli znakomite rezultaty. – No więc tak. Mamy tu klasyczny przykład XVII-wiecznego kastylijskiego pisma kancelaryjnego zwanego cortesaną. Dla niewprawnego oka wygląda to jak groch z kapustą, ale wyzwaniem nie jest język jako taki, bo w ciągu ostatnich kilku stuleci hiszpańszczyzna niewiele się zmieniła. Wyzwaniem jest pismo. Ja potrafię je odczytać, ale ktoś niezorientowany nie da rady. Na szczęście dysponujemy internetowymi próbkami starych hiszpańskich liter. – Zaczął mówić jak profesor na wykładzie. – Zaraz ci pokażę.

Przysunął się do drugiego monitora, zastukał w klawiaturę i na ekranie ukazało się kilkanaście tabel. Każda przedstawiała jedną literę alfabetu, majuskułę i minuskułę, wraz ze wszystkimi jej XVII-wiecznymi odmianami.

– Weźmy na przykład „A”. Jak widać, zapisywano ją wtedy na tyle różnych sposobów, że czasem zupełnie nie przypomina litery „A”! Spójrzmy teraz na „B”..

– To naprawdę fascynujące, ale czy moglibyśmy przejść do tekstu? – przerwała mu łagodnie coraz bardziej zniecierpliwiona Nora.

– Naturalnie. Teraz da się go odczytać, więc... – Chavez umilkł, pochylił się i wbił wzrok w ekran monitora. Nora czekała.

Po kilku minutach naukowiec gwałtownie się wyprostował.

– *Madre de Dios...*

– No i? – nie wytrzymała Nora. – O czym to jest?

– Trudno powiedzieć dokładnie, ponieważ odcięto połowę tekstu. Ale mogę przetłumaczyć to, co zostało...

– No i?

– Przetłumaczę linijka po linijce. Nie chcę trzymać cię w napięciu, ale wolałbym nie narzucać swojej interpretacji, bo... Zresztą sama zobaczysz.

– „*S.C.C. Majestad*” – przeczytał. – To skrót od *Sacra Cesarea Cathlóica Majestad*, czyli Król Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Intrygujące. Wskazuje, że list jest adresowany nie do wicekróla Meksyku, tylko do samego imperatora, Karola II, króla Hiszpanii, co podkreśla wagę tej korespondencji. Dobrze, zatem linijka po linijce.

*20 sierpnia 1680. Piszę do Waszej –
szlaku Camino Real w Nowej Hiszpanii.
10 sierpnia Indianie Pueblo podnieśli –*

Chavez urwał.

– Tak, 10 sierpnia wybuchło powstanie Indian Pueblo. Ale czytamy dalej.

wielu świętym ojcom. Uprzedzeni o tymże buncie–

– Aha, a więc jeden z indiańskich spiskowców zdradził swoich towarzyszy i uprzedził zakonników.

*Angelico, brat Bartolomé oraz nasi żołnierze –
kosztowności zgromadzonych w katedrze –
Obarczyliśmy skarbami sześćdziesiąt dwa –
na południe.
Na Camino Real, w pobliżu Senec –
dzikich Apaczów, którzy odepchnęli nas na –
że musieliśmy ukryć skarb w starej kopalni –*

– Skarb? – przerwała mu Nora.

– Tak. *Tesoro* to po kastylijsku „skarb”. A Camino Real, Królewski Szlak, to droga prowadząca z Santa Fe do Mexico City, którą uciekli zakonnicy.

*zwanej El Aguijón del Escorpión w Sierra –
kopalni zamaskowaliśmy i wyryliśmy znak –
w prawo. U stóp Escorpión, na wielkim –
wejściem, wyryliśmy drugi znak, dwa krzyże –
też zamaskowaliśmy i pozostawiliśmy –
Apacze, dlatego wysyłam ten list przez umyślnego –
Wysokość go otrzymał i odbiwszy swoje –
święty skarb ku chwale Świętego –
Całując stopy i ręce Waszej Wysokości –
poddany, brat Bartolomé de Aragon*

Chavez spojrział na nią przez grube okulary.

– Noro, zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Mamy przed sobą historyczne potwierdzenie faktu, że skarb z Góry Victoria naprawdę istnieje...

– Nie tylko. Są tu również wskazówki, gdzie go ukryto.

– I spójrz: Sierra Oscura. To łańcuch wzgórz na północ od Góry Victoria. Na północ! – Naukowiec głośno wypuścił powietrze. – Niesamowite. To znaczy, że Doc Noss oszukiwał i łgał, twierdząc, że znalazł skarb. „U stóp Es”.. Może tu chodzić o jakieś wzgórze czy punkt orientacyjny w Sierra Oscura, o istniejące wzgórze...

– Te wzgórza są na terenie Białych Piasków?

– Tak, ale na północnym krańcu poligonu, po pustynnej stronie gór, niedaleko miejsca, gdzie przeprowadzono test Trinity.

Niedaleko miejsca, gdzie przeprowadzono test Trinity.

– Słyszał pan o kopalni Reina de Oro?

– Nie. To pewnie jedna z wielu kopalni działających przed buntem Pueblo, ale wszystkie dokumenty historyczne zaginęły podczas walk. –

Chavez zdjął okulary i wytarł je chustką do nosa. – Nie zamierzałem ci tego mówić, przynajmniej na razie, ale ten pergamin wszystko zmienia.

– Czego nie zamierzał pan mówić?

– Chodzi o złoty krzyż, który znaleźliście przy zwłokach Jamesa Gowera. Początkowo sądziłem, że przesadzam w domysłach, ale teraz...

Włożył okulary.

– Najpierw małe wprowadzenie. Jak wiesz, w 1519 roku Hernán Cortés wylądował na wybrzeżach Meksyku i zajął Tenochtitlán, stolicę Azteków, największe miasto w Nowym Świecie. Aztekami rządził Montezuma, który miał w skarbcu niezmierzone ilości złota, srebra i innych precjozów. W 1521 roku Hiszpanie zburzyli Tenochtitlán i wszystko to zagrabili. Niemal całe złoto i srebro przetopili na sztaby i zawieźli statkami do Hiszpanii. Ale część złota przerobili na święte przedmioty, które zostały w Nowym Świecie.

Chavez zetknął palce czubkami. Jego głos nabrał głębszych tonów.

– Montezuma nosił duży, złoty naczótek ozdobiony podobizną boga Quetzalcoatla i wysadzany drogimi kamieniami, symbol boskiej władzy. Po jego śmierci Hiszpanie wyrwali z naczółka drogie kamienie, a złoto przetopili na krzyż. Był to wielce znaczący akt. Zrobili to z tego samego powodu, z jakiego budowali kościoły na ruinach azteckich świątyń i innych świętych miejsc: chcieli zastąpić pogańskie symbole chrześcijańskimi.

– I to ten krzyż miał przy sobie Gower?

– Tak myślę. – Chavezowi rozbłyły oczy. – Krzyż, który według naukowców i badaczy już dawno przepadł albo był jedynie legendą.

– Ale skąd pan wie, że to właśnie ten?

– Pamiętasz te dwa niemal całkowicie zatarte okrągłe znaki, nad którymi tak się głowiłem? Myślałem, że to stemple probiercze albo inicjały złotnika, ale myliłem się. To jest pismo nahuatl, azteckie glify: jeden to inicjały Montezumy, drugi to sylabiczny glif oznaczający Jezusa. Kiedy to odkryłem, zacząłem się zastanawiać, czy to możliwe, żeby nasz krzyż był tym od wieków zaginionym. Ten list to potwierdza. Uważano, że około

1600 roku przewieziono go do Nowego Meksyku, więc mógł być częścią hiszpańskiego skarbu. – Postukał palcem w ekran monitora. – Tego skarbu.

Ktoś zapukał cicho do drzwi i do laboratorium weszła sekretarka dyrektorki.

– Bardzo przepraszam, ale dzwoniła do pani ta agentka FBI. Usłyszałam telefon i odebrałam. Chce z panią rozmawiać.

– Dzwoniła do biura? – Nora wyjęła z kieszeni komórkę i okazało się, że podczas ich sesji na temat hiszpańskiego liternictwa padła bateria. – Dzięki. – Pogratulowała Chavezowi, obiecała mu butelkę Dom Pérignon, poszła do siebie i zadzwoniła do Corrie.

– Nora? Od rana dzwonię do ciebie i dzwonię!

– Posłuchaj, mam niesamowite nowiny. Znalazłam Nantana Tazę, tego starego Apacza. On żyje! Dał mi...

– Zaczekaj – przerwała jej ostro agentka.

– Co się stało?

– Telefon może być... Lepiej się spotkajmy. W jakimś bezpiecznym miejscu.

– Możesz wpaść do instytutu?

– Tak. Nie. Tam też nie jest bezpiecznie. Przyjedź do mnie do domu.

– Kiedy?

– O szóstej.

49

OSTRZEGAM PANA – powiedział Watts. On i Morwood stali na parkingu przed tawerną Cascabel, w świetle neonowego kaktusa mrugającego na tle wieczornego nieba. – Ci ludzie za nami nie przepadają.

– Już pan to mówił. – Morwood wyjął zdjęcie Riversa i niewyraźne, mocno zamazane zdjęcie mężczyzny w mundurze żandarma wojskowego, który go zabił. – Proszę. Nie będę się odzywał. Pan wygląda jak oni, a ja nie.

Szeryf uśmiechnął się szeroko.

– A mówiłem, żeby włożył pan kowbojski kapelusz i dżinsy.

– Po moim trupie – prychnął Morwood.

Na drugim końcu parkingu rozległ się głośny wrzask, a zaraz potem piskliwy krzyk jakiejś kobiety. Po chwili ukazało się tam dwóch mężczyzn. Oni okładali się pięściami, a ona kibicowała im, wesoło pokrzykując.

– Trochę na to za wcześnie, nie sądzi pan? – powiedział Morwood. – Dopiero szósta.

– Tu na nic nie jest za wcześnie. Ale wolę wejść tam teraz, niż czekać do północy.

Watts poprawił kapelusz i ruszył w stronę drzwi. Pchnął je i znaleźli się w barze przesyconym zapachem tanich perfum, rozlanego piwa i duszącym zapachem papierosowego dymu, chociaż w nowomeksykańskich tawernach nie wolno było palić już od piętnastu lat.

Szeryf rozejrzał się, lecz nie wypatrzył nikogo znajomego. Podeszli do lady i zamówił kawę, a Morwood wodę mineralną. Barman miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, dużą czarną brodę, kucyk i posturę żelaznego bojlera. Po jego minie było widać, że nie pochwała wyboru napojów.

Watts wyjął srebrną gwiazdę i położył ją na ladzie.

Barman zerknął na nią i podniósł wzrok.

– No i co?

– Chciałem spytać pana o kogoś, kto tu kiedyś bywał. O Picka Riversa.

Mężczyzna popatrzył na niego spokojnie, po czym spojrział na odznakę wiszącą na szyi Morwooda.

– Federalny?

– FBI.

Brodacz przyglądał im się kilka długich sekund, w końcu powiedział:

– Wyglądacie na w miarę rozgarniętych. Na waszym miejscu wypiłbym, co zamówiliście, i wyszedł. To nie jest miejsce dla was.

– Czy przedtem odpowie pan na kilka pytań?

– Nie, dziękuję.

– Nie ciekawi pana, dlaczego interesujemy się Riversem?

– Nieszczególnie. To dupek i gaduła.

– Nie powinniśmy mówić źle o zmarłych.

Barman zamilkł. Było widać, że chce spytać o szczegóły, lecz nie spytał.

– Rivers nie żyje – dodał Watts. – Został zamordowany.

To zaintrygowało brodacza jeszcze bardziej. Szeryf wyciągnął do niego rękę.

– Homer Watts.

Zaskoczony barman uściśnął mu dłoń.

– Bob Glen.

– Tak – powtórzył szeryf. – Riversa zamordowano. I to gdzie, w szpitalu.

Ktoś wstrzyknął mu do kroplówki truciznę.

Glen milczał.

Watts pokazał mu zdjęcie.

– Ten facet.

Brodacz zmrużył oczy.

– Gówniane zdjęcie. Nie widać twarzy.

– W tym problem. Panie Glen, nie przyszedłszy tu nikogo nagabywać ani gadać o polityce. Chcemy się tylko dowiedzieć, kto zabił Riversa. To

wszystko.

Glen nachylił się ku nim i zniżył głos.

– Jeśli odpowiem na parę pytań, to wyjdziecie? Mam dość kłopotów i nie chcę, żeby znowu rozwalili mi budę.

– Umowa stoi. Wie pan, że Rivers szabrował i sprzedawał antyki?

– Tak, czasem się chwalił, że coś tam wykopał, jakąś ruinę, garnek czy inny szmelc.

– Mówił, komu to sprzedaje? Albo z kim pracuje?

– Nie, chyba robił to sam. Był za bardzo porąbany, żeby mieć wspólnika. Ale po wyjściu z pierdła przestał tu zaglądać. Myślałem, że wyszedł na prostą...

– Fiu-fiu-fiu! – zakrzyknął czyjś pijany głos.

Watts odwrócił się i zobaczył, że tupiąc butami i pobrzękując ostrogami, zmierza ku nim trzech mężczyzn w pełnych kowbojskich strojach. Wszyscy trzej mieli gburowate, mocno zaczerwienione twarze, typowe dla klasy ludzi dużo pijących, i szeryf rozpoznał w nich braci Sturgisów. Mieli ranczo w Arabeli, a na ranczu kilka betonowych bunkrów, strzelnic, torów przeszkód, paneli słonecznych, zbiornik paliwa o pojemności trzydziestu ośmiu tysięcy litrów oraz arsenał wszelkiego rodzaju broni, bo szykowali się na koniec świata. Nie byli żadnymi kowbojami, tylko szajbniętymi prepersami, antyrządowcami na rządowym zasiłku, którzy nielegalnie zabudowali przyznane im przez rząd pastwisko. Za dzierżawę płacili tyle co nic, a krowy zapędzali do zagrody quadami i syrenami, bo nie mieli nawet koni.

– Czuję krew federalnego ścierwa. – Pijus podszedł do Morwooda, a jego bracia stanęli tuż obok stołka. Agent bez słowa otaksował ich wzrokiem.

W tawernie zapadła cisza. Część gości tylko zerkała w ich stronę, inni wstali, żeby lepiej widzieć.

– Hej, spokojnie – powiedział Watts. – Nie chcemy żadnych kłopotów, dobra? Szukamy zabójcy tego człowieka. – Pokazał im zdjęcie Riversa.

Sturgis wyrwał mu je z ręki i rzucił nim jak frisbee.

Morwood wstał. Bracia jak zawsze mieli broń i jak zawsze nosili ją na widoku. Wydawało się, że wszyscy w barze są uzbrojeni. Watts cieszył się, że zabrał swoje colty.

Agent zachowywał niezwykle wprost spokój jak na kogoś, kto dobiegał pięćdziesiątki, nie był w szczególnie dobrej formie fizycznej i stał właśnie naprzeciwko wielkiego jak goryl zabijaki.

– Naprawdę chce pan się w to bawić?

– Tak, naprawdę, i to bardzo.

Długo mierzyli się wzrokiem, a potem Sturgis wyciągnął rękę i zerwał mu odznakę z szyi.

– Za Ruby Ridge – powiedział i splunął na nią. – Pamiętamy.

W barze zapadła martwa cisza. Spięty Watts czekał z rękami przy kaburach rewolwerów. Nie miał pojęcia, co Morwood zrobi ani co może z tego wyniknąć.

Powoli, niemal flegmatycznie agent zdjął smycz i z opuszczonymi rękami, w pokojowej postawie, podszedł do Sturgisa jeszcze bliżej.

– Więc niech się pan bawi sam – powiedział. – My już wychodzimy. Dobrej zabawy życzę.

Wszyscy goście patrzyli na ich twarze i tylko szeryf zauważył, że mówiąc, Morwood spokojnie i zręcznie wyciera odznakę o wystającą ze spodni połą koszuli Sturgisa.

Potem odwrócił się i wraz z Wattsem ruszył do wyjścia. Buchnęły gwizdy i krzyki. W drzwiach agent przystanął, spojrzął przez ramię i żelaznym głosem dodał:

– Pamiętajcie też o Oklahoma City.

Przeszli przez parking, wsiedli do samochodu i szeryf odpalił silnik. Spojrzął na Morwooda dopiero na autostradzie. Agent miał obojętną twarz, zebraną, gładką i bez żadnych oznak tego, co przed chwilą zaszło.

– To wymagało dużej samokontroli.

– Owszem – przyznał Morwood.

– To była oczywista napaść.

– Jak najbardziej.

– Mogę spytać, co pan z tym zrobi? – Szeryf nie dodał, że na jego miejscu porachowałby sukinsynowi wszystkie kości, choć musiał przyznać, że zawiodłoby to ich na niezbadane wody.

– Powiem tylko, że na pana Sturgisa spadnie deszcz gówna, nie wiem tylko jeszcze, jak gęstego. Ale mamy na głowie ważniejsze rzeczy. Poza tym musiałem wyczyścić odznakę.

Skręcili na trzystaosiemdziesiątkę i pojechali na wschód. Kiedy pokonali przełęcz przecinającą góry Azul, w promieniach wiszącego tuż nad horyzontem słońca Watts dostrzegł malutką smużkę kurzu na południu. Wyteżył wzrok. Tam zaczynała się droga prowadząca do Wysokiej Samotni.

– Agencie Morwood?

– Tak?

– Czy wasi ludzie robią już coś w Wysokiej Samotni?

– Jeszcze nie.

– No to mamy problem.

50

NORA PRZYJECHAŁA DO CORRIE, kiedy nad Sandia Crest zachodziło słońce. Agentka czekała w drzwiach i zaprosiła ją do środka. Nora chciała jak najszybciej podzielić się z nią wiadomościami, ale Corrie przytknęła palec do ust i zaprowadziła ją do drugiego pokoju, w którym urządziła biuro ze stolikiem, komputerem oraz stertami teczek i papierów na podłodze. Papiery wysypywały się też z przepełnionego kosza na śmieci.

– Przepraszam za bałagan – powiedziała, przesuwając je i pobieżnie układając. – Byłam tak zajęta, że nie miałam czasu na nic innego. Nie uwierzysz, ile papierkowej roboty każą nam wykonywać w domu. A w biurze jeszcze więcej.

Przysunęła krzesło i postawiła je obok stołu, przed zamontowaną na trójnogu komórką, którą zamierzała nagrać jej zeznania.

– Siadaj. Będę robiła notatki i nagrywała.

– Zawsze chciałam być gwiazdą mediów społecznościowych – powiedziała Nora, żeby rozluźnić atmosferę.

Corrie nawet się nie uśmiechnęła.

– Ja usiądę tutaj i będę zadawała pytania. – Włączyła komórkę. – Dobrze. Opowiedz, jak znalazłaś Nantana Tazę i co odkryłaś. Wszystko, co powiesz, zostanie zarejestrowane i będzie wykorzystane jako dowód rzeczowy.

Od tej strony Nora jej nie znała. Zaczęła od konnej wyprawy z Nickiem Espejo, a potem opowiedziała, jak znalazła umierającego Tazę i dała mu „leki”

Corrie gwałtownie wyłączyła komórkę.

– Zaczekaj. Dałaś mu „leki”? Żartujesz, tak?

– Nie.

– Ale... – Corrie dosłownie zatkąło. – To jest dowód rzeczowy. Dowód! Wiedziałaś, że to jest dowód! Masz pojęcie, jaką walkę musiałam stoczyć, żeby pozwolili mi wynieść z biura te stare skóry?

Całe podekscytowanie przysło jak mydlana bańka i Nora wpadła w gniew.

– Tak się przypadkiem składa, że „te stare skóry” są czyjąś własnością. I musiałam mu je oddać, żeby dostać coś w zamian. Coś cennego.

– Tylko jak, do cholery, wytłumaczę to mojemu szefowi? – spytała Corrie podniesionym głosem. – Już i tak ma mnie na czarnej liście. Jeśli mu powiem, że sprezentowałaś komuś dowód rzeczowy, który osobiście zgłosiłam do rejestru, będzie to ostatni gwóźdź do trumny!

Nora też podniosła głos.

– Więc teraz zwalasz to na mnie? Nie prosiłam cię, żebyś przyjeżdżała na wykopaliska, opowiadała mi płaczkliwie, że coś tam zawaliłaś, i błagała, żebym przejechała pół stanu, żeby ci pomóc. Powinnam być mądrzejsza. To ja robię ci przysługę, a nie ty mnie.

– To niczego nie usprawiedliwia. Powierzyłam ci te „leki”, zaufałam ci. Myślałam, że będziesz przestrzegała prawa. Poza tym kiedy tylko zobaczyłaś tę przeklętą Samotnię, nie można było cię stamtąd wyciągnąć!

Nora nie wytrzymała i wyrzuciła z siebie całe sfrustrowanie i zirytowanie, które tłumiła w sobie dłużej, niż myślała.

– Wiesz co? Jesteś jak diler, który zwała na klienta winę za to, że ten wpadł w nałóg! Coś ci powiem: nie ty jedyna masz kłopoty w pracy. Pomagając ci, nie tylko zmarnowałam czas i kompletnie zawaliłam wszystkie możliwe terminy, ale też naraziłam się na ryzyko utraty ważnego awansu. Przez ciebie. – Wstała. – Nieważne. Więcej palcem nie kiwnę. Wychodzę.

– Zaczekaj...

– Idź do diabła!

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że masz przez to tyle problemów.

Nora przystanęła, ciężko oddychając.

– Powiedziałaś, że ten Indianin dał ci w zamian coś cennego...

– Tak.

– Może uda mi się wykorzystać to jako wymówkę i obie jakoś z tego wybrniemy.

Spuściwszy parę, Nora trochę się uspokoiła. Takie wybuchy były do niej niepodobne, to Corrie się w nich specjalizowała. Zażądać przeprosin? Nie, i tak by ich nie usłyszała. Poza tym ją też poniosło.

– Czasem dajemy coś w zamian za informacje – dodała Corrie. – Nie zawsze uważa się to za nierozsądne.

Nora odwróciła się i usiadła.

– Dobrze, jeśli jesteś gotowa, możemy kontynuować. – Agentka włączyła nagrywanie.

Nora wzięła głęboki oddech.

– Więc kiedy zwróciłam mu „leki”, poprosił, żebym podała mu drewniane pudełko. W środku były dwa przedmioty: ciężki, złoty zegarek z grawerunkami gwiazdnych konstelacji i kawałek pergaminu z indiańskim rysunkiem na jednej stronie i wyblakłymi hiszpańskimi inskrypcjami na drugiej.

– Kawałek pergaminu? – powtórzyła zaskoczona Corrie. – Przeciętego na pół?

– Tak. Skąd wiesz?

Corrie odpowiedziała kolejnym pytaniem.

– Co ci ten starzec powiedział?

– Że Jornada del Muerto i wszystkie okoliczne ziemie, w tym Białe Piaski, należały kiedyś do Apaczów i że setki lat temu jego przodkowie napotkali karawanę zakonników spieszących hiszpańskim szlakiem z żołnierzami i mułami. Zaatakowali ich, zepchnęli z drogi i Hiszpanie uciekli, szukając lepszego miejsca do obrony. Schronili się na szczycie małej góry. Apacze ich otoczyli, ale żołnierze trzymali Indian na dystans, co pozwoliło zakonnikom rozładować muły i ukryć ładunek. Bronili się jeszcze przez jakiś czas, ale nie mieli wody i w końcu Apacze wszystkich zabili. Następnego dnia schwytali na szlaku chłopca z karawany, posłańca

z listem, który uciekł podczas walk. Chłopiec twierdził, że list jest bardzo ważny, i miał go dostarczyć głównemu wodzowi Hiszpanii. Apacze zatrzymali list, nie bardzo wiedząc, co to jest, lecz domyślając się, że ma wielkie znaczenie dla Hiszpanów. Wiele lat później Indianin, który go przechowywał, narysował na nim święty rysunek przedstawiający bitwę, w której Geronimo pokonał swoich wrogów. Rysunek miał poskromić złą moc słów widniejących na drugiej stronie pergaminu.

Taza odziedziczył go po ojcu i został jego strażnikiem. Miał wtedy tylko siedemnaście lat i nie traktował tego obowiązku zbyt poważnie. Kierowany młodzieńczą ciekawością zainteresował się białymi i ich życiem. Nawiązał przyjaźń ze sporo starszym od niego Jamesem Gowerem i spędzali razem dużo czasu, szukając skarbów w górach i na pustyni, którą Taza dobrze znał. Stracił oboje rodziców i Gower zastępował mu ojca. Taza pokazał mu kiedyś pergamin i Gower natychmiast zrozumiał jego znaczenie.

– Potrafił przeczytać ten list? – spytała Corrie.

– Okazuje się, że język jako taki nie jest taki trudny do przetłumaczenia. Trudno jest odczytać samo pismo. Gower najwyraźniej znał stare litery, poza tym mówił płynnie po hiszpańsku. Nie miał żadnego wykształcenia, ale był bystry.

– Mów dalej.

– On i Taza postanowili zostać współnikami i znaleźć opisany w liście skarb. Żeby przypieczętować umowę, wymienili się najcenniejszymi rzeczami, jakie posiadali. Taza dał Gowerowi „leki”, a Gower Tazie złoty zegarek. Poza tym przecięli pergamin na pół i każdy zachował połowę jako symbol ich partnerstwa.

W głębi serca Taza wiedział, że nie powinni szukać skarbów: ziemia, w której kopali, była święta, a nad tym hiszpańskim skarbem ciążyła klątwa. Ale złoto bardzo kusiło. Rozbili obozowisko w Wysokiej Samotni, kupili muła i zaczęli szukać opisanego w liście miejsca. Przemierzali góry kilka tygodni, aż wydarzyło się coś przechodzącego ludzkie pojęcie.

Pewnego dnia postanowili się rozdzielić, żeby przeczesać więcej terenu. Taza wrócił wieczorem do obozowiska, ale Gowera tam nie było, bo wciąż przeszukiwał wzgórza na południe od Wysokiej Samotni. I wtedy, następnego dnia przed świtem, Taza zobaczył rozbłysk światła jaśniejszego niż słońce. Początkowo nie słyszał huk. Światło rozchodziło się z nieprawdopodobną wprost prędkością i miało kształt gigantycznego oka, które mieniąc się wszystkimi kolorami tęczy, wleciało w czarne niebo. Dopiero wtedy doszedł go huk. Był tak potężny i tak straszny, że Taza pomyślał, że to ryk samego diabła. Chwilę później powalił go na ziemię podmuch huraganowego wiatru. Kiedy z trudem wstał, zobaczył poprzetykany błyskawicami brudny grzyb, który siekąc deszczem i rozszerzając się na wszystkie strony, szybko urósł aż do nieba. A przez pustynię przetoczyło się echo grzmotu.

– Jezu... – szepnęła Corrie.

– Taza omal nie postradał zmysłów z przerażenia, mimo to nie chciał opuścić przyjaciela i postanowił na niego poczekać. O zachodzie słońca Gower wreszcie wrócił, ranny, zakrwawiony i poparzony. Skóra zwisała z niego jak przegniłe płótno, miał przekrwione oczy. I zachowywał się jak szaleniec. Muł też szalał w zagrodzie. Gower bełkotał coś o diable, złocie i Armagedonie i żył tylko pół godziny. Taza pochował go, zastrzelił muła i opuścił to nawiedzone przez zło miejsce, w panice i pośpiechu zapominając o „lekach”. Już nigdy tam nie wrócił i nikomu o tym nie opowiadał. Aż do teraz.

Nora umilkła. Emocje rozproszyły resztki gniewu i widziała, że jej opowieść podziałała tak samo na Corrie. I to Corrie przerwała ciszę.

– Pokażesz mi ten pergamin?

Nora wyjęła przezroczystą plastikową kopertę ze skórzanej teczki i położyła ją na stole.

Corrie patrzyła na nią przez chwilę, potem wyjęła z torby płaski pojemnik, a z pojemnika swój kawałek pergaminu. Położyła go obok pergaminu Nory. Krawędzie obu połówek idealnie do siebie pasowały.

– Boże, skąd to masz? – spytała z niedowierzaniem archeolożka.

- Znalazłam na farmie Jessego Gowera. W kurniku.
- Wiesz, co to jest?
- Nie. Miałam nadzieję, że ty mi powiesz.
- To są wskazówki – odparła Nora. – Wskazówki opisujące, jak dotrzeć do skarbu z Góry Victoria.

NORA PATRZYŁA NA LEŻĄCE obok siebie kawałki pergaminu.

– Mam tłumaczenie mojej połowy. Chavez je zrobił. Musimy przetłumaczyć twoją.

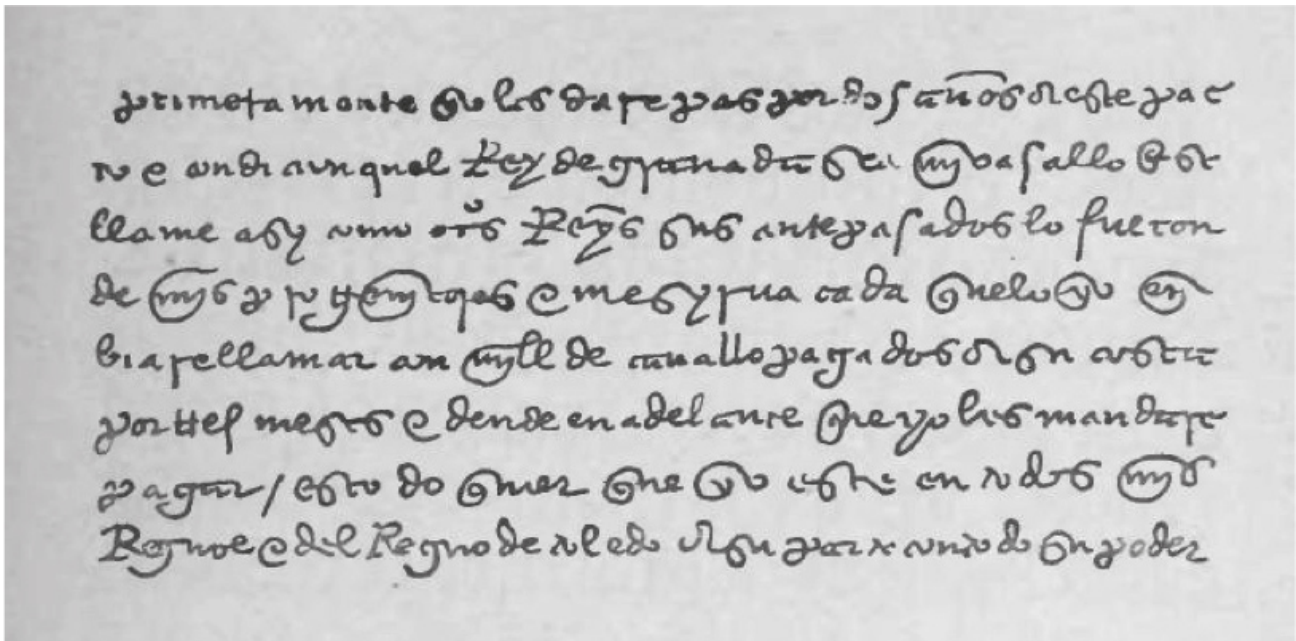
– Tylko jak? Nie dość, że wygląda jak pomieszanie z poplątaniem, to jeszcze litery są tak wyblakłe, że prawie ich nie widać.

– W instytucie Chavez sfotografował pergamin w ultrafiolecie, a potem cyfrowo powiększył kontrast. Może uda nam się zrobić to samo. Masz coś niebieskiego i przezroczystego?

– Mam coś lepszego: lampkę UV, nasz standardowy sprzęt. – Corrie pogrzebała w szufladach i wyjęła małą, czarną latarkę.

– Dobra, poświeć, a ja zrobię zdjęcie komórką.

Corrie pstryknęła włącznikiem i w nieco upiornej niebieskawej poświacie litery od razu nabrały wyraźniejszych kształtów. Nora zrobiła kilka zdjęć i przeniosła je do iMaca. Corrie załadowała zdjęcia do edytora obrazów, wybrała najlepsze i zaczęła nad nimi pracować. Zwiększyła kontrast, wyregulowała jasność i wkrótce inskrypcje stały się na tyle wyraźne, że można je było odczytać.



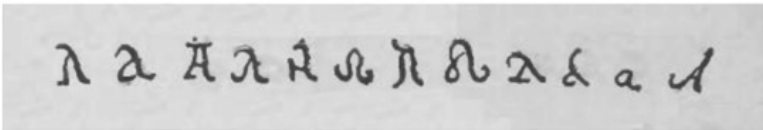
Zmrużyła oczy.

– To nawet nie wygląda jak litery.

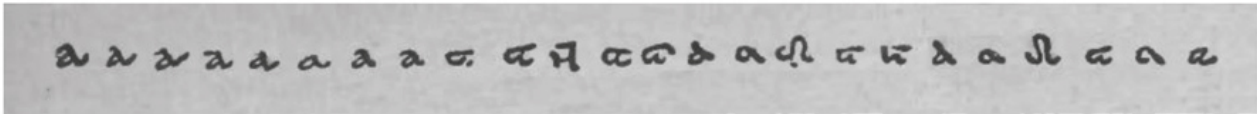
– Patrz i się ucz. – Nora weszła do internetu i znalazła tabele z kastylijską cortesaną. Pedanteria Chaveza na coś się jednak przydała. – Skorzystam z tego.

A

majuskuła



minuskuła



– Widzisz? To są wszystkie warianty litery „A”

– Super. Nie wiedziałam, że w internecie można znaleźć coś takiego.

– Trochę to potrwa.

Nora zabrała się do pracy, litera po literze porównując te z pergaminu z ich współczesnymi wariantami z tabel. Początkowo szło jej bardzo opornie, lecz po dziesięciu minutach zaczęła rozpoznawać je z pamięci, a po godzinie rozszyfrowała cały tekst.

– Już.

– Dasz radę to przetłumaczyć?

– Jasne. – Wzięła czystą kartkę papieru i zaczęła od pierwszej linijki. Pracowała powoli, zaglądając czasem do serwisu tłumaczeniowego Google'a.

- *Wysokości w wielkim pośpiechu ze*
- *bunt, zadając męczeńską śmierć*
- *brat Marcos, brat*
- *uratowali dużą część świętych*
- *kościółach i misjach.*
- *muły i konie, po czym uciekliśmy*
- *zostaliśmy napadnięci przez*
- *wschód, atakując tak zaciekle,*
- *Reina de Oro w zboczu góry*
- *Oscura. Południowe wejście do*
- *krzyża w kamieniu pięć kroków*
- *głazie leżącym bezpośrednio pod*
- *Północne wejście do kopalni*
- *nieoznakowane. Wciąż atakują nas*
- *modląc się, żeby Wasza*
- *północne włości, odzyskał ten*
- *Cesarstwa Rzymskiego.*
- *pokorny sługa i wierny,*

Dokończyła ostatnie zdanie i podsunęła kartkę Corrie.

– Gotowe.

– A pierwsza połowa?

– Mam tutaj. – Wyjęła tłumaczenie Chaveza, trzęsącymi się rękami położyła je na stole obok swojego przekładu i mogły teraz przeczytać całość.

S.C.C. Majestad:

20 sierpnia 1680. Piszę do Waszej Wysokości w wielkim pośpiechu ze szlaku Camino Real w Nowej Hiszpanii. 10 sierpnia Indianie Pueblo podnieśli bunt, zadając męczeńską śmierć wielu świętym ojcom.

Uprowadzeni o tymże buncie brat Marcos, brat Angelico, brat Bartolomé oraz nasi żołnierze uratowali dużą część świętych kosztowności zgromadzonych w katedrze, kościołach i misjach. Obarczyliśmy skarbami sześćdziesiąt dwa muły i konie, po czym uciekliśmy na południe. Na Camino Real, w pobliżu Seneca, zostaliśmy napadnięci przez dzikich Apaczów, którzy odepchnęli nas na wschód, atakując tak zaciekle, że musieliśmy ukryć skarb w starej kopalni Reina de Oro, w zboczu góry zwanej El Aguijón del Escorpión w Sierra Oscura. Południowe wejście do kopalni zamaskowaliśmy i wyryliśmy znak krzyża w kamieniu pięć kroków w prawo. U stóp Escorpión, na wielkim głazie leżącym bezpośrednio pod wejściem, wyryliśmy drugi znak, dwa krzyże. Północne wejście do kopalni też zamaskowaliśmy i pozostawiliśmy nieoznakowane. Wciąż atakują nas Apacze, dlatego wysyłam ten list przez umyślnego, modląc się, żeby Wasza Wysokość go otrzymał i odbiwszy swoje północne włości, odzyskał ten święty skarb ku chwale Świętego Cesarstwa Rzymskiego.

Całując stopy i ręce Waszej Wysokości, pokorny sługa i wierny poddany,

brat Bartolomé de Aragon.

W pokoju długo panowała cisza. W końcu podniosły wzrok.

– Niesamowite – wymamrotała Corrie.

– Tak. – Nora potrząsnęła głową, jakby chciała zbudzić się ze snu. – El Aguijón del Escorpión, Ogon Skorpiona. Gdzie to jest? Co to za góra?

Agentka pochyliła się nad klawiaturą komputera, włączyła Google Earth i na ekranie pojawiły się wkrótce wzgórza Sierra Oscura na północnym krańcu poligonu rakietowego, na południowy zachód od miejsca, gdzie przeprowadzono test Trinity. Przez czterdzieści kilometrów ich pasmo biegło z północy na południe, obejmując setki grzbietów, grani i płaskich wyniesień.

– Mnie pytasz? – rzuciła. – Gower i Taza szukali jej tygodniami.

– Ale nie dysponowali XXI-wieczną technologią. Dlaczego ta góra ma taką dziwną nazwę? Bo wygląda jak skorpion z podniesionym żądłem? Przychodzi ci coś do głowy?

Corrie wzruszyła ramionami. Powiększyła fragment mapy, północnego krańca Sierra Oscura znajdującego się najbliższej miejsca testu Trinity.

– Tak sobie myślę... – ciągnęła Nora. – Znalazłszy skarb, Gower wróciłby prosto do Wysokiej Samotni z krzyżem jako dowodem, że znalazł złoto. Wysoka Samotnia jest tutaj. Musiałby więc przechodzić jakieś dwa kilometry od punktu zero po jego jednej albo drugiej stronie, inaczej nie dosięgnąłby go podmuch wybuchu. Poprowadźmy dwie linie od Wysokiej Samotni do okolic punktu zero i zobaczymy, gdzie się przetną.

Za pomocą funkcji „Dodaj ścieżkę” narysowały dwie linie, które przecięły kilkanaście wzniesień, i pochyliły się nad ekranem.

– Rany boskie! – wykrzyknęła Nora. – Spójrz na to wzgórze. Widzisz? Corrie zrobiła zbliżenie. Kopiec Przedrzeźniacza, tak się nazywało.

– Ale co?

– Nie patrz na wzgórze, tylko na ten kanion.

Corrie pochyliła się jeszcze bardziej. Wrzynający się we wzgórze mały kanion miał kształt podniesionego ogona skorpiona z cebulkowatym żądłem na końcu.

– O w mordę...

– Żebyś wiedziała! – Podekscytowanej Norze serce waliło jak oszalałe. – To jest ta góra! To tam ukryto skarb! Nie na Górze Victoria, tylko tam!

* ... * ... *

Godzinę później siedziały z pustymi kieliszkami po winie, które wypity, żeby to oblać. Bezcenny pergamin, ostrożnie umieszczony w plastikowej kopercie na dowody rzeczowe, leżał już bezpiecznie w domowym sejfie. Corrie próbowała się dodzwonić do Morwooda, ale szef nie odbierał.

Nora wstała.

– Jadę do domu. Skip zrobił coś na kolację i się wścieknie, jeśli jedzenie wyschnie w piecyku.

– Dobra. – Corrie też wstała. – Spotkamy się jutro o ósmej rano u mnie w biurze. Pójdziemy do Morwooda razem.

– Nie mogę się już doczekać.

Corrie się uśmiechnęła.

– Padnie z wrażenia.

ZBLIŻYWSZY SIĘ DO GRZBIETU przełączy wiodącej do Wysokiej Samotni, Morwood zjechał na pobocze.

– Lepiej, żeby nie zobaczyli naszych świateł – powiedział. – Sprawdźmy, co się tam dzieje.

Watts wysiadł, włożył kapelusz i zapiął pas z rewolwerami. Morwood nie skomentował tego rytuału, choć w głębi ducha był nieco rozbawiony. Wyjął lornetkę ze schowka na mapy, weszli do sosnowego lasu i wspięli się na grań.

Poniżej, kilometr dalej, ich oczom ukazała się Wysoka Samotnia. I jakieś światła. Morwood spojrział przez lornetkę i zobaczył dwa pick-upy stojące pod kątem prostym do siebie. Ich reflektory oświetlały budynek, w którym znaleziono ciało Jamesa Gowera, oraz kilku mężczyzn rozbierających jego drewnianą ścianę. Dwóch innych, uzbrojonych, stało na straży.

– A to sukinsyny – wymamrotał szeryf.

Morwood policzył szabrowników: tych widocznych było w sumie pięciu.

– Trzeba wezwać wsparcie – zdecydował.

– Jak długo to zajmie?

– Całe godziny, ale jakie mamy wyjście? Chce pan zatrzymać ich sam? To samobójstwo.

Watts kiwnął głową.

– W takim razie wzywamy wsparcie.

Wrócili do samochodu. Morwood włączył radio, lecz okazało się, że są poza zasięgiem, a komórki też nie działają. Agent odpalił silnik.

– Możemy się tylko cofnąć i poszukać pola.

Szeryf ściągnął usta.

– Mogę coś zaproponować?

– Oczywiście.

– Podjedźmy trochę bliżej i zobaczymy, czy uda nam się ich zidentyfikować albo chociaż zanotować numery rejestracyjne tych wozów. Zanim wezwiemy wsparcie i wrócimy, może ich już tu nie być.

Morwood potarł czoło. Ryzykowny krok, ale chyba opłacalny. Cenną informacją byłby nawet numer rejestracyjny.

– Dobrze. Niezły pomysł.

Ruszyli. Agent nie włączył reflektorów, ale choć nie było księżyca, wystarczała mu bijąca z pustyni poświata. Pokonali grzbiet przełęczy i pojechali dalej, na hamulcu i na luzie, żeby tamci nie usłyszeli, jak zmieniają biegi. Dotarli na skraj porzuconego miasteczka i Morwood zaparkował za ceglana ścianą. Wyszli. Watts wyjął rewolwer i powoli przekręcił bębenek. Agent też sprawdził broń.

– Podejdziemy, zapiszemy numery i wracamy. Tak?

– Tak – potwierdził szeryf.

Wyszli ostrożnie z ukrycia. Miasteczko tonęło w ciemności, nie licząc świateł bijących na jego drugim końcu. Czujnie i powoli ruszyli w tamtą stronę.

Byli już mniej więcej w połowie drogi i właśnie wychodzili zza na wpół zburzonego muru, gdy nagle zapaliło się więcej świateł, które osaczyły ich ze wszystkich stron. Musiały gdzieś na nich czyhać, bo wyrosły jak spod ziemi. Trzasnęły zamki przeładowywanej broni.

– Spokojnie, panowie – powiedział czyjś głos. – Trzymajcie ręce na widoku. Celują w was trzy lufy, więc nie róbcie głupstw.

Morwood zamarł. Na swojej piersi i na piersi Wattsa zobaczył czerwone kropeczki celowników laserowych.

– Ręce z daleka od tych coltów, szeryfie!

– Tak jest – mruknął Watts.

Z ciemności między dwoma reflektorami wyszedł wysoki mężczyzna w kowbojskim kapeluszu i skórzanych ochraniaczach na nogi. Miał strzelbę

i rewolwer. W połowie ulicy przystanął, dokładnie między nimi i tym, co działo się na jej końcu. Morwood wyteńczył wzrok. Skądś go znał, choć nie rozpoznał jego głosu. Z mroku po jednej i drugiej stronie wychynęły sylwetki dwóch innych, z latarkami i wycelowanymi w nich strzelbami. I kiedy światło jednej z latarek musnęło twarz tego w kapeluszu, Morwooda nagle olśniło.

To był żandarm wojskowy ze szpitalnego monitoringu.

– Dobra, panowie – rzucił lakonicznie. – Szeryfie, pan pierwszy. Niech pan wyjmie colty. Po jednym i bardzo, bardzo powoli, dwoma palcami, jak mucha w smole. Potem niech pan wyciągnie przed siebie ręce i rzuci je na ziemię. Rozumiemy się, przyjacielu?

– Tak jest.

Watts powoli skrzyżował ręce, wyjął rewolwery z kabur, wyciągnął je przed siebie na długość ramienia i zawiesił na palcach wskazujących.

– A teraz niech pan je rzuci.

– Na ziemię i w lewo – wymamrotał szeryf kącikiem ust.

Morwood napiął mięśnie.

– Powiedziałem, rzuć je!

Watts upuścił rewolwery, lecz wykonawszy błyskawiczny ruch nadgarstkami, ułamek sekundy później chwycił je w powietrzu i, z łokciami przyciśniętymi do boków, wypalił w dwie strony naraz. Trafił obydwu, tego z lewej i tego z prawej. Mężczyzna w kapeluszu podniósł strzelbę, ale on rzucił się już w lewo i przetoczył po ziemi. Morwood wyjął pistolet i poszedł w jego ślady, strzelając do jedyne go stojącego jeszcze przeciwnika.

Niestety spudłował i oberwał w prawą rękę. Poczł się tak, jakby zgruchotał ją kij bejsbolowy. Upuścił glocka. Oszołomiony, z pokrytą kurzem twarzą, usłyszał donośne krzyki, a zaraz potem huk wystrzałów i nagle ktoś chwycił go za nogi i szybko wciągnął w ruiny małego domu. Znów padły strzały i w ceglana ścianę z głuchym stukotem uderzyły kule.

Ukucnął przy nim Watts, z jego pistoletem w ręku.

– Piękna sztuczka – wychrypiał Morwood.

– Jest pan ranny.

– Tak.

Szeryf oderwał pasek materiału z koszuli i przewiązał nim zakrwawioną rękę. Agent powoli dochodził do siebie i szok zaczął ustępować miejsca bólowi. Co w sumie nie było takie złe.

– Niech pan da mi pistolet. Mogę strzelać lewą.

– Bardzo się cieszę.

– Tylko że w nic nie trafię.

Znowu rozpętała się kanonada. Kule albo świstały im nad głowami, albo trafiały w ścianę i sądząc po ich rozrzucie, utknęły w krzyżowym ogniu. Po kilku sekundach ostrzał zmienił nagle kierunek i usłyszeli syk schodzącego z opon powietrza i skowyt klaksonu: tamci znaleźli ich samochód i go skasowali.

– Ilu ich jest? – spytał Morwood.

– Pięciu albo sześciu. Nie licząc tych, których zastrzeliłem.

Agent burknął coś pod nosem.

– Mam na pasie dwadzieścia cztery naboje, plus sześć w bębenkach.
A pan?

– Piętnaście. – Morwood wziął głęboki oddech, żeby zapomnieć o bólu.

– Trzeba ich zlokalizować, namierzyć ich kryjówki i sprawdzić, jakie mają pole ostrzału. Co znaczy, że musimy wystawić głowy.

– Fakt.

– Kilku ma strzelby.

– Tak, będzie ciężko.

W otaczające ich ściany znów uderzyło kilka kul.

– Zrobimy tak – ciągnął Morwood. – Wystawimy głowy, przygnieciemy ich ogniem i rozejrzemy się. Szybko, błyskawicznie.

– Dobra, rozumiem.

– Na trzy. – Kiedy Morwood policzył do trzech, strzelając na wszystkie strony, wystawili głowy i prawie natychmiast je opuścili.

– Nie wiem, co pan widział, ale na moje oko wszędzie mają dobrą osłonę i czyste pole ostrzału. Jesteśmy okrążeni, a oni podchodzą coraz

bliżej.

Agent znów tylko burknął coś pod nosem.

– Moim zdaniem mamy przesrane – dodał Watts.

Walcząc z bólem, Morwood zamknął oczy, po czym znów je otworzył.

– Moim też. – Głęboko odetchnął. Musiał się skupić.

– Może powinniśmy uścisnąć sobie ręce i miło się pożegnać, jak w westernach? – powiedział szeryf.

Agent wykrzywił z bólu twarz.

– Jeszcze nie.

SKARB I JEGO LOKALIZACJA STAŁY SIĘ nagle rzeczywistością i Corrie wiedziała, że nie zaśnie trzecią noc z rzędu. Oczywiście było też prawdopodobne, że już go nie ma, bo przed laty ktoś go znalazł, lecz w to wątpiła: istnienie tak wielkiego skarbu trudno byłoby utrzymać w tajemnicy, zwłaszcza na poligonie rakietowym. Sześćdziesiąt dwa muły. Według Nory każdy muł mógł przewieźć maksymalnie sześćdziesiąt osiem kilogramów ładunku, a sześćdziesiąt osiem razy sześćdziesiąt dwa to cztery tysiące dwieście szesnaście kilogramów, ponad cztery tony. Cztery tony to co prawda nie sześćdziesiąt ton z legendy, lecz sama wartość historyczna i artystyczna skarbu byłaby wprost niezmiernie duża. Jutro wszystko się skończy, pomyślała z satysfakcją. Natychmiast rozpoczną się oficjalne poszukiwania, złoto zostanie znalezione i zabezpieczone. A generał, jeśli maczał w tym palce, wpadnie po szyję w gówno.

Zadzwoniła komórka. Nora.

– Corrie?

– Hej, co się dzieje?

– Odkryłam coś, co... co wszystko zmienia. Musisz do mnie przyjechać.

– Ale co odkryłaś?

Nora miała spięty głos.

– Z telefonem jest coś nie tak, miałaś rację. Musimy porozmawiać osobiście. Przyjedź.

– Jest jedenasta. Nie możemy poczekać do rana?

– Proszę, przyjedź. I przywieź pergamin. Muszę kończyć.

I przerwała połączenie.

Corrie odłożyła komórkę. Dziwna rozmowa. Co Nora mogła odkryć? Sądząc po głosie, była bardzo zdenerwowana. Z drugiej strony jej głos też brzmiał pewnie inaczej, w tych okolicznościach to chyba normalne.

Otworzyła sejf i wyjęła kopertę z dwoma kawałkami pergaminu. Przypomniały jej się wykłady Morwooda, który wbijał jej do głowy, że noszenie broni powinno być jej drugą naturą, więc wyjęła też glocka z kaburą. Potem wsiadła do samochodu i pojechała do Nory.

* ... * ... *

Archeolożka mieszkała przy Galisteo Street, parę ulic na południe od Paseo de Peralta. Jej samochód stał na podjeździe. W mieszkaniu paliło się światło, zasłony były zaciągnięte. Corrie zaparkowała, z kopertą w ręku podeszła do drzwi i zapukała.

– Otwarte! – zawołała Nora.

Corrie weszła i natychmiast ktoś wykręcił jej rękę do tyłu. Szarpnęła się, próbowała krzyknąć i oberwała pięścią w skroń.

– Zabierz jej broń – rozkazał czyjś głos.

Wprawnie ją rozbrojono, odebrano jej torebkę i odznakę, skuto jej z tyłu ręce i oszołomioną wepchnięto do saloniku.

Tam zobaczyła przywiązaną do krzesła Norę. Na podłodze leżał jej brat. On też miał skute z tyłu ręce i zakrwawioną twarz. W pokoju było kilku żołnierzy, w tym porucznik Woodbridge i generał McGurk. Jeden z żołnierzy przytykał lufę M16 do głowy Skipa.

Generał bez słowa otworzył kopertę, wyjął obydwa kawałki pergaminu, spojrział na nie, włożył je z powrotem do koperty i podał swojej adiutantce.

– Powiedział, że zabije Skipa – wyszłochała Nora. – Przepraszam, celował w Skipa i...

Żołnierz uderzył ją w twarz.

– Zamknij mordę!

– Gdzie tłumaczenie? – spytał generał.

Jego spokój przeraził Corrie bardziej niż cokolwiek innego. Zrozumiała, że kazał założyć podsłuch nie tylko w jej telefonie, ale też w mieszkaniu. Dokładnie co wtedy powiedziały, a czego nie powiedziały? Kopiec

Przedrzeźniacza. Wymieniły tę nazwę? Za nic nie mogła sobie przypomnieć.

– Nie mam – odparła.

McGurk zmarszczył brwi.

– Ale wiecie, gdzie ukryto skarb.

Corrie milczała. Generał dał ręką znak i celujący w Skipa żołnierz dźgnął go lufą w głowę.

– Ostatnia szansa.

– Tak – powiedziała – wiemy. – Mimo okoliczności początkowa panika minęła, ustępując miejsca palącej jasności umysłu. Temu sukinsynowi nie ujdzie to na sucho. Nigdy. – Ale jeśli go zabijecie – dodała spokojnie – nic wam nie powiemy. Ani słowa. To jest stary hiszpański dokument i będziecie musieli przetłumaczyć go sami, a możecie mi wierzyć, że to niełatwe. Będziecie musieli zatrudnić ekspertów, a eksperci zarzucą was pytaniami. Poza tym nie znają pustyni tak dobrze jak Nora. Ale jeśli darujecie mu życie, powiemy wam, gdzie jest skarb.

– Powiecie? – powtórzył McGurk. – Nie, dziękuję. Wy nas tam zaprowadzicie.

Corrie przeszła go wzrokiem.

– A potem?

W pokoju długo panowała cisza.

– Wyrachowana z ciebie suczka – odparł w końcu generał. – Jeżeli pójdziecie na współpracę, nikogo nie zabijemy. Jeśli skarb tam rzeczywiście jest, nic wam nie będzie.

Bzdura, pomyślała Corrie.

– Pani porucznik – rozkazał McGurk – proszę wezwać transport.

Woodbridge przekazała rozkaz przez radio i przed dom zajechały wkrótce trzy jeepy. Wszyscy wsiedli i międzystanówką I-25 pojechali na południe, do Bazy Rezerwy Amerykańskiej Gwardii Narodowej, gdzie czekał już śmigłowiec. Troje zakładników zakneblowano, posadzono w fotelach i śmigłowiec wzbił się w aksamitne niebo.

SIEDZĄC W KUCKI POD ŚCIANĄ, Morwood starał się zapomnieć o bólu. Pasek materiału, którym Watts przewiązał ranę, zdążył już przesiąknąć krwią.

Szeryf trzymał napastników na dystans, co chwilę zmieniając pozycję i strzelając do nich w nieprzewidywalnych odstępach czasu. Chciał przygwoździć ich ogniem, żeby nie podeszli bliżej, ale ta strategia kosztowała dużo amunicji i nie mógł jej stosować bez końca.

W pewnym momencie wystrzały umilkły i odezwał się ktoś, kogo dobrze znał.

– Szeryfie? To ja, Charles Fountain.

– Wiem, ty zakłamany sukinsynu, wiem! – zawołał Watts.

– W tych okolicznościach trudno byłoby zaprzeczyć temu oczywistemu stwierdzeniu. Ale do rzeczy: macie poważne kłopoty. A ja mógłbym wam pomóc.

– Bzdura!

– Nie chcę, żeby pana zabili. Porozmawiajmy.

Szeryf już miał odpowiedzieć, ale Morwood dotknął jego ramienia i szepnął:

– Niech gada.

Watts zawahał się i skinął głową.

– No to rozmawiaj! – zawołał.

– Nie musicie umierać. Możemy ponegocjować.

– Ponegocjować?

– Tak. Proponuję udział w łupach. Szeryf hrabstwa bardzo by nam się przydał.

– W łupach? Mówisz o skarbie z Góry Victoria?

Fountain stłumił śmiech.

– Ze mną nie musi pan grać w te gierki. Skarby z bajek dla dzieci nas nie interesują. Szukamy czegoś konkretnego i prawdziwego. Czegoś bardzo autentycznego.

– Na przykład? Coś tam jest?

– O tak, coś olbrzymiej wartości! Nasze badania jednoznacznie to potwierdzają. Więc jak? Przyłączy się pan do nas?

– A co z moim partnerem?

– Agent FBI też nam się przyda.

Morwood bardzo w to wątpił. Tamci mogli liczyć na to, że uda im się przekupić szeryfa hrabstwa, ale nie agenta FBI. Wiedział, że zabiją go przy pierwszej lepszej okazji. Wattsa najpewniej też.

– I co z tego będę miał? – zawołał szeryf.

– Dużo więcej niż pana dziadowska pensja.

– Dobra, więc czego chcecie?

– Rzućcie broń i wyjdźcie z podniesionymi rękami. Dobrze was potraktujemy. Wkrótce znajdziemy to, czego szukamy, i dostaniecie sprawiedliwą działkę.

Czyli kulkę w łeb, pomyślał Morwood. Zerknął na Wattsa i po jego minie poznał, że on też nie dał się nabrać.

– No więc? – spytał Fountain. – Co wy na to?

– Muszę wiedzieć, czego konkretnie szukacie – odparł szeryf.

– Dość gadania. Daję wam sześćdziesiąt sekund na namysł, a potem zginiecie. Zaczynam odliczać.

Watts nachylił się ku Morwoodowi.

– Oni nas zabiją.

– Wiem.

– Trzydzieści sekund!

– Przychodzi mi do głowy tylko jedno – dodał agent. – Rzucić się na nich i wystrzelać, ilu się da.

– Jak Butch Cassidy?

– Dziesięć sekund!

Watts zaklął pod nosem, wychylił się zza ściany i wypalił w kierunku źródła głosu. Kiedy tylko znowu się schował, zewsząd huknęły wystrzały.

– Straciłeś okazję, Watts! – krzyknął Fountain. – Ty i twoja rodzina zawsze byliście nadętymi zarozumialcami! Słyszysz te wrony? Będą wydziobywały wasze oczy jak kandyzowane wisienki z tortu!

– No więc? – rzucił Morwood. – Jeśli przypuścimy szturm, dopadniemy przynajmniej jego.

Szeryf pokręcił głową.

– Niech pan pozwoli mi pomyśleć.

DUDNIŁY SILNIKI. Lecieli na południe, przez noc, i Nora widziała świetlisty łańcuch miast i miasteczek nad Rio Grande, wijącą się wstęgę światła na czarnej pustyni. Na wschód od Socorro – bo chyba było to Socorro – skręcili w kierunku bezkresnej płachty ciemności pokrywającej Białe Piaski. Za sterami siedziała Woodbridge, obok niej McGurk, a ich troje – z tyłu, na rozkładanych płóciennych siedzeniach, wraz z trzema uzbrojonymi żołnierzami.

Nora zerknęła na brata. Skip patrzył na nią zalęknionymi oczami. Miał złamany nos i czarny od zakrzepłej krwi przód koszuli. Natomiast Corrie zachowywała nienaturalnie obojętną twarz. Żołnierze byli czujni. Po ich błyszczących oczach i podekscytowanych twarzach było widać, że spodziewają się wysokiej nagrody. A porucznik Woodbridge budziła grozę swoją skutecznością i umiejętnościami.

McGurk dobrze ich wybrał, pomyślała archeolożka. Wszystkich. Tworzyli elitarną, starannie wyselekcjonowaną grupę ludzi w sam raz do tego niezwykłego, tajnego zadania.

Zostawiwszy za sobą Rio Grande, śmigłowiec leciał przez jakiś czas wzdłuż łańcucha Sierra Oscura. Kiedy skręcił i wzbił się wyżej, zobaczyła oświetlone lądowisko na pustyni. Maszyna zatoczyła krąg i zaczęła opadać na asfalt kilkudziesiąt metrów od dwóch dużych ciężarówek z pokrytą brezentem ładownią. Stojący na lądowisku żołnierz naprowadzał ją na odpowiedni kurs. Chwilę później wylądowali i silniki zmniejszyły moc. Generał wysiadł, a za nim żołnierze, którzy chwycili ich za kajdanki i wyciągnęli z maszyny poza strefę podmuchu wirników.

– Stańcie tam. – Popchnięto ich w stronę ciężarówek. – Jedno przy drugim.

Żołnierze cofnęli się, a generał zrobił krok do przodu. Dołączyła do niego Woodbridge.

– Rozkujcie ich i wyjmijcie kneble – rozkazał McGurk.

Zdjęto im kajdanki i zerwano taśmę z ust.

– Zdaje pan sobie sprawę, że... – zaczęła Corrie, ale Woodbridge natychmiast uciszyła ją uderzeniem w twarz.

– Będziecie się odzywać tylko wtedy, kiedy was o coś spytam – powiedział generał. – Pamiętajcie, że jesteśmy na środku największego poligonu wojskowego w USA. Ma powierzchnię ośmiu tysięcy dwustu osiemdziesięciu ośmiu kilometrów kwadratowych, jest niezamieszkały, zamknięty, obserwowany i patrolowany. A ja jestem jego dowódcą i mam do dyspozycji tysiąc podwładnych gotowych przybyć tu na każde moje skinienie. W ramach przygotowań do dzisiejszego wieczoru postawiłem w stan gotowości bezzałogowy samolot bojowy MQ-9 Reaper, dron RQ-7 i pluton wsparcia. Jak sami widzicie, pełna współpraca jest dla was jedynym wyjściem. Odmówicie i zostaniecie zneutralizowani. Zrozumiano?

Nora, Corrie i Skip milczeli.

– Kiedy zadaję pytanie, każde z was ma odpowiedzieć: „Tak, panie generale” albo „Nie, panie generale”. Inaczej poniesiecie konsekwencje. Zatem zrozumiano, doktor Kelly?

Nora zawahała się i Woodbridge uderzyła ją w twarz tak mocno, że archeolożka omal nie upadła.

– Tak, panie generale – odpowiedzieli chórem Corrie i Skip.

Nora nie mogła złapać tchu. Paliła ją twarz, do oczu napływały łzy.

– Tak, panie generale.

– Świetnie. Zaczniemy od nazwy góry, w której ukryto skarb. Słucham.

Odpowiedziała mu cisza.

– Zapytam jeszcze raz i jeśli natychmiast nie usłyszę właściwej odpowiedzi, porucznik Woodbridge wpakuje kulę w głowę temu tu osobnikowi. – McGurk wskazał na Skipa.

– Dobrze pan wie, że jeśli go zabijecie, nie będzie pan mógł nas szantażować.

– Słusznie. – McGurk dał znak i jeden z żołnierzy uderzył Skipa w splot słoneczny kolbą karabinu. Skip jęknął z bólu i upadł.

– Zaczekajcie – odezwała się Nora. – Corrie? – Spojrzała na agentkę. – Będziemy współpracować. – Przeniosła wzrok na generała. – Kopiec Przedrzeźniacza.

Corrie milczała.

McGurk tylko się uśmiechnął. Żołnierz pomógł Skipowi wstać. Skip wstał, głośno sapiąc i trzymając się za brzuch.

– Kopiec Przedrzeźniacza... – powtórzył generał z błyszczącymi oczami. – Takie małe, zupełnie nijakie wzgórze. Kto by pomyślał? Jedziemy.

Wepchnięto ich do przedłużonej kabiny ciężarówki, ryknęły silniki i pojechali labiryntem bitych dróg wijących się u podnóża gór. W pewnym momencie zбочyli ze szlaku i zaczęli się przebijać przez krzaki i wysoką trawę. Od czasu do czasu przystawali, żeby żołnierze mogli wysiąść i zorientować się w terenie. W końcu stanęli na dobre.

– Wysiadać – rozkazał generał.

Wysiedli. Ciężarówki stały nad brzegiem wyschniętego strumienia. Po drugiej stronie wznosiło się wzgórze, czarne na tle rozgwieżdżonego nieba. Było niskie – miało nie więcej niż trzydzieści metrów wysokości – i zwieńczone skalnym głazem.

McGurk podszedł do Nory.

– Co teraz?

– U stóp wzgórza – odparła archeolożka – po południowej stronie jest duży głaz z dwoma wyrytymi na nim krzyżami. Trzeba iść stamtąd prosto do góry, do kamienia, na którym wyryto jeden krzyż. Wejście... wejście jest pięć kroków w lewo.

Żołnierze zaczęli przeszukiwać podstawę wzgórza za pomocą silnych reflektorów. Leżało tam wiele głazów, lecz już po chwili jeden z żołnierzy krzyknął, że coś znalazł.

– Oni też idą. – Generał ruszył w tamtą stronę.

Corrie, Nora i Skip poszli za nim i w świetle kilku reflektorów Nora zobaczyła dwa małe krzyże wyryte w kanciastym bazaltowym głazie

i częściowo zasłonięte wysoką trawą.

– Szukajcie drugiego – rozkazał McGurk.

Żołnierze rozstawili się w tyralierę. Idąc, oglądali każdy większy kamień, ale zbocze było nimi usiane, a czas płynął. W końcu, gdy pokonali już mniej więcej dwie trzecie drogi na szczyt, któryś z nich krzyknął:

– Tutaj!

Zanim generał i jego zakładnicy dotarli na miejsce, żołnierze zdążyli już odliczyć pięć kroków w lewo i właśnie usuwali pierwsze kamienie z płytkiej niecki.

– Ty. – McGurk wskazał Skipa. – Pomóż im.

Skip pokuśtykał do nich i zaczął im pomagać, choć było widać, że wciąż bardzo cierpi.

Wkrótce odsłonięto zarys wejścia do kopalni. Nie było zbyt dobrze ukryte. Nora pomyślała, że siedemdziesiąt pięć lat temu Gower pewnie je znalazł i przed brzemieniem w skutkach powrotem do Wysokiej Samotni tylko pobieżnie zamaskował.

Po kolejnych dziesięciu minutach wejście – wrzynająca się we wzgórze wystrzępiona czarna dziura o półtorametrowej średnicy – zostało całkowicie odsłonięte.

– Wchodźcie – rzucił generał.

Woodbridge machnęła lufą karabinu i Corrie, Nora oraz Skip weszli do szybu. Przodem szło czterech żołnierzy, a pochód zamykali McGurk i jego adiutantka.

Nie wyjdziemy stąd żywi, pomyślała z dziwną obojętnością Nora. Oni nas nie wypuszczą. Zerknęła na Corrie, która wciąż miała taką samą, nienaturalnie apatyczną twarz. I ten biedny Skip... Serce pękało jej na myśl, co mu zrobili, jak go sterroryzowali. Miała tylko nadzieję, że koniec będzie szybki.

Tunel zaczął lekko opadać i musieli się pochylić. Pachniało kurzem i w wąskim korytarzu rozbrzmiewało głucho echo ich kroków.

Idący przodem żołnierze przystanęli.

– Panie generale?

Światło ich reflektorów padało na wyskrobany na ścianie napis.

J D Gower
15 lipca 1945

Krok dalej były prowizoryczne drzwi z powiązanych niewyprawioną skórą gałęzi. Lekko uchylone prowadziły do ciemnej groty.

MMORWOOD LEŻAŁ NA PLECACH i kręciło mu się w głowie. Watts wciąż trzymał tamtych na dystans, lecz z każdym jego strzałem agent krzywił się na myśl, że oto ubył im kolejny nabój. Mimo wysiłków szeryfa, kryjąc się za ruinami, ludzie Fountaina zdołali podejść bliżej i ich otoczyć. Czaili się teraz ledwie kilkanaście metrów od nich, jeden krótki skok przez otwarty teren, ale Watts był znakomitym strzelcem i tylko on powstrzymywał ich przed nieuchronnym ostatnim atakiem. Ściskając w ręku pistolet, Morwood postanowił, że jeśli spróbują zdobyć ich ścianę, zdejmie co najmniej jednego.

– Jak tam? – spytał szeryf.

– W westernach zawsze jest gorzej.

– Tylko że to nie western. Ale był kiedyś pewien gość, tutejszy szeryf, jeden z moich poprzedników. Nazywał się Elfego Baca i przez trzydzieści trzy godziny odpierał ataki czterdziestu kowbojów. Czterech zabił, a ośmiu ranił. Nakręcili o tym film.

– Musiał się zabarykadować w jakimś arsenale. Tu arsenału nie ma, oni tylko czekają, aż skończy nam się amunicja. Ile zostało panu naboii?

– Osiem, po cztery w bębenku.

– Mnie siedem.

Umilkli.

– A może... – powiedział po chwili Watts. – Może niech tak pomyślą?

– Ale co pomyślą?

– Że nie mamy już amunicji. Kiedy pociągnę za spust na pustej komorze, kurek spada na nią z charakterystycznym kliknięciem. Moglibyśmy ich oszukać.

Morwood powoli pokiwał głową.

– A po ostatnim wystrzale z glocka suwadło wyrzuca łuskę z innym odgłosem niż ten, który wydaje, wybierając z magazynka kolejny nabój i wpychając go do komory. Jeśli tamci znają się na broni, mogą go rozpoznać.

– Myślę, że znają się aż za dobrze.

Rozmowę znów przerwały im wystrzały.

– Warto spróbować – zdecydował szeryf.

Wysunął z coltów bębunki i z każdego wyjął trzy naboje. Potem włożył je z powrotem, ale w taki sposób, że między następnym i trzema ostatnimi pozostała pusta komora. Natomiast Morwood sprawdził, czy w komorze jest nabój, wyjął z pistoletu magazynek, opróżnił go, po czym znów wcisnął do rękojeści glocka.

Watts czekał, aż tamci przestaną strzelać, wychynął zza ściany i dwa razy pociągnął za spust. Padł strzał, tylko jeden, i kurek rewolweru opadł z trzaskiem na pustą komorę. Tamci natychmiast odpowiedzieli ogniem. Szeryf szybko ukucnął.

– Cholera! – Miał zakrwawiony policzek. – Te sukinsyny trafiły mnie w drugie ucho.

– Ale teraz jest pan przynajmniej symetryczny.

Watts zdjął obryzganą krwią kapelusz z odstrzelonym kawałkiem runda.

– Co gorsza, zniszczyli mi kapelusz.

– Moja kolej. – Agent poczołgał się wzdłuż ściany, czekał na chwilę ciszy, wystawił głowę i wystrzelił ostatni nabój. Potem szybko nabił magazynek i wepchnął go do rękojeści pistoletu. Nie wprowadził naboju do komory, bo mógłby ich zdradzić trzask zamka.

– Lepiej trochę zaczekajmy – szepnął Watts. – Myślą, że zostało nam tylko parę naboju, więc pewnie spróbują nas sprowokować.

– Przeprowadzą pozorowany atak, żebyśmy zaczęli strzelać.

Czekali w napięciu kilkanaście sekund, a potem szeryf usłyszał tupot nóg biegnącego człowieka.

Wystawił głowę, wycelował w napastnika, który pędził właśnie w kierunku innej osłony, i dwa razy pociągnął za spust. Padł strzał,

a potem głośno trzasnął kurek.

– A teraz ponegocjujemy – powiedział Morwood. – Myślą, że skończyła nam się amunicja i zechcemy z nimi gadać.

– Hej, Fountain! – zawołał Watts.

– Za późno, szeryfie! – odkrzyknął adwokat. – Straciliście szansę!

– Przestań, porozmawiajmy!

Cisza.

– Przemysleliśmy to, możemy wam pomóc!

– Kiedy wrony wydziobią wam oczy, w niczym nam nie pomożecie.

– Nie róbcie głupot! – zawołał Watts niemal błagalnym głosem. – Chcecie zabić szeryfa i agenta FBI? Dobrze wiesz, że policja zwali wam się na głowę jak tona cegieł.

– Mało prawdopodobne. Myślisz, że znajdą wasze szczątki na trzech tysiącach kilometrów kwadratowych gór i pustyni? *Adios*, przyjaciele. Może następny szeryf będzie choć trochę przyzwoitszy, bo ty jesteś tylko zasmarkanym pozerem, który lubi się chwalić swoimi coltami!

Udawana brawura ustąpiła miejsca prawdziwej i urażony Watts warknął:

– Mówisz? No to chodź tu! Zrobimy ci z dupy sito!

– Już to widzę.

Morwood usłyszał tupot nóg i trzasnął zamkiem glocka.

– Teraz! – syknął szeryf.

Wstali i otworzyli ogień, czym całkowicie zaskoczyli sześciu biegnących ku nim mężczyzn, którzy natychmiast rozpierzchli się na wszystkie strony, szukając osłony. Wszystkie wystrzelone przez Watta kule trafiły w cel, w tym w Fountaina, który zatoczywszy się do tyłu, runął zakrwawiony na ziemię i zniknął w mroku. Strzelając lewą ręką, Morwood był nie tyle niebezpieczny, ile hałaśliwy, ale rekompensowały to celne strzały szeryfa.

I nagle wszystko się skończyło. Obydwaj ukucnęli.

– Zdjęliśmy pięciu, ale widział pan tego Bellingame'a czy jak mu tam?

– Widziałem, uciekł. Chryste, było naprawdę ostro. – Agent wyjął magazynek i sprawdził, ile zostało mu naboju. – Zero.

– Ja mam jeden, dla Bellingame’a. Chodźmy go poszukać.

Morwood wyjrzał zza ściany. Reflektory dwóch pick-upów wciąż oświetlały większą część miasteczka. Rzucały długie cienie, w których można było łatwo się ukryć.

– Bez wsparcia nigdy go stamtąd nie wykurzymy.

– Rozstrzelali nasz wóz – dodał Watts. – Musimy wziąć któryś z tych, a założę się, że Bellingame tylko na to czeka. Jeszcze trochę postrzelamy.

Włożył rewolwer do kabury i czule poklepał drugi.

ŻOŁNIERZ PCHNAŁ DREWNIANE DRZWI. Zatrzeszczało spróchniałe drewno, puściły zawiasy i drzwi runęły na ziemię z głuchym łoskotem.

– Zaczekajcie – rzucił McGurk.

Żołnierze cofnęli się, a on minął ich z latarką, której światło przecięło tumany kurzu wznieconego wraz z ich wtargnięciem. Kiedy przestąpił nad drzwiami i poświecił wokoło, mroczną dotychczas grotę wypełnił oślepiający blask złota i drogich kamieni. Żołnierze z trudem stłumili okrzyk zachwytu. McGurk i Woodbridge weszli do komory. Wszyscy pozostali zamarli.

Generał zrobił kilka kroków w głąb podziemnego skarbcza. Jego twarz mieniła się złotawo w świetle odbitym od skrzących się stosów. To był fantastyczny widok: złote kielichy, krzyże, monstrancje, przetykane złotą nicią szaty, mitry, wysadzane drogimi kamieniami relikwiarze, a wszystko to rzucone pośpiesznie na ziemię. Wokoło stały przegniłe skrzynie i pękate skórzane worki, z których wysypywały się złote dublony oraz sztabki złota i srebra wielkości dłoni.

McGurk odwrócił się w końcu do wejścia. Zrobił to powoli, jakby budził się ze snu.

– Na co czekacie? – warknął. – Do roboty!

Żołnierze stanęli na baczność i też weszli do środka, popychając przed sobą Norę, Corrie i Skipa.

– Dajcie ich na tył, jak najdalej od wejścia – dodał generał. – I niech ktoś ich pilnuje. No? Ruszcie się! Trzeba to wszystko wynieść.

Jeden z żołnierzy zaprowadził ich na tył groty i został na straży. Nora ogarnęła wzrokiem nieprawdopodobne wprost bogactwa. Podziwiała je

z dziwną obojętnością, wiedząc, że nie będzie jej dane obejrzeć ich z bliska i zbadać.

McGurk i Woodbridge nie przestawali poganiać podwładnych. Trzech żołnierzy wyszło i szybko wróciło z akumulatorami, baterią silnych reflektorów oraz płóciennymi noszami. Przynieśli również małą, drewnianą skrzynkę z naniesionymi za pomocą szablonu wojskowymi napisami. Była to dobrze zaplanowana i dobrze przećwiczona operacja. Zamierzali opróżnić grootę tu i teraz.

Nora nie miała też wątpliwości, że ona, Corrie i Skip wkrótce zginą i że ich ciała pozostaną tu na zawsze. Ale coś nie dawało jej spokoju, jakiś uporczywy szept w najgłębszych zakamarkach umysłu. Nie pierwszy raz stawiała czoło śmierci, lecz nigdy śmierci wyrachowanej, niedającej szansy walki o życie. Spojrzała na drewnianą skrzynkę. Materiały wybuchowe? Pewnie tak. Prędzej czy później ich zabiją – raczej prędzej niż później – opróżnią grootę, a potem wysadzą kopalnię w powietrze i zaginie po nich wszelki ślad. Nie było nadziei ani na ucieczkę, ani na ratunek. Zerknęła w bok. Corrie wciąż miała dziwnie puste oczy. Skip stał z nisko pochyloną głową.

Reflektory szybko ustawiono i podłączono. Błyszczące stosy złota i srebra utonęły w nagłym świetle i wszyscy znów zachłystnęli się ich widokiem. Nora zerknęła za siebie. Z tyłu zostało dużo miejsca. Grota była tak wielka, że mimo jaskrawego światła jej koniec tonął w ciemności.

Znowu to samo, ten uporczywy szept.

I nagle przypomniał jej się fragment hiszpańskiego listu.

„Południowe wejście do kopalni zamaskowaliśmy i wryliśmy znak krzyża w kamieniu pięć kroków w prawo... Północne wejście do kopalni też zamaskowaliśmy i pozostawiliśmy nieoznakowane”.

„Północne wejście do kopalni”. Znów zerknęła na Corrie, Skipa i pilnującego ich strażnika. Żołnierz stał tyłem do nich i jego wzrok przykuwało błyszczące w świetle złoto. A McGurk ciągle poganiał podwładnych, żeby zaczęli wreszcie ładować je na nosze.

Przysunęła się bliżej Corrie.

– Pamiętasz ten list? – szepnęła. – „Północne wejście do kopalni”

Agentka spojrzała na nią apatycznie. Ale zaraz potem na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia. Ona też zerknęła na strażnika, lecz ten był wciąż zahipnotyzowany widokiem ładowanych na nosze skarbów. Do głowy mu nie przyszło, że gdzieś tam, za nimi, może być drugie wyjście.

Ani jemu, ani nikomu innemu.

Trąciła łokciem Skipa i zaczęła się powoli cofać w cień. Skip i Corrie poszli w jej ślady.

– Teraz! Chodu!

Odwrócili się najciszej, jak umieli, wślizgnęli w mrok i pobiegli. Kiedy otoczyła ich ciemność, Skip wyjął latarkę, na chwilę ją zapalił i w migotliwym świetle Nora zobaczyła tył groty, ślepa, skalną ścianę. Ogarnęła ją rozpacz, ale nie, dwa i pół metra wyżej dostrzegła mały otwór. Podbiegła tam i najpierw pomogła wdrapać się Corrie, a potem bratu. Ci chwycili ją za ręce i wciągnęli na górę. Skip znów zapalił latarkę i pochyleni pobiegli przed siebie niskim, kamiennym korytarzem. Nie było tam żadnych rozgałęzień i po kilku minutach wyrosła przed nimi spadzista sterta skał. Tunel był zablokowany.

Z tyłu niosło się echo krzyków, zniekształconych głosów. Huknęły wystrzały. Odkryto ich ucieczkę.

– Trzeba odwalić te kamienie!

Weszli na szczyt sterty i zaczęli spychać je na dół. Krzyki stawały się głośniejsze, były coraz bliżej.

Nagle Nora poczuła powiew chłodnego powietrza i nad skalnym rumowiskiem ukazała się gromada gwiazd. Zrzucili jeszcze kilka kamieni i szybko powiększyli otwór. Nora wyszła pierwsza i pomogła precyzyjnie się Corrie i bratu. Stanęli na stromym zboczu wzgórza.

Znowu huknęły wystrzały. Kilka kul trafiło w skały, kilka innych zrykoszetowało.

– Trzeba to zawalić!

Podnosząc z ziemi kamień – chciała wrzucić go do otworu – na wierzchołku wzgórza zauważyła dużo większy. Leżał trzy, cztery metry wyżej, dokładnie nad wyjściem. Corrie też go zauważyła.

– Zepchnijmy ten! – Szybko wspięła się na szczyt, stanęła za głazem i zaparła się nogami.

Nora i Skip dołączyli do niej i podczas gdy ona pchała, oni robili wszystko, żeby kamień nie stoczył się w złym kierunku. Wreszcie, po kilku próbach, głaz przekoziółkował z łoskotem po zboczu i utknął w otworze jak wielki czop.

Pod ziemią znów padły strzały, znów rozległy się krzyki.

– Biegiem! – rzuciła Nora i popędzili w dół zbocza. Nie było księżyca, ale gwiazdy świeciły tak jasno, że obyli się bez latarki. U stóp wzgórza przystanęli.

– Gdzie teraz? – spytała Corrie.

– W góry – odparł Skip. – Mają żołnierzy. Wyślą drony. Na pustyni wystrzelają nas jak kaczki.

Od czasu do czasu pstrykając włącznikiem latarki, pobiegł przodem, płytką niecką do prowadzącego w stronę gór wąwozu. Przed wejściem do wąwozu Nora zerknęła za siebie i zobaczyła światła tańczące u stóp wzgórza ze skarbem.

– Idą za nami.

– No jasne – mruknął Skip. – Jeśli uciekniemy i przeżyjemy, co im po tym złocie?

– Musimy ich zgubić, zrobić coś niespodziewanego. – Corrie się rozejrzała. – Na przykład... wspiąć się na to urwisko.

– Żartujesz? – zaprotestował Skip. – Nie widać nawet, gdzie się kończy.

Nora zadarła głowę. Urwisko było czarne jak noc, nie dostrzegła żadnych występów czy szczelin. Musieliby się wspinać po omacku, co graniczyło z szaleństwem, lecz nie mieli wyboru.

– Pójdę pierwsza – powiedziała i żeby się nie rozmyślić, położyła rękę na chropowatej skale. Wymacała jakąś szczelinę, potem drugą, znalazła oparcie dla stopy i podciągnęła się. – Chodź, Skip. Rób to, co ja.

– Odpada, nie idę. Wykluczone.

Nora podciągnęła się wyżej.

– Corrie ci pomoże.

– No właż! – rzuciła agentka niezbyt przyjaznym tonem.

– Chryste, dajcie mi chwilę, dobra?

Nora zerknęła w dół. Mamrocząc coś pod nosem, nisko pochylona Corrie pomagała Skipowi znaleźć oparcie dla stóp. Znalazła jedno, potem drugie i Skip podciągnął się wreszcie z głośnym stęknięciem.

– Tylko powoli – ostrzegła go Nora.

Podniosła głowę i kontynuowała wspinaczkę, co chwilę robiąc przerwę, żeby poczekać na brata. Wrażenie było upiorne. Całym ciałem przywierała do czarnej jak noc skalnej ściany, macała na oślep w poszukiwaniu bezpiecznego uchwytu, nie widziała nawet, jak wysokie jest urwisko i gdzie skończy się ten koszmar.

WATTS WZIAŁ GŁĘBOKI ODDECH, jakby rozkoszował się czystym, świeżym powietrzem. Morwood zdał sobie sprawę, że robi to samo, pewnie na wypadek, gdyby miał tak oddychać ostatni raz. Szeryf wypuścił powietrze, przeskoczył przez ścianę, za którą się ukrywali, i popędził do sąsiedniego budynku, chwytając po drodze pistolet jednego z zabitych napastników. Agent odczekał kilka sekund i pobiegł za nim, też podnosząc z ziemi czyjaś broń. Wyjrzeni zza rozpadających się drzwi. Nikt do nich nie strzelił. Na opustoszałej ulicy nie dostrzegli ani śladu Bellingame'a. Pick-upy stały tam, gdzie przedtem, wciąż pod kątem prostym do siebie.

– Trzeba uważać na te pick-upy – wysapał Morwood. – On na pewno uważa.

Szeryf sprawdził zdobyczny pistolet, berettę kalibru dziewięć milimetrów. Wyjął magazynek i zaklął.

– Jeden w magazynku, jeden w komorze.

Agent odrzucił bezużytecznego glocka i obejrzał rewolwer, który podniósł z ziemi, rugera .357 Mag. Otworzył bębenek.

– Cztery. Musimy podejść bliżej. Pan pierwszy. Będę pana osłaniał.

– Dzięki.

Watts wypadł zza drzwi i popędził przez ulicę do kamiennego murku. Huknął wystrzał. Morwood zobaczył rozbłysk z lufy i wypalił w tamtą stronę. Szeryf pokazał mu podniesiony kciuk i zajął pozycję. Czekał, aż agent do niego dołączy.

Ale Morwood postanowił pójść inną drogą. Przykucnął, przesunął się na drugą stronę i puścił się biegiem przed siebie. Tym razem huknęły dwa

wystrzały, ale zdążył dać nura za róg jakiegoś budynku, nie odnosząc przy tym kolejnej rany.

Złapał oddech i zapominając o bolącej ręce, ostrożnie wyjrzał na ulicę. Wiedział już mniej więcej, gdzie jest przeciwnik. Choć jedna ręka nie nadawała się do użytku, wciąż było dwóch na jednego i Bellingame miał małe szanse.

– Jesteśmy coraz bliżej! – zawołał szeryf. – Jest nas dwóch. Mamy nową broń i od groma amunicji. Albo się poddasz, albo cię zabijemy. Twój wybór.

Na ulicy długo panowała cisza. A potem odezwał się Bellingame.

– Albo ja zabiję was!

– Powiedz to swoim martwym kumplom. Wszystkim sześciu. A może siedmiu? Straciłem rachubę.

Bellingame roześmiał się cierpko.

– No to chodź tu, dupku!

– Pewnie uważasz się za świetnego strzelca, co?

Bellingame nie odpowiedział.

– Aha, widzę, że nie.

Morwood zastanawiał się, w co Watts gra, po co go prowokuje.

– Strzelam lepiej od ciebie!

– Dobra, w takim razie mam propozycję. Załatwmy to w starym, dobrym stylu, jak na Dzikim Zachodzie. Zobaczymy, który z nas szybciej wyciągnie broń z kabury.

– Jasne, i twój kumpel mnie zastrzeli. Dzięki, ale nie skorzystam.

– To człowiek honoru. Jeśli da słowo, nigdy go nie złamie. Zresztą i tak ma poharataną rękę.

Agent nie wierzył własnym uszom. Czy ten Watts zwariował? Już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale wtedy znów odezwał się Bellingame.

– W starym, dobrym stylu, powiadasz. A jeśli wygram?

– To ja będę trupem, a ty wsiądziesz do samochodu i odjedziesz. Ale nie wygrasz, bo umiesz się tylko chwalić.

– Dużo gadasz, szeryfie.

– To twoja jedyna szansa. Chyba że chcesz się poddać. Nasz rząd z radością zaproponuje ci dożywotni wikt i opierunek.

To było czyste szaleństwo. Co ten Watts sobie myślał? Morwood omal nie odgryzł sobie języka.

– Dobra – powiedział Bellingame. – Pod warunkiem że twój kumpel da słowo honoru. Broń do kabury i wychodzimy na ulicę. Liczę do trzech i strzelamy.

– Agencie Morwood! – zawołał szeryf. – Zgadza się pan? Da pan słowo honoru?

Morwood nie odpowiedział od razu. Tak, to było szaleństwo, to była czysta głupota, ale gdyby się nie zgodził, znów czekałaby ich strzelanina, w dodatku Bóg wie, z jakim rezultatem. Watts musiał mieć coś w rękawie, dlatego zamiast zaprotestować, agent postanowił zaryzykować.

– Daję słowo! – krzyknął.

– Słyszałeś, Bellingame? Wychodź!

Morwood wysunął głowę zza rogu i zobaczył, jak Bellingame wychodzi zza muru. W kaburze miał pistolet, colta 1911, a na jego nogach łopotały skórzane ochraniacze. Na drugim końcu ulicy pojawił się Watts. Kowbojski kapelusz, kabury Slim Jim, dwa sześciostrzałowe kowbojskie colty ze skierowanymi do przodu uchwyty – Chryste, jakby cofnęli się w czasie! Stali pięćdziesiąt metrów od siebie, a jak na rewolwer to olbrzymia odległość, nawet gdyby zdążyli porządnie wycelować. Tymczasem oni zamierzali strzelać z biodra, a szeryfowi został tylko jeden nabój.

– Gotowy?! – zawołał Watts.

Bellingame kiwnął głową.

– Na trzy. Raz. Dwa. Trzy!

Dobył broni, wypalił i w tym samym momencie szeryf, niczym atletycznie zbudowany baletmistrz, wykonał lekki półobrót. Strzał chybił.

– Kurwa mać...

Bellingame uniósł lufę, chcąc wystrzelić jeszcze raz, ale Watts z nieprawdopodobną wprost szybkością wyciągnął z kabury rewolwer, błyskawicznym uderzeniem dłoni napiął kurek i Bellingame nagle urwał z kulą w ustach. Wydał zduszony okrzyk, zacisnął zęby, zarzęził, zatoczył się do tyłu, upadł na plecy i znieruchomiał.

Zaszokowany Morwood przeciął ulicę i podszedł bliżej. Bellingame miał szeroko otwarte, zaskoczone oczy. Na ziemi zbierała się krew.

– Cholera. – Szeryf schował rewolwer do kabury. – Kiepski strzał.

– Kiepski strzał? – wykrzyknął agent. Nigdy w życiu nie widział lepszego.

– Dwa i pół centymetra za niski. Celowałem w grzbiet nosa.

– Ćwiczył pan to?

– Całe życie.

– Te strzały w dwie strony też?

– Odkąd skończyłem pięć lat. Chciałem być najszybszym strzelcem na Zachodzie. Ćwiczyłem wszystkie westernowe sztuczki, chociaż już dawno przeszły do historii. – Watts zrobił pauzę. – Ale miło jest wypróbować je na prawdziwym przeciwniku.

I kiedy spojrzeli w stronę pick-upów, Morwood zobaczył, że szeryf uśmiecha się do siebie.

JEDNA RĘKA, DRUGA, LEWA NOGA, prawa i zaczekać – Nora szybko złapała rytm. Zbocze urwiska stopniowo złagodniało i w końcu wdrapała się na jego brzeg. Tuż za nią wczołgał się Skip, który opadł bezwładnie na plecy i wysapał:

– Jasna cholera...

– Dokąd teraz? – spytała Corrie. – Nie możemy uciekać bez żadnego celu.

– Najbliższe zamieszkane miasto to chyba San Antonio – odparła Nora. – Co najmniej sześćdziesiąt kilometrów stąd.

Skip wstał.

– Dobra, pogadamy po drodze.

Pobiegli brzegiem urwiska. Wąwóz skręcał na północ, w głąb gór, które piętrzyły się nad nimi niczym zęby wielkiej, czarnej piły.

– McGurk rzuci przeciwko nam wszystko, co ma – powiedziała Corrie. – Nie ukryjemy się przed nimi nawet w górach. Musimy mieć jakiś plan.

– Pełna zgoda – wydyszał Skip. – Ale jaki?

Nikt mu nie odpowiedział. Możemy tylko iść, pomyślała Nora, nic więcej. Do San Antonio? Sześćdziesiąt kilometrów? Absurd. Musieliby przejść piechotą przez Jornada del Muerto, jedną z najgroźniejszych pustyń w kraju. Nawet gdyby nie ścigały ich drony, nie przetrwaliby bez wody. Ale gdzie indziej mogliby pójść?

Szli najszybciej, jak mogli iść po ciemku. Minął kwadrans i Nora znów spojrzała za siebie.

– Widzicie te światła?

– Zejdźmy do następnej doliny – zaproponował Skip.

Skręcili na spadziste zbocze i zeszli na dół, ostrożnie stąpając po ciemnym rumowisku. Dnem doliny musiał płynąć kiedyś strumień,

bo było pokryte piaskiem i porośnięte kolczastymi krzakami. Poszli jego brzegiem.

– Jesteśmy niedaleko domu starego Gowera – stwierdziła Nora.

– Może się tam ukryjemy? – spytała Corrie. – Nie, to zbyt oczywiste.

Archeolożka zerknęła za siebie. Światła błyskały kilkaset metrów za nimi.

– Nie uciekniemy im.

– Musimy iść dalej – powiedział Skip. – I ich zgubić. Jeśli nie damy rady, będzie po nas.

Wąska dolina rozszerzyła się i przeszła w małą polanę upstrzoną pagórkami i stosami skał. Za nimi znowu błysnęły światła i usłyszeli świst kuli, a zaraz potem trzask wystrzału. Rzucili się na trawę. Padło więcej strzałów i wokół nich znów zaświstały kule.

– Te sukinsyny mają noktowizory. – Corrie wstała i nisko pochylona pobiegła dalej. Nora i Skip popędzili za nią.

Żołnierze nie przestawali strzelać, lecz odległość była zbyt duża i pudłowali. Chwilę później cała trójka skryła się za wzgórzem, z trudem chwytając oddech.

Nora podniosła głowę. Bez zanieczyszczenia świetlnego i księżycy niebo było usiane gwiazdami. Ze zbocza wzgórza sięgała wzrokiem daleko poza pustynię Jornada del Muerto, wielką, zupełnie czarną plamę... z malutkim skupiskiem światełek u podnóża górskiego masywu.

– Hej, widzicie to? – Wskazała ręką. – Te światełka?

– To chyba jakiś posterunek czy coś – odparł Skip.

– Posterunek? Tutaj? Na końcu Sierra Oscura? To musi być Abajo Peak.

Na tym odludziu...

Corrie drgnęła.

– Co powiedziałaś?

Skonsternowana archeolożka zmarszczyła brwi.

– Hmm?

– Wymieniłaś kilka nazw. Powtórz je. Szybko.

– Sierra Oscura, Abajo Peak...

– Tak, Abajo Peak. Opowiadałam ci o tym poruczniku marynarki wojennej, którego poznałam w barze. Pamiętasz?

– Tak.

– Mówił, że pracuje w małej radiostacji w północnej części poligonu, na zachód od Abajo Peak.

Nora popatrzyła na ciemne góry.

– Skoro tak, to musi być to.

– Radiostacja marynarki wojennej? – zdziwił się Skip. – Na pustyni?

– Utrzymują łączność z atomowymi okrętami podwodnymi. Jak on ją nazywał? Stacja długofalowa VLF, tak. Fale radiowe o bardzo niskiej częstotliwości przenikają ziemię i wodę, mogą dotrzeć nawet na drugi koniec świata.

– Jeju – mruknął Skip. – Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

– Dobrze, więc pójdziemy do radiostacji. – Corrie wstała.

– I co nam to da? – spytała Nora. – Chcesz się im poddać?

– To jest marynarka wojenna. Dzierżawią ten teren od wojskowych i kiepsko się z nimi dogadują. Jeśli uda nam się tam dojść, powiemy im o McGurku.

Nora pokręciła głową.

– Marne szanse. Myślisz, że nam uwierzą? Akurat nam, a nie dowódcy tego pieprzonego poligonu?

– Masz lepszy pomysł?

– Posłuchajcie – przerwał im Skip. – Nie mamy wyboru. Musimy tam pójść i spróbować im wytłumaczyć, co się dzieje. Zaryzykować. Lepsze to niż dron, który zrobi z nas mokrą plamę na piasku.

– Też tak uważam – poparła go Corrie.

Archeolożka wzruszyła ramionami, lecz w głębi serca musiała przyznać, że Skip ma rację, pod warunkiem że uda im się tam dotrzeć.

– Chodźmy. Tędy. – Corrie pobiegła przodem w kierunku wrzynających się w góry wąwozów i po chwili znaleźli się na gładzowisku pełnym żlebów i osadów aluwialnych, które ich spowolniły, lecz zapewniły lepszą osłonę. Ścigające ich światła zniknęły.

Starali się iść na północ, choć okrężną drogą. Szli i szli, i nagle Skip przystanął.

– Słyszycie?

Z południowej części nieba dochodziło ciche bzyczenie, coś jak odległy warkot silnika kosiarki do trawy, może nawet kilku.

– Drony.

Rozejrzeli się, lecz nie było tam żadnej kryjówki, nic, tylko krzaki i wielkie głazy. Bzyczenie przybrało na sile.

– Lecą nisko – dodał Skip. – Zobaczą nas.

Po chwili ukazało się kilka czarnych sylwetek sunących powoli po nocnym niebie. Leciały bez świateł i widać je było tylko na tle gwiazd. Na sam ich widok Norze zaschło w ustach.

– Za kamienie! – krzyknął Skip.

Przywarli do głazów. Drony przeleciały kilkadziesiąt metrów nad nimi. Wydawało się, że polecą dalej, lecz po chwili warkot silników uległ zmianie i zawróciły.

– Zauważyli nas. Szybko!

Pobiegli przez głazowisko, skręcając to w jedną, to w drugą stronę. Coś błysnęło i usłyszeli głęboki świst.

– Na ziemię! – wrzasnął Skip.

Nora rzuciła się za wielki głaz i przywarła do jego podstawy. Zobaczyła potężny rozbłysk, usłyszała huk i od gwałtownego wzrostu ciśnienia omal nie pękły jej bębunki. W skały uderzył grad odłamków.

– Dalej, biegiem!

Prawie na oślep pobiegli przez ciemne rumowisko. Drony zniknęły za wzgórzami, lecz po warkocie ich silników można było poznać, że znowu zawracają.

Wypadli na otwartą przestrzeń i w rozciągającej się pod nimi mrocznej dolinie zobaczyli nagle ranczo Gowera.

– Cholera – wysapała Corrie. – Będzie nas widać jak na patelni.

– Gorące źródło! – zawołał Skip. – Noro? Mówiłaś, że jest tam gorące źródło, tak?

Archeolożka spojrzała w stronę wysokich topól rosnących na wzgórzu za ranczem. McGurk twierdził, że źródło jest gdzieś tam. Drony robiły kolejny nawrót, leciały nisko i powoli. Chciała coś powiedzieć, lecz nie zdążyła, bo Skip i Corrie zbiegali już do doliny. Wpadli między topole i rzeczywiście, ze skał ciurkała gorąca woda, niewielki strumyk o brzegach pokrytych warstwą trawertynu. Wpływał do obłożonej kamieniami sztucznej sadzawki, nad którą falowały smugi gęstej pary.

– Wskakujcie!

– Gdzie? – nie zrozumiała Nora, ale brat zaklął, złapał ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Po szyję!

Zanurzyła się i parująca woda objęła ją gorącym uściskiem. Kąśliwie bzyząc, drony przeleciały nad ich głowami i poszybowały dalej.

– Jeszcze nie! – syknął Skip.

Drony zawróciły, tym razem tyralierą, i znów przeleciały nad nimi, poszerzając obszar poszukiwań.

– Kamery termowizyjne nie zobaczą nas w tym ukropie.

Drony skrzyły powoli na zachód i warkot silników wkrótce ucichł.

– Zgubiły nas – powiedział Skip. – Chodźmy. Zyskaliśmy trochę czasu.

Wyszli z sadzawki i parując na chłodnym, jesiennym powietrzu, skomplikowanym labiryntem wyschniętych strumieni potruchołali na północ. Aby dotrzeć na ranczo, musieli wykonać ostry skręt i wyglądało na to, że żołnierze też ich zgubili.

Wdrapali się na kolejne wzniesienie i zsunęli na dół po drugiej stronie, gdzie Nora mocno skaleczyła rękę.

Wpadli do biegnącego u stóp wzgórza wąwozu, który wkrótce przeszedł w płataninę stromych kanionów pełnych głazów i rozgałęzień. Przodem biegła teraz Corrie, z każdym skrętem wybierając trudną trasę, ale zawsze podążając za Gwiazdą Polarną. Ciemność, wielkie głazy, powalone drzewa, krzaki, skalne osuwiska – to był prawdziwy koszmar, jeden z najtrudniejszych terenów, jakie Nora widziała, momentami wprost nie do przejścia. Ale wiedziała, że to, co jest trudne dla nich, będzie trudne

także dla ich prześladowców, a nie wyobrażała sobie lepszego miejsca na zgubienie pościgu.

* ... * ... *

Godzinę później, podrapana, wyczerpana i zakrwawiona Corrie wreszcie się zatrzymała. Nora leciała z nóg, miała mdłości. W ruchu utrzymywała ich jedynie adrenalina.

– Chyba ich zgubiliśmy – wysapał Skip. – Tym razem naprawdę.

– Lepiej na to nie licz – powiedziała Corrie.

– Powinniśmy być na wschód od radiostacji – odezwała się Nora. – Musimy skręcić na zachód, wyjść z gór i pobiec tam z nadzieją, że nie odetną nas drony albo ludzie generała. – Zdawała sobie sprawę, że ani ona, ani Corrie i Skip nie mają siły na dalsze uniki w tak trudnym terenie.

– Pewnie już wiedzą, że idziemy w tym kierunku – powiedziała agentka. Skip pokręcił głową.

– Nie mamy innego wyjścia. Dosłownie.

Po krótkim, bo ledwie dwuminutowym odpoczynku skręcili w wąski jar porośnięty jałowcami. Przebijali się przez nie pół godziny, a potem, gdy sieć niekończących się suchych strumieni i żlebów przeszła w trawiaste pogórze, zobaczyli światła radiostacji na płaskiej równinie. Świeciły kilkaset metrów dalej.

– Cisza i spokój – szepnął Skip.

Musieli wyjść z ukrycia. Pustynia była w tym miejscu płaska i nijaka, z rzadka porośnięta krzakami, kępami trawy i niskimi, kolczastymi kaktusami.

– Już nie mam siły – powiedziała Corrie.

– Musisz – rzucił Skip.

Znowu puścili się biegiem, który szybko przeszedł w bezładny trucht. Norę paliły płuca, powróciły mdłości.

I wtedy znów usłyszeli odległe bzyczenie kosiarek do trawy.

– Nie zwalnijcie! – ponaglał Skip. – W pobliżu radiostacji nie będą strzelać!

Nora była tak wyczerpana, że nie mogła myśleć. Szli teraz po twardym żwirze, potykając się o niskie krzaki. Bzyczenie przybrało na sile i nad ich głowami, niczym torpedy, przemknęły dwa duże, czarne cienie. Ale tylko przemknęły, nie otworzyły ognia.

Po chwili zawróciły. Radiostacja – kompleks brzydkich, przysadzistych betonowych budynków i wież telekomunikacyjnych – była tuż-tuż. Z boku, na sporym terenie, ciągnęła się sieć drutów rozpiętych na niskich słupach, coś w rodzaju gigantycznej anteny.

Drony zatoczyły ciasny łuk i mimo głośnego łomotu serca i swego chrapliwego oddechu Nora usłyszała charakterystyczne dudnienie silników. Zza gór wyleciał jasno oświetlony śmigłowiec, a kilkaset metrów dalej pojawiły się podskakujące światła latarek ścigających ich żołnierzy. Zmierzały w ich kierunku.

W końcu dotarli do ogrodzenia otaczającego wielką antenę i pobiegli wzdłuż niego w stronę budynków. Śmigłowiec był coraz bliżej. Nora nie miała wątpliwości, że na pokładzie są McGurk i jego adiutantka.

Skończył im się czas.

Dotruchtali do najbliższego budynku. W małym oknie paliło się światło i zobaczyli trzech czy czterech mężczyzn siedzących przy stole. Zawahali się. Śmigłowiec podchodził już do lądowania.

I wtedy Skip podniósł z ziemi ciężki kamień i roztrzaskał nim okno.

– Co ty wyczyniasz?! – krzyknęła Corrie.

– A jak myślisz? Ratuję nam dupę!

Nie było czasu na dalszą rozmowę. Otworzyły się drzwi i z budynku wypadło kilku uzbrojonych marynarzy. Skip podniósł ręce do góry.

– Nie strzelajcie! Nie mamy broni!

– Na ziemię! Twarzą w dół! Ręce za głowę!

Padli na ziemię, a marynarze natychmiast ich otoczyli. Nadbiegł ich dowódca.

– Co tu się dzieje? Co to za ludzie?

– Intruzi, panie komendancie.

– Boże drogi, tutaj? – Dowódca spojrzał na leżących. – Kim jesteście?

– Agentka specjalna Corinne Swanson, Federalne Biuro Śledcze – odparła Corrie.

– Co takiego? FBI? Proszę okazać dokumenty.

– Nie mam.

– Wybili kamieniem szybę – powiedział któryś z marynarzy.

– O Chryste – jęknął komendant. – Tutaj też przychodzą protestować przeciwko broni atomowej? Na pustynię? Obszukać ich.

Cała trójka została szybko obszukana i postawiona na nogi.

– Jesteście aresztowani – oznajmił dowódca. – Gdzie jest starszy mat? Skuj ich.

– Rozkaz!

Mat wykręcił im ręce do tyłu i założył kajdanki. Śmigłowiec siadał już na lądowisku, wzniecając tumany kurzu.

– Generał McGurk do pana. – Jeden z marynarzy podał dowódcy radiotelefon. Ten słuchał przez chwilę, powiedział kilka słów i oddał mu aparat.

– Wprowadźcie ich do środka. Zaczekamy na generała.

ZAPROWADZONO ICH DO MAŁEGO, bunkrowatego pomieszczenia, gdzie marynarze grali przedtem w karty. Kilka minut później usłyszeli szczekliwy głos McGurka i drzwi znowu się otworzyły. Wszedł generał, a za nim dwunastu żołnierzy oraz porucznik Woodbridge, jak zwykle chłodna i opanowana.

– To są szpiegzy, o których panu mówiłem – powiedział głośno McGurk.
– Przejmujemy ich.

– Chwileczkę – zaprotestowała Corrie. – Generał McGurk jest zamieszany w nielegalną działalność. Jestem agentką z oddziału FBI w Albuquerque. Proszę tam zadzwonić i sprawdzić. Agentka specjalna Corinne Swanson.

Komendant spojrzał na nią z nieskrywanym niedowierzaniem. Nic dziwnego – wszyscy troje byli brudni, mieli mokre, porwane ubranie i twarze zakrwawione od licznych skaleczeń i zadrapań.

– Niech pan zadzwoni do Albuquerque i...

– Cisza! – przerwał jej komendant. Przeniósł wzrok na generała i zimnym głosem oznajmił: – Ci ludzie zostali przez nas aresztowani. Pozostają pod dozorem marynarki wojennej.

Dopiero teraz Nora zdała sobie sprawę, jakim geniuszem wykazał się Skip, wybijając okno i „ratując im dupę”

– To ja tu dowodzę – warknął McGurk. – I rozkazuję panu przekazać mi zatrzymanych.

– Z całym szacunkiem, generale, ale tą stacją dowodzę ja i to ja tu decyduję. Zechce pan wyjaśnić, co tu się właściwie dzieje?

McGurk zapanował nad nerwami z widocznym trudem.

– Panie komendancie, ci intruzi są szpiegami, ścigamy szpiegów...

– Jakimi szpiegami?

– Jeszcze nie wiemy. Możliwe, że sabotażystami na usługach obcych mocarstw.

– Nie jesteśmy szpiegami! – zjeżyła się Corrie. – Generał i ci ludzie kradną właśnie bezcenny hiszpański skarb z Kopca Przedrzeźniacza...

– Zamknij się! – ryknął McGurk. – Jak długo będziemy tego wysłuchiwać?

– Skarb? – powtórzył sceptycznie komendant.

– Tak! – krzyknęła Corrie. – Szukał go od lat! Nasze śledztwo ujawniło, gdzie go ukryto, i generał zmusił nas, żebyśmy go tam zaprowadzili! Jego żołnierze opróżniają właśnie podziemną komorę, gdzie...

McGurk uderzył ją w twarz.

– Kazałem ci się zamknąć! – Przeniósł wzrok na komendanta. – Panie komendancie, apeluję do pańskiego rozsądku. FBI? Hiszpański skarb? Naprawdę potrzebuje pan więcej dowodów, że w najlepszym wypadku są to intruzi, a w najgorszym szpiegdy? – Wziął oddech i bardziej pojednawczym tonem dodał: – A teraz czy zechce pan ich nam przekazać? Ta sprawa leży w gestii wojska. Do incydentu doszło na poligonie wojskowym, dlatego trudno panu będzie wyjaśnić, dlaczego odmówił pan wykonania mojego bezpośredniego rozkazu.

Komendant, który zmarszczył z naganą brwi, kiedy McGurk uderzył Corrie, zawahał się i przywołał starszego mata. – Dobrze. Przekażcie im aresztowanych.

– Nie! – krzyknął Skip, szarpiąc się z kajdankami.

Ktoś krzyknął: „On ma broń!”, ale Skip zdążył już włożyć rękę do kieszeni, coś wyjąć i rzucić. Po podłodze potoczyły się szlachetne kamienie i hiszpańskie dublony. Pomieszczenie wypełnił kolorowy blask.

Zapadła elektryzująca cisza. Wszyscy patrzyli tylko na złoto i klejnoty.

– Kawałek skarbu – wysapał Skip. – Zgarnąłem to w tej kopalni.

Cisza trwała jeszcze kilka sekund, a potem komendant odchrząknął.

– Co to znaczy, generale? – Wskazał podłogę.

McGurk zbladł, lecz odpowiedział głosem spokojnym i opanowanym.

– Nie mam pojęcia. To jakaś sztuczka.

Komendant zwrócił się do starszego mata.

– Odwołuję ostatni rozkaz. – Wyjął komórkę.

– Co pan robi? – spytał McGurk.

– Dzwonię do naszego łącznika z FBI, żeby sprawdził, czy agentka specjalna Corinne Swanson naprawdę istnieje.

– Oczywiście, że istnieje! Ta kobieta się pod nią podszywa!

Komendant wybrał numer.

– Postawię pana przed sądem polowym! – Odwrócił się do swoich żołnierzy. – Aresztować ich!

Ale żołnierze zawahali się, bo komendant twardym jak stal głosem zadał kilka pytań, wysłuchał odpowiedzi, podziękował i schował telefon do kieszeni.

– Tak, agentka specjalna Corinne Swanson prowadzi sprawę związaną z naszym poligonem i jej rysopis odpowiada wyglądowi tej pani.

– Już mówiłem, ona się podszywa!

– Może. A może nie. Faktem jest, że Corinne Swanson pozostaje pod dozorem marynarki wojennej. Postanowiłem nie przekazywać panu zatrzymanych. Jeśli chce pan ich przejąć, istnieją ku temu specjalne procedury, o czym dobrze pan wie, a procedury, o czym również dobrze pan wie, wymagają stosownych dokumentów.

McGurk wyjął pistolet z kabury.

– Dokumentów? Posłuchaj, sukinsynu: przekażesz mi ich albo zabiorę ich siłą! – Odwrócił się do swoich ludzi. – Żołnierze, gotuj broń!

Żołnierze posłuchali rozkazu. W odpowiedzi marynarze podnieśli karabiny i otoczyli komendanta zwartym kręgiem. Wtedy ten spytał:

– Generale, czy zdaje pan sobie sprawę, co pan robi?

Pistolet zadrżał w ręku McGurka.

– Marynarze, opuśćcie broń! – rozkazał komendant.

Podwładni go posłuchali, lecz panujące w pokoju napięcie było niemal nie do zniesienia.

Komendant głęboko odetchnął.

– Zamierzamy... Marynarka wojenna zweryfikuje tożsamość tych ludzi. I dopiero potem zdecyduje, jakie podjąć kroki. Podejmiemy je nie w trybie doraźnym, tylko z zachowaniem obowiązujących procedur.

McGurkowi jeszcze bardziej zadrżała ręka, a wraz z ręką lufa pistoletu.

Porucznik Woodbridge, która wciąż celowała w komendanta stacji, wykonała nagle półobrót i wymierzyła w swojego zwierzchnika.

– Panie generale? – rzuciła. – Proszę opuścić broń.

McGurk spojrział na nią tępym wzrokiem.

– Panie komendancie – powiedziała Woodbridge, wciąż celując w przełożonego. – Wasze śledztwo potwierdzi, że ci ludzie są tymi, za których się podają. Ten hiszpański skarb naprawdę istnieje i podwładni generała właśnie go wynoszą. Rozkazami i groźbami generał McGurk zmusił nas do posłuszeństwa.

McGurk wytrzeszczył oczy.

– Co takiego? Ty... ty zdradziecka suko!

– Musieliśmy mu się podporządkować – ciągnęła Woodbridge, zwracając się do żołnierzy. – Wszyscy. Ale to już koniec. Opuśćcie broń, panowie.

Żołnierze posłuchali rozkazu.

– Pan też, generale – dodała Woodbridge głosem zimnym jak lód.

Ale zamiast opuścić rękę, McGurk zaczął się cofać, wciąż trzymając na muszce komendanta stacji. Doszedł do drzwi, wyslizgnął się na zewnątrz i zniknął w ciemności.

– Niech idzie – powiedział komendant.

Zapadła cisza i po chwili rozkazał:

– Pani porucznik, proszę się skontaktować z zastępcą dowódcy Białych Piasków, wyjaśnić sytuację i wysłać ludzi, żeby powstrzymali grabież tego... – Zatoczył ręką łuk, wskazując skrzące się na podłodze kamienie. – I niech wreszcie odwołają te przeklęte drony!

– Tak jest.

Woodbridge odwróciła się i wyszła. To, co początkowo wyglądało na głupi ruch, okazało się czymś bardzo sprytnym: jak za dotknięciem

czarodziejskiej różdżki adiutantka McGurka zmieniła się z czynnej współpracownicy w lojalnego oficera.

Komendant spojrzał na Corrie.

– Pani naprawdę jest agentką FBI?

– Co znaczy „naprawdę”? – warknęła gniewnie Corrie. – Słyszał pan, co powiedziała porucznik Woodbridge. Natychmiast nas rozkujcie! Muszę zadzwonić do przełożonego.

O DZIESIĄTEJ RANO TRZY DNI PÓŹNIEJ agentka specjalna Corrie Swanson skończyła układać na stole dokumenty, które FBI znalazło w domu Charlesa Fountaina. Była to niezwykle cenna zdobycz. Okazało się, że wykorzystując starannie wybraną grupę tych samych przestępców, których bronił w sądzie, Fountain przez ponad trzy lata prowadził wyrafinowaną operację grabieżczą. Tylko on ocalał ze strzelaniny w Wysokiej Samotni – nie bardzo umiał strzelać i po tym, jak szeryf Watts ranił go w ramię, przywarował, czekając, aż walka dobiegnie końca. Od tamtej pory nie odezwał się ani słowem nawet w obecności swojego adwokata.

Dlatego to oni musieli teraz dociec, czego dokładnie on i jego banda szukali w tym wymarłym pustynnym miasteczku, bo nawet wyniki pobieżnej analizy dokumentów wskazywały na to, że nie był to skarb z Góry Victoria, co podczas strzelaniny potwierdził sam Fountain. Nie, w Wysokiej Samotni ukryto coś innego i bardzo cennego. Ale co? Choć liczne dokumenty z jego wielkiego domowego sejfu były też bardzo mylące.

Przygotowując się do całkowitego przekazania śledztwa Corrie, Morwood poprosił ją, aby poddała je analizie grupowej. W FBI powszechnie stosowano tę sztuczkę w sytuacjach, kiedy dowody rzeczowe nie były jednoznaczne. Wystarczyło wyłożyć je na stół, skrzyknąć wszystkich członków zespołu i kazać im je przejrzeć.

Corrie bardzo się denerwowała. To było wielkie wydarzenie. Jeszcze raz sprawdziła, czy zaparzone świeżą kawę i czy wszystko jest jak trzeba. Spojrzała na zegarek: za pięć pierwsza. Wszyscy przyjdą już za pięć minut. Zaprosiła ich przed lunchem.

Poprawiła zakiet, wyprostowała smycz z odznaką i nagle usłyszała głosy na korytarzu. Weszli Morwood z grubo zabandażowaną ręką, Nora Kelly, szeryf Homer Watts, Milt Alfieri, Don Ketterman i Nigel Lathrop. Oraz ktoś, kogo rzadko widywała: agent specjalny Julio Garcia, szef oddziału.

– Sporo tego. – Podeszedł do niej Morwood z listą dowodów rzeczowych na podkładce do pisania. Choć nie rozmawiał z nią jeszcze o skarbie i McGurku – ani o zniknięciu indiańskich „leków” – instynkt mówił jej, że dokonała nie lada wyczynu. – Zobaczmy, czy się w tym wszystkim połąpiemy.

– Tak jest.

Morwood zerknął na listę.

– Zacznijmy od planu Wysokiej Samotni, dobrze?

Corrie szybko go znalazła, wyjęła ze sterty dokumentów i rozłożyła na drugim stole. Wszyscy podeszli bliżej.

– Świetnie – ciągnął agent. – Dla celów porównawczych przydałyby się również zdjęcia lotnicze.

Corrie zaczęła ich szukać.

– Konkretnie które? – Serce podeszło jej do gardła.

– Powiększenia. Te najbardziej szczegółowe.

Przeszukała dokumenty raz i drugi, lecz zdjęć wśród nich nie było. W sali zapadła cisza.

– Chyba ich... nie mam.

Morwood uniósł brew.

– Dobrze, w takim razie może pokażesz nam plan wnętrza tego budynku?

– Tak jest. – Corrie podeszła do miejsca, gdzie rano go położyła. Plan budynku też zniknął.

Przełknęła ślinę.

– Nie ma go.

– Jak to: nie ma? – spytał Morwood. – Chcesz powiedzieć, że zniknął dowód rzeczowy?

Załamana Corrie poczuła, że się czerwieni.

- Na to... wygląda.
- Ktoś tu wchodził? – warknął Garcia. – Kto ma do nich dostęp?
- Nie wiem. Rano przyniosłam tu wszystkie dokumenty. Plany też, ale...
- Przełknęła ślinę.

Morwood spróbował wybawić ją z opresji.

- Musiałaś o nich zapomnieć. Sprawdź na półkach. Może zostały w jakimś pudle.

Corrie wiedziała, że to niemożliwe, lecz nie chciała z nim polemizować.

- Tak jest.

Z kopią listy w ręku wróciła do magazynu, ale półka z dowodami rzeczowymi w sprawie Fountaina była pusta. Zabrała wszystkie. A nigdzie indziej nie mogło ich być.

- Przykro mi – powiedziała po powrocie. – Nic tam nie ma. Wszystkie są tutaj.

Garcia podniósł głos.

- Jak to wszystkie, skoro nie ma najważniejszych planów i zdjęć?
- Nie wiem – odparła skonsternowana, czerwieniąc się jeszcze bardziej.
- Nie wie pani?

Corrie chciała umrzeć. Cała jej praca, niebezpieczeństwa, na które się narażała, spisek, który wykryła, hiszpański skarb...

Za jej plecami cicho otworzyły się drzwi i usłyszała czyjś głos, słodki jak miód, a jednocześnie zniesmaczony.

- Czy można spytać, kiedy parzono tę kawę?

Odwróciła się jak we śnie i zobaczyła kogoś, kogo dobrze znała, wysokiego mężczyznę o srebrzystych oczach i subtelnie rzeźbionych rysach twarzy. Był w prostym, lecz nienagannie skrojonym czarnym garniturze.

- Kim pan, do diabła, jest? – spytał Garcia.

– Agent specjalny Pendergast. – Mężczyzna podszedł do niego posuwistym krokiem i wyciągnął rękę. – Miło mi pana poznać.

- Pendergast? – Garcia uściśnął mu dłoń jak osłupiały robot. – Ten Pendergast?

– Tak, chyba tak. – Mężczyzna spojrział na resztę zespołu. – Aaa, jak się masz, Noro? Witaj, Corrie.

– To jest dość... nieoczekiwana wizyta – wyjąkał Garcia. – Co pana do nas sprowadza?

– Zainteresowała mnie sprawa, nad którą pracuje moja protegowana, agentka Swanson. Proszę mi wybaczyć, że pożyczyłem część waszych dowodów rzeczowych. Jestem zachwycony jej odkryciami, jednocześnie zaintrygowany kilkoma wciąż niewyjaśnionymi lukami.

– Pana protegowana? – powtórzył Garcia.

– Cóż, w zasadzie jest teraz protegowaną agenta Morwooda. Tak czy owak, przyszło mi do głowy kilka pomysłów. Czy chcieliby państwo mnie wysłuchać?

– Tak, oczywiście.

– Pozwoliłem sobie zająć sąsiednie pomieszczenie. Serdecznie zapraszam.

– Wyszedł z sali płynnym kocim krokiem, a oszołomiona Corrie i wszyscy pozostali podążyli za nim.

Zaprowadził ich do czegoś, co wyglądało na nieużywaną pakamerę na szczotki i tam, na zajmującym niemal całą przestrzeń stole, leżały brakujące dowody rzeczowe.

– Zdażyłem już zapoznać się z sytuacją, więc możemy sobie darować słowo wstępne – zaczął z chłodnym uśmiechem. – Chyba wszyscy zgadzamy się co do tego, że Fountain i jego grupa nie szukali skarbu z Góry Victoria. Jednak to, czego szukali, musiało mieć wielką wartość, wartość tak dużą, że gotowi byli zabić za to nawet przedstawiciela prawa, o czym przekonał się na własnej skórze szeryf Watts, który zaskoczył Riversa w piwnicy tego oto budynku. – Postukał kościstym palcem w leżący na stole stary plan.

– Twierdzono, że był to kiedyś dom rozpusty. Okazuje się jednak, że nie. Był to zwykły hotel z barem na parterze. Na planie widnieją nazwiska tych, którzy wynajmowali tam pokoje. Napisał je Fountain, własnoręcznie. Chciał się dowiedzieć, kto gdzie mieszkał. Wygląda na to, że interesowała go zwłaszcza jedna osoba: niejaki Houston Smith.

Przysunął plan w ich stronę.

– Tu jest jego nazwisko. Mieszkał w tym małym pokoju.

Wszyscy pochylili się nad stołem.

Pendergast się wyprostował.

– Zatem kim był pan Houston Smith? Nie będzie tu żadnej niespodzianki: oczywiście górnikiem. Z listy pracowników kopalni, którą tu mam, wynika, że wielu górników służyło przedtem w Czwartym Regimentie Kawalerii stacjonującym pod Socorro. To właśnie ci żołnierze ścigali i schwytali Geronima, wodza Apaczów. Po jego schwytaniu regiment rozwiązano i kilkunastu żołnierzy przyjechało do Wysokiej Samotni, ponieważ właśnie odkryto tam złoto.

Corrie słuchała, zastanawiając się, dokąd to wszystko zmierza. Pamiętała, że kiedy przyjechała tam pierwszy raz z Wattsem, Fountain mówił to samo.

Pendergast sięgnął po kolejny dokument.

– Mam tu jego zwolnienie z wojska. Houston Smith był porucznikiem, prawą ręką kapitana Henry'ego Ware'a Lawtona, dowódcy regimentu. Porucznik Smith odegrał znaczącą rolę w schwytaniu Geronima, a raczej w jego „dobrowolnym poddaniu się”, ponieważ tak naprawdę nigdy go nie ujęto. Został oszukany, podstępnie do tego nakłoniony.

Pendergast położył na stole zdjęcie.

– Oto słynna fotografia przedstawiająca „poddającego się” Geronima i jego wojowników. Proszę zauważyć, jak dobrze są uzbrojeni. Już dawno temu odłożyli łuki i strzały, bo woleli najnowsze, najbardziej śmiercionośne strzelby.

Kościsty palec wskazał następny dokument.

– A to jest świadectwo zgonu porucznika Smitha. Zauważcie, że był jednym z nieszczęśników, których zawał uwięził w kopalni. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. A tutaj mam dokument aukcyjny sprzed niemal dziesięciu lat. Stwierdza, że karabin kapitana Lawtona, winchester z 1886 roku, został sprzedany za milion dwieście tysięcy dolarów, za najwyższą

cenę w historii sprzedaży tego rodzaju broni. To bardzo ciekawe, że znalazł się wśród papierów Fountaina. Ciekawe albo i nie.

Pendergast powiódł wzrokiem po ich twarzach.

– Teraz wszystko powinno być jasne i przejrzyste, prawda? Chyba już wiemy, czego szukał Fountain i jego ludzie.

Corrie milczała. Jasne i przejrzyste? Jak dla kogo. Nie miała pojęcia, jak zinterpretować ten zlepek niezwiązanych ze sobą dowodów.

– Może zechciałby pan jednak przedstawić nam więcej szczegółów? – poprosił Morwood. – Wyjaśnić, jak te fakty się ze sobą łączą.

Pendergast z teatralnym zdziwieniem uniósł brwi.

– Wyjaśnić? Jeszcze dokładniej?

– Tym z nas, którym brakuje pańskiej niezwyklej przenikliwości – odparł oschle agent.

Było widać, że Pendergast świetnie się bawi.

– Dobrze. Jaka jest pierwsza czynność, którą wykonuje się, kiedy żołnierz trafia do niewoli?

Fragmenty zawiłej układanki zaczęły nagle do siebie pasować i Corrie wypaliła:

– Rozbraja się go. Lawton zabrał Geronimowi strzelbę i... i może dał ją Smithowi jako nagrodę. Mówił pan, że porucznik odegrał ważną rolę w jego schwytaniu. Po odejściu z wojska zawiózł strzelbę do Wysokiej Samotni, bo nikomu by jej nie powierzył. Ale potem zginął podczas zawału...

– A do kopalni raczej by jej nie zabrał – wtrąciła Nora.

– Co znaczy – ciągnęła Corrie – że strzelba wciąż może tam być, w Wysokiej Samotni.

– Brawo, agentko Swanson! – Pendergast złożył dłonie. – A jeśli karabin Lawtona był wart milion dwieście tysięcy dolarów, jak myślicie, ile byłaby warta strzelba wodza Geronimo? – Postukał palcem w plan hotelu, w którym mieszkał Smith. – Trzymałby ją w zasięgu ręki, w tych ruinach. Może pojedziemy tam i się rozejrzemy? Aha, i zabierzmy ze sobą mecenasa

Fountain. Czuję, że to znalezisko byłoby dobrym impulsem psychologicznym i otworzyłoby mu usta.

POSZUKIWANIA STRZELBY nie interesowały Nory, zresztą nie poproszono jej o pomoc. Pendergast też nie zamierzał chyba pomagać, nie w tym czyściutkim garniturze. Skutkiem tego stali teraz obok siebie, patrząc, jak kierowany przez Corrie i Morwooda Zespół Reagowania Dowodowego buszuje w zrujnowanym hotelu, tym samym, w którym odkopano ciało Jamesa Gowera. Kilku techników miało wykrywacze metalu i badało nimi wnętrze budynku oraz jego okolice. Chłodne, rześkie powietrze, tonące w złocistym słońcu wymarłe miasteczko – dzień był wprost idealny. Na prośbę Pendergasta stał między nimi Charles Fountain z obandażowanym ramieniem, skuty i milczący.

– Noro – zapytał agent – co się działo po ucieczce generała McGurka? Nie znam jeszcze szczegółów.

– Marynarze odwieźli nas do miasta na przesłuchanie w FBI. Potem nas wypuszczono, dzięki Bogu.

– To paradoksalne, ale zachłanność pani brata okazała się przebłyskiem geniuszu.

Nora się uśmiechnęła.

– To był raczej łut szczęścia.

– A generał?

– Następnego dnia znaleziono jego ciało. Strzelił sobie w głowę. Jego żołnierze próbowali wywieźć z poligonu dwie ciężarówki złota, ale ich zatrzymano. Będziemy badali ten skarb wiele lat. Ma nieocenioną wartość historyczną.

Pendergast pokręcił głową.

– „Straciwszy szacunek do wszystkiego innego, ludzie czczą teraz tylko złoto”. Powiedział tak o rzymskim imperium pewien starożytny poeta. To

samo można powiedzieć i dzisiaj. – Zerknął na Fountaina. – Zgodzi się pan ze mną?

Adwokat milczał.

– To było bardzo sprytne – ciągnął agent. – Pan i panu podobni, zamożne filary społeczeństwa, mieliście wiedzę i możliwości, aby szukać cennych artefaktów w najbardziej prawdopodobnych miejscach. Najpierw skrupulatnie badaliście teren, a potem z chirurgiczną precyzją przeprowadzaliście atak, nocą, za pomocą ciężkiego sprzętu, a nawet śmigłowca. Grabiliście i uciekaliście. Miejsce ataku zwykle pozostawialiście nietknięte. Nietknięte, lecz dziwnie puste. Kiedy nie było to możliwe, zrównywaliście je z ziemią, żeby wyglądało to na akt bezmyślnego wandalizmu. A znaleziska sprzedawaliście na czarnym rynku, oligarchom, szejkom i miliardernom z kolekcjonerską pasją.

– Jak na agenta FBI ma pan bardzo bogatą wyobraźnię – zauważył Fountain.

– Tylko że w miarę upływu czasu miejsc do plądrowania było coraz mniej. Wtedy nieco obniżyliście loty i zaczęliście płacić za informacje, oczywiście anonimowo. Bywało nawet, że kupowaliście przedmioty o podejrzanym wartości od ludzi pokroju młodego Gowera.

– Tak, tak – mruknął Fountain. – A teraz niech pan spróbuje przypisać mi jego śmierć.

– Dlaczego? Przecież to nie była wasza robota. To była sprawka generała, który za pomocą zaawansowanego i tajnego sprzętu wojskowego włamał się do telefonu agentki Swanson, myśląc, że Jesse Gower podaruje mu ostatni fragment układanki. Niestety, podczas przesłuchania jego podwładni wykazali się zbyt wielką gorliwością. To trochę ironiczne, bo oczywistym podejrzanym byłby ktoś taki jak pan i pana gang. Ale wy weszliście w konszachty z Pickiem Riversem. Pewnie wysłaliście go kilka razy na rozpoznanie w ramach jakichś nowych projektów. Projektów, które gwarantowały panu poczucie całkowitego bezpieczeństwa i możliwość wyparcia się wszystkiego, bo przecież nikt nie wiedział, że coś was łączyło. Nic dziwnego, że Rivers miał przed śmiercią pieniądze. Szeryf Watts

nakrył go na gorącym uczynku, a Rivers spanikował i sięgnął po broń. Oczywiście do niczego się nie przyznał, dobrze wiedząc, że marnie skończy, ale pański wspólnik, niejaki Bellingame, nie chciał ryzykować. Co jest kolejnym dowodem wartości ukrytego tu przedmiotu.

Adwokat uśmiechnął się lekko, lecz nie odpowiedział.

– Naprawdę myśli pan, że znajdą tę strzelbę? – spytała Nora. – Jeśli to strzelba. Ktoś mógł ją zabrać już dawno temu.

– Noro, nuta zwątpienia w pani głosie sprawia mi ból. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że to strzelba Geronima.

– Jeśli tak, do kogo teraz należy?

– Interesujące pytanie. Najpierw będzie dowodem w śledztwie, a potem władze prześlą ją pewnie jego potomkom, jeśli jakichś pozostawił. Zostaną milionerami.

Nora nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Pozostawił. Wiem, że jednego na pewno.

Pendergast skinął głową w stronę ruin hotelu.

– Ale to, czy znajdą ją oni, to już zupełnie inna sprawa. Jest na pewno dobrze ukryta. – Przez chwilę przyglądał się pracującym technikom z Zespołu Reagowania Dowodowego. – Hmm, ciepło, ciepło, coraz cieplej. Chyba są już blisko.

Nora spojrzała na niego ciekawie.

– Czyżby wiedział pan, gdzie ją ukryto?

– Tylko się domyślam.

– Przecież jest pan tu pierwszy raz!

– A cóż jedno ma wspólnego z drugim?

Nora umilkła.

– Dobra, poddaję się. Gdzie?

– Noro, pierwszym pytaniem, jakie powinna pani zadać, jest: gdzie jej nie ukryto? Smith na pewno nie schował jej w swoim pokoju, ponieważ cały dzień pracował w kopalni i pokój byłby miejscem bardzo niepewnym. Nie schował jej też w barze, bo panował tam za duży ruch. Tak jak w kuchni. Nie ukryłby jej również w innym budynku ani

na otaczających miasteczko wzgórzach, ponieważ ktoś zobaczyłby, jak tam idzie, i zaczęłby się zastanawiać po co. Poza tym na wzgórzach strzelba byłaby wystawiona na działanie żywiołów. Pozostaje tylko jedno miejsce: piwnica.

– Przecież dokładnie ją przeszukaliśmy! Najpierw ja, a potem Huckey i tych dwóch z FBI.

– Tak. Biedny Huckey... – Agent znów spojrzał na Fountaina. – Podejrzewam, że to wy wrzuciliście go do studni. Ostatecznie nie mogliście pozwolić, żeby ktoś obcy, w dodatku przeszkolony w zbieraniu dowodów rzeczowych, włóczył się po miasteczku i znalazł waszą bezcenną strzelbę.

Adwokat wciąż milczał, więc Pendergast przeniósł wzrok z powrotem na Norę.

– Tak czy inaczej, informacja, że piwnicę już przeszukano, niezmiernie mi pomogła. Zawęziła liczbę możliwych miejsc.

– W takim razie gdzie ona jest? – spytała niecierpliwie archeolożka.

– Piwnica ma ściany z suszonego na słońcu błota i słomy. Bardzo grube ściany. Ukrycie w nich jakiegoś przedmiotu byłoby niezwykle proste. Wystarczy zrobić dziurę, włożyć tam strzelbę i zalepić dziurę błotem. Potem trochę kosmetyki i wszystko wygląda jak przedtem. Ale XIX-wieczne błoto nie ma szans z XXI-wiecznymi wykrywaczami metalu.

Wtedy od strony ruin dobiegł krzyk i wszyscy pobiegli do piwnicy. Przez drzwi było widać, jak jeden z techników klęka pod tylną ścianą, parę kroków od miejsca, gdzie znaleziono ciało Gowera. Zaczął zeskrobywać błoto i słomę i wkrótce odsłonił wnękę. Jego koledzy zrobili serię zdjęć i wreszcie, wśród oklasków, wyjęli z wnęki długą strzelbę.

– Nie wiem, jak pan to robi – powiedziała Nora.

– Po prostu w swoich przewidywaniach sięgam dalej niż inni. To wszystko. Jak w szachach: dobry gracz przewiduje trzy ruchy naprzód. Lepszy – pięć. – Pendergast popatrzył na Fountaina, który obserwował techników ze zdumieniem i wściekłością. – Cóż, mecenasie. Ponieważ milczenie nic panu nie dało – jak sam pan widzi, znaleźliśmy to, czego pan

szukał – może zastanowi się pan, czy nie lepiej by było z nami porozmawiać?

– Idź precz, czarcie!

– Czarcie? – powtórzył Pendergast. – W pańskich ustach brzmi to jak komplement. – I złożył adwokatowi lekki, oficjalny ukłon.

ZJAWIWSZY SIĘ NA SCENIE wydarzeń jak deus ex machina – dokładnie wtedy, kiedy chciał – i dokonawszy kolejnego cudu, Pendergast wrócił do Nowego Jorku, a Corrie do pracy. Natomiast do Nory zadzwoniła sekretarka dyrektorki instytutu. Pani dyrektor powiedziała, że chce się z panią widzieć najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. Było możliwe natychmiast: Nora zerwała się na równe nogi i ściskając w ręku list, który miała właśnie otworzyć, szybkim krokiem wyszła na korytarz.

Gabinet doktor Marcelle Weingrau wyglądał tak jak przedtem, nie licząc nowej grafiki Salvadora Dalí na ścianie. Nora usiadła w skórzanym fotelu. Oczywiście wiedziała, czego będzie dotyczyła rozmowa, i jej serce biło jak szalone. Wmawiała sobie, że niepotrzebnie się denerwuje, zwłaszcza po tych wszystkich pochwałach za pomoc FBI.

– Noro, tak się cieszę, że pani do mnie zajrzała – zaczęła Weingrau ciepłym, życzliwym głosem. – Doszła już pani do siebie po ostatnich przeżyciach?

– Tak. Pamiętam, jak prosiłam panią o dodatkowe dwa dni wolnego na wyjazd do Wysokiej Samotni, i trochę mi wstyd, że skończyło się to na dwóch tygodniach...

Dyrektorka machnęła ręką.

– Ale jaki bohaterki był to koniec! Bardzo pomogłaś FBI i zrobiłaś bezcenną reklamę instytutowi.

– Dziękuję.

Weingrau złożyła ręce na biurku.

– Zaprosiłam panią, ponieważ chcę o czymś porozmawiać...

Nora zebrała się w sobie. To było to. Awans.

– Jak pani wie, doktor Winters odchodzi na emeryturę i zwalnia się stanowisko dziekana wydziału archeologii.

Nora kiwnęła głową.

– Chociaż jestem najlepszym przykładem odstępstwa od zasady, zapewne pani wie, że zgodnie z obowiązującą w instytucie tradycją awansujemy zwykle tych, którzy już tu pracują. Nie wybieramy nikogo spoza rodziny, że tak powiem, zwłaszcza jeśli mamy pod ręką kogoś utalentowanego.

– Myślę, że to dobra polityka.

– Właśnie. Jestem po intensywnych konsultacjach z moim zastępcą oraz z radą instytutu. Decyzja nie zależała tylko ode mnie, tym bardziej że pracuję tu dopiero od dwóch miesięcy. Długo się zastanawialiśmy i odbyliśmy wiele zakulisowych rozmów.

Nora z trudem tłumiała podekscytowanie. Kierowniczka wydziału archeologii. Duża sprawa, no i duża podwyżka. Ale co najważniejsze, był to namacalny wyraz uznania za ciężką pracę, lata służby i pokaźny dorobek naukowy.

– W końcu podjęliśmy decyzję... – Weingrau zawiesiła głos i przybrała poważny wyraz twarzy. – I zaprosiłam tu panią, ponieważ chcę przekazać ją pani osobiście.

No jasne. Nora skinęła głową.

– Wiem, że będzie pani zawiedziona...

W pierwszej chwili pomyślała, że się przesłyszała. Ale nie. Zmroziło ją w środku, jakby zamarł nagle wszelki ruch.

– To była trudna decyzja, z trudem wypracowana, ale ostatecznie ustaliliśmy, ja oraz rada instytutu, że stanowisko dziekana wydziału archeologii powinien otrzymać doktor Connor Digby.

Dyrektorka umilkła, ale ponieważ Nora nic nie odpowiedziała, Weingrau życzliwym głosem mówiła dalej.

– Tak, wiem, że jest pani rozczarowana, dlatego chcę to dokładniej wyjaśnić. Stanowisko dziekana wydziału archeologii to nie tylko zadania administracyjne, ale i działalność na płaszczyźnie publicznej oraz

społecznej. Działalność niezwykle intensywna. Do jej prowadzenia potrzebny jest ktoś, kto ma nie tylko nienaganne kwalifikacje akademickie, ale i ujmującą powierzchowność, kto jest osobą elokwentną i czarującą, krótko mówiąc: wygadana. Nie, żeby pani tych cech nie miała, ale przede wszystkim jest pani archeolożką. Archeolożką wybitną. Ma pani wspaniałe osiągnięcia. Zrobiła pani dla instytutu dużo dobrego, za co jesteśmy pani bardzo wdzięczni. Ale praca administracyjna nie jest pani mocną stroną. Wykopaliska w Tsankawi mają opóźnienie. Oczywiście wiem i rozumiem dlaczego, mimo to za rok będziemy zmuszeni odnowić zezwolenie, czego nie braliśmy pod uwagę. No, chcemy zatrzymać panią tam, gdzie jest pani prawdziwą gwiazdą, gdzie najbardziej widać pani najlepsze strony: w terenie i w laboratorium, a nie w sali posiedzeń rady czy jako poszukiwaczkę sponsorów.

Weingrau zaczęła mówić szybciej i bardziej nerwowo.

– I tutaj pojawia się Connor. Jak zapewne pani wie, był moim doktorantem i dość dobrze znam jego rodzinę.

Nie, tego Nora nie wiedziała. Ale to miało sens. Gdyby przejrzała jego CV, tak jak zamierzała, natychmiast zobaczyłaby, że robił doktorat na Uniwersytecie Bostońskim, i wszystko byłoby jasne.

Lecz dyrektorka mówiła dalej, nie czekając na potwierdzenie ze strony Nory.

– Pochodzi ze specyficznego środowiska, Nowa Anglia i te rzeczy. Z tym się człowiek po prostu rodzi. To nie jest żadna aluzja. Tak po prostu jest. Robimy postępy, ciągle, co roku, ale największe znaczenie wciąż mają stare pieniądze ze Wschodniego Wybrzeża i rodzinne koneksje.

Weingrau w końcu umilkła, być może zdała sobie sprawę, że za dużo powiedziała. Nora czuła ucisk wokół oczu i w kącikach ust, jakby miała się zaraz rozpłakać. Ale nie, nie upokorzy się tak, nie przed tą kobietą. Wstała z największą godnością, na jaką było ją stać, i ponieważ nie dowierzała swojemu głosowi, po prostu wyszła z gabinetu. Słyszała, że dyrektorka ją woła, ale szybko skrzyła za róg i zamknęła się na klucz w swoim pokoju,

dziękując Bogu, że nie spotkała po drodze Digby'ego. Pewnie wiedział, co się święci, i wolał zniknąć.

Ciężko oddychając, usiadła w przyćmionym świetle, ale nie, jednak się nie rozpłakała. Dotarło do niej, że właśnie taki był plan, od samego początku. Weingrau ściągnęła Digby'ego specjalnie pod kątem tego awansu. Wszystko było przesądzone. Nie zmieniłoby tego nic, co zrobiła, czego nie zrobiła albo co mogłaby zrobić. Prasa rozpisywała się o ważnej roli, którą odegrała w zdemaskowaniu spisku w Białych Piaskach i rozwikłaniu zagadki związanych z tym morderstwem, dlatego dyrektorka musiała czuć się niezręcznie, przepychając na radzie kandydaturę Digby'ego. Ale rada była słaba, złożona głównie z emerytowanych biznesmenów, więc wszystko poszło pewnie gładko.

Potrząsnęła głową. Musiała się pozbierać, wstać i się otrzepać. Życie jest niesprawiedliwe, przekonała się o tym wiele razy. Strata awansu nie była najgorszą rzeczą, jaka jej się przydarzyła. Nie, w żadnym razie. Niechętnie musiała przyznać, że w tym, co usłyszała od dyrektorki, jest ziarno prawdy. Mimo prestiżu i wysokiej pensji stanowisko dziekana wydziału archeologii łączyło się bardziej z polityką niż z nauką. Dziekan kierował archeologami pracującymi w terenie, ale sam nie brudził sobie rąk. Podekscytowana perspektywą awansu zupełnie o tym nie pomyślała.

Głęboko westchnęła. Bez wątpienia próbowała to sobie jakoś zracjonalizować. Cała ta maskarada – bo była to maskarada – bardzo ją zabolęła i wiedziała, że ból szybko nie minie. Digby nie był niczemu winien, to Weingrau pociągęła za sznurki. Mimo to czuła, że długo nie będzie mogła patrzeć na nich jak przedtem.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że ścisnęła coś w prawym ręku. List, który miała otworzyć przed rozmową. Pod wpływem emocji omal nie zmięła go w kulkę. Położyła go na biurku i wygładziła. Na kopercie nie było adresu zwrotnego, tylko wytłoczony napis: DEPARTAMENT SPRAWIEDLIWOŚCI STANÓW ZJEDNOCZONYCH. Pomyślała, że po dniu takim jak ten jest to na pewno wezwanie do urzędu skarbowego.

Otworzyła palcem kopertę, wyjęła pojedynczą kartkę papieru i przeczytała list. Był krótki i kiedy skończyła, w pokoju wezbrała głęboka cisza. Długo siedziała bez ruchu. W końcu podniosła głowę i spojrzała w okno wychodzące na różany ogród i zieloną od sosen Sun Mountain, skąpaną w promieniach popołudniowego słońca. Wytarła odrobinę wilgoci w kąciку oka i uśmiechnęła się lekko do siebie. Życie było rzeczywiście niesprawiedliwe, ale czasem, zupełnie nieoczekiwanie, rozdawało dobre karty. Na list padł promień słońca i przeczytała go jeszcze raz.

GABINET DYREKTORA
DEPARTAMENT SPRAWIEDLIWOŚCI
STANÓW ZJEDNOCZONYCH
Federalne Biuro Śledcze
Waszyngton, D.C 20353-0001

Dr Nora Kelly
Instytut Archeologiczny w Santa Fe
Camino Campanas 4212
Santa Fe, NM 87507

Szanowna Pani!

Z przyjemnością informuję, że Departament Sprawiedliwości przyznał Pani tegoroczny medal „Za Wyjątkowe Zasługi”.

Głosami agentów specjalnych najwyższej rangi raz w roku każdy z pięćdziesięciu sześciu oddziałów terenowych FBI wybiera do tego odznaczenia cywila, który zademonstrował odwagę, bezinteresowność i patriotyzm, częstokroć kosztem bezpieczeństwa osobistego. Oddział terenowy w Albuquerque postanowił wybrać właśnie Panią.

Co wyjątkowe w historii Biura, została Pani również wybrana przez inny oddział. Choć nie jestem upoważniona do ujawnienia jego nazwy, pragnę Panią zapewnić, że jest to jedna z naszych najważniejszych

placówek. W świetle tego bezprecedensowego faktu wraz medalem „Za Wyjątkowe Zasługi” otrzyma Pani gwiazdę „Za Odwagę”

Będziemy oczekiwać Pani w siedzibie FBI przy 935 Pennsylvania Avenue NW o godzinie dziesiątej pierwszego dnia przyszłego miesiąca, gdzie wraz z pięćdziesięcioma czterema odznaczonymi odbierze Pani medal. Wręczenie go Pani będzie dla mnie zaszczytem.

Z poważaniem

Marissa Greeley

Dyrektor Federalnego Biura Śledczego